

Arthur Koestler

Gladiatorzy

(The Gladiators)

Przekład Anna Żukowska– Maziarska

Kiedy minęliśmy bramę, nasunąłem kapelusz na oczy i po cichu zapłakałem; nikt tego nie zauważył.

Silvio Pellico

Prolog

Delfiny

Wciąż jest ciemno.

Nie zapiał jeszcze żaden kogut.

Ale Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, dawno już nauczył się godzić z faktem, że urzędnicy powinni budzić się wcześniej od kur. Postępując, wodzi stopami po brudnej podłodze z desek, aż wreszcie odnajduje sandały. Znowu stoją nie tak jak trzeba, obrócone nosami w stronę łóżka – oto pierwszy powód do irytacji w zaczynającym się dopiero dniu. Ciekawe, ile jeszcze razy zostanie dzisiaj wytrącony z równowagi?

Szurając nogami, człapie w stronę okna i spogląda w dół, w głąb pięciopiętrowej studni podwórza. Koścista, stara kobieta wchodzi po stromych, tylnych schodach. To jego gospodyni i jedyna niewolnica, Pomponia, wnosi śniadanie i kubełek z gorącą wodą. Jest punktualna, nie da się zaprzeczyć. Skrupulatna, stara i koścista.

Woda jest letnia, a śniadanie po prostu obrzydliwe – to już dziś drugi powód do irytacji. Ale w tym samym momencie w myślach Kwintusa Aproniusza pojawiają się nagle Delfiny, a zapowiedź tak pięknego zwieńczenia dnia wywołuje na jego twarzy uśmiech. Pomponia papląc i gderając, krząta się po izbie, otrzepuje jego odzież i pomaga mu ułożyć skomplikowane fałdy urzędowej togi. Kwintus Aproniusz ze znużoną godnością schodzi po stromych, tylnych schodach, ostrożnie unosi skraj szaty, aby nie dotknąć brudnych szczelbli. Nie ogląda się, ale wie, że Pomponia z miotłą w dłoni patrzy za nim z okna.

Świta. Trzymając w ręku brzeg togi, pisarz przemyka się pod ścianami domów, bo wąską ulicą sunie niekończący się sznur wozów ciągniętych przez woły i konie. Słysząc hałaśliwy łoskot kół i wrzaski woźniców.

Za dnia surowo zabrania się wszelkim pojazdom ruchu po ulicach Kapui.

Uliczką, która oddziela stragany sprzedawców wonności i balsamów od targu rybnego, zbliża się ku niemu grupa robotników. To niewolnicy municypalni, prostacy o bezmyślnych, zarośniętych twarzach. Zbliżają się, więc Kwintus Aproniusz prawie przykleja się do ściany domu i podgarnia togę, mrużąc coś z pogardą. Niewolnicy podchodzą, a dwóch z nich,

wyzywająco i bezczelnie, spycha go na bok. Pisarz dygoce ze wściekłości, lecz nie ma odwagi się odezwać. Są bez kajdan – kolejny dowód nowomodnego rozprzężenia – a ich dozorczy wloką się gdzieś daleko z tyłu.

W końcu przeszli i Aproniusz może iść dalej, ale cóż z tego, skoro już popsuli mu dzień. Wokół robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Od czasu śmierci wielkiego dyktatora Sulli minęło ledwie pięć lat, a świat znowu wypada ze swych kolein. Tylko Sulla potrafił zaprowadzić porządek i żelazną stopą miażdżył hołotę. Jego rządy poprzedziło stulecie rewolucyjnych niepokojów: bracia Grakchowie z ich szalonymi planami reform, straszliwe bunty niewolników na Sycylii, terror motłochu rozpętany przez Mariusza i Cynnę, którzy uzbroili w Rzymie niewolników, podżegając ich przeciw stronnictwu arystokratów. Podkopano podstawy cywilizacji i porządku: cuchnący i tępy motłoch, niewolnicy, byli o krok od przejęcia władzy i już widzieli się w roli przyszłych panów. Ale oto pojawił się wybawiciel Sulla i mocno ściągnął cugle. Zamknął gęby trybunom ludowym, kazał ściąć głowy buntownikom, a przywódców stronnictwa ludowego zmusił do ucieczki na emigrację w Hiszpanii. Skończyło się hojne rozdawanie zboża leniom i próżniakom. Ludowi narzucono nową, surową konstytucję – mogłaby zapewnić tysiące lat spokoju. Niestety, Wielki Sulla został pożarty przez wszy. Nazywają tę chorobę *phthiriasis*.

Działo się to zaledwie pięć lat temu – a jakże odległe wydają się dzisiaj tamte szczęśliwe czasy! Nad światem znów zbierają się ciemne chmury i nadciąga niebezpieczeństwo. Tak jak przedtem rozdają darmowe zboże włóczęgom i obibokom. Trybuni ludowi i demagodzy znów mogą bez przeszkód wygłaszać swoje przerażające mowy. Pozbawiona przywódców arystokracja waha się i szuka ugody, a motłoch raz jeszcze podnosi głowę.

Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, czuje, że cały ten dzień już mu definitywnie popsuto; nie pociesza go nawet myśl o Delfinach, które miały być tak wspaniałym zwieńczeniem dnia. Jego spojrzenie pada na drewnianą tablicę z ogłoszeniami; właśnie pojawia się na niej nowa wiadomość. Pisarz przygląda się prawie gotowemu, ogromnemu ogłoszeniu: u góry tablicy namalowano purpurowe słońce z rozchodzącymi się na wszystkie strony promieniami. Poniżej dyrektor Lentulus Batiatus, właściciel największej szkoły gladiatorów, donosi, że ma zaszczyt zaprosić łaskawą kapuańską publiczność na nadzwyczajne widowisko. Odbędzie się ono pojutrze, bez względu na pogodę, bo dyrektor Batiatus, nie szczędząc ogromnych wydatków, rozciągnie nad areną zasłony, które uchronią szanowną publiczność przed

deszczem, a także – rzecz jasna – przed słońcem. Ponadto w czasie przerw widownia będzie skrapiana wonnościami.

„Pośpieszcie przeto, czcigodni obywatele Kapui, miłośnicy igrzysk; wy, którzy oglądaliście wyczyny Pacidejanusa, zwycięzcy w stu sześciu walkach, i wy, którzy niegdyś podziwialiście niezwyciężonego Carpophora, i nie zmarnujcie niepowtarzalnej okazji obejrzenia na własne oczy, jak walczą i umierają słynni gladiatorzy ze szkoły Lentulusa Batiatusa...”

W tym miejscu zaczyna się długa lista uczestników widowiska, a jej najważniejszym punktem ma być walka galijskiego gladiatora Kriksosa i trackiego mistrza Spartakusa. Ogłoszenie zawiera także informację, że stu pięćdziesięciu debiutantów stoczy pojedynki *ad gladium*, a więc z uzbrojonym przeciwnikiem, zaś stu pięćdziesięciu innych – *ad bestiarium*, czyli ze zwierzętami. Podczas południowej przerwy, gdy będzie trwało czyszczenie areny, odbędą się komiczne walki karłów, kalek, kobiet i klaunów. Bilety w cenie od trzech asów do pięćdziesięciu sesterców można już kupować w piekarni Tytusa, w kąpielisku Hermiosa, a także u upoważnionych do tego sprzedawców czekających przed wejściem do świątyni Minerwy.

Kwintus Aproniusz parska z irytacją; w Rzymie już od dawna wstęp na igrzyska jest bezpłatny, bo koszty występów pokrywają ambitni politycy zabiegający o wyborców. Tylko tutaj, w tej zacofanej i prowincjonalnej Kapui każdy sam musi płacić za odrobinę należnej mu rozrywki.

Aproniusz postanawia, że poprosi dyrektora Lentulusa Batiatusa, którego przecież zna z widzenia, o bezpłatny bilet. Organizator igrzysk, jeden z najszacowniejszych obywateli Kapui, jest jednocześnie stałym bywalcem Delfinów. Już od pewnego czasu Aproniusz nosi się z myślą, by zawrzeć z nim bliższą znajomość.

Złość mu więc z wolna przechodzi i Aproniusz kroczy dalej. Już po chwili dociera do celu – jest nim przedsionek świątyni Minerwy, gdzie odbywają się sesje municypalnego sądu handlowego.

Słońce wschodzi i zbierają się koledzy z sądu; najpierw zaspani pomniejsi urzędnicy, którym się wydaje, że o ich pozycji świadczy arogancja. Stawiły się już obie strony – jacyś handlarze ryb kłócący się o stragan na targowisku. Kazano im czekać na zewnątrz, póki nie zostaną wezwani przez woźnego. Urzędnicy snują się sennie, ustawiają ławy i składają dokumenty na stole przewodniczącego. Kwintus Aproniusz cieszy się sporym respektem wśród swych kolegów – po części z racji siedemnastoletniego stażu, częściowo zaś dzięki piastowanemu stanowisku

honorowego sekretarza Kollegium Towarzystwo-Pogrzebowego.

Nawet i teraz nie przepuszcza okazji, by zwerbować młodych adeptów do klubu Czcicieli Diany i Antinousa i z protekcyjną życzliwością objaśnia statut stowarzyszenia. Nowi członkowie wnoszą sto sesterców opłaty wstępnej, roczna składka wynosi piętnaście sesterców płatnych w miesięcznych ratach po pięć asów. Z funduszy klubu wypłaca się natomiast trzysta sesterców na kremację każdego zmarłego członka, z wyjątkiem samobójców. Pięćdziesiąt sesterców przeznaczają się na opłacenie uczestników orszaku żałobnego; pieniądze rozdaje się im na miejscu, przy stosie.

Każdy, kto wywoła kłótnię z innymi członkami klubu, płaci cztery sesterce kary; wszczynający bójkę płaci dwanaście, a za obrazę przewodniczącego karze się dwudziestoma sestercami. Za bankiety i przyjęcia odpowiada czterech zmieniających się co roku członków, którzy mają zadbać o kobierce i podglówki na biesiadnych łóżach, a także o gorącą wodę i zastawę. Każdemu biesiadnikowi należą się cztery amfory porządnego wina, bochenek pieczywa o wartości dwu asów oraz cztery sardynki. Kwintus Aproniusz tak zmęczył się gadaniem, że aż policzki mu się zaróżowiły, mimo to słuchacz nie docenia jego wysiłków i odpowiada zdawkowo, że chce się jeszcze nad tym zastanowić. Rozczarowany i zirytowany Aproniusz odwraca się plecami do źle wychowanego młodzieńca.

Zaczynają się schodzić i inni urzędnicy, coraz znaczniejsi i bardziej wpływowi, aż wreszcie zjawia się też członek rady municypalnej, który będzie sprawował sądy. Łaskawie odprawia swą swiętą i protekcyjnie kiwa głową Aproniuszowi gorliwie podsuwającemu mu krzesło i dokumenty. Wchodzą strony i publiczność. Wreszcie zaczyna się rozprawa, a wraz z nią zajęcie, sztuka i namiętność Aproniusza – pisanie. Jego spięta twarz rozjaśnia się i wygładza, z subtelną rozkoszą pisarz kreśli słowo po słowie na dziewiczym, pięknym pergaminie. Nie ma nikogo, kto pisałby równie ozdobnie, i nie ma nikogo, kto umiałby protokołować tak sprawnie jak Aproniusz, który w trakcie siedemnastoletniej służby pozyskał bezgraniczne zaufanie swych przełożonych. Zabierają głos strony, potem mówią adwokaci, trwa przesłuchiwanie świadków, wzywa się ekspertów, rośnie stos dokumentów, odczytuje się sformułowania prawne – ale wszystko to jest ledwie tłem i pretekstem, by Aproniusz mógł błysnąć swym kunsztem pisarskim. To on jest tu głównym bohaterem, reszta to tylko statyści i tłum. Kiedy słońce osiąga najwyższy punkt na niebie i woźny odracza posiedzenie sądu, Aproniusz nie pamięta już, o co właściwie chodziło w tej sprawie. Ale kiedy zamyka oczy, pod jego powiekami wciąż faluje wyjątkowo

udany zawijas, którym ozdobił i zamknął streszczenie mowy pozwanego.

Starannie składa notatki i dokumenty, z szacunkiem kłania się sędziemu i poufałym gestem żegna kolegów. Zbierając wokół bioder fałdy togi opuszcza scenę swego urzędowego występu. Zmierza teraz w stronę tawerny Pod Bliźniętami Wilczycy w dzielnicy oskijskiej, w której czeka stół zarezerwowany dla Czcieli Diany i Antinusa. Już od siedmiu lat, od chwili nominacji na stanowisko pierwszego pisarza sądu handlowego, zawsze jada tu swój południowy posiłek, zgodny z przepisaną dietą, bo Aproniusz cierpi na dolegliwości żołądkowe. Jedzenie przygotowuje i podaje sam właściciel, ale nie bierze za to ani asa dodatkowo.

Po zjedzeniu Aproniusz osobiście dogląda mycia swojej prywatnej czarki, z której zwykł pijać, potem strząsa okruchy z szaty i wychodzi z tawerny. Idzie teraz do Nowych Term.

Także i tu zarządca wita go z uniżoną uprzejmością, podaje klucz do prywatnego schowka i z zażenowanym uśmiechem odbiera dwa asy napiwku. W przestronnym marmurowym holu, jak zwykle, roi się od gości. Publiczni mówcy, ambitni poeci i inni szukający poklasku przemawiają pod łukowym sklepieniem, a słuchacze reagują okrzykami, brawami i śmiechem. Aproniusz chętnie się przysłuchuje – uważa, że przed wielorakimi fizycznymi rozkoszami łaźni dobrze jest wcześniej podrażnić intelekt. Przyłącza się do jednej z grup, potem przechodzi do drugiej; wpada mu w ucho parę zdań gwałtownej krytyki aborcji i obniżającej się liczby narodzin. Z oburzeniem odwraca się i odchodzi, gdy mówca kończy swą obrzydliwą wypowiedź. Wytwornie unosząc szatę, przechodzi do trzeciej grupy, zgromadzonej wokół tłustego pośrednika handlu nieruchomościami i maklera, który prowadzi podejrzany bank gdzieś w oskijskiej dzielnicy, a teraz łowi klientów, zachwalając udziały w nowej rafinerii żywicy w Brucjum. Z bezinteresownej życzliwości namawia swych słuchaczy, by bez wahania kupowali udziały. Żywica to świetny interes, ta branża ma przed sobą przyszłość. Aproniusz krzywi się, mruczy coś pod nosem i idzie dalej.

Oczywiście najwięcej słuchaczy, niemal zbiegowisko, zgromadziło się wokół Fulwiusza, działającego pokątnie prawnika i autora niebezpiecznych, demagogicznych tekstów. Aproniusz niejedno już słyszał o tym niskim, niepozornym człowieczku z łysą, guzowatą głową; niegdyś był ponoć znaczącą figurą w stronnictwie demokratów, dopóki nie pozbyli się go z powodu ekstremizmu. Przeniósł się wtedy do Kapui i zamieszkał gdzieś na poddaszu czy w jakiejś innej obskurnej norze, by podburzać ludzi przeciw porządkowi narzuconemu przez Sullę. Drobnym prawnikiem przemawia szyderczo i z pewnością siebie, zupełnie jakby cytował książkę kucharską,

a jednak ci durnie wyraźnie biorą jego słowa za dobrą monetę. Aproniusz, w którym wzbiera oburzenie, unosi fałdy togi i wciska się w tłum słuchaczy. Nie dlatego, by był szczególnie ciekaw tego przemówienia, ale wie, że nic tak nie pobudza aktywności jelit przed czekającą go kąpielą jak złość.

Republika Rzymska skazana jest na upadek, mówi prawnik tonem belfra, relacjonującego tylko suche fakty. Niegdyś Rzym był krajem rolniczym, teraz jednak rzymskie rolnictwo wykrwawiło się do cna, a wraz z nim całe państwo. Świat się powiększył i otworzył, ze wszystkich krajów napływa tanie zboże, a rolnicy muszą sprzedawać swoją ziemię i żyć z jałmużny. Świat się poszerzył, zewsząd sprowadza się tanią niewolniczą siłę roboczą, natomiast rzemieślnicy przymierają głodem, robotnicy zaś idą na żebry. Zboże zalewa Rzym i pleśnieje w spichrzach, ale dla biednych nie ma chleba. W Rzymie jest nadmiar rąk do pracy, więc dłonie albo wyciągają się po jałmużnę, albo zaciskają w pięść – nikt ich nie potrzebuje. Szwankuje system dystrybucji dóbr; ustrój gospodarczy Rzymu nie potrafi dostosować się do zewnętrznego świata i stopniowo ulega petryfikacji. Już przynajmniej od stulecia dla wszystkich myślących ludzi staje się oczywiste, że konieczne są zasadnicze zmiany. Ale gdy tylko tego rodzaju myśli znajdują gdzieś wyraz, natychmiast się je uśmierca – wraz z tymi, którzy odważyli się je głosić.

– Żyjemy – stwierdza Fulwiusz, gładząc z powagą swą pokrytą guzami łysinę – w stuleciu niedonoszonych rewolucji...

Pisarz Aproniusz nie chce dłużej słuchać – tego już doprawdy za wiele. Takie gadanie podkopuje w gruncie rzeczy fundamenty cywilizacji. Dygoce ze złości, ale i odczuwa skrywane zadowolenie – tak jak się spodziewał, irytacja dopomogła jednak jego kiszkom. Kwintus Aproniusz przekracza próg Sali Delfinów. Tu zaczął się jego dzisiejsze rozkosze.

Pomieszczenie jest jasno oświetlone, sympatyczne, a jednocześnie emanuje surową prostotą. Pod marmurowymi ścianami stoją rzędem wysokie, podobne do tronów krzesła, również z marmuru i o funkcjonalnej budowie. Po bokach mają rzeźbione przez artystę oparcia na ręce w kształcie delfinów. Tutaj, w bezpretensjonalnej atmosferze, można rozważnie podyskutować z sąsiadami. Podczas rozmowy myśli szybują swobodnie, a wypróżnienie przynosi ulgę wnętrzościom. Ale taka jest właśnie główna funkcja Sali Delfinów – ma harmonijnie połączyć obie czynności.

Irytacja pisarza Kwintusa Aproniusza ustępuje miejsca podniosłemu nastrojowi, a jego radość rośnie jeszcze bardziej, gdy dostrzega znaną, zażywną postać spoczywającą na tronie

między dwoma delfinami. To Lentulus Batiatus, właściciel szkoły gladiatorów, którego Aproniusz chciałby poprosić o bezpłatną kartę wstępu na igrzyska. Marmurowe siedzisko obok niego zostało właśnie zwolnione; Aproniusz uroczyście unosząc powłóczystą szatę, rozsiada się z westchnieniem ulgi i szczęścia, a jego dłonie delikatnie pieścżą łby marmurowych delfinów.

Ten rewolucjonista rzeczywiście skutecznie go zirytował. W nabożnym skupieniu Aproniusz oddaje delfinom to, co im się należy, kątem oka zaś obserwuje swego sąsiada. Dyrektor gniewnie marszczy brwi i wszystko wskazuje na to, że mimo wszelkich wysiłków nie może osiągnąć pożądaných rezultatów. Aproniusz zbiera się na odwagę. Wzdychając ze zrozumieniem stwierdza, że w życiu najważniejszą sprawą jest dobre trawienie; rozmyślając latami doszedł do teorii, że buntownicze nastroje i rewolucyjny fanatyzm w większości wypadków są następstwem nieregularnych wypróżnień, zaś precyzyjniej ujmując tę samą sprawę – rezultatem chronicznego zaparcia. Prawdę powiedziawszy, ciągnie dalej, zastanawia się nawet, czy nie ogłosić na ten temat, gdy tylko czas mu na to pozwoli, filozoficznej rozprawy.

Przedsiębiorca kieruje na niego obojętne spojrzenie, kiwa głową i posępnie przyznaje, że to całkiem możliwe.

– Ależ więcej niż możliwe – ożywia się Aproniusz. – To po prostu dowiedziony fakt. Gotów jest wyjaśnić przy pomocy tej teorii wiele historycznych zdarzeń, których znaczenie tak często wyolbrzymiają wywrotowi filozofowie.

Jego zapał jednak wcale nie udziela się sąsiadowi. Dyrektor burczy tylko, że on sam zawsze przyzwoicie żywił swoich ludzi i zatrudniał najlepszych lekarzy, by troszczyli się o ich kondycję i odpowiednią dietę.

A mimo to owe dranie odwdzięczają mu się za wszystkie tak kosztowne starania najczarniejszą niewdzięcznością.

Aproniusz z troską pyta o interesy Lentulusa – czyżby były jakieś problemy? Jego nadzieje na bezpłatną kartę wstępu coraz bardziej maleją.

Są, a jakże – wzdycha przedsiębiorca – nie będzie robić z tego tajemnicy. Tej nocy zbiegło siedemdziesięciu jego najlepszych gladiatorów i mimo wszelkich wysiłków straży nie udało się ich wytropić.

Wyrzuciwszy to wreszcie z siebie, korpulentny mężczyzna o nieposzlakowanej reputacji nie ukrywa już rozgoryczenia i zaczyna otwarcie narzekać na ciężkie czasy i warunki niesprzyjające przedsiębiorczości.

Pisarz Aproniusz wychyla się do przodu i wytwornie przytrzymując toę koniuszkami palców, słucha z uwagą i szacunkiem. Wie, że Lentulus cieszy się powszechnym poważaniem nie tylko z powodu swych zyskownych przedsięwzięć; wcześniej osiągnął w Rzymie znaczącą pozycję polityczną. Przeniósł się do Kapui dopiero dwa lata temu i założył swą szkołę gladiatorów, która już dzisiaj cieszy się znakomitą opinią. Sieć jego kontaktów rozciąga się na całą Italię i prowincje; agenci Lentulusa skupują surowy materiał ludzki na delijskim targu niewolników, a po gruntownym rocznym szkoleniu sprzedają ich już jako pełnowartościowych gladiatorów do Hiszpanii, na Sycylię i na dwory azjatyckie. Lentulus zawdzięcza swe sukcesy głównie cechującej go rzetelności. W jego szkole zatrudnia się wyłącznie renomowanych nauczycieli, a dieta i przebieg zajęć wychowanków są nadzorowane przez fachowych medyków. Przede wszystkim jednak udało mu się wbić do głowy swoim ludziom żelazną zasadę, że pokonany nigdy nie powinien prosić o darowanie życia. Ginący gladiator musi się dobrze prezentować – w żadnym razie nie wolno mu przyprowadzać publiczności o niesmak i zażenowanie.

Życ potrafi byle kto, ale umieranie jest sztuką, której trzeba się uczyć – tłumaczy stale swym gladiatorom. I właśnie dzięki tej zalecie, subtelnej dyscyplinie umierania, gladiatorzy Lentulusa przynoszą przeciętnie o połowę większy zysk niż wychowankowie jakiegokolwiek innej szkoły.

A jednak ciężkie czasy nie oszczędziły i Lentulusa. Pisarz ze współczuciem słucha skarg tego wielkiego człowieka; pochlebia mu fakt, że zechciał mu się zwierzyć.

– Otóż, mój przyjacielu – wyjaśnia Lentulus – kryzys, który obecnie dotknął praktycznie wszystkich organizatorów igrzysk, został spowodowany wyłącznie przez publiczność. Ludzie nie cenią już kunsztu starannie wyszkolonych gladiatorów i nie chcą nawet słuchać o kłopotach i kosztach związanych z ich kształceniem. Nie liczy się jakość, lecz wyłącznie ilość. Publiczność chce, by każde igrzyska kończyły się obrzydliwą zbiorową rzezią ludzi rozszarpywanych przez bestie albo czymś podobnym.

Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to ma skutki dla przedsiębiorcy? Ujmując rzecz najprościej: w przypadku klasycznej formy pojedynku *adgladium*, a więc człowiek przeciw człowiekowi, ginie jeden z dwóch. Mówiąc inaczej, strata materiału wynosi pięćdziesiąt procent. Uwzględniając nawet pewien margines bezpieczeństwa, a więc dodatkowe dziesięć procent na rany kończące się śmiercią, zużycie materiału w przeliczeniu na jedno widowisko sięga sześćdziesięciu procent. I tu mamy punkt wyjścia do kalkulacji kosztów spektaklu.

– Ale oto głos zabiera publiczność – ciągnie Lentulus – i domaga się igrzysk ze zwierzętami.

Chce efektownych widowisk i w ogóle, rzecz jasna, nie zastanawia się nad tym, że udział moich gladiatorów w igrzyskach na *hosstinrium* przynosi, zużycie materiału do kilkudziesięciu, może nawet dziewięćdziesięciu procent. Parę dni temu nauczyciel mojego syna, wyjątkowo zdolny matematyk, wyliczył, że nawet najlepszy gladiator ma tylko jedną szansę na dwadzieścia pięć przeżycia trzech lat czynnej służby. Wynika stąd logiczny wniosek, że z grubsza licząc organizator igrzysk musi odzyskać wydatki ponoszone na szkolenie każdego gladiatora w ciągu półtora, najwyżej dwu widowisk.

– Wam, publiczności, ludziom spoza branży, wydaje się oczywiście, że arena to istna kopalnia złota – Lentulus uśmiecha się gorzko. – Zdziwisz się, Aproniuszu, kiedy ci powiem, że ten typ przedsiębiorstwa nawet przy bardzo odpowiedzialnym zarządzaniu może dać maksimum dziesięć procent zysku rocznie. Szczerze mówiąc, nieraz naprawdę zastanawiałem się, czy nie należałoby zainwestować pieniędzy w ziemię albo samemu zacząć gospodarować na roli. W końcu nawet najmarniejsze grunty rolne przynoszą każdego roku sześć procent zysku.

Aproniusz nie ma już złudzeń – jego nadzieje na bezpłatną kartę wstępu zostały przekreślone, ale wypadałoby na zakończenie podnieść na duchu rozmówcę.

– No cóż, pewnie w końcu jakoś da się załatać stratę tych pięćdziesięciu ludzi – mówi z krzepiącym optymizmem.

– Siedemdziesięciu – dyrektor poprawia go z irytacją. – I to siedemdziesięciu najlepszych. Jednym z nich jest Kriksos, mój galijski trener gladiatorów. Na pewno widziałeś go w akcji: masywny mężczyzna o ponurym wyglądzie, z głową podobną do fokii; rusza się powoli, ale jest nadzwyczaj niebezpieczny. Taka ciężka strata! I Kastus, drobny, zwinny facet, podstępny i cięty jak szakal. I jeszcze tylu świetnych gladiatorów:

Ursus, prawdziwy olbrzym; spokojny i sympatyczny Spartakus, który zawsze nosi skórę zwierzęcą narzuconą na ramiona; Ojnomaos, dobrze zapowiadający się debiutant i wielu, wielu innych. Pierwszorzędny materiał, naprawdę, a do tego to tacy mili ludzie.

W głosie Lentulusa wyraźnie słychać nutę żalu, gdy podaje listę strat.

– Będę teraz musiał zmniejszyć nabór o pięćdziesiąt procent. A rozdałem już kilkaset biletów klakierom i takim, co chcieliby oglądać igrzyska za darmo.

Aproniusz przełyka ślinę i pośpiesznie przenosi rozmowę na bezpieczniejszy, filozoficzny poziom. Ciekawe, mówi, co myślą sobie ci gladiatorzy, którzy żyją od występu do występu, stale w cieniu śmierci. On sam, Kwintus Aproniusz, w ogóle nie jest w stanie wczuć się w ich stan

ducha.

Lentulus śmieje się. Przyzwyczał się już do tego pytania, które stale zadają mu laicy.

– Do wszystkiego można przywyknąć – odpowiada. – Ktoś, kto jest urzędnikiem, nie potrafi sobie wyobrazić, jak szybko ludzie oswajają się nawet z najskrajniejszymi warunkami. Tak samo jest na wojnie; a zresztą przeznaczenie codziennie może osiągnąć każdego z nas. Poza tym ci ludzie, którym dałem pewny dach nad głową i solidne, zdrowe wyżywienie, są w lepszej sytuacji niż ja, który dźwigam całą odpowiedzialność na własnych barkach, wszystkie codzienne troski, kłopoty z przedsiębiorstwem i tak dalej. Wierz mi, Aproniuszu, że czasem po prostu zazdroszczę moim uczniom.

Aproniusz kiwając głową, przyznaje, że życie uczniów ma też swoje dobre strony.

– No cóż, ludzi nie da się w pełni zadowolić; taką chyba mają naturę – przedsiębiorca kontynuuje swe pesymistyczne rozważania. Zwłaszcza kiedy zbliża się występ, dodaje, wyczuwa się wśród zawodników pewien niepokój i słyszy się dużo głupiej gadaniny. Tym razem rozeszła się pogłoska, że publiczność wymogła na dyrektorze, by po walkach *ad gladium* zwycięzcy uczestniczyli w igrzyskach *ad bestiarium*. Oczywiście ogromnie to wszystkich wzburzyło; doszło nawet do bardzo kłopotliwych sytuacji, aż wreszcie tej nocy, w niewyjaśnionych jeszcze okolicznościach nastąpił wspomniany incydent.

To fakt, że właśnie on, Lentulus Batiatus, najbardziej na tym wszystkim ucierpiał, a jednak podziela oburzenie swoich ludzi, przynajmniej do pewnego stopnia. Jego też wyprowadza z równowagi zachowanie publiczności; irytuje go ono nawet bardziej od sytuacji przedsiębiorstwa.

Niedawno pojawił się na przykład przesąd, że świeża krew gladiatorów może być lekiem na pewne kobiece przypadłości, ale wolałyby oszczędzić sobie i swemu czcigodnemu słuchaczowi opisów scen, jakie w związku z tym miały ostatnio miejsce na arenie. Tak nim to wszystko wstrząsnęło, że dostaje mdłości na sam dźwięk słowa „krew”, zaś jego lekarz doradza mu szybko wyjechać na hydropatyczną kurację do gorących źródeł w Bajach i Pompejach.

Dyrektor wzdycha i kończy swą wypowiedź gestem rezygnacji, który równie dobrze może wyrażać niewiarę w sens zalecanej mu kuracji, jak generalna ocena wspólnego świata.

Aproniusz nie ma złudzeń – od tego człowieka nie da się dzisiaj niczego uzyskać. Rozczarowany podnosi się z marmurowego siedziska, układa fałdy swej togi i żegna się. Podczas obiadu w tawernie Pod Bliźniętami Wilczycy milcząco oddaje się ponurym rozmyśleniom.

Zapomina nawet sprawdzić, czy starannie umyła jego czarkę do napojów.

Kiedy rusza do domu, wąskie ulice oskijskiej dzielnicy pogrążone są już w mroku. Myśli o tym, że nie zdobył bezpłatnego biletu, ani na moment nie opuszcza jego udręczonego mózgu. Rozgoryczony i smutny wspina się po stromych podwórzowych schodach do swego mieszkania.

I co mu dało te siedemnaście lat służby? Został odtrącony od uczty życia, nie zostawiono mu nawet okruchów.

Mechanicznymi ruchami zsuwa szatę ze swego wychudłego ciała i po starannym złożeniu kładzie toż na rozchwierutany trójnóg. Gasi światło. Z dołu, z ulicy dochodzi go rytmiczny odgłos kroków: to miejscy niewolnicy budowlani wracają z pracy. Oczywiście wyobraźni widzi ich zbrodnicze, tępe twarze; to właśnie tacy ludzie zepchnęli go z drogi i poszli dalej bez słowa przeprosin.

Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, wpatruje się ze smutkiem w ciemność swej sypialni. Czy warto było poświęcać całe życie na wytrwałą pracę, cierpieć niedostatek i upokorzenia? Czy tym światem rządzą jeszcze bogowie?

Od dziecięcych lat Aproniusz nigdy jeszcze nie był tak bliski łez. Leży, daremnie czekając na sen, a równocześnie boi się. Wie, że to, co mu się przyśni, będzie smutne i ohydne.

Księga pierwsza

BUNT

1. Gospoda przy Via Appia

Zwężająca się ku linii horyzontu Via Appia biegła wprost na południe niekończącym się ciągiem kamieni milowych i drzew. Jej nawierzchnię tworzyły ogromne, prostokątne bloki kamienne, a po obu stronach co jakiś czas pojawiał się żywopłot z kaktusów. Kamienie i rośliny pokrywała teraz warstwa drobnego jak mąka pyłu. Było cicho i upalnie.

Na drugiej mili na południe od Kapui stała gospoda Fanniusza. Mimo najbardziej ruchliwego sezonu w roku gospoda świeciła pustką. Czasy były niedobre i niespokojne; podróżowali tylko ci, którzy naprawdę musieli. Po okolicy wałęsały się bandy zbrodniczego motłochu, komunikacja i handel przestały być bezpieczne. Od południa nie przeszedł drogą żaden potencjalny klient, pomijając oczywiście dwie grupy arystokratów jadących do Bajów. Dla nich gospoda Fanniusza po prostu nie istniała, pewnie nawet jej nie zauważyli.

Fanniusz stał za stołem, słuchając księgowego, który odczytywał mu rachunki. Salę wypełniał drażniący dym; pachniało tymiankiem i cebulą.

Dwie wymalowane służące rzucały kości, która z nich obsłuży następnego klienta. Służący, masywni mężczyźni o byczych karkach, zdolni poradzić sobie w każdej sytuacji, krzatali się w stajni albo oddawali się południowej drzemce na cienistym podwórku, nie bacząc na łązące po nich roje much.

Od strony wejścia rozległ się nagle gwar wielu głosów. Kiedy Fanniusz wstał, żeby sprawdzić, co się dzieje, brama była już szeroko otwarta, a na dziedziniec wlewał się hałaśliwy tłum. W jednej chwili zrobiło się tłoczno; weszło z pięćdziesięciu albo i sześćdziesięciu mężczyzn. Większość sprawiała wrażenie onieśmiałonych, co starali się maskować przesadną hałaśliwością i śmiechem. Mieli ze sobą jakieś dziwne narzędzia podobne do broni używanej na cyrkowych arenach, a jeden z nich zamiast przyzwoitej odzieży nosił na ramionach kosmatą skórę. Stali zakłopotani, łypiąc na usługujące dziewczyny. Któryś nagle zażądał, aby wystawić im stoły na dziedziniec przed gospodą.

Fanniusz raz jeszcze popatrzył na tę hałastrę i spokojnie, bez pośpiechu polecił służbie wynosić stołki i ławy. Rozstawione na podwórzu tworzyły ogromną podkowę. Służące poślinionymi palcami przyglądały brwi, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i zaczęły podawać. Goście rozsiedli się w wyczekującym milczeniu; było wśród nich parę kobiet. Na

honorowym miejscu, pośrodku podkowy, zasiadł tłusty mężczyzna z długimi, obwisłymi wąsami i oczami ryby. Nosił srebrny naszyjnik i przypominał smutną fokę. Dziewczeta krzątały się, rozstawiając dzbanki i kubki. Gruby mężczyzna zgarnął wszystko ramieniem na ziemię.

– Zabierajcie się z tym – powiedział. – Przynieście baryłkę.

Gliniane dzbanki rozprysły się na kawałki; siedzący przy stołach ryknęli śmiechem. Jedna z kobiet, smukła brunetka, zachwycona waliła w stół pięściami. Były drobne jak u dziecka.

Fanniusz z godnością podszedł do grubego mężczyzny; za jego plecami stanęła grupka zwalistych służących. Kiedy położył rękę na ramieniu gościa, zapadła kompletna cisza. Fanniusz miał tylko jedno oko; był krępy i szeroki w barach. W milczeniu uważnie obejrzał przybyszów.

– Z jakiego cyrku urwaliście się na urlop? – zapytał.

Grubas strącił rękę Fanniusza z ramienia.

– Nie bądź taki ciekawy, bo pożałujesz – burknął. – I dawaj tę baryłkę.

Fanniusz stał jeszcze przez chwilę i milcząc przyglądał się gościom.

Patrzyli na niego bez słowa. Wreszcie mrugnął swym jedynym okiem i służący postawili baryłkę na stole. Wyciągnięto szpunt, po czym gospodarz oddalił się. Dziewczyny wróciły, żeby napełniać kubki, ale goście stłoczyli się przy beczce i nalewali sobie sami. Potem zażądali jedzenia.

Wniesiono półmiski i talerze; towarzystwo jadło i popijało. Robiło się coraz weselej. Krzepcy służący stali rządkiem, opierając się plecami o ścianę i obserwując biesiadników.

Kiedy zaczęło się ściemniać, grubas zawołał właściciela gospody.

Pojawił się Fanniusz. Niektórzy goście spali już z twarzami na stole, inni trzymali na kolanach służące, też niesłuchanie rozbawione.

Gruby mężczyzna, nadal tak samo posepny, zażądał, by Fanniusz przygotował nocleg dla wszystkich. Część gości protestowała; nie chcieli się nigdzie zatrzymywać. Gruby odpowiedział, że i tak muszą gdzieś odpocząć; nie widzi powodu, dlaczego nie mieliby przespać się w gospodzie.

Fanniusz milczał. Smukła, ciemnowłosa dziewczyna przyznała grubemu rację i zaproponowała, by postawić straż przy wszystkich wejściach.

Grubas uznał, że dość już tego gadania i polecił właścicielowi przygotować łóżka i pościel. Fanniusz odparł, że nie ma ani łóżek, ani pościeli.

Zażądał, by goście zapłacili i poszli sobie dalej.

Zamilkli. Po chwili człowiek z narzuconą na grzbiet skórą powiedział, że nie ma powodów do obaw – stać ich na zapłacenie rachunku.

Miał dobroduszną, szeroką i piegowatą twarz. Grube kości i sposób, w jaki siedział, opierając masywne łokcie na kolanach, czyniły go podobnym do drwala z gór. Fanniusz spojrzął mu w oczy, człowiek w skórze wytrzymał jego spojrzenie; gospodarz po chwili zmieszał się i odwrócił wzrok.

Inny z gości, niski i drobny, zachichotał nieprzyjemnie i cisnął Fanniuszowi sakiewkę. Ten schylił się, podniósł ją i poprosił, żeby już sobie poszli.

Przybysze milczeli. Fanniusz odczekał trochę, zmrużył oko, wtedy jego ludzie podeszli bliżej. Grubas wstał, oberżysta cofnął się o pół kroku. Stali teraz naprzeciw siebie, stykając się niemal brzuchami. Fanniusz patrząc wściekle na grubasa, warknął, że nie tacy bandyci próbowali mu już podskakiwać. Zaatakował błyskawicznie i sprytnie, ale grubas walnął go kolaniem w brzuch i właściciel gospody zatoczył się pod ścianę.

Leżał pod murem zwinięty w kłębek i skowyczał z bólu.

Na znak jednego ze służących wszyscy razem rzucili się na grubasa.

Śpiący obudzili się, dziewczęta podniosły wrzask, trójnogi poszły w drzazgi, a łoskot tłuczonej zastawy łączył się z trzaskiem łamanych kości.

Dziwna broń gości okazała się jednak skuteczniejsza od pałek służby i starcie nie trwało długo.

Podwórze wyglądało jak pobojuwisko. Pokonanych zapędzono pod stodołę, gdzie kobiety opatrywały ich rany. Dwóm nie była już potrzebna żadna pomoc, więc odciągnięto ich na bok. Goście szwendali się wokół, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, żartowali i szydzili z miejscowych. Służący milczeli. Niektórzy spoglądali na Fanniusza, skulonego pod ścianą.

Niski i chudy typek podszedł zaczepnie i pochylił się nad nim. Fanniusz odwrócił głowę i splunął, a wtedy mały precyzyjnie czubkiem stopy kopnął go w krocze. Fanniusz zaczął wymiotować.

– Najpierw wybili ci oko, teraz znów oberwałeś – powiedział mały facet. – Tak to bywa z ludźmi, którzy sami szukają awantury. A już całkiem marnie, gdy trafiana Kriksosa. – Roześmiał się i poklepał grubasa po brzuchu. Tłusty mężczyzna nie zareagował. Nadal wyglądał jak smutna foka, z tymi swoimi obwisłymi wąsami i rybimi oczyma.

Barczyści służący stłoczeni jak stado baranów stali w milczeniu przed stodołą, pod strażą

kilku uzbrojonych przybyszów. Mężczyzna ze skórą na ramionach przeszedł przez podwórze i stanął przed nimi.

– I co teraz z wami zrobić? – odezwał się do wpatrzonej w niego grupki. Miał spokojne, zatroskane spojrzenie, które wzbudziło ich sympatię.

– Kim właściwie jesteście? – zapytał ktoś ze służby.

– Zgadnij – odkrzyknął ten drobny. – Może senatorami?

– Jeśli chcecie, możecie przenocować, ale rano zmywajcie się stąd – poradził jeden z osiłków.

– Uprzejme dzięki! – roześmiał się mężczyzna w skórze. Wszyscy parsknęli śmiechem, zawtórowało im nawet paru służących.

– Na noc zamkniemy was w oborze z krowami – powiedział ten w skórze.

– Właściwie należałoby was ubić – warknął Kriksos. – Jeśli który spróbuje wyjść, zarzniemy go natychmiast.

Służących zapędzono do obory i zasunięto żelazne sztaby. Dwóch przybyszów stanęło na straży przed drzwiami. Dwaj inni zajęli miejsca przed bramą wjazdową.

Dziewczyny poszły szykować łóżka. Wiedziały, że czeka je ciężka noc.

Drogą maszerowała setka najemnych żołnierzy z Kampanii. Wysłano ich po południu na poszukiwanie zbiegów i mijała już czwarta godzina, jak bez planu i sensu łazili po wioskach i bocznych drogach. Rozsyłali patrole, które wracały po jakimś czasie, donosząc, że tu i ówdzie chłopci, a także pracujący w polu robotnicy widzieli uciekinierów. Ślady jednak urywały się i nie dało się pójść tropem zbiegłej bandy. Wszyscy ich widzieli, ale nikt nie umiał powiedzieć, dokąd poszli; może też nikt nie chciał ich wydać.

Oddziałowi towarzyszyło paru niewolników Lentulusa, którzy mieli pomóc w identyfikacji zbiegów. Byli bardzo przejęci, bo czuli się odpowiedzialni przed swoim panem za sukces wyprawy, ale sami żołnierze myśleli o tym zadaniu z najwyższą niechęcią. Kazano im złapać poszukiwanych, jeśli to możliwe – żywych. Doprawdy, miło się marzy panom z Rady Miasta, gdy siedzą w termach. Za taką akcją na pewno nikomu nie dadzą medali ani wieńców, natomiast potyczka z gladiatorami zapowiada się raczej nieciekawie. Wszyscy wiedzą przecież, że to pół zwierzęta, tresowane bestie, które w dodatku nie mają nic do stracenia. Poza tym ta ich dziwna broń: jakieś sieci, sznury, trójzęby, oszczepy... Nie ma to nic wspólnego z regułami porządnej

bitwy.

Zapadł zmierzch i oddział zatrzymał się w obozisku na szóstej mili, tuż za rozwidleniem dróg w pobliżu Calatii. Wszystko wskazywało na to, że akcja poszukiwawcza zakończy się niepowodzeniem, co zresztą żołnierzy wcale nie martwiło. Większość z nich miała już swoje lata – byli to przeważnie zbiedniali rzemieślnicy i kupcy, nikomu niepotrzebni robotnicy i zrujnowani rolnicy. Zaciągnęli się do oddziałów pomocniczych, bo obiecano im wikt, stały żywność i emeryturę na starość. Z wyglądu nie przypominali rzymskich legionistów – raczej wiejską straż.

Tymczasem jedli i pili.

Dwie godziny po zachodzie słońca zaczęli się zbierać do powrotu.

Księżyc był w nowiu i nie rozjaśniał ciemności. W połowie drogi dogonił ich jeden z konnych zwiadowców, przywożąc ze sobą ledwie dyszącego, ślaniającego się na nogach mężczyznę. Był sponiewierany i potłuczony, przedstawił się jako Fanniusz i powiedział, że uciekinierzy wdarli się do jego gospody, zabili służących i zdemolowali wnętrze. Teraz śpią z pracującymi u niego dziewczynami; okrążywszy budynek można bez trudu wygarnąć ich wszystkich jak szczury z pułapki. Na koniec zapytał, czy może liczyć na nagrodę.

Żołnierze najchętniej by go zabili. Byli już straszliwie zmęczeni i ociężali od wina. Ich dowódca, człowiek ambitny, wydał jednak rozkaz wymarszu. Mniej więcej o milę od rozwidlenia dróg znaleźli jakieś duże gospodarstwo. Wyrwana ze snu służba zaopatrzyła centurię w pochodnie i po dwudziestu minutach oddział dotarł do gospody Fanniusza.

W mętym świetle, zza smug dymu budynek sprawiał wrażenie martwego i opuszczonego. Setnik kazał otoczyć dom ze wszystkich stron i rękojeścią miecza zastukał w bramę. Wyglądała na solidną, z twardego drzewa. Nikt nie odpowiadał.

– Może się wynieśli – powiedział któryś z żołnierzy. Nie pozostało nic innego, jak włamać się do środka.

Posłano dziesięciu ludzi do gospodarstwa po topory, a czas wciąż uciekał. Budynek, przed którym stali, miał tylko dwa małe okna, jedno od frontu i jedno od strony pól, obydwie na piętrze. Pozostałe okna wychodziły na dziedzińce wewnętrzne. Żaden inny sposób poza wyrąbaniem przejścia nie wchodził w grę. Trzeba było czekać.

Żołnierze usiedli na drodze, niektórzy zasnęli. Od czasu do czasu ktoś podchodził do bramy, łomotał i wykrzykiwał obraźliwe szyderstwa, ale wewnątrz wciąż panowała cisza. Wyglądało na to, że dziwni goście naprawdę odeszli. Wszystko to coraz bardziej pachniało absurdem.

Wreszcie po godzinie przyniesiono topory i żołnierze przystąpili do roboty. Brama rzeczywiście była solidna. Kiedy w końcu ustąpiła, w środku nadal nic się nie poruszyło. Fanniusz, któremu rozkazano, by szedł przodem, wołał schować się za dowódcą. Reszta tłoczyła się za nimi z tyłu. Weszli na kwadratowy dziedziniec; w świetle pochodni miejsce sprawiało dziwne wrażenie. We wszystkich oknach na piętrze stali gladiatorzy i przyglądali się im z góry.

Dowódca – nazywał się Mammiusz i był młodzieńcem z dobrej rodziny – daremnie zdzierał sobie gardło.

– Dość tego, opamiętajcie się! – wrzeszczał. Zwracał się kolejno w różne strony dziedzińca i wołał do ludzi stojących w oknach, nie bardzo wiedząc, do kogo ma adresować swój apel. – Zejdźcie na dół, opór nie ma sensu! – Jedyłą odpowiedzią była kompletna cisza.

– Prowadź na schody – zwrócił się do Fanniusza. Oberżysta wskazał na kuchenną część zabudowań. Dowódca podszedł do klatki schodowej.

– Lepiej wracaj do domu – ostrzegł go głos z góry.

Mammiusz nie zareagował.

– Ostatni raz pytam: zejście dobrowolnie? – zwrócił się do niewidzialnego głosu. Odpowiedział mu śmiech.

– O, stary Nikos przyszedł – zawołał ktoś z piętra. – Na pewno przynosisz nam serdeczne pozdrowienia od pana, co?

Nikos, stary niewolnik Lentulusa, popatrzył do góry.

– Nie bądźcie głupi i wracajcie do domu. Pan się bardzo gniewa.

Ponowny wybuch śmiechu.

Żołnierze stali zbici w grupę i patrzyli w okna.

– Gdzie jest Spartakus? – zapytał Nikos, rozglądając się dokoła. Człowiek w skórze wychylił się z okna po przeciwnej stronie dziedzińca i uśmiechnął się przyjaźnie:

– Ave, Nikos!

– Nie możesz przemówić im do rozumu? Zawsze byłeś rozsądniejszy od reszty – Mężczyzna w skórze uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

Pochodnie dymiły, ale nie dawały światła.

– Dość tego – odezwał się dowódca. – Schodzicie czy nie? – Znow zbliżył się do schodów.

– Stój i nie ruszaj się, głąbie! – warknął głos z okna nad schodami.

Dowódca zrobił jednak parę kroków i wtedy spłynęło na niego z góry coś bezkształtnego.

Leżał teraz na ziemi, klął i próbował uwolnić spętane siecią ręce i nogi. Mężczyźni patrzący z okien ryczeli ze śmiechu.

– Wciągnijcie go na górę! – czyjś rozkaz przebił się przez gwar głosów. Setnik klął tak wściekle, że głos mu się łamał i z gardła wydobywał się tylko ochrypy pisk. Kilku jego ludzi z ociąganiem podeszło pod schody, żeby mu pomóc; pierwszy z nich krzyknął i natychmiast runął na ziemię; reszta przystanęła, i w tym momencie rozpętało się istne piekło.

Z okien poleciały noże, kamienie, oszczepy, a nawet sprzęty.

Żołnierze rozbiegli się, osłaniając głowy tarczami i porzucając pochodnie; tarcze na nic jednak się nie zdały, bo groźne pociski sypały się ze wszystkich stron. Niektórzy ciskali w okna włóczniami i pikami, które natychmiast leciały na nich z powrotem. Pochodnie kopciły i dogasały, a w zupełnej ciemności wszystko wydawało się jeszcze straszniejsze.

Najbardziej przerażające były dzikie ryki dochodzące z okien. Kto mógł, rzucił się do bramy, ale wejście znów zostało zamknięte, zaś ci, którzy odważyli się podejść bliżej, ginęli zakłuci nożami albo zatluczeni pałkami.

Gładiatorzy zbiegli po schodach na podwórze. Natarli na oddział i zepchnęli go w narożnik. Nad ich głowami w oknach zapalono nowe pochodnie, żołnierze stali się więc teraz doskonale widocznym celem. Nie byli już w stanie się bronić. Ten sam głos, który zawołał przedtem: „Wciągnijcie go na górę”, rozkazał:

– Rzućcie broń! – A potem zapadła cisza.

Kilku pokonanych odrzuciło miecze i usiadło na ziemi, reszta wciąż stała. Któryś zawołał, by niczego się nie pozbywać. Kriksos wyszedł na środek podwórka i wezwał go, by wystąpił. Żołnierz nie ruszył się. Kriksos ponownie zażądał, by wyszedł i bił się; jeden na jednego – to na pewno rozsądniejsze od walki wszystkich przeciw wszystkim, w której porozbijają sobie głowy. Jeńcom pomysł się spodobał; rozstąpili się, robiąc przejście mężczyźnie, który radził im niczego nie wyrzucać. Wyzwany nie drgnął, więc cała gromada odłożyła broń i usiadła w swoim kącie podwórka.

Gładiatorzy zebrali miecze i zanieśli je na górę; żartowali i byli w bardzo pogodnym nastroju. Zabitych i rannych przeniesiono do obory; zginął zarówno Fanniusz, jak setnik stratowany na śmierć w sieci. Kastus, niewysoki mężczyzna, który chodził kołyszając biodrami, powiedział, że obora będzie ich *spolarium* – tak nazywało się pomieszczenie, do którego ściągano trupy z areny. Wybuchnęli śmiechem. Wypuścili służących z obory i zagnali do

narożnika, w którym stłoczono żołnierzy. Idiotycznie mrużyli oczy, siedząc w oborze oczywiście słyszeli, co się dzieje, i wcale nie mieli ochoty wychodzić na zewnątrz.

Znów pojawiły się usługujące dziewczyny, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Gladiatorzy kręcili się bez celu tu i tam, niektórzy poszli na górę, żeby dospać zarwaną noc. W kącie, oparty o mur, siedział między żołnierzami stary Nikos. Człowiek w skórze podszedł do niego z przeciwnego krańca podwórka.

– Źle skończycie – powiedział Nikos.

– Zastanów się, Nikos – odparł spokojnie. – A czy śmierć na arenie to dobry koniec?

Rozmowy słuchali wszyscy obecni na podwórzu.

– To, co robicie, jest sprzeczne z prawem – stwierdził Nikos. – Do czego to doprowadzi?

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoje prawo – zaripostował Kastus, niewysoki mężczyzna o kołyszącym się chodzie. Nikt się jednak nie roześmiał.

– Co zrobi nam pan, jeśli wrócimy bez was? – nie poddawał się Nikos.

– A skąd wiesz, czy w ogóle wrócicie? – otrzeźwił go Kastus. Zapanowała cisza.

– Przecież możesz pójść z nami – powiedział człowiek w skórze.

– Nie po to służę uczciwie od czterdziestu lat – oburzył się Nikos – żeby skończyć jak zbir i rzezimieszek.

Gladiatorzy otaczali ich coraz ciasniejszym kręgiem.

– A z nimi co zrobicie? – Nikos wskazał podbródkiem na żołnierzy; część z nich ułożyła się na ziemi i odpoczywała. Byli to przeważnie starsi ludzie. Żaden z gladiatorów się nie odezwał.

Stali w grupkach po trzech, czterech i gapili się w kąt podwórka, gdzie rozbrojeni najemnicy drzemali albo rozmawiali, rozsiadłszy się na bruku, którym wyłożono dziedziniec.

– ...A kiedy wrócimy – mówił siwiejący żołnierz – wszystkich nas zwolnią, albo i gorzej. Może ukrzyżują.

– No i dobrze, należy się wam to – wtrącił ktoś.

– Niby dlaczego?

Zebrała się wokół nich grupka ciekawych.

– Jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle wrócicie – odezwał się Kastus.

– Chcecie nas zabić? Wszystkich? – zapytał inny żołnierz.

– Ciebie pierwszego, ty zawszony sukinsynu – warknął mały gladiator.

– Zamknij się – powiedział mężczyzna w skórze.

Kastus zamilkł. Jak inni Galowie, nosił cienki srebrny naszyjnik.

Gładiatorzy stali w gęstej grupie przy narożniku, do którego zapędzono żołnierzy. W ciszy słychać było tylko szuranie ich nóg.

– Byłoby najrozsądniej, gdybyście wrócili z nami – odezwał się znów Nikos.

– Nikos, pomyśl – w głosie mężczyzny w skórze czuło się życzliwość. – Najpierw pomyśl, a potem mów.

– Postaw się na naszym miejscu – zaczął Ojnomaos, jeden z młodszych gladiatorów, szczupły i nieśmiały chłopak. – Spróbuj wyobrazić sobie, że ktoś daje ci jedną włócznię, a mnie drugą taką samą, żebyśmy się wzajemnie zadźgali dla rozrywki innych ludzi.

– Nigdy nie myślałem w ten sposób o tym, co robicie – przyznał Nikos.

– Ale tak właśnie jest – stwierdził mężczyzna w skórze. – Zastanów się nad tym.

Nikos zastanowił się i nic nie odpowiedział.

– Dość tej gadaniny – oznajmił Kriksos, który z ponurą miną stał oparty o ścianę.

– To co teraz zrobicie? – chciał wiedzieć Nikos.

Milczeli.

– Damy się wybrać do Senatu – zażartował w końcu Kastus, ale nikt się nie roześmiał.

– W Lukanii są wielkie lasy i wzgórza – odezwał się Ojnomaos, spoglądając pytająco i niepewnie na mężczyznę w skórze.

– Świat jest naprawdę duży. Chodź z nami, Nikos.

– Lukania? – powtórzył jeden z żołnierzy, który kiedyś był pasterzem. Miał wydatne kości policzkowe i żółte, końskie zęby.

– Gdyby się tam zaszyć, mogliby nas szukać do śmierci... Tam są stada dzikich koni – dodał drugi żołnierz. – Wszyscy pasterze w Lukanii żyją z rozboju. Panowie nie płacą im za pracę, więc mają tylko to, co sami zdobędą.

– Jest też zwierzyna i mnóstwo ryb, w strumieniach aż roi się od nich – dorzucił pasterz. – Poszedłbym z wami do Lukanii, czemu nie?

– Ja też – powiedział drugi. – To, co nam płacą, ledwie starcza na polentę i sałatę.

– Wszystkich was powieszają, zobaczycie – przestrzegł ich Nikos. – Nie macie nawet dowódców.

– Dość gadania – powtórnie odezwał się Kriksos i ruszył spod ściany na środek podwórza. – Wybierzmy wodza i w drogę.

– Kriksos zostanie trybunem – zawołał jakiś gladiator, a wszyscy ryknęli śmiechem.

– Zabierzecie mnie ze sobą? – spytał pasterz.

– Wszystkich powieszają – mruknął starszawy żołnierz.

Zbliżał się świt i niebo nad dziedzińcem poszarzało. Ludzie pogasili pochodnie. Podwórze wydawało się teraz przestronniejsze i zaskakująco inne.

– Też poszedłbym z wami – powiedział jeden ze zwalistych służących.

– A co będzie z gospodą? – zapytał drugi.

– Wszystkich nas mogą powiesić za Fanniusza – odparł tamten. – Albo wysłać do kopalni...

Nachylili się ku sobie i zaczęli się naradzać. W końcu wstali i podeszli do gladiatorów.

– Hej, wy tam! Cofnąć się! – wrzasnął Kastus.

– Pójdziemy z wami – powiedział któryś w imieniu całej reszty – jeśli zabierzecie nas ze sobą.

Gladiatorzy spoglądali na nich nieufnie.

– Nie możemy przecież dać wam broni – powiedział Kastus. Służący znów zaczęli się naradzać.

– Oni mówią, że czas na broń przyjdzie później – powiedział ich przedstawiciel. – I że ten człowiek powinien być dowódcą – wskazał na Spartakusa.

Spartakus milcząco przyglądał mu się uważnie, a potem zwrócił się do Kriksosa.

– Ty tu jesteś najważniejszy – odezwał się w końcu. Kriksos patrzył na niego ponuro. Gladiatorzy ożywili się. Galowie chcieli Kriksosa, cała reszta była za Spartakusem. Wreszcie zgodzili się na obu.

Znów zapanowało milczenie. Gladiatorzy snuli się z miejsca na miejsce, zakłopotani, że wybrali sobie dowódców. Służący poszli do stodoły, żeby poszukać jakichś siekier i pałek; potem sami rozdzielili je między siebie i stanęli rzędem pod ścianą, a gladiatorzy przyglądali się im bez słowa. Mężczyzna w skórze podszedł do żołnierzy w kącie podwórka.

– A z wami co mamy zrobić? – zapytał.

– Zabierzcie i nas ze sobą – odezwał się pasterz z końskimi zębami. – Dobrze znam lasy Lukanii.

– Nie mamy dla nich broni – sprzeciwił się Kriksos. – Zresztą i tak są za starzy.

– A skąd wiesz, że w ogóle chcemy z wami iść? – powiedział inny żołnierz. – I tak was złapią i powieszają. Wszystkich co do jednego.

Zawahali się i rozpoczęli naradę. Pasterz i paru innych wyszli przed grupę i stanęli osobno.

– Zabierzemy was – powiedział Spartakus do pasterza, który aż podskoczył z radości i rzucił się ku gladiatorom, ale tamci odsunęli się nieco na bok.

– Co ci odbiło? – osadził go Kriksos.

Pasterz pogardliwie wysunął do przodu podbródek i dołączył do służących. Kiedy jeden z nich podał mu maczugę, wyszczerzył w uśmiechu swoje końskie zęby i parę razy machnął nią na próbę w powietrzu.

Mężczyzna w skórze podszedł do grupki żołnierzy, którzy odłączyli się od reszty, wypytywał o ich wiek i poprzedni zawód. Gladiatory decydowali kolejno o losie każdego z nich. Czasami głosy były podzielone i wywiązywał się krótki spór. Wyglądało to wręcz zabawnie; w końcu przyjęto tylko paru młodszych, którzy dołączyli do stojącego pod ścianą szeregu służących. Uzbrojono ich w pałki, miecze i trójzęby. Ci, których odrzucono, wrócili do pozostałych jeńców i usiedli na bruku w kącie podwórza.

Świtało. Niebo na wschodzie już się czerwieniło. Zabłyły płytki miki osadzone w ramach okien. Kriksos i mężczyzna w skórze stali z boku, przysłuchując się gwarowi podnieconych rozmów. Pierwszy przerwał milczenie Kriksos. Odchrząknął i powiedział półgłosem:

– Gdybyśmy odeszli teraz sami, tylko we dwóch, nigdy by nas nie złapali. Moglibyśmy wyjechać do Aleksandrii. Jest tam mnóstwo kobiet.

Mężczyzna w skórze popatrzył na niego uważnie.

– Tylko nas dwóch... Rzeczywiście byłoby łatwiej – stwierdził.

– W Puteoli dałoby się chyba kogoś znaleźć – ciągnął Kriksos. – Kto ma pieniądze, tego żaden kapitan nie będzie pytał o dokumenty.

– Nie – powiedział Spartakus. Kriksos spojrział na niego, ale nie odzywał się.

– Teraz to niemożliwe – wyjaśnił mężczyzna w skórze. – Może później.

– Jasne, później. Jak nas powieszą.

Spartakus zastanawiał się chwilę. Patrzył na gladiatorów, którzy kręcili się po podwórzu, zbierając swoje rzeczy.

– Teraz nie można – powtórzył. – Chcesz pójść sam? – zapytał po chwili, podnosząc wzrok na Kriksosa.

Kriksos nie odpowiedział. Odszedł od Spartakusa i stanął pod ścianą. Gladiatory głośno naradzali się, co robić; wszyscy bardzo ożywieni i radosni.

Człowiek w skórze nagle wskoczył na stół. Podniósł wysoko w górę ramiona.

– Ruszamy! – krzyknął donośnym głosem. – Idziemy do Lukanii! – Piegowatą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

Gladiatorzy odpowiedzieli potężnym okrzykiem i zaczęli się szykować do wymarszu. Służący i ci z żołnierzy, których wybrano, wciąż jeszcze stali pod ścianą.

– No co, idziecie? – zawołał do nich Spartakus.

– Przecież mówiliśmy, że tak – odpowiedział ponuro któryś z nich.

Reszta żołnierzy siedziała na bruku i gapiła się przed siebie; niektórzy jeszcze spali. Gladiatorzy zabrali im pieniądze, skonfiskowali sztylety i noże. Ktoś próbował stawiać opór i zginął; pozostali patrzyli nie reagując.

Niemal wszyscy mieli już swoje lata i wiedzieli, że albo zostaną zwolnieni z wojska, albo trafią do kopalń.

Na podwórku zjawiły się kobiety; przedtem oglądały wydarzenia z okien. Szczupła, ciemnowłosa dziewczyna podeszła do Spartakusa, który właśnie z łomotem zeskoczył ze stołu. Krzepcy służący patrzyli na niego z niemym zachwytem. Zaskoczył ich nagłą zmianą zachowania – przed chwilą był pogrążony w myślach, teraz tryskał energią. Spodobała im się ta jego nieoczekiwana porywczność.

– No i co teraz? – dziewczyna musiała podnieść głowę, żeby spojrzeć w twarz Spartakusa.

– Ruszamy do Lukanii.

– Zabawimy się w lesie. Będzie wesoło – powiedziała.

– Bardzo wesoło – odpowiedział i uśmiechnął się do niej. – Wszystkich nas powieszają. –

Podszedł do Nikosa. – Idziesz z nami?

– Nie – odpowiedział. Siedział oparty o ścianę i wyglądał bardzo staro.

– No to żegnaj, ojciec.

– Żegnaj – odpowiedział Nikos.

Hurmą, w nieładzie, gladiatorzy wyszli z bramy na drogę. Za nimi maszerowali służący i żołnierze, a na samym końcu szły trzy kobiety.

Było ich już ponad stu.

Słońce wylaniało się zza horyzontu; zaczynał się dzień.

2. Bandyci

Zamierzali dojść do Lukanii, gdy jednak dotarli do górzystych, surowszych okolic, gdzie pól uprawnych było coraz mniej, a o łupy coraz trudniej, zawrócili. Cóż, błogosławionej przez bogów Kampanii nikomu nie chce się opuszczać – nawet rozbójnikowi. Przyprawia człowieka o zawrót głowy. Jej miękka, czarna gleba przynosi plony trzy razy w roku, a róże kwitną tu jeszcze przed siewami. Odurzająca woń, którą wiatr niesie od tutejszych ogrodów, oszałamia i burzy krew; wywar z ziół rosnących na stokach Wezuwiusza sprawia, że dziewice zamieniają się w bachantki. Wiosną klacze podczas rui cwałują na nadbrzeżne skały i ustawiają się zadami w stronę morza, zaś gorący wiatr czyni je żrebnymi.

Piekiło urządziło tu najpiękniejszy ze swoich przedsióneków. Wielkie demony stoją ustrojone w śnieżnobiałe, wspaniałe udrapowane szaty; pomniejszych służą im ulegle i z pokorą, ale marzą po cichu o zgładzeniu swych władców. Odwieczny jak góry był też konflikt o władzę nad Kampanią, stanowiącą spichlerz legionów i najcenniejsze dobro państwa rzymskiego. Od czasów Tyberiusza Grakcha patrioci nieustannie próbowali wyrwać tę krainę z rąk wielkich właścicieli i podzielić ją między ludzi pozbawionych ziemi. Ginęli jednak utopieni, zatłuczani kijami na śmierć i ukamienowani, a lichwiarze i spekulanci znów wracali. Arystokracja wysysała krew z drobnych rolników i dzierżawców, którzy, pod nieustannym naciskiem, musieli w końcu odsprzedawać swoje grunty. Nie było dla nich ratunku. Chłopi przegrali z wielką własnością, a wolnych robotników wyparła niewolnicza siła robocza, której liczebność rosła po każdej kolejnej wojnie. Nie mieli żadnego wyjścia. Na drogach zaroilo się od band zrujnowanych kampańskich rolników, które rabowały, a potem kryły się w górach. Nadzieja umarła.

W całej Kampanii szerzyły się dziwne pogłoski.

Jakaś niezwykle zuchwała banda rozbójników napadała na gospody i zajazdy, grabiła podróżnych, plądrowała wozy pełne towarów i puszczała z dymem wiejskie wille właścicieli ziemskich. Kradli wszystko – nawet wołu od żłobu i ogiera ze stadniny. Pojawiali się wszędzie, a nikt nie potrafił ich wytropić. Jednej nocy zaszywali się w bagnach nad rzeką Clanius, by następną spędzić gdzieś w lesistych górach Verginii. Wysyłano za nimi wojsko: pośpiesznie tworzone jednostki z małych miast. Niestety, żołnierze albo dezercerowali, albo przyłączali się do bandytów, których przybywało dosłownie z dnia na dzień; rozbójnicy budzili grozę, ale

jednocześnie i podziw, bo choć nie szczydzili niczyjego życia, to i sami zupełnie nie bali się śmierci.

Kampania aż huczała od pogłosek. Gdy słońce stało wysoko, a złowroga południca skradając się po polach, przynosiła ciężkie i złe sny śpiącym nadzorcom, niewolnicy wraz z robotnikami rolnymi siadywali na pogawędkę o bandytach. Rozbójnicy mieli dwóch wodzów: grubego, ponurego Gala, który wyróżniał się okrucieństwem i Traka o jasnych oczach, który z fantazją nosił na grzbiecie zwierzęce futro. Towarzyszyła im dziewczyna, drobna brunetka o dzieciennym wyglądzie, tracka kapłanka, która umiała czytać w gwiazdach i przepowiadać przyszłość. Była kobietą należąca do tego w skórze, ale sypiała także z innymi i napełniała wszystkich mężczyzn pożądaniem.

Nie byli to zwyczajni bandyci, lecz gladiatorzy. Nigdy dotąd w Kampanii nie widywano podobnych rozbójników, bo przecież gladiatorzy to tylko istoty przeznaczone do umierania na arenie. Z drugiej strony jednak bez wątpienia ludzie i trudno się dziwić, że nie chcieli ginąć. Zarzynali więc owce ze stad strzeżonych przez pasterzy i pustoszyli winnice. Przywłaszczali sobie najlepsze rumaki i najwytrwalsze muły do dźwigania bagaży. Tam, gdzie przeszli, trawa nie chciała rosnąć, nie oszczędzono żadnej dziewczyny i nie uchowała się ani jedna pełna beczułka w piwnicy. Stawiającym opór podrzynano gardła, ratujących się ucieczką – chwymano, a jeśli ktoś zdał się na ich łaskę, mógł mieć nadzieję, że zabiorą go ze sobą. Niektórzy sami o to prosili. Tacy właśnie byli gladiatorzy.

Po Kampanii krążyły plotki i legendy. Kobiety opowiadały je przy dojeniu krów, a starcy nocą, kiedy nie mogąc zasnąć w cuchnących stęchlizną piwnicach, siadali razem w gromadzie, żeby pogadać o bydle, pogodzie i śmierci.

Jak brzmiała opowieść o stajennym imieniem Naso?

Koło Suessuli, w dobrach ziemskich szlachetnego pana Staiusa rozchorowały się nagle wszystkie trzy woły. Miały mętne oczy, rozdęte brzuchy, lało im się z nozdrzy i były apatyczne. Nie chciały jeść, żuć, nawet lizać. Można by podejrzewać, że ktoś rzucił na nie urok, ale prawda była taka, że włodarz wydzielał im za mało paszy, zresztą i tak kiepskiej. W majątku brakowało pastwisk, paszę kupowano gdzie indziej, włodarz podkradał pieniądze dla siebie, a woły głodowały. Stajenny Naso od dawna ostrzegał, że zwierzęta nie pociągną długo na tak lichej karmie i prosił włodarza o lepszą, ale za swoje starania dostawał tylko kijem po grzbiecie. Kiedy wreszcie woły ciężko się rozchorowały, coś stało im się w środku i nie mogły pracować, Naso

próbował im podawać niezawodne lekarstwa: pokruszone nasiona figowca owinięte w liście cyprysu i gołębie jajka, które trzeba było wciskać głęboko do gardła; wlewał im do nozdrzy utarty czosnek rozpuszczony w winie i przygotowywał lewatywy z soli i miodu z mirrą oraz z krwią ślimaków. Upuszczał im też krwi z podogonia, a nacięcia, zgodnie z prawidłami sztuki, opatrywał bandażami z włókien papirusa.

Kiedy okazało się, że nic nie pomaga, złodziej włodarz przestraszył się. Żeby odwrócić od siebie podejrzenia, oskarżył Nasona, iż wpuszczał do obory prosięta i kurczaki, i to ich odchody najpewniej zanieczyściły paszę, co stało się przyczyną choroby. Naso daremnie zapewniał, że jest niewinny. Okuto go w kajdany, napiętnowano rozpalonym żelazem i odesłano do pracy w młynie.

Wszystkim wiadomo, że praca w młynie zalicza się do najcięższych kar – gorsza jest tylko śmierć, kopalnie i kamieniołomy. Nieszczęsny skazaniec, z nogami zakutymi w żelazo, musi chodzić bez przerwy w kółko, obracając kamień młyński. Stopniowo traci wzrok od pyłu i pary; dokoła szyi ma żelazną kryzę, aby nie mógł dosięgnąć ręką ust i podjadać mąki.

Tak więc Naso zapewne rychło by się wykończył – choć prawdziwym winowajcą był nie on, a rządca – ale pewnej nocy do majątku Statiusa wtargnęli bandyci i spustoszyli wszystko, tak jak to mieli w zwyczaju. Trafili też do młyna, aby zabrać worki z mąką, i tam usłyszeli o losie Nasona.

Mężczyzna w skórze kazał uwolnić stajennego, przyprowadzić włodarza i przykuć go na to samo miejsce. Teraz Naso poganiał rządcę biczem, aby ruszał się szybciej – odpłacał mu taką samą monetą. Odchodząc, postraszyli włodarza, że jeszcze tu wrócą i zatłuką go na śmierć, gdyby przestał kręcić żarna. Zarządca dostał pomieszania zmysłów. Kręcił żarna bez przerwy przez dwa dni i dwie noce, a na trzeci dzień rano padł martwy.

Opowieści krążyły po całej Kampanii – niektóre okrutne, inne wzruszające. Bandyci pojawiali się gdzieś jednego dnia, na drugi dzień znikali, żeby znów, nie wiadomo kiedy, wychynąć w innym miejscu. Na podróż po kraju odważali się tylko ci, którzy mieli zbrojną eskortę, a i ona nie gwarantowała bezpieczeństwa. Pewna dama podróżująca do Saletum wyjechała z Kapui przez Bramę Albańską z pięćdziesiątką numidyjskich jeźdźców i pięcioma wozami z bagażem. Dotarła do Suessuli sama jak palec, na wózku ciągniętym przez muła i nie miała na sobie ani skrawka odzieży.

Osobliwa historia zdarzyła się też w majątku koło Acerrae. Pracujący w polu niewolnicy byli

wyjatkowo źle traktowani; skuwano ich łańcuchami w dziesięcioosobowe grupy. Ale gdy bandyci wtargnęli do majątku, niewolnicy stanęli murem, gotowi stawić opór. Napastnicy już zamierzali zaatakować i wybić ich do nogi, gdy nagle pojawił się poważny Trak i donośnym głosem rozkazał im zaczekać. Po czym wygłosił niespodziewaną mowę, która wszystkich zdumiała.

– Zaiste – powiedział do niewolników – wasze kajdany muszą dawać waszym sercom radość i są rozkoszą dla ciała. Nie może być inaczej, bo poza nimi nie widzę tu niczego innego, co stanowiłoby waszą własność i czego chciałoby się bronić, nawet za cenę życia. A może okłamano mnie i tak naprawdę te kury znoszą jajka *dla was* na śniadanie, krowy tęsknią za bykiem, żeby pomnożyć *wasze* stada, a pszczoły znoszą nektar do uli, żeby osłodzić *wasze* ciastka...?

Niewolnicy wysłuchali tego w milczeniu, a człowiek w skórze na barkach rozkazał jednemu ze swych ludzi, który był niegdyś ślusarzem, żeby uwolnił ich z kajdan. Paru opierało się, mówiąc, że tylko właściciel może ich wyzwolić. Tych zabito, reszta jednak odeszła razem z bandytami.

Wiele takich opowieści rodziło się w Kampanii. Były one niczym upalne sirocco, które wiejąc od morza, budzi w głowach ludzi i zwierząt gorączkowy niepokój.

Lęk i niepewność nękały głównie wielkich właścicieli i ich zarządców, nadzorców i rachmistrzów; wzmacniali strażę, stali się surowsi niż kiedykolwiek przedtem. Ale zwykli niewolnicy, oracze, opielacze, kopacze, kosiarze i inni pracujący na polach, a także stajenni, pasterze i wolarze coraz częściej przejawiali opieszałość. Buntowali się, niszczyli narzędzia, celowo się kaleczyli, symulowali choroby, wykręcali się od pracy i widać było, że na coś czekają. Każdego ranka okazywało się, że znów paru zniknęło, mimo żelaznych ryglic, którymi zabezpieczano drzwi do piwnic, mimo okien umieszczonych tak wysoko, że nie mogły ich dosięgnąć ręce nawet najwyższych mężczyzn. Uciekali, aby dołączyć do bandytów, a niektórzy zabierali też ze sobą kobiety i dzieci.

W Kampanii szerzyła się zaraza. Miasta ze swymi małąkami, słabymi garnizonami mogły się tylko bezsilnie przyglądać jej postępowi.

Wysyłano wieści do Rzymu, a na murach wystawiano nocą liczniejszą straż. Ziemianie w pośpiechu opuszczali latem swoje posiadłości w Kampanii, wracali do Rzymu i skarżyli się Senatowi na skandaliczne stosunki.

Senat miał jednak większe zmartwienia. Na zachodzie kłopotów przysparzał Sertoriusz i jego armia złożona z rewolucyjnych emigrantów.

Gdyby wygrali, wówczas i w Rzymie doszłoby do rewolucji. Jeśliby jednak zwyciężył rzymski wódz Pompejusz, oznaczałoby to nową dyktaturę. W Azji problemem był król Pontu Mitrydates. Jego zwycięstwo byłoby równoznaczne z utratą prowincji, natomiast klęska w wojnie z Rzymem zapowiadała spadek cen zboża. Dochodziły też inne sprawy: wciąż niepokonani na morzach piraci, niespokojny lud i aktywniejsi niż kiedykolwiek wcześniej demagodzy; także kryzys gospodarczy i konieczność bicia coraz gorszego pieniądza.

Kłopoty w Kampanii były zbyt błahe, by wpisać je na listę największych zmartwień.

3. Wyspa

Była ich już spora gromada: ponad trzystu mężczyzn i około trzydziestu kobiet.

Mieli konie dla zwiadowców i muły do dźwigania bagażu. Spali w namiotach, a przynajmniej co drugi był porządnie uzbrojony. Ludzi przybywało z każdym dniem.

To właśnie stanowiło powód częstych kłótni – gladiatorzy byli nieufni. Woleli trzymać się razem, z dala od obcych; niepewni, czy sprawy zmierzają we właściwym kierunku. A przybysze znosili dary: worek mąki, jagnię, dwa konie; gdy ich odpędzano, koczowali w pobliżu obozu, żywili się własnymi zapasami i czekali. Niejednego zabito i obrabowano, ale przecież nie dało się tak po prostu wybić wszystkich do nogi. Włoczyli się nieraz po okolicy przez wiele dni i nocy, zanim zdołali odnaleźć obóz.

Byli przebiegli. Wypytywali każdego napotkanego, czy droga jest bezpieczna i kiedy ostatni raz widziano bandytów. Często zdarzało się, że niewolników chwymano i odstawiano do właścicieli; czekała ich śmierć albo los gorszy od śmierci, a jednak nic nie było w stanie ich odstraszyć.

Schodzili się wyrobnicy rolni i pasterze, niewolnicy i wolni; wszyscy.

Zjawiali się poganiacze wołów z Hirpinii, żebracy i bandyci z Samnium, niewolnicy rodem z Grecji, Azji, Tracji i Galii; jeńcy wojenni i ci, którzy urodzili się już w niewoli. Ze wsi i z miast przychodzili rzemieślnicy, obiboki, nawiedzeni i obdarci naprawiacze świata.

Oto Sekstus Libanius, obywatel Kapui pochodzący ze starej rzemieślniczej rodziny; już jego dziadek Kwintus Libanius był rzeźbiarzem. Warsztat rozwijał się i specjalizował – ojciec wykonywał tylko głowy, a Sekstus dodawał oczy z kolorowych kamieni – niebieskie, zielone, czerwone lub żółte. Był mężczyzną w sile wieku, solidnym i poważanym w swym środowisku; sprzeciwiał się wszelkim niepokojom i zakłócaniu panującego porządku. Kiedy jednak nastąpił kryzys i wojna domowa, nikt już nie kupował posągów. Warsztat trzeba było zamknąć, a Sekstus Libanius poszedł w góry szukać rozbójników.

Zjawił się też Proctor, niewolnik pracujący na roli w niedużym majątku na południu. Jego właściciel, człowiek z głową przypominającą łeb wieprza, naśladował dawnych Rzymian, którym wprawdzie cuchnęło z ust czosnkiem i cebulą, za to serca mieli twarde. Swoich poddanych traktował zgodnie z maksymą Katona Starszego: niewolnik ma albo pracować, albo spać.

Pedantycznie przestrzegał prawa głoszącego, że w święto pług powinien odpoczywać. Pługi więc odpoczywały, ale niewolnicy naprawiali w tym czasie dach stodoły albo opróżniali doły z gnojówką. Prawo przecież nic nie wspominało o tych zajęciach. W końcu Proctor umyślnie obciął sobie kosą trzy palce, a kiedy został zwolniony jako bezużyteczna gęba, przyłączył się do bandytów.

Pojawił się i Zosimos, uczony gramatyk i retor. Niegdyś jako woźny rady w Oplontis zdołał namówić swego patrona, by powierzył mu wychowanie swoich dzieci. Dzięki znajomościom założył własną szkołę, w której uczyło się około dwudziestu chłopców z bogatszych i mniej zamożnych rodzin; ich rodzice darzyli nawet sympatią nauczyciela-dziwaka. Zosimos nie narzekał na biedę, jednak od sukcesów przewróciło mu się w głowie: zlikwidował szkołę, zasmakował w publicznych przemówieniach, pisywał wiersze, po czym padł ofiarą powszechnej obojętności i zaczął głodować. Nie miał wyjścia – poszedł do bandytów. Kiedy do nich dotarł, wygłosił od razu namiętne polityczne przemówienie. Wyśmiali go i przetrzepali mu skórę, ale pozwolili zostać. Liznął trochę wiedzy, potrafił mówić o dziwnych i ciekawych sprawach, a oni lubili słuchać jego opowieści.

Przychodziły też kobiety.

Na przykład Letycja, służąca o wyschłej i pomarszczonej twarzy, z piersiami jak dwa puste bukłaki po winie. Przed dziesięciu laty jej pan obiecał, że nie będzie musiała więcej pracować, jeśli da mu trzech synów. Przez te dziesięć lat Letycja urodziła dziesięcioro dzieci – osiem dziewczynek, ale tylko dwóch chłopców. Teraz jej łono było już jałowe, więc służąca Letycja zdecydowała się przystać do bandytów.

Przyszła też Cyntia, podstarzała wiedźma z górskiej wioski. Przez ponad pięćdziesiąt lat wykonywała pozornie sprzeczne czynności, które miały jednak ze sobą całkiem konkretny związek, a także wyraźnie ustalone ceny. Asystowała przy narodzinach – dwa asy; oplakiwała zmarłych – cztery asy; oddawała się mężczyznom na cmentarzach – pięć asów.

Odczytywała przyszłość z wnętrzości zwierząt, z lotu ptaków i kształtu błyskawic – pięć sesterców. Leczyła choroby, sprzedawała pigułki i miłosne eliksiry, wszystko po stałych cenach, począwszy od najtańszych środków na płodność, a skończywszy na najdroższych wywołujących poronienie. Jednak pewnego dnia w jej wsi pojawił się grecki medyk, wyznawca Erasistratosa, który głosił, że krew w żyłach płynie do góry i w dół, a także inne podobne brednie. Ów szarlatan pozbawił ją klienteli, a kiedy Cyntia nie miała już z czego żyć, przystała do rozbójników.

Pojawiały się i młodsze – nierządnicę i porzucone narzeczone, kobiety lubieżne i wystygłe, przeważnie paskudne; pociągających było mało. Początkowo bywały przyczyną kłótni i zabójstw, później jednak oswojono się z ich obecnością, a każda żyła z jednym albo dwoma mężczyznami.

A fala nowych zbiegów wciąż płynęła. Ludzie przyzwyczaili się i zaakceptowali ten nieustanny napływ; po nocach zastanawiano się, ilu nowych pojawiło się za dnia; dochodziło do zakładów, czy teraz kolej na lekarza uciekającego przed właścicielem, bo umierało mu za dużo pacjentów, czy może na prostytutkę, która pokłóciła się z dziedziczką. W drodze cała ta hałastra znacznie bardziej przypominała miejską procesję w święto Minerwy niż gromadę gladiatorów. Początkowo pokonywali do pięćdziesięciu kilometrów dziennie, teraz najwyżej dwanaście.

Nie było wyjścia – musieli poszukać sobie stałego obozu. Odpowiednie miejsce znalazło się na zachód od Acerrae – wśród bagien nad rzeką Clanius.

Wyspa okazała się dość zaciszna, osłonięta z trzech stron trzcina i sitowiem. Księżyc wschodził tu późno, a jego tarczę przecinały czarne kreski łądyg. W nocy słychać było tylko lamenty żab; od czasu do czasu z gąszczy podrywał się jakiś bagienny ptak i zataczając koła wzlatywał coraz wyżej, by w końcu poszybować z powrotem ku mętym, żółtym wodom rzeki. W namiotach panował zaduch od wyziewów pobliskich bagien, więc o świcie mnóstwo owiniętych w koce ludzi chwiejnym krokiem wychodziło na zewnątrz, by dosypiać pod gołym niebem. Rankiem sztywniały im członki, ale słońce wschodziło tu wcześniej i szybko wysuszało drażniący pot z powierzchni skóry.

Wielu padało ofiarą szerzącej się gorączki. Wiedźma Cyntia sprzedawała zioła i gorzkie pigułki poronne. Nikt jej nie lubił, ale leki kupowali wszyscy. Niektórzy umierali, a ich ciała palono na stosach z sitowia i gałązek krzewów.

Ale nocami w obozie działo się wiele różnych rzeczy.

Dni były coraz chłodniejsze. Nad szuwarami unosiła się czerwona mgiełka.

Najadłszy się i popiwszy, ludzie siadali na brzegu rzeki, zanurzali stopy w nurcie i przyglądali się wodzie wirującej wokół palców.

Niektórzy łowili ryby.

Krzepcy służący Fanniusza ustawiali się w dwu rzędach twarzą do siebie i grali w coś rzucając i łapiąc kamienie. Nigdy sienie śmiali i skrupulatnie przestrzegali kolejności rzutów.

Grupka młodych mężczyzn i kobiet przysiadła wśród trzciny, słuchając śpiewaczki. Z głową

odrzuconą do tyłu i przymkniętymi, wymalowanymi powiekami niskim, gardłowym tremolo powtarzała wciąż tę samą strofę.

Pojedyncze pary znikwały w krzakach, gdzie już po kilku krokach zgiełk obozu dochodził tylko w postaci sflumionych, niewyraźnych odgłosów.

Od czasu do czasu słychać było głośnie rżenie; to odzywały się ogiery zaganiane do zagrody na czele stada.

Największa gromada zbierała się wokół nowych przybyszów. Tym razem był to stary mężczyzna o sztywnej nodze i młodzik z chudą szyją i wylupiastymi oczyma. Starszy wyglądał na małomównego i powściągliwego; młody, zmieszany, nie śmiał nawet otworzyć ust. Nie mogąc przełamać lodów, ludzie zawołali Kastusa. Zjawił się niewysoki mężczyzna w otoczeniu budzącej postrach świty, nazywanej „hienami”.

– Przyszli z winnicy koło Sebesthos – wyjaśnił ktoś. – Uciekli, bo dostawali za mało zboża, a w dodatku kazali im dopłacać za zmielenie ziarna.

– Najpewniej łżą – powiedział Kastus. – Wyobrazili sobie, że u nas rozdają zboże za darmo. Akurat tacy nam potrzebni!

Starszy milczał. Młody z przerażeniem spoglądał na Kastusa; miał pełne i wilgotne wargi i nosił małe kolczyki. Otaczający ich ludzie śmiali się.

– Po co tu przyszliście? – zwrócił się Kastus do starszego. – Myślicie pewnie, że kradniemy owoce, gwałcimy dziewczęta i w ogóle jest fajnie. Jak się właściwie nazywacie?

– Jestem Wibiusz. A to mój syn – powiedział stary.

– A ty? – Kastus zwrócił się do wyrostka.

– Wibiusz – odpowiedział chłopak i z zakłopotaniem skubnął swój kolczyk.

Słuchacze chichotali. Kastus też się śmiał; chłopak miał ładne, dziewczęce usta, a na nosie łuszczyła mu się skóra. Kiedy pochylił się do przodu, spod naszyjnika wyrżał skrawek białego ciała.

– Wibiusz – powtórzył niski mężczyzna. – Zwyczajnie i po prostu, tak jak ojciec. Bo ja na przykład nazywam się Kastus Retiarius Tirone*.

* [Kastus Sieciarz Nowicjusz – *przyp. tłum.*]

Podniósł wzrok, żeby sprawdzić efekt. Młodzik patrzył na niego z podziwem.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – rzekł Kastus. – Ludzie szlachetnie urodzeni z reguły mają trzy imiona.

– A ty, panie, jesteś szlachetnie urodzony? – zapytał chłopak. Słuchacze pokładali się ze śmiechu.

– Wszyscy ci ludzie wokół nas, byli gladiatorzy, to arystokraci – rzekł Kastus – natomiast przybysze tacy jak wy, to hołota.

– Jesteś gladiatorem, panie? – z szacunkiem zapytał chłopiec.

– Oczywiście – odparł Kastus.

Wibiusz junior zagryzł wargi, myśląc z wysiłkiem.

– A ten mąż z futrem na ramionach, to też arystokrata?

– Jasne, Wibiuszu – odpowiedział Kastus – wszyscy gladiatorzy to szlachetnie urodzeni potomkowie książąt. Na przykład ów człowiek w skórze, Spartakus, pochodzi z rodu książąt trackich.

Zgromadzeni krztusili się ze śmiechu.

Do grupy zbliżył się, krocząc dostojnie, Zosimos – pedagog i retor.

Kastus natychmiast wezwał go na świadka.

– Powiedz, Zosimosie – czyż nie mówię prawdy?

– Prawdą jest wszystko, co da się wyrazić w słowach – odpowiedział ostrożnie wychowawca, jak zawsze bojąc się zirytować Kastusa i jego kompanów. – Albowiem to, co da się ująć w słowach, jest wyobrażalne, wszystko zaś, co wyobrażalne, pewnego dnia może okazać się prawdą.

– A czy krowa może urodzić prosięta? – zapytał któryś ze słuchaczy.

– Nawet i to jest możliwe – rzekł Zosimos. – Skoro bóg zamienił się w łabędzia i uczynił niewiastę brzemienną nawet i krowa może któregoś dnia urodzić prosięta.

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem.

– Siądź z nami, Zosimosie, i opowiadaj – odezwał się Hermios, pasterz z Lukanii, który miał końskie zęby.

– Raczej postoję – odpowiedział Zosimos – moja mowa brzmi wtedy szlachetniej.

– Opowiedz coś – nalegał pasterz.

– Posłuchajcie tedy – zaczął Zosimos. – Sto lat temu Grecy mieli republikę. Przed objęciem swego urzędu ich konsulowie składali taką oto przysięgę: „Będę nieprzyjacielem mego ludu i ze wszystkich sił będę starał się go zniszczyć”.

– A co na to inni? – zdziwił się Kastus.

– Inni? – powtórzył Zosimos. – Masz zapewne na myśli lud. Lud oczywiście mówił wtedy dokładnie to samo, co mówi teraz, bo być może zauważyłeś, że nic się do dzisiaj nie zmieniło, tyle że nasi senatorowie nie składają już takiej przysięgi publicznie.

Słuchacze milczeli skonsternowani.

– No cóż, tak to już jest – westchnął bez specjalnego przekonania pasterz Hermios. – I tak też zawsze było... – wyszczerzył swe końskie zęby.

– Zosimosie – powiedział nieduży mężczyzna – zanudzasz nas. Jeśli nie umiesz wymyślić nic ciekawszego, to lepiej wynoś się stąd.

– W takim razie odchodzę – powiedział z godnością Zosimos. – Mój pan wyrzucił mnie właśnie z powodu moich rewolucyjnych ideałów, ale miałem nadzieję, że u was znajdę więcej zrozumienia. Nie będę jednak przed tobą taił, mój Kastusie – jestem rozczarowany.

Na trójkątnej polance, w kilku okrągłych jamach paliły się ogniska.

Dawały gryzący dym, dobry do odpędzania komarów. Każda z grup miała własny ogień, zawsze w tym samym miejscu. I każda grupa miała silne poczucie własnej odrębności.

Było więc osobne ognisko kobiet, ognisko służących Fanniusza, ognisko Celtów i ognisko Traków. Celtowie i Trakowie byli najliczniejsi i nie znosili się wzajemnie. Przywódcą Celtów, do których należał także ów niski mężczyzna i jego „hieny”, był Kriksos. Na czele Traków stał Spartakus.

Celtowie odznaczeni kapryśnym i porywczym charakterem. Większość z nich urodziła się już w rzymskiej niewoli i swą ojczyznę znała tylko z opowieści. Ich ojcami byli przeważnie służący, matkami prostytutki. Miotali wielopiętrowe, skomplikowane przekleństwa i wciąż szukali okazji do bójki. Ale po zakończeniu porachunków, przeciwnicy obejmowali się jak bracia i szlochali w swych ramionach.

Trakowie trafili do Italii dopiero przed kilku laty jako jeńcy wzięci do niewoli podczas wyprawy Appiusza Klaudiusza. Byli to ludzie ponurzy i grubo ciosani, każdy z nich nad brwią i na ramieniu miał wytatuowane niebieskie kropki. Zamknięci w sobie i milczący, nie ożywiali się nawet podczas pijaństwa. Licho wie, gdzie znaleźli ogromny róg, z którego po kolei pili, siedząc wokół ogniska; gdy komuś zdarzyło się głośniejsz odezwać, patrzyli na niego z zaskoczeniem, ale bez zainteresowania. Było ich dwudziestu, ale zawsze zachowywali jednomyślność; pod tym względem przypominali służących Fanniusza, których traktowali z milczącą sympatią, zresztą odwzajemnianą. Mieli jeden wspólny róg do picia i trzy kobiety,

które także przechodziły z rąk do rąk. Nawykli do tego; w górach trudno było o kobiety.

Zachowali mgliste, podobne do snów wspomnienia ze swych gór – porykujących, płowych stad i namiotów uszytych ze skór czarnych kóz.

W ich stronach susza niosła śmierć trzodom i ich właścicielom, a ludzie biedowali, bo wciąż trwały niekończące się zatargi z plemionami z sąsiednich dolin: Bastarnami, Triballami i Peucynami. W górach żyło się ciężko. Daleko, na nizinach, były wielkie miasta: Usedoma i Tomi, Kallatis i Odessos, oszałamiające przepychem i bogactwem, ale w górach, u pasterzy, panowała bieda i pradawne obyczaje. Kiedy przychodziły na świat dzieci, witano je żałobą i zawodzeniem, bo dla nowo narodzonych życie oznaczało tylko cierpienia; przy łożu śmierci panowała natomiast beztraska radość, bo zmarły przekraczał próg pogodnej, wiecznie barwnej krainy. Mieli także swoje święta: raz do roku z lasów wyłaniali się Bromius Krzykacz i Wodzirej Bachus, a ich obecność zespalała mężczyzn i kobiety. Należało też przebłagać Gniewnego Aresa, ale ekstatyczne tańce wykonywane nago, jedynie z plamami farby na twarzy i ciele, wymagały sporo poświęcenia. Życie w górach było twarde; ogromne stada stale dręczył głód. Zwierzęta jadły bez końca, zupełnie nieświadome niedostatku paszy i obecności wrogów. Góry miały też swoje dobre strony i korzyści; tutaj wszystko było jasne i wyraźnie rozgraniczone – przynajmniej do czasu, gdy Rzymianie, polując na ludzką zwierzynę, wdarli się do lasów, zakłócając ich ciszę wrzaskiem i rykiem trąb. Górski lud, gdy tylko zdołał ich dopaść, mordował ogolonych na łyso żołdaków bez litości i krył się coraz wyżej, wśród skał, jednak Rzymianie nigdy, przez całe lata, nie ustawali w pościgu, póki wreszcie ich nie dogonili – pasterzy i stada, wiele tysięcy ludzi i zwierząt.

Wtedy dopiero górale dowiedzieli się, że są winni, a zatem zostaną sprawiedliwie skazani i sprzedani, bowiem ustawa Apulejusza precyzyjnie definiowała ich zbrodnię: wystąpienie przeciw bezpieczeństwu i potędze Republiki Rzymu.

Z takiego to ludu wywodziła się grupa Traków; dwudziestka spokojnych, dość ponurych ludzi. Mężczyzna w skórze był jednym z nich, a zarazem mocno się od nich różnił: dłużej żył w Italii, poznał język i tutejsze zwyczaje. W gruncie rzeczy nikt do końca nie wiedział, na co go stać.

Dwunastego dnia od rozbicia obozu nad rzeką Clanius, a w dwadzieścia dni po ucieczce z Kapui ujęli konnego posłańca na drodze między Suessulą i Nolą. Niewolnik należał do władz komunalnych Kapui i miał przekazać wiadomość Radzie Noli.

Kastus i jego świta, którzy po cichu wypuścili się na wyprawę, zatrzymali go po prostu dla zgrywy, a poza tym spodobał im się koń. Posłaniec plótł ze strachu tak nedorzeczne brednie, że wzbudziło to ich podejrzenia. Zaczęli go przesłuchiwać, a ponieważ mieli wypróbowane metody wyciągania informacji, już po kwadransie dowiedzieli się, o co chodzi.

Okazało się, że za parę dni pretor Klodiusz Glaber wraz z trzema tysiącami najemników ma wyruszyć z Rzymu do Kampanii, by wreszcie skończyć z plagą rozbojów. Radzie Noli poleca się przygotowanie kwater, a także zebranie dokładniejszych informacji o liczebności bandytów i ich kryjówkach.

Kastus kazał powiesić zwłoki posłańca na przydrożnym drzewie, a na piersi trupa przybił list powitalny do pretora Klodiusza Glabera. Milczkiem, w pośpiechu pogalopowali z powrotem do obozu.

A tu życie toczyło się jakby nigdy nic. Ludzie natychmiast otoczyli „hieny”, wypyując o łupy, ale usłyszeli, że wracają z niczym. Kastus nakazał wszystkim swoim milczeć, więc trzymali język za zębami.

Sam Kastus poszedł do namiotu Kriksosa, który siedział na kobiercu i naprawiał rozłażące się z wilgoci buty. Nie podniósł nawet oczu, gdy Kastus wszedł do środka, i dalej stukał.

– To koniec – powiedział Kastus. – Z Rzymu wysłali na nas trzy tysiące ludzi. Złapaliśmy kuriera.

Sprowadzili człowieka w skórze i paru znaczniejszych gladiatorów.

W namiocie Kriksosa było tak gorąco, że prawie się dusili, ale gadali długo. Kastus radził rozproszyć się – niech każdy sam stara się ratować skórę. Innym nie podobał się ten pomysł, więc kłócili się, a wszyscy ociekali potem. Zgiełk przyciągnął ludzi z obozu, którzy zebrali się u wejścia do namiotu, nie mając odwagi zajrzeć do środka. Kriksos siedział z brzegu, przygnębiony, ocierał pot z czoła i milczał. Spartakus też się nie odzywał.

Z namysłem przyglądał się kolejnym mówcom, zupełnie jakby widział ich po raz pierwszy w życiu. Stopniowo, jeden po drugim, zaczęli zwracać się właśnie do niego.

Wreszcie zmęczeni gadaniem zamilkli, a Spartakus zaczął opowiadać o pobliskiej górze na wybrzeżu zwanej Wezuwiuszem. Kilku ludzi, którzy przybyli do obozu z tamtych okolic, mówiło, że w górze jest otwór prowadzący aż do środka, wypalony przez wewnętrzny ogień. Zanim jeszcze na ziemi pojawili się ludzie, we wnętrzu wszystkich gór utrzymywał się żar prześwitujący na zewnątrz i oślepiający zwierzęta. Ogień wygasł jednak już wiele lat temu,

a góra zamiast wierzchołka ma lejkowaty otwór, głęboki na pół mili i tak wielki jak dwa amfiteatry...

Gładiatorzy nie rozumieli, do czego zmierza. Słuchali go z otwartymi ustami, a on siedział zgarbiony, opierając policzek na dłoni, tak jak robią górscy drwale snujący wieczorami przy ognisku swoje opowieści.

Podnóża góry, ciągnął, pokrywają winnice i lasy, zaś w pobliżu leżą miasta: Pompeje, Herculanium i Oplontis. Nieco wyżej nic już nie rośnie; zbocza są urwiste i pokryte skałami. Opowiadając, mówił Spartakus, że parę lat temu dwóch złodziei koczowało na dnie dziury i nigdy ich nie schwytano, bo przez skały do krawędzi krateru prowadzi tylko pojedyncza, wąska i łatwa do obrony ścieżka.

Wreszcie, stopniowo w głowach gladiatorów zaczęło świtać. Myśl o tym, by schować się w wydrążonej górze, pociągała ich i cieszyła coraz bardziej. Entuzjazm rósł, a głośny śmiech i okrzyki wyrażały uznanie i podziw dla człowieka w skórze, który zawsze ma tak niezwykle, szalone pomysły, a teraz siedzi wśród nich, uśmiechnięty, z łokciami wspartymi na kolanach, przyglądając się kolejno każdemu swymi zamyślonymi oczyma. Zaniepokojony tłum na zewnątrz też poczuł się pewniej; szybko rozeszła się wieść, że opuszczą niezdrową, malaryczną wyspę i wejdą na szczyt góry, która w swych wnętrznościach kryje prawdziwą twierdzę.

Tej nocy na wyspie długo rozbrzmiewały śpiewy i trwałe tańce, opróżniano bukłaki z winem, a grupki skupione dotąd wokół osobnych ognisk mieszały się w radosnym podnieceniu.

Rankiem złożono namioty. Poprzedzany przez konną czołówkę pochód rozbójników wraz z obładowanymi mułami, wozami ciągniętymi przez woły i towarzyszącą im asystą kobiet i dzieci mozolnie brnął w górę, ku Wezuwiuszowi.

Gromada liczyła teraz z górą pięciuset mężczyzn i prawie sto kobiet.

4. Krater

Pretor Klodiusz Glaber zniecierpliwiony odwrócił się w siodle i dał żołnierzom sygnał do śpiewu. Rozkaz wykonano. Ochryple głosy wydobywające się z tumanów pyłu, które przez całą drogę, od wielu godzin spowijały kolumnę, nie brzmiały zbyt przyjemnie. Rozległa się szydercza śpiewka o lśniącej łysinie pretora, która przyświeca jego wiernym żołnierzom w marszu nocą i dniem. Tekst nie był specjalnie błyskotliwy, ale każdy prawdziwy dowódca i każda prawdziwa armia muszą mieć swoją satyryczną piosenkę. A czyż on, pretor Klodiusz Glaber, nie jest prawdziwym wodzem? Czyż nie ma prawdziwych oddziałów? Niewątpliwie tak. Fakt, że ich przeciwnikiem nie jest ani król Mitrydates, ani wódz Cymbrów, Bojoriks. Chciałoby się mieć bardziej efektownego wroga, zwłaszcza gdy od piętnastu lat czeka się, by osobiście dowodzić z siodła.

Jakżeż się naczekał! Dla uczciwych ludzi, takich jak Klodiusz Glaber, nastaly przygnębiające czasy. Droga do władzy nie prowadzi już przez czyny dowodzące męstwa, ale przez kobiety, łapówki i intrygi. Jego rówieśnicy jeden po drugim wślizgiwali się na wysokie stanowiska, podczas gdy on, jak skończony głupiec, mozolnie piął się po kolejnych szczeblach, od służby wojskowej przez kwestora i pretora; nawet edylat nie został mu oszczędzony. Tak jakby nie miał żadnego znaczenia konsulat ojca ani wszystkie przepowiednie, które wróżyły jemu, Klodiuszowi Glaberowi, tak chwalebna kariera.

Niech piekło pochłonie tych żołnierzy; dlaczego nie śpiewają? Widać już jak na dłoni nekropolię Kapui; lud Kampanii czeka na niego, swojego wybawcę; cóż to za wjazd bez pieśni? Obrócił się. Żołnierze od nowa rozpoczęli ten sam Hymn o Łysej Pale.

A weźmy choćby takiego Marka Krassusa. Nigdy nie wyróżnił się wojennym bohaterstwem, ale dziesiątki przeciwników Sulli doprowadził dyktatorowi na stryczek, po czym zagarnął ich dobra i tak stworzył podwaliny swego bajecznego bogactwa. A teraz ma w kieszeni pół Senatu; najwyżsi urzędnicy państwa tańczą jak im zagra; zrobił się gruby, ma świńskie oczka i niedosłyszcy. Oczywiście nie dostrzega Klodiusza Glabera, który był towarzyszem jego młodości. Raz oskarżono go o czyn nierządny popełniony z westalką, ale postępowanie wykazało, że nocne wizyty, jakie jej składał, miały związek jedynie z negocjacjami w sprawie kupna jej wiejskiej willi. Cały Rzym śmiał się z tej historii.

Dobry nastrój ogarnął pretora. Za chwilę wkroczy do Kapui – on, wybawca Kampanii, na koniu idącym kłusa. Dlaczego ci przekłeci żołnierze nie śpiewają? Klodiusz Glaber odwraca się z uśmiechem i daje im znak. Po raz trzeci rozlega się Hymn o Łysej Pale; pretor, rozjaśniony, poklepuje konia.

Jest jeszcze ten nudny Pompejusz: wielu widzi w nim następnego dyktatora. Jego nieodżałowanej pamięci ojciec miał zęza i zginął od pioruna – cóż za śmierć dla arystokraty! Za to młody Pompejusz na samym początku swojej kariery stanął przed sądem oskarżony o kradzież sieci na ptaki i książek, które stanowiły część łupu z Asculum. Sieci na ptaki i książki! A kiedy proces był jeszcze w toku, zaręczył się z brzydką córką przewodniczącego i został uniewinniony. Gdy ogłoszono wyrok, publiczność zamiast wiwatować na cześć niewinności wołała: „Najlepsze życzenia z okazji ślubu!”. Wkrótce się rozwiódł i pojął pasierbicę dyktatora Sulli, która miała dziecko z innym mężczyzną. Po powrocie z Afryki tak długo szlochał i błagał, aż teść udzielił mu zgody na triumfalny wjazd do Rzymu; zaprzągnął więc do swego rydwanu cztery słonie, ale łuk okazał się za wąski, słonie trzeba było wyprząc i Pompejusz dostał historycznego napadu płaczu. A lud i tak go uwielbia.

Lud! Gdyby znał swych bohaterów, tak jak zna ich on, Klodiusz Glaber, niewielu z nich by się ostało. Wychował się przecież z nimi, jako szczerze mówiąc najporządniejszy z całego tego towarzystwa – i co osiągnął? Wszyscy go prześcignęli; Lukullus lada dzień pokona Mitrydatesa i uświetni swój triumf pijaństwem i obżarstwem; Pompejusz dowodzi w Hiszpanii i sam siebie nazywa „Wielkim”; Marek Krassus siedzi w domu i nie dotknąwszy miecza trzyma wszystkich w kieszeni; nawet mały Cezar, który pełnił swoją dyplomatyczną misję w łóżku króla Bitynii, czym zresztą ubawił cały Rzym, nawet ten wyrasta na ważną postać i popisuje się swoim darem wymowy w stronnictwie demokratów. A on, Klodiusz Glaber, w nagrodę za czterdzieści lat uczciwej służby, na czele dziadowskiej armii złożonej z pośpiesznie zebranych rekrutów i weteranów, którzy nawet śpiewać nie potrafią, prowadzi śmieszoną kampanię przeciw bandytom i cyrkowcom.

– Śpiewać! – pretor, czerwony ze złości, ryczy na swoich utrudzonych i zachrypniętych żołnierzy. Są teraz zaledwie dwieście stóp od bramy miasta, przy której stoją rządkiem witający go członkowie rady Kapui.

Hymn o Łysej Pale znów bije w niebo, koń pretora przechodzi w zabawny, krótki galop, a sam Klodiusz Glaber, rozwścieczony do łez, wysłuchuje zaprawionej dyskretnym zdziwieniem

i dość wyważonej mowy powitalnej, którą wygłasza najstarszy z członków rady.

Był dziesiąty dzień oblężenia.

Pretor Klodiusz Glaber krążył jak w upiornym śnie. Z tego, co wiedział, historia rzymskich wojen nie znała czegoś tak osobliwego. Otoczyli bowiem nie miasto, ale górę, a nawet nie tyle górę, co otwór, do którego prowadziła tylko jedna ścieżka. Oblęgający nie mogli się po niej wspiąć.

Oblęgani nie mogli zejść w dół. Ścieżka była wąska jak rynsztok i tak stroma, że muła trzeba by na niej ciągnąć z przodu i popychać od tyłu, ale to, oczywiście, nie wchodziło w grę.

Pretor Klodiusz Glaber kazał sobie dostarczać każdego dnia kilka bukłaków z owczej skóry pełnych wina i upijał się razem ze swoimi oficerami, weteranami o zreumatyzowanych nogach, wykrzykującymi buńczuczne, wojownicze mowy. To przynajmniej było coś.

Bardziej ze względów praktycznych niż estetycznych obóz pretora został rozbity w biegnącej łukiem górskiej dolinie, którą miejscowi nazywali przedśionkiem piekła. Należało go tylko osłonić przed lecącymi z góry oszczepami i odłamkami skał. Wprawdzie sama odległość zmniejszała ryzyko poważniejszych zniszczeń, ale słuszne wydawało się wykorzystanie już istniejącej, naturalnej ochrony, jaką dawał pełen rozpadlin, pofalowany teren. Ku wielkiemu żalowi Klodiusza Glabera, który niezwykle gustował w efektownych dekoracjach, trzeba było zrezygnować z klasycznych zasad budowy obozu.

W głębi łądu dolina półkolem obejmowała ścięty wierzchołek Wezuwiusza, oddzielając go od góry Somma. Drugie, zwrócone ku morzu, niedostępne zbocze, opadało stromo w dół, w rozciągające się niżej lasy.

Bandyci nie mieli żadnej drogi ucieczki; jedyna ścieżka schodziła w dolinę, w której stanął obóz Klodiusza Glabera – i stał tam od dziesięciu dni.

W pierwszym i drugim dniu żołnierze wielokrotnie usiłowali atakować krawędź krateru. Było to, oczywiście, całkowicie beznadziejne. Na szczycie góry jeden człowiek mógł z powodzeniem bronić przejścia; nikt zresztą nie kwapiłby się do pojedynku z gladiatorami. Choć trzeba oddać oddziałowi sprawiedliwość: spróbowało tego dwudziestu ludzi; piętnastu zginęło na miejscu, pięciu wzięto żywcem i jakiś czas później zrzucano martwych do podnóża skał. Niezbyt to zachęcało pozostałych i pretor czuł, że nie może ich za to winić.

W tym samym czasie inna grupa żołnierzy starała się wspiąć na szczyt po nagich skałach.

Jedni z nich spadli, nieobeznani ze sztuką wspinaczki, inni stali się łatwym celem dla miotanych z góry pocisków, reszta musiała zrezygnować.

Pozostawał tylko jeden sposób: głodem zmusić wroga do wyjścia z krateru. Liczbę obleganych szacowano na pięciuset lub sześciuset; jeśli nawet mieli konie i muły – a w spokojne noce słychać było na dole upiorne rżenia dochodzące z wnętrza góry, mogli więc zabić je i zjeść, zanim zwierzęta same padną z głodu – to i tak zapasy wody wystarczyłyby im na niewiele dłużej. Mają dwa wyjścia: poddać się albo zginąć z pragnienia, gdyż na deszcz o tej porze roku nie ma co liczyć.

Toteż pretor postanowił unikać dalszych, niepotrzebnych ofiar; wraz z żołnierzami spokojnie czekał teraz na właściwy moment.

Trzeci dzień minął spokojnie. Pejzaż był przepiękny. Dolinę otaczały cieniste lasy piniowe i kasztanowe, porastające łagodne zbocza wzgórz.

Żołnierze wędrowali po nich z radością i śpiewali hymn o łysinie pretora.

Bandytów nie widziano, przyczaili się w swojej kryjówce w kraterze; tylko co jakiś czas, jak maleńkie figurki, przemykali po najwyższej krawędzi ich wartownicy i zwiadowcy.

Czwarty dzień przeszedł podobnie. Według wyliczeń Glabera najpóźniej następnego dnia powinna się tym na górze skończyć woda do picia. Pretor układał już w myślach komunikat o zwycięstwie, jaki wyśle do Rzymu; prostotą i lapidarnością miał przypominać styl Sulli: „Trzystu bandytów stracono, dwustu wzięto żywcem. Zginął jeden Rzymianin”.

Tamtych pięćdziesięciu zabitych można spokojnie pominąć – czyż Sulla w swoim meldunku z pola bitwy nie pozbył się niepostrzeżenie stu tysięcy poległych?

Piątego dnia było wyjątkowo gorąco. Ludzie pretora pochłaniali niewiarygodne ilości wody i wina; myśl o cierpiących pragnienie zbójach działała na nich krzepiąco. Kiedy na krawędzi krateru pojawiały się maleńkie sylwetki straży i zwiadowców, żołnierze wylewali na ziemię pełne bukłaki wina, choć nikt nie miał pewności, czy z góry dawało się to w ogóle zauważyć.

Musieli jednak w końcu coś dostrzec, bo najbliższej nocy spuścili się w dół pierwsi dezercerzy, dwie kobiety i mężczyzna. Wszyscy troje żyli; mieli opuchłe języki, a grdyka u każdego poruszała się bez przerwy w górę i w dół. Żołnierze pozwolili im się napić, po czym rozpięli ich na pośpiesznie zbitych krzyżach, ustawionych tak, by dobrze było je widać z góry.

Nikt z trójki skazańców nie wydał słowa skargi; tylko nad ranem prosili o wodę. Żołnierze podali im nasączone wodą gąbki i zostawili tam, gdzie byli.

Szóstego dnia na górze zapanowała cisza. Zniknęli wartownicy i zwiadowcy. Pretor, zmęczony czekaniem, wezwał ochotników i wysłał ich na szczyt, by omówili warunki kapitulacji. Choć wymachiwali znakami sygnalizującymi rozejm, cała piątka została zabita. Pretor pomyślał, że właściwie może jeszcze trochę poczekać, a dodatkowe pięć trupów, dyskretnie ukrytych, i tak nie będzie miało wpływu na jego raport.

Tej nocy ze zbocza, skacząc i zjeżdżając, zeszła grupa pięćdziesięciu zdesperowanych kobiet i mężczyzn. W zębach zaciskali noże, których nie wypuszczali nawet w chwili upadku, i które wielu z nich mocno poraniły twarze. Wszystkich zabito, ale kilku ludzi pretora odniosło rany, w tym dwóch śmiertelne.

Siódmego dnia nastąpiła katastrofa.

Zapoczątkowała ją ciemna plamka na niebie od strony morza, która szybko sunęła przed siebie i okazała się ogromną chmurą. Na razie nie można było powiedzieć, czy rzeczywiście napłynie w ich kierunku. Z krateru Wezuwiusza uniósł się dudniący pomruk: zbóje błagali bogów, by chmura spuściła na nich deszcz. I nagle słońce zniknęło, a krawędź krateru zaroiła się od dalekich, podskakujących karzełek, którzy wyciągali ręce nad głowami, by wskazać chmurze drogę. Klodiusz Glaber spojrział w górę, i on poczuł tę sekretną nadzieję, choć jej ziszczenie się mogło oznaczać koniec jego kariery politycznej; żołnierze tymczasem przyjmowali zakłady, stawiając trzy do jednego, że deszczu nie będzie. Ale chmura była coraz bliżej; jej mroczne, otoczone oparami, ciężarne ciało wlokło za sobą smugi podobne do postrzępionego welonu. Welon ten zawisł nad szczytem góry, ogarnął ją całą i nagle z nieba z hukiem lunęły potoki wody.

Żołnierze śmiali się, naciągali kaptury na głowy, łapali spadające krople w otwarte usta; znów, w niespotykanej dotychczas harmonii, podjęli hymn o łysinie ich ukochanego pretora. Jeden z trzech ukrzyżowanych, mężczyzna, wciąż żył, choć był nieprzytomny; poruszył się, próbując unieść głowę i spuchniętym językiem zlizać strużki wody spływające mu po policzkach. Rozbawieni żołnierze obejmowali się i tańczyli; zdjęli wiszącego i wlewali mu do ust wino, aż spostrzegli, że nie żyje. Deszcz stopniowo ustawał, potem minął i niemal natychmiast pojawiło się słońce.

Pretor zdawał sobie sprawę, że przeciwnik zdobył teraz zapasy picia na co najmniej trzy dni. I znów nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. Czekać – aż z opuchniętymi językami na nowo będą rzucać się w dół, by dostać łyk wody i umrzeć na krzyżu. Koszmar.

Mały, starzejący się pretor upił się i błagał zapomnianych bogów swojego dzieciństwa, by żadnym kolejnym deszczem nie przedłużali w nieskończoność tej najbardziej absurdalnej kampanii, na którą czekał piętnaście lat.

I tak przeszedł dzień ósmy, dziewiąty i dziesiąty.

Dziesiątego dnia stary Wibiusz przysiadł na krawędzi krateru obok pasterza Hermiosa. Jego chroma noga sterczała jak maszt.

– Popatrz, tam jest Via Popilia – powiedział pasterz. – Jak się przyjrzyysz, zobaczysz obok akwedukt biegnący za Kapuą; schodzi z góry Tifata. – Mówił wolno; dziąsła, które w ostatnich dniach obrzękły, już zaczynały krwawić.

– Nic nie widzę – odparł stary Wibiusz. – Za daleko.

Milczeli. Okrągła misa horyzontu za ich plecami pełna była po brzegi blasku morza. Pasterz wyciągnął szyję i spojrzał w dół, na namioty pretora Klodiusza Glabera wtulone w łuk doliny.

– Spokojnie tam na dole – powiedział. Zamilkł, a potem wyszczerzył zęby:

– Pewnie jedzą obiad.

– Nie – zaprzeczył starzec. – O wiele za wcześniej.

Hermios uśmiechnął się, zakłopotany własnymi słowami. Człowiek nie chce o czymś mówić, a w końcu i tak mówi, jakby coś od tego mogło się zmienić na lepsze. Nie wystarczy gadania tam, na dnie krateru? I tak jest im ciężko, a jeszcze na dodatek muszą się kłócić. Czym to się wszystko skończy?

– Czym to się wszystko skończy? – spytał Hermios, zdumiony, że niechcący wypowiedział na głos swoje myśli.

– Lepiej tak, niż w inny sposób – odparł starzec.

Niech mówi, pomyślał pasterz, właśnie on, ten wyschnięty, doświadczony przez lata i wiek starzec podobny do obumarłego drzewa; gdyby obciąć mu ramię, pewnie sypnęłyby się na ziemię czerwie.

Stary człowiek milczał. Zamknął oczy, bo lubił, gdy czerwone słońce przenikało, nie rażąc go, przez skórę powiek.

– Myślisz, że wyjdzie coś z tego pomysłu z liną? – spytał Hermios.

– Może.

– Nie sądzę.

Ucichli.

– Idzie Ojnomaos – powiedział Hermios. – Ależ on wygląda!

Młody Trak usiadł obok nich.

– Co tam słyhać? – spytał go starzec.

Ojnomaos wzruszył ramionami i popatrzył na okolicę.

Z tyłu, za górską doliną, rozłożyła się równina Kampanii. W łożyskach rzek lśnił kryształowy pot czarnej ziemi, arterie dróg biegły przez obfite pastwiska, a sady zdawały się pękać od słodkich soków. Powietrze nad równiną drżało, przepełnione nieokiełznaną płodnością.

Znów odezwał się pasterz:

– Nie mogę już patrzeć na konie – stwierdził. – Sama skóra i kości. – Wyszczrzył zęby.

– Sam wyglądasz jak koń – bez złośliwości powiedział stary.

Hermios uśmiechnął się.

– Pasterze potrafia się porozumieć ze zwierzętami. Tej nocy poczułem nagle coś ciepłego w uchu, jakby powiew sirocca. Obudziłem się i wiecie, co to było? Muł; po prostu stał, parskał i lizał mnie po głowie. Chciał spytać, dlaczego nie może wyjść na pastwisko.

– I jak mu to wytłumaczyłeś? – spytał Ojnomaos.

Hermios odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Zrobiłem: „kss, kss” i poszedłem spać.

– My też nie możemy pójść na pastwisko – dodał chwilę później i dotknął dziąseł. – I nikt nie potrafi nam wytłumaczyć dlaczego.

Wibiusz Starszy w milczeniu mrużył oczy przed słońcem.

– Ja wam mogę to dokładnie wyjaśnić – odezwał się niespodziewanie. – Widziałem kiedyś na targu kuglarza; był brudny i odrażający, ale niesłychanie zręczny. Potrafił włożyć sobie głowę między uda i nasikać wprost na twarz. Ludzkie prawo i porządek wyglądają podobnie.

Pasterz, skonsternowany, wyszczrzył zęby.

– Jak to? – spytał.

Stary człowiek nie odpowiedział.

Nadszedł retor Zosimos. Wielki, ostry nos zaostrzył mu się jeszcze bardziej, ale fałdy jego togi ułożone były starannie jak zawsze. Szedł, zataczając się po skałach, jak wielki, chudy ptak.

– Znowu się kłóć – powiedział.

Hermios potrząsnął głową z dezaprobatą; dwaj pozostali milczeli.

Zosimos usiadł obok nich.

– Chodzi o wodę – dodał. – Teraz jest jedno naczynie na wodę dla Traków, drugie dla Celtów i trzecie dla reszty. Celtowie nie potrafią się kontrolować, więc u nich już prawie nic nie ma i żądają rozdziału wody na nowo.

– Zawsze tacy sami – powiedział pasterz, który nie darzył miłością Kastusa, Kriksosa ani innych Galów.

– Spartakus by im na to pozwolił, ale jego ludzie zaprotestowali.

– Bardzo słusznie – uznał pasterz.

– Przecież nie można pozwolić, żeby umarli z pragnienia, no nie? – spytał Ojnomaos.

– W tym rzecz – powiedział Zosimos. – Prawo musi ustąpić przed potrzebą, choć rzadko się to zdarza.

– Na czym stało? – zapytał pasterz.

– Wspólny zbiornik dla wszystkich – odparł Zosimos – i ścisła kontrola. Jeden kubek na głowę dziennie. Pilnują tego słudzy Fanniusza.

Trzej pozostali zamilkli. Wszyscy myśleli o tym samym i każdy z nich zdawał sobie z tego sprawę. Wszystko to głupota, myśleli sobie. Można po prostu spokojnie zejść na dół, pretor zapewne wcale nie jest taki, jak sobie wyobrażamy, to człowiek wykształcony, ma nawet łysą głowę. – Dajcie nam pić – trzeba zwyczajnie, przyjaźnie poprosić. – I niech wszystko znów będzie tak jak kiedyś, niech każdy wróci na należne mu miejsce.

Przecież wcale tak źle nie było. – Żołnierze przyniosą chłodne wino, chleb, szynkę i polentę i wszyscy będą szczęśliwi, że nieporozumienia i udręki się skończyły.

– Och, tak – powiedział pasterz i przełknął ślinę. Starał się myśleć o tym, o czym mówili ostatnio.

– To było głupie – te trzy zbiorniki. Kiedyś, za lepszych czasów, nikogo nie obchodziło, czy jesteś Galem, czy Trakiem.

– Mentalność ludzi się zmienia – stwierdził retor. – Celtowie są dzielni, ale zadufani, kapryśni i niezdyscyplinowani, a Trakowie szlachetni, rudzi, niebieskoocy i mają po kilka żon.

– Tak mówią twoje księgi – powiedział stary Wibiusz. – Głodny Trak jest jak spragniony Celt.

Zamilkli i popatrzyli w dół.

Z obozu pretora unosił się biały, radosny dym. Na dole gotowali obiad.

Na całej równinie Kampanii, od rzeki Volturnus do gór Sorrentum, rolnicy, pasterze i robotnicy rolni szykowali południowy posiłek: polentę, sałatę, szynkę i gotowaną brukiew.

– Spartakus mógłby być wielkim wodzem – odezwał się retor. – Gdyby był Hannibalem, zdobyłby Rzym.

– Hannibal – powiedział pasterz. – Słyszałem, że przywiązał krowom do rogów płonąca słomę i puścił je na obóz Rzymian. Ale Rzymianie ugasił ogień i zjedli krowy. – Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Głupstwa opowiadasz – stwierdził Zosimos.

– Ty uczyłeś się historii głową, ja, że tak powiem, żołądkiem – odparł pasterz. Był osobliwie radosny i nieprzerwanie szczyrzył swoje żółte zęby; oczy błyszczały mu dziwnie, a powieki wyraźnie się zaczerwieniły.

– Czy naprawdę był księciem? – spytał szybko i w roztargnieniu.

– Kto? – zapytał Zosimos. – Hannibal?

– Nie, Spartakus.

– Och – odpowiedział Zosimos. – Nikt nie wie na pewno. – Odwrócił się do Ojnomaosa. – Ty powinienes coś wiedzieć.

Ojnomaos drgnął, wyrwany z zamyślenia. Miał białe, delikatne czoło z niebieskawą żyłą widoczną pod powierzchnią skóry.

– Nie wiem – odparł.

– Jeżeli był kiedyś księciem – zawołał Hermios – to jadał kwiczoły ze słoninką. Wszyscy książęta jadają kwiczoły ze słoninką. – Powtórzył to kilka razy, aż do oczu napłynęły mu łzy.

– Cicho bądź, dobrze? – powiedział spokojnie stary człowiek.

Pasterz ucichł.

– Co za żarłok – odezwał się nieśmiało Zosimos, który zawsze znajdował sposób i środki na zdobycie czegoś do jedzenia poza swoim przydziałem.

– I tak go lubię – oznajmił pasterz, już nieco spokojniejszy. – Lubię go, bo nikt z nas nie wie, po co to wszystko robimy, a on wie.

– Co wie? – spytał Zosimos.

Pasterz nie odpowiedział, ale po chwili zaczął od nowa:

– Zawsze ma pełno pomysłów. Choćby ten najnowszy, z linami.

– To szaleństwo – oświadczył Zosimos. – Jestem pewien, że nic z tego nie wyjdzie.

– Ja też – przytaknął pasterz – ale to, że ma takie pomysły...

Wszyscy czterej siedzieli teraz w ciszy, spoglądając na równinę. Tu i ówdzie nad drogą przesuwały się powoli małe obłoczki kurzu, oznaczające zaprzęg albo jeźdźca, który mógł skierować się gdziekolwiek chciał; nie miał przed sobą przeszkód, a świat jest taki szeroki.

Z wnętrza krateru doszły ich odgłosy żwawych kroków i osuwających się kamieni. Zosimos odwrócił się w tamtą stronę.

– Idzie twój syn – powiedział do starca – spocony i najwyraźniej naładowany wiadomościami.

Wibiusz Młodszy wyłonił się zadyszany z krateru; pełne wargi miał suche i spękane, a oczy wytrzeszczał bardziej niż kiedykolwiek.

– Wszyscy mają zejść na dół – powiedział – i pomagać przy linie. Zaczynamy w nocy.

– Co zaczynamy? – zainteresował się pasterz.

– Macie natychmiast schodzić – ciągnął młody Wibiusz. – Każdy rwie na pasy swoje ubranie, żeby spleść linę. Wszystko postanowione. Idziemy, szybko.

Pasterz wstał i cisnął w górę swój kij.

– Widzisz – zawołał do Zosimosa. Skwapliwie zbiegał w dół, skacząc z głazu na głaz.

– To pomysł szaleńca – oświadczył retor, wstając jednak szybko z miejsca. – Kto to słyszał, żeby spuszczać się ze szczytu góry na linach!

Odgłos ich kroków tłumili kamienie. Starzec podniósł się, rzucił okiem na obóz pretora Klodiusza Glabera i splunął w jego stronę.

– Mam nadzieję, że wam smakuje – powiedział.

– Naprawdę tak ich nienawidzisz? – spytał go Ojnomaos, kiedy schodzili w głąb krateru.

– Czasami tak – odpowiedział Wibiusz. – Ale oni nienawidzą nas zawsze. I to nasz pech.

Masakra armii pretora Klodiusza Glabera nastąpiła nocą, po dziesiątym dniu oblężenia.

Zbocze góry opadające ku obozowi Rzymian było strome, ale możliwe do pokonania. Dezerterzy wielokrotnie usiłowali zejść tamtędy w dół; staczali się po skalistym stoku, ale do podnóża docierali żywi i tam dopiero ginęli z rąk żołnierzy. Skrupulatny pretor pamiętał o tym i rozmieścił warty wzdłuż całego łuku doliny zwanej przedsionkiem piekła.

Po drugiej stronie, zwróconej ku morzu, niemal pionowe skały tworzyły całkowicie niedostępną ścianę od rumowiska na górze do rosnących w dole lasów. Sama natura postanowiła tu ułatwić Klodiuszowi Glaberowi zadanie i trzymać straż nad zbójami. I właśnie wtedy, w drugiej

godzinie po zachodzie słońca, gladiatorzy jeden po drugim spuścili się po linach, obeszlili górę i spadli od tyłu na niczego niespodziewającego się pretora.

Zejście zajęło mniej więcej trzy godziny i przebiegło niemal bezgłośnie. Dwie liny i jedną drabinę sznurową, splecione z pasów materiału, zrzucono przez trzy pionowe szczeliny w skałach. Drabina, o szczeblach z pędów twardej, dzikiej winorośli – jedynej rośliny żyjącej wewnątrz krateru – posłużyła po części do transportu broni, a po części sprowadzeniu mniej sprawnych. Pomogło też światło księżycy, równomiernie oblewające wszystkie trzy trasy.

Pierwsi zeszli gladiatorzy, po nich słudzy Fanniusza, najemnicy z oddziału Mammiusza i wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni. Ci, którzy znaleźli się na ziemi, czekali leżąc w trawie. Niektórzy rozmawiali szeptem.

Koło północy jedna z lin trzasnęła, dwóch ludzi spadło i połamało sobie kości. Tłumili jęki, żeby nie narazić pozostałych. Nikt nie mógł im pomóc, więc dobito ich; umarli nie wydając z siebie głosu.

W piątej godzinie po zachodzie słońca dwustu dobrze uzbrojonych mężczyzn oraz setka wyposażonych w pałki, siekiery i broń używaną przez gladiatorów, zebrała się u podnóża skały. Kilka kobiet, które nie chciały stracić takiej atrakcji, też zeszło na dół; reszta pozostała we wnętrzu krateru, razem ze starcami i bydłem.

Gromada ruszyła w drogę. Musieli zatoczyć krąg wokół góry od południa, wzdłuż granicy strefy lasów. Bezszelestny marsz zajął im ponad godzinę; za przewodników posłużyli pasterze z Kampanii, obeznani z górskimi szlakami.

Dotarli do południowego końca biegnącej łukiem doliny zwanej przedsiódką piekieł i zabili pierwszego rzymskiego strażnika, zanim zdążył wydać z siebie głos. Alarm podniesiony przez następnych utonął w wojennych okrzykach gladiatorów, które w pył rozbiły spokojny sen obozu i napełniły namioty ochrypłym echem, zwielokrotnionym przez pobliskie skały. Rzeź zaczęła się, nim masakrowani przetarli ze snu oczy, by stawić opór, tak więc zaledwie nieliczni weterani podjęli walkę. Ale rozplanowanie obozu, nieregularne i dalekie od wojskowej rutyny, jak i straszliwy chaos, jaki zapanował, przekonały nawet najbardziej zahartowanych żołnierzy, że opór jest bezcelowy, a jedyną szansą pozostaje ucieczka.

Gladiatorzy, nastawieni na walkę, nagle znaleźli się w roli zwykłych rzeźników. Brak oporu doprowadzał ich do białej gorączki, a jednocześnie odbierał satysfakcję. A ofiary, bezskutecznie wołające o litość, odchodziły w niebyt przekonane, że wróg, którego pierwszy raz spotkały

dopiero tej nocy, gdy napadł na nie z wściekłym wrzaskiem, to nie ludzie, ale demony spuszczone z uwięzi.

Tak zakończył się dzień dziesiąty, a po masakrze nastąpiła uczta. Ale dopiero sen na miękkich posłaniach Rzymian przyniósł spełnienie; sen bez koszmarów i marzeń, w poczuciu wykonanego obowiązku i zaspokojonych potrzeb.

Na piechotę – gdyż koń wpadł w ręce rozbójników – łysy pretor Klodiusz Glaber schodził w dół, na równinę. Odłączył się od swych uciekających żołnierzy i samotnie ruszył w noc. Zboczył z wydeptanej ścieżki, potknął się o kręty, kamienny murek okalający winnicę i rozejrzał się wokół. W świetle gwiazd winnica usiana spiczastymi palikami wyglądała jak cmentarz. Było bardzo cicho; bandyci i Wezuwiusz rozwiali się jak sen, Rzym i Senat przestały istnieć, jeden czyn tylko czekał jeszcze na dokonanie. Pretor rozchylił płaszcz, palcami wymacał właściwe miejsce i delikatnie przycisnął do niego czubek miecza.

Czyn wciąż czekał na spełnienie, ale dopiero w tej chwili pretor jasno i w pełni pojął, co to znaczy. Ostrze musi wsunąć się krok po kroku; najpierw stopniowo rozerwać tkanę, przeciąć ścięgna i mięśnie, rozszcześcić żebra. Dopiero wtedy dotrze do płuca, delikatnego, pokrytego śluzem i lekko żyłkowanego, aby je rozerwać. Jeszcze tylko oślizgła otoczka i już samo serce, nieforemny worek krwi – dotknięcie go przekracza wyobraźnię. Czy człowiek zrobił kiedykolwiek coś takiego? Można zapewne załatwić to jednym pchnięciem. Ale gdy ktoś zna każdy etap tego procesu, nigdy nie będzie do tego zdolny.

„Śmierć”, słowo do tej pory jak każde inne, zdało się przeniesione teraz na nieosiągalną odległość. Wszystko, co tak blisko powiązane z pojęciem śmierci, jak honor, wstyd i obowiązek istnieje tylko dla tych, co nie znają realiów. Gdyż to, co rzeczywiste, pokryte śluzem i niewypowiedzianie delikatne, nie po to istnieje, by być rozerwane przez jakikolwiek ostry przedmiot. I w tej chwili pretor Klodiusz Glaber uświadamia sobie, że umieranie jest czymś nieprawdopodobnie głupim – głupszym niż samo życie.

Czuje, że w butach ma pełno kamyków. Siada na głazie, wysypuje je na ziemię i stwierdza, że ich uwieranie w znacznym stopniu wzmagało ogarniającą go rozpacz. W porównaniu ze sromotną klęską jego wojska małe, ostre kamyczki – w sumie siedem sztuk – kurczą się wprawdzie do nic nieznaczących rozmiarów, ale jak można oddzielić to, co ważne, od nieważnego, jeśli jedno i drugie równie mocno działa na zmysły człowieka? Na języku i podniebieniu pretor wciąż czuje nieświeży smak przerwane go snu; pośród pędów winorośli

przebłyskuje kilka zapomnianych owoców. Zrywa je, rozgląda się: tylko gwiazdy są świadkami jego kolejnych, dziwnych posunięć, ale w ich spojrzeniu nie dopatruje się nagany.

Pretor jest zawstydzony; musi przyznać, że to, co robi, jest bez sensu; żadna jednak filozofia nie zmieni faktu, że winogrona są po to, by je jeść. Poza tym nigdy dotąd nie smakowały mu tak bardzo. Połyka ich sok zmieszany ze łzami wywołanymi trudnym do określenia uczuciem.

Młascze zachłannie, choć ze wstydem.

I oto noc, rozjaśniona światłem obojętnych gwiazd, uczy pretora Klodiusza Glabera jeszcze jednej rzeczy: u podłoża wszelkiej przyjemności, nie tylko jej konkretnych przejawów, leży odwieczny, skrywany bezwstyd.

5. Człowiek z okrągłą głową

Kriksos leżał na boku, lewą ręką podparł ciężką głowę; na muskularnym, nagim ramieniu pęczniały czerwone i niebieskie żyły. Spartakus ułożył się na plecach, ręce założył pod kark; prześwit w dachu namiotu otwierał widok na kawałek krateru i kilka gwiazd w górze. Oba posłania z kobierców umieszczone równolegle rozdzielał stół – w namiocie pretora Klodiusza Glabera nie było miejsca na nic więcej.

Kriksos jadł bez przerwy. Prawą ręką sięgał co jakiś czas ponad głowę, na blat stołu, starając się wymacać kawał mięsa, wkładał go do ust i popijał potężnym haustem wina z dzbana. Tłuste strużki ściekały ze stołu.

Na zewnątrz gromada uspokajała się, w końcu ucichła. W krótkich odstępach czasu, częściej niż było trzeba, strażę żądały hasła. Trwała zabawa w wojsko.

Kriksos nastawił uszu, nasłuchiwał, zaintrygowany ciszą. Czknął, po czym wolno wytarł tłuste palce w dywan. Spartakus odwrócił ku niemu głowę, wpatrzył się w twarz tłusciocha, który zmrużył oczy i spomiędzy zębów wydobywał językiem resztki jedzenia. Niezbyt pewnie czuł się pod tym spojrzeniem, odwrócił wzrok.

– Trzeba spalić ciała – powiedział Spartakus – zostało jeszcze dużo, sześćset albo i osiemset. Cuchną.

– To każ je spalić – odparł Gal.

Zamilkli. Kriksos pociągnął łyk wina.

Spartakus wrócił do poprzedniej pozycji, skrzyżował ręce pod głową w poprzek prześwitu w namiocie czarną linią odcinał się kontur góry. – Wiem, o czym myślisz – odezwał się. – O kobietach w Aleksandrii.

– Glaber pogna wprost do Rzymu – stwierdził Kriksos. – Zaalarmuje Senat i wyślą na nas legiony.

Podarty dach namiotu rozchyłał się nad głowę. Spartakus był bardzo zmęczony; zniknęło gdzieś jego zwykle, czujne i uważne spojrzenie.

– I co wtedy? – zapytał.

– Rozwalimy ich – powiedział Kriksos.

– A potem?

- Przyjdą następne legiony.
- A potem? – Spartakus patrzył w górę, na niebo.
- Potem rozwalą nas.
- A potem?

Kriksos ziewnął, zwinął dłoń w pięść z kciukiem zwróconym ku ziemi, powoli przesunął ją przed oczami Spartakusa.

- Potem to. Chcesz na to czekać?

Znów ten znak, od którego zależał los gladiatora. Nie ma od niego ucieczki. Upierścieniony, lekko pomarszczony, skierowany w dół palec naznaczał hańbą życie i sprowadzał śmierć do poniżającego widowiska, wdzierał się nawet w sny.

Kriksos znów się ułożył.

Przez otwór w dachu wpadała poświata księżyca; krater tworzył ostro poszarpaną plamę cienia. Straże odzywały się coraz rzadziej.

– Kto powiedział, że zostaję? – powiedział Spartakus. Mówił jak przez sen, był bardzo zmęczony. – Kto mówi, że zostanę z tobą? Człowiek ucieka, jeśli go gonią, ale jak porządnie się odsądzi, staje, łapie oddech i zajmuje się swoimi sprawami. Tylko głupiec będzie pędził bez końca przed siebie...

Kriksos milczał.

– Tylko głupiec biegnie, aż piana mu wystąpi na usta, i niszczy wszystko, co spotka. Był wśród nas taki, tam...

- Gdzie? – spytał Kriksos.

– Tam, w lesie. Nogi miał krzywe jak niemowlak, oczka świńskie i odstające uszy. Nazywaliśmy go wieprz, kazaliśmy chodzić na czworakach i chrząkać jak świnia. Któregoś dnia zbuntował się i uciekł. Niszczył wszystko, co spotkał na drodze, i wciąż biegł. Nigdy go nie złapali.

- Co się z nim stało?

- Nikt nie wie. Może tak biegnie do dziś.

- Umarł gdzieś pewno w lesie – stwierdził Kriksos – albo go złapali i powiesili na krzyżu.

– Mówię ci, że nikt nic nie wie. Może gdzieś w końcu dotarł. Nigdy nie wiadomo. Gdzieś... gdziekolwiek.

- Gdzieś... na krzyż – powiedział po chwili Kriksos.

– Może i na krzyż – odparł Spartakus. – Czemu właściwie nie jedziesz do Aleksandrii? Nigdy tam nie byłem. To musi być piękne miasto. Kiedyś dziewczyna, z którą byłem w łóżku, śpiewała. Aleksandria to jest chyba coś takiego. Ruszaj się, Kriksos, niech twój fallus ma jakieś zajęcie. Kto ci powiedział, że ja zostaję?

– Jak śpiewała? Jak szalona czy łagodnie?

– Łagodnie.

Kriksos milczał. Potem powiedział:

– Jutro może być za późno.

– Jutro, jutro – przedrzeźniał Spartakus. – Jutro może nas tu nie będzie. – Ziewnął. – Może pojedziemy do Aleksandrii.

Ucichli. Kriksos drzemał. Oddychał równo, pochrapując. Głowę oparł znów na gołym lewym ramieniu z nabrzmiętymi żyłami.

Spartakus zerknął przez otwór, potem zamknął oczy i znów je otworzył. Sięgnął po kawałek mięsa, pożył i popił z kufła z pokrywką. Czuł, jak mocne falerno przenika mu ciało i mąci wzrok. Straże wreszcie się uspokoiły. Łyknął jeszcze wina, wstał i wyszedł z namiotu.

Daleki brzeg morza przesłaniały białe mgły. Krater rysował się dziwaczną linią na tle rozgwieżdżonego nieba. Mizerne drzewa oliwne wyciągały w dolinie swoje okaleczone konary.

Minął śpiących strażników, wyszedł z obozu. Wszedł się w górę kamienistym zboczem, wydawało mu się, że szura po nim sandałami głośniej niż kiedykolwiek. Stok przechodził tu w płaską, wąską łąkę; na niej właśnie, wśród wyschłej trawy, korzeni i niskich zarośli, leżał człowiek zawinięty w koc. Widać było tylko jego gładko ogoloną, okrągłą głowę i spokojną twarz. Brwi uniośł wysoko, jakby zdumiony swoim snem. Wargi miał wąskie i ascetyczne, za to nos mięsisty, zmarszczony we śnie jak u rozbawionego fauna.

Spartakus przyglądał mu się przez chwilę, a potem trącił go stopą w biodro. Mężczyzna podniósł powieki, zupełnie niezaskoczony. Oczy miał ciemne; w zwodniczym świetle księżycy odcinały się wypełnione cieniem oczodoły.

– Kim jesteś?

– Jednym z twojego obozu – odparł mężczyzna i powoli usiadł.

– Wiesz, kim ja jestem?

– Spardokos, ksiązę tracki, wybawca niewolników, wódz wydziedziczonych. Pokój z tobą i błogosławieństwo, Spardokosie. Podejdz i siadź na mojej derce.

– Głupiec – powiedział Spartakus. Stał niezdecydowany, stopą dotykał siedzącego: – Idź spać. Jutro wrócą Rzymianie i powieszą cię na krzyżu, a nas wszystkich razem z tobą. Umiesz czytać w gwiazdach?

– W gwiazdach nie – mówił okrągłogłowy. – Ale potrafię czytać w oczach i w księgach.

– A więc jesteś zbiegłym nauczycielem. Będziesz jedenasty. Mamy teraz jedenastu nauczycieli, siedmiu rachmistrzów, sześciu lekarzy i trzech poetów. Gdyby Senat pozwolił nam żyć, moglibyśmy założyć akademię na Wezuwiuszu.

– Nie jestem nauczycielem, tylko masażystą.

– Masażystą? – Spartakus zdziwił się. – Człowiek, który umie czytać, powinien uczyć, a nie robić masaże.

– Jeszcze trzy dni temu pracowałem w czwartej łaźni publicznej w Stabiach. Kiedy mnie po raz pierwszy sprzedali, nie przyznałem się, że umiem czytać.

– Dlaczego?

– Żeby nie mogli mnie zmusić do uczenia kłamstw – powiedział okrągłogłowy.

– Nie mów! – Spartakus był zakłopotany. – Mamy jeszcze paru takich szaleńców jak ty. Jest człowiek o imieniu Zosimos na przykład, też był nauczyciel, który zawsze wygłasza polityczne przemówienia. Nigdy nie podejrzewałem, że na świecie jest tyle obłądu.

– Ani tyle smutku – dodał okrągłogłowy. – O tym też nie wiedziałeś, prawda?

Spartakus milczał, czuł się coraz bardziej zbity z tropu. O takich rzeczach się po prostu nie mówi. „Smutek świata”. Ostatnio często słyszał podobne rozmowy, paplanie poetów i naprawiaczy rzeczywistości. Chciał już odejść, ale nie nęciła go samotność.

Tamten drząc otulił się derką, bo wraz z nadchodzącym świtem z księżycowych mgiełek podnosiły się zimne opary. Spartakus stał obok, niezdecydowany, duży i niezgrabny w swoim futrzanym okryciu. Czuł się coraz bardziej niezręcznie – uczony masażysta patrzył na niego w górę ciemnymi oczodołami. Wszyscy oni są właśnie tacy, ci mędrcy i gaduły; wystawiają swoje uczucia na sprzedaż każdemu, kto się nawinie; cała ich istota i natura wypełza ze skorupy jak oślizgły ślimak.

– Nie widziałem cię wczoraj – powiedział Spartakus. – Gdzie byłeś, kiedy wszyscy walczyli?

– Robiłem masaż waszym bohaterom – odparł okrągłogłowy marszcząc nos.

Spartakus skrzywił się.

– Tchórz. Jesteś tchórzem.

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

– Nie sędzę. Ale kiedy ktoś rzuca się na mnie z włócznią, doznaję wstrząsu.

Spartakus, rozbawiony, usiadł obok i oparł łokcie na kolanach. Okrągłogłowy przesunął się na róg derki.

– Głupi jesteś – powiedział Spartakus. – Czemu mnie tak idiotycznie tytułujesz: wybawca niewolników, wódz wydziedziczonych?

Miało to być pytanie rzucone od niechcenia, ale oczy Spartakusa patrzyły jak zwykle uważnie.

– Czemu? – powtórzył okrągłogłowy. – Napisane jest: „Czterem bestiom odebrano władzę i ujrzałem, jak na obłokach nieba przybywa jakby Syn Człowieczy, podchodzi do Przedwiecznego i powierzono Mu panowanie, chwałę i władzę królewską, a panowanie Jego jest wiecznym panowaniem, które nie przeminie...

– Kompletnie brednie – Spartakus był zawiedziony.

– Cztery bestie to Senat, wielcy właściciele ziemscy, legiony i rządcy – wyliczał okrągłogłowy odginając cztery palce.

– Bestie – wtrącił Spartakus – są na arenach.

– To figura retoryczna – odparł tamten.

– Jedyne, co się zgadza, to obłoki niebieskie – rzekł Spartakus, bo mgły wokół góry gęstniały z chwili na chwilę. – A o co chodzi z tym Przedwiecznym dającym władzę?

– To ma oznaczać poezję – odpowiedział okrągłogłowy. – Ale możliwe, że Boga.

– Jest wielu bogów – Spartakusa już zaczynała nudzić ta rozmowa.

– Toteż jest napisane: „Okazuje moc pysznym, możnych zrzuca z tronów, dźwiga ponizonych i skromnych; głodnych karmi obficie, a bogatych odsyła z niczym”. I dalej napisano: „Duch Pana jest we mnie, bo namaścił mnie, bym przyniósł radosne wieści biednym, uleczył złamane serca, pocieszył będących w niewoli, otworzył oczy ślepcom i uwolnił ciemionych”.

– To brzmi lepiej – powiedział Spartakus. – Wierzysz w przepowiednie?

– Nie za bardzo – odparł okrągłogłowy i zmarszczył nos. Jednak cienkiej, sztywnej linii ust nie złagodził żaden zabawny grymas.

– Ja też nie. Wszyscy prorocy i wróżbici to oszuści.

– Różni są ludzie na świecie. Jedni mówią rzeczy miłe dla ucha możnych, a inni wykrzykują w noc swój gniew i żal.

– Ale ich mowa zawsze jest trudna i niejasna.

– Zawodowe sztuczki. Dobry krawiec szyje ubrania, które pasują na wielu ludzi.

Spartakus zastanawiał się; chciał zadać pewne pytanie, ale wydało mu się krępujące; zawstydził się. W końcu jednak spytał:

– Jeżeli nie wierzysz w przepowiednie, dlaczego nazwałeś mnie tym, którego nadejście zostało zapowiedziane – Synem Człowieczym?

– Ja? – powiedział okrągłogłowy. – Wcale cię tak nie nazwałem. Powiedziałem, że napisano, iż przyjdzie... – Zadrzał i ciaśniej owinął się derką: – Z przepowiedniami jest tak samo jak z ubraniami. Wiszą u krawca, a ludzie przechodzą obok, choć na wielu by pasowały. Ktoś wchodzi i bierze szatę. To znaczy, że uszyta jest dla niego – bo wziął ją sobie... Najważniejsze, że odpowiada czasom i stylowi. Musi wpasować się w gust swojej epoki, w pragnienia wielu ludzi, w ich potrzeby i tęsknoty...

Zmarszczył nos i odwrócił się. Spartakus milczał; patrzył na księżyc, gwiazdy, na krater, przyglądał się swoim paznokciom; w końcu powiedział z nagłą, nieoczekiwaną wrogością w głosie:

– Przedtem mówiłeś, że sam nie wierzysz w przepowiednie.

– Nie wierzę w żadne słowo mówione – odparł okrągłogłowy. – Wierzę tylko w jego skutki. Słowa są ulotne jak powietrze, ale powietrze staje się wiatrem, który pozwala żeglować statkom.

Spartakus nie odzywał się. Siedział na derce, rozstawiwszy szeroko nogi i podparł głowę pięściami; księżyc świecił mu prosto w twarz. Zamknął oczy. Światło było tak silne, że przez powieki czuł jego srebrzysty blask.

Nie wiedział, jak długo to trwało; może nawet zasnął. Przeciągnął się, ziewnął, poczuł chłód.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał. – Daj mi tę derkę.

Okrągłogłowy zerwał się, strzepnął koc i podał go Spartakusowi. Stali teraz obok siebie; retor był o całą głowę niższy, szczupły, wyglądał na słabowitego.

– Powinieneś jednak być nauczycielem, a nie masażystą – stwierdził Spartakus, naciągając na siebie jeszcze ciepłe okrycie. Ziewnął i położył się. – Zostań, możemy pogadać.

Mężczyzna, dygocząc z zimna, usiadł na kamieniu dwa kroki od głowy Spartakusa.

– Lepiej się prześpij – powiedział.

– Właśnie w tym rzecz, że nie mogę spać – odparł Spartakus. – Jakby mi w głowie bzycały roje much.

– Jesteś po prostu zmęczony. Mogę ci zrobić masaż?

– Opowiedz mi coś. Mówisz z nosowym akcentem, więc jesteś Syryjczykiem albo Żydem.

– Jestem esseńczykiem.

– Co to takiego?

– To długa historia.

– Opowiadaj.

– Dobrze. Napisano: są cztery rodzaje ludzi. Pierwsi mówią: to, co moje, jest moje, a co twoje – twoje; to jest plemię klas średnich, albo, jak niektórzy mówią, Sodomy. Drudzy mówią: co moje, to twoje, a co twoje – moje; to ludzie zwykli i skromni. Trzeci mówią: co moje, to twoje, a co twoje, to też twoje; ci są pobożni. A jeszcze inni: co moje, to moje, a co twoje, to też moje; ci są nikczemni. Tak jest napisane. A uczeni dodają: pierwszym z ludzi, który postępował według zasady „moje jest moje, a twoje – twoje”, był Kain, zabójca swego brata Abla i założyciel pierwszego miasta. Dlatego takie podejście, choć w naszych czasach bardzo rozpowszechnione, odrzuca się i nazywa drogą Sodomy. Trzeci pogląd, wyznawany przez świątobliwych, też jest odrzucany. Ponieważ nie posiadają oni dóbr ziemskich, pozbywają się nawet tego, co mają, by dowieść, że dążą do cnoty. To szczególnie rodzaj hipokryzji, którą można nazwać pychą słabych i która jest przede wszystkim głupia. Czwarta droga to droga wielkich właścicieli ziemskich i lichwiarzy. Obrzydliwa i nie do przyjęcia. Pozostaje druga – „co twoje, to moje, a co moje – twoje”, i tą drogą idziemy.

– To znaczy, że wszystko macie wspólne?

– Tak.

– A wasi niewolnicy też są własnością wszystkich?

– Nie mamy niewolników.

Spartakus zamyślił się.

– To znaczy, że jesteście plemieniem myśliwych i pasterzy?

– Nie, jesteśmy rolnikami i rzemieślnikami. Wszyscy pracujemy i wszyscy dzielimy się zyskiem.

– Śmieszne – powiedział Spartakus. – Skoro jesteście wolnymi ludźmi, a jednak pracujecie, jesteście niewolnikami samych siebie. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Pewnie tak – esseńczyk pokiwał głową. – Może i masz rację.

– Widzisz? Gadasz, gadasz, i od razu grzęzniesz w papce własnych słów. Niewolnik samego

siebie – to tak, jakby ktoś był własną żoną. Myśliwi i pasterze nie potrzebują niewolników, bo nie wykonują żadnej pracy. Ale jeżeli siejesz i zbierasz, coś wyrabiasz, handlujesz – musisz mieć niewolników, bez tego się nie da. Mężczyzna rozkazuje, kobieta rodzi, a niewolnik pracuje, bo taki jest porządek rzeczy. A wszystko inne to wydumane dyrdymały, które obrażają rozum i porządek.

– Tak myślisz? – spytał esseńczyk i pokiwał głową. – To chyba nie ty sprawiłeś, że w Kampanii wybuchły zamieszki, prawda?

– Siedz cicho – odparł Spartakus. – Ścigany nie będzie przestrzegał prawa. I twoje głędzenie nie ma tu nic do rzeczy.

– Tak myślisz? – esseńczyk podniósł kamień, przez chwilę ważył go w dłoni i cisnął w dół. Kamień potoczył się i zniknął im z oczu pochłonięty przez mgłę, ale wciąż słychać było, jak po drodze uderza o stok.

Kiedy znów zapadła cisza, esseńczyk powiedział:

– Gdybyś spytał ten kamień, dokąd się toczy, odparłby, że tak, jak go rzucono. Dla niego liczy się tylko to konkretne pchnięcie. A jednak nieświadomie podporządkowuje się powszechnie obowiązującemu prawu, w myśl którego wszystko jest przyciągane w dół.

Spartakus nie odpowiadał. Leżał na wznak; po jego prawej stronie wznosiła się ciemna ściana góry, z lewej w dół opadało strome zbocze.

Był zbyt zmęczony, by nadążać za słowami esseńczyka, ale czuł, że umysłem chłonie je jak gąbka.

Okrągłogłowy nie zwracał jednak na niego uwagi. Zdawało się, że w ogóle zapomniał o Spartakusie. Jak zaalarmowane czymś, wystraszone zwierzątko, siedział skurczony na swoim kamieniu, z wolna kołysząc głową tam i z powrotem; wyglądał jakby mówił do siebie i zapewne kolejny raz marszczył nos, bo w głosie jego pobrzmiwał tłumiony chichot:

– Ani srebro, ani złoto nie uratuje ich w dniu gniewu Jahwe, zaś całą ziemię pochłonie ogień jego zawiści. Płaczcie wy, którzy żyjecie z mielenia zboża, bo kupcy odeszli, a wszyscy, którzy zgromadzili pieniądze, zostali wyplenieni. Biada pasterzom, którzy sami jedzą, a nie żywią swoich stad. Biada tym, którzy dom kupują po domu i pola jedno po drugim, aż nie będzie już nic i tylko oni posiadą całą ziemię. Biada tym, którzy ustanawiają złe prawa i odbierają prawa biednym, by stali się ich łupem.

Biada, gdyż wasi przywódcy sprawują sądy dla nagrody, wasi kapłani nauczają tego, co im

się każe, a wasi prorocy wieszczą dla pieniędzy.

Biada, gdyż śpiewają przy dźwiękach harfy i układają swoje pieśni, piją wino z pucharów i namaszczają się olejkami, ale nie boleją nad nieszczęściem ludzkim.

Ale sprawiedliwość Jahwe dosięgnie ich i każdego, kto jest pyszny i się wywyższa – i ten będzie poniżony – i wszystkie cedry Libanu i wszystkie dęby Baszanu, i statki płynące z towarami po morzach, i mężów z Senatu, i tych, co urządzają krwawe zapasy, i wszelki przepych; bo Pan obnaży córę Rzymu i pozbawi je klejnotów. I będzie wielki płacz u Bramy Wschodniej i trwoga u innych bram i głośny lament z siedmiu wzgórz. Gdyż On nadejdzie, posłany przez Jahwe z mieczem i siecią, i trójzębem, On, którego namaścił Pan, by uleczył złamane serca, przyniósł światło oczom ślepców i uwolnił ciemionych.

– Ale już to słyszałeś wcześniej – zakończył okrągłogłowy zmienionym nagle głosem, a jego głowa przestała się kiwać, po czym można było poznać, że jednak wcale nie przemawiał wyłącznie do siebie.

– Mów dalej – odezwał się Spartakus.

– Zimno mi – stwierdził esseńczyk. – Oddaj mi derkę.

– Dobrze – odparł Spartakus, ale nie drgnął. Leżał z otwartymi oczami.

Esseńczyk jakby znów zapomniał o okryciu. W milczeniu usiadł na swoim kamieniu i zapatrzył się w pasma napływającej z wolna mgły.

– Nigdy nie słyszałem o bogu, który rzuca takie klątwy jak ten twój Jahwe – powiedział Spartakus. – Tak się wścieka na bogatych, że można by go wziąć za boga niewolników.

– Jahwe umarł – mówił okrągłogłowy. – I nie był Bogiem niewolników, tylko Bogiem pustyni. Był dobry w tym, co dotyczyło pustyni: potrafił sprawić, by woda wytrysnęła ze skały, a z nieba spadał chleb. Ale w ogóle się nie znał na przemyśle ani na rolnictwie. Nie mógł nakazać winnicy, by rodziła owoce, ani drzewu oliwnemu, ani zbożu, nie był Bogiem obfitości, tylko surowym, jak sama pustynia. Dlatego krzywi się i zrzędzi na dzisiejsze czasy, i nie może się w nich odnaleźć.

– Widzisz? – Spartakus był zawiedziony. – Skoro umarł, to jego proroctwa nie są już nic warte.

– Proroctwa nigdy nie są nic warte – odparł esseńczyk. – Tłumaczyłem ci to wcześniej, ale wtedy zasnąłeś. Nie liczą się proroctwa, tylko ten, kto ich słucha.

Spartakus leżał zamyślony, z otwartymi oczami.

– Ten, kto ich słucha, dożyje strasznych czasów – odezwał się po chwili.

– Tak jest. Czekają go okropne rzeczy.

– Ten, kto ich słucha – mówił Spartakus – będzie musiał wciąż biec i biec przed siebie, coraz dalej, aż piana wystąpi mu na usta i aż w wielkim gniewie zniszczy wszystko, co spotka na swojej drodze. Będzie biegł i biegł, a znak nie będzie mu dany i demon gniewu rozerwie mu trzewia.

Esseńczyk był już skostniały. Mrużąc oczy popatrzył na derkę. Spartakus milczał, a potem odezwał się:

– A dokąd dotrze – nawet ty nie potrafisz powiedzieć.

– Kto? – spytał okrągłogłowy.

Spartakus nie odezwał się.

– Mogę ci i to powiedzieć – podjął esseńczyk po chwili. – Bo jest wielu, którzy poznali Znak i usłyszeli Słowo.

– A wiesz, co się potem z nimi stało?

– Wiem, bo wielu było, ale żaden nie był pierwszy. Na przykład niejaki Agis, król Lakonii. Ten, kiedy dowiedział się od swojego nauczyciela, że był kiedyś wiek sprawiedliwości i wspólnej własności, nazywany Wiekem Złotym, postanowił go przywrócić. Arystokraci i bogacze byli naturalnie temu przeciwni, ale król rozdał swój majątek ludziom i z powrotem wprowadził stare prawa.

– I co z nim? – spytał Spartakus.

– Powiesili go. Był też człowiek imieniem Jambulos, który ze swym przyjacielem wyruszył w długą podróż morską. Pośrodku oceanu odkryli wyspę, na której Wiek Złoty panuje do dziś. Mieszkańcy tej wyspy tworzą wspaniałą społeczność, dzięki sposobowi życia, jaki przyjęli. Wspólna jest u nich własność, jedzenie i domy, ale także kobiety, przez co żaden mężczyzna nie wie, które dziecko jest jego. Dlatego nie znają uczucia dumy z majątku ani wywyższania się rodów. Więc, żeby pozbyć się dobrego przykładu, bogacze zabili Jambulosa po jego powrocie do kraju, pokój i błogosławieństwo jego pamięci, i teraz nikt nie wie, gdzie leży ta wyspa.

Spartakus milczał, leżąc z otwartymi oczami, wpatrzony w ustępującą ciemność. Esseńczyk przykucnął u jego głowy. Ciągnął dalej:

– Za każdym razem jest tak samo. Zawsze powstaje jeden człowiek, rozpoznaje Znak i słyszy Słowo, po czym podąża swoją drogą, przeniknięty wielkim gniewem, i wie, jak lud tęskni za

dawnymi, zapomnianymi czasami, kiedy panowała dobroć i sprawiedliwość. Jakże prawy był Izrael i jak wspaniałe jego namioty, gdy żył na pustyni, podzielony na plemiona, w przyjaźni z Jahwem...

– Zostaw tego swojego Jahwe w spokoju i mów dalej.

– Zawsze jest tak samo. Nie tak dawno, na przykład, żył na Sycylii niejaki Eunus, niewolnik. Miał przyjaciela imieniem Kleon, również niewolnika, który pochodził z Macedonii. Razem uciekli od swojego pana, wielkiego właściciela ziemskiego i wielkiego wyzyskiwacza niewolników. Zebrali jeszcze trochę takich jak oni sami i obozowali w lasach i na wzgórzach. Walczyli i zwyciężali żołnierzy, początkowo pewnie nawet bez specjalnego celu.

Przerwał i pokiwał głową. Ale Spartakus siadł wyprostowany i poganiał go niecierpliwie.

– No dobrze – powiedział esseńczyk. – Już mówiłem, że gromadziło się wokół nich coraz więcej ludzi, bez wyraźnego celu. Ale z celem czy bez, fakty mówią same za siebie. Szybciej niż mogli to sobie wyobrazić ich liczba rosła, wkrótce było ich stu, tysiąc, dziesięć tysięcy, siedemdziesiąt tysięcy. Siedemdziesiąt tysięcy – sami niewolnicy, armia niewolników; wszyscy niewolnicy na Sycylii przyłączyli się do nich.

– I co? – spytał Spartakus.

– Senat wysyłał przeciw nim kolejne legiony, a niewolnicy rozbijali je jeden po drugim. Przez trzy lata panowali nad niemal całą Sycylią. Gdyby Rzym zostawił ich w spokoju, stworzyliby Państwo Słońca, państwo dobra i sprawiedliwości.

– I co?

– A potem ich pobili – powiedział esseńczyk. – Dwadzieścia tysięcy ludzi ukrzyżowano; więcej krzyży niż drzew było wtedy na Sycylii; a na każdym z nich wisiał niewolnik i konając przeklinał Eunusa Syryjczyka i jego przyjaciela, Kleona z Macedonii, bo to oni winni byli ich śmierci.

– Winni? – spytał Spartakus. – Jak to winni?

– Bo dopuścili, by ich pobito – odparł esseńczyk i pokiwał głową.

– Mów dalej – nakazał Spartakus szorstkim tonem.

– Nie ma „dalej” na razie – odpowiedział okrągłogłowy. – Bo to wszystko wydarzyło się zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Ale sam widzisz, że miałem rację mówiąc, iż zwykli ludzie zawsze tęsknią za utraconą sprawiedliwością i że znów i znów powstaje jakiś człowiek i słyszy Słowo, i rusza w swoją drogę, przeniknięty wielkim gniewem. I jeśli nawet siły Sodomy

zwycięzą go i ukrzyżują, to minie jakiś czas i powstanie następny, a po nim znów kolejny, i będą przekazywać Wielki Gniew przez dziesięciolecia i będzie to jak olbrzymia sztafeta, która wyruszyła tego dnia, gdy rozpustny bóg miast i rolnictwa zamordował boga pustyni i pasterzy.

Stopniowo rytmiczny ruch objął całe ciało esseńczyka; kołysał się w przód i w tył na swym kamieniu, a kiedy pierwszy promień świtu przebił mgły, Spartakus spostrzegł, że uczony masażysta jest starym człowiekiem. Cienie wokół jego oczu już zniknęły, widać teraz było ciężkie worki pod oczami, a wyżej wygięte łukiem, zdziwione brwi. Nad surowymi, wąskimi ustami smutno sterczał nos jak u fauna. Ciało retora chwiało się i kołysało, jakby nie miał w biodrach kości.

Spartakus wstał, poprawił skórę zwisającą mu na plecach i przeciągnął ramiona, aż chrupnęło mu w stawach. Stał tak przez chwilę na rozstawionych nogach, z wyciągniętymi rękami, ogromny i wspaniały, z narzuconym niedbale futrem. Schylił się, by oddać starcowi derkę; esseńczyk natychmiast przestał się monotonicznie kołysać i owinął się nią starannie.

Spartakus podszedł do krawędzi zbocza, jeszcze raz popatrzył na jaśniejący wschód i na górę, której znajoma, oglądana za dnia sylwetka wyłaniała się stopniowo, rozpraszając urok, jaki jej dziwny kształt rzucał nocą. Nie usłyszał słów pożegnania starca ani nie odpowiedział na nie i ruszył w dół, ku obozowi, mocnymi krokami, rozbrzmiewającymi echem wśród skał zbocza.

Od strony namiotów dochodził daleki, hałaśliwy zgiełk; część gromady już się obudziła. W bladym świetle, nad głowami, krążyły szpetne czarne ptaki; Spartakus przypomniał sobie, że musi wydać rozkaz, by natychmiast spalono zwłoki – sześćset czy osiemset ciał, które zostały z pobitego wojska pretora Klodiusza Glabera.

Księga druga

KRĘTE DROGI

Interludium

Delfiny

Pisarz Kwintus Aproniusz czuje się ostatnio podle i jest w złym humorze. Ma kłopoty z trawieniem, męczą go skurcze żołądka i całego brzucha; zasnął, a to w ciągu osiemnastu lat jego służby zdarzało się naprawdę rzadko. Nerwowym krokiem, unosząc togę i przytrzymując ją na biodrach, śpieszy ulicami, pustymi o tak wczesnej porze dnia.

W miejscu, gdzie stragany z perfumami i maściami stykają się z targiem rybnym, kilka dni wcześniej wymalowano grubymi, na zmianę niebieskimi i czerwonymi literami, nowe ogłoszenie: impresario Marek Korneliusz Rufus ma zaszczyt zaprezentować łaskawej publiczności Kapui najlepszą ze swoich trup. Pierwsze przedstawienie odbędzie się jutro; sztuka nosi tytuł *Bucco wieśniak*; wskazane jest wcześniejsze rezerwowanie miejsc.

Aproniusz zna to na pamięć; każdego dnia staje przed ogłoszeniem, czyta je na nowo i kręci głową. Dużo się mówi o tej sztuce. Wspomina się nawet w związku z tym o teatralnym skandalu, który miał się wydarzyć, gdy zespół grał w Pompejach; incydent miał podłoże polityczne i pociągnął za sobą dwie ofiary, ale oczywiście cena wstępu jest dość mocno wyśrubowana. Lentulus Batiatus obiecał jednak, że dziś Pod Delfinami przedstawi Kwintusa Aproniusza Rufusowi; może więc uda się zdobyć darmowy bilet – ciekawe, czy dotrzyma słowa.

Podczas dłużących się godzin w sądzie handlowym, kiedy Aproniusz kreśli swoje niekończące się protokoły, skurcze w brzuchu i żołądku znów powracają. Z trudem doczeka chwili, gdy sędzia ogłasza odroczenie spraw i natychmiast śpieszy do term, nie zajrzawszy nawet do tawerny Pod Bliźniętami Wilczycy.

W podcieniach kwitnie jak zwykle bujne życie, ale Aproniusz nie traci czasu na słuchanie deklamacji ani sprośnych historyjek. Przeciskając się między rozplotkowanymi grupkami zauważa, że większy niż zwykle tłum gromadzi się wokół twórcy Fulwiusza; drobnego, niepozornego człowieczka z guzowatą czaszką, który najwyraźniej wygłasza swoją kolejną, wichrzącelską mowę. Co to on powiedział ostatnio? – „Żyjemy w wieku niedonoszonych rewolucji”. A dziś pewnie naucza o tych zbójcach z Wezuwiusza, którzy zagrażają spokojnym obywatelom Kampanii; może chciałby nawet, by się tu pojawili.

Aproniusz wchodzi wreszcie do marmurowej Sali Delfinów, zajmuje swoje zwykłe miejsce i z ulgą wzdycha, ale wkrótce jego oblicze znów się chmurzy; wygląda na to, że wszelkie dzisiejsze usiłowania są daremne. Już zamierza podnieść się i wyjść, kiedy zjawia się Lentulus pogrążony w żywej rozmowie z pulchnym mężczyzną ubranym w bardzo elegancką szatę kąpielową: to impresario Marek Korneliusz Rufus.

Obaj panowie zajmują dwa siedziska na prawo od Aproniusza. Z ledwie uchwytnym lekceważeniem pisarz zostaje przedstawiony wytwornemu przybyszowi, który lekko skłania się ze swojego miejsca i podejmuje dyskusję z Lentulusem. Mówią o dawnych czasach; najwyraźniej od lat się nie widzieli. Z toku rozmowy Aproniusz wnioskuje, że ich znajomość sięga okresu działalności politycznej Lentulusa w Rzymie i że wykwintnie odziany przedsiębiorca zajmował tam ważną pozycję; z szacunkiem słucha imion wielkich polityków – Sulli, Chrysogomusa, Krassusa, Pompejusza, Cetegusa – którym towarzyszą znaczące uśmiechy i aluzje czytelne tylko dla wtajemniczonych.

Elegancki impresario jest na pewno z pochodzenia Grekiem, może nawet z domieszką krwi lewantyńskiej. Aproniusz słyszał, jak mówiono, że był jednym z dziesięciu tysięcy wyzwolonych przez Sullę. Dyktator nadał im prawa obywatelskie, by w ten sposób wzmocnić własne stronnictwo. Bystrość i lotność umysłu, połączone z nienagannymi manierami, pomogły Rufusowi w szybkiej karierze – po śmierci Sulli powszechnie widziano w nim przyszłego przywódcę stronnictwa demokratów – dopóki mniej więcej przed dwoma laty z dnia na dzień nie zniknął ze sceny politycznej z powodu zakazanego związku z westalką. Od tamtej pory przerzucił się na import zboża i robienie interesów, a ostatnio podjął wędrowkę po prowincjach z trupą teatralną.

Rufus potrafi prowadzić interesującą rozmowę towarzyską; z gracją wychylony do przodu zasiada między swoimi delfinami, a jego światowa swoboda i dar wymowy sprowadzają szacownego organizatora widowisk do roli prowincjonalnego kmiotka. Opowiada zabawną historię o szoku, jaki jego trupa wywołała u reakcyjnej publiczności w Pompejach, aż wreszcie Lentulus przerywa mu pytaniem, czy na scenie wspomina się też o bandzie z Wezuwiusza – mówi o niej całe miasto i Lentulus jest skrycie dumny z faktu, że ci słynni zbójce zostali, można powiedzieć, wyhodowani w jego szkole.

Nie, odpowiada Rufus; cenzura, która i tak interweniuje wystarczająco często, z pewnością zabroniłaby wystawiania jakiegokolwiek sztuki otwarcie nawiązującej do ludzi Spartakusa. Jednak

szczerze mówiąc, to o nich właściwie jest mowa od początku do końca, kiedy to główny bohater, Bucco Wieśniak, postanawia po przeróżnych przygodach dołączyć do bandytów na Wezuwiuszu, jak to obaj panowie będą mieli okazję osobiście się przekonać. I zwracając się po raz pierwszy wprost do Aproniusza, impresario wyraża nadzieję, że zobaczy go wśród publiczności.

Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, wie, że nadszedł decydujący moment. Ale polityczna przeszłość Rufusa, a w jeszcze większym stopniu jego elegancki strój kąpielowy gruntownie go onieśmielają; chudy i nijaki, przycupnął na swoim siedzisku obok tych dwóch olśniewających postaci i przez cały czas, słuchając uważnie, łamał sobie głowę, jak znaleźć sposobność, by poruszyć temat upragnionego darmowego biletu. Teraz, gdy pojawia się niepowtarzalna okazja, błędnie; bez zastanowienia i naprawdę niemal bez jego udziału wargi, jękając się, wypowiadają słowa żalu i przeprosin, że już wcześniej był umówiony.

W tej samej chwili uświadamia sobie, że nieodwołalnie przegrał.

Impresario, uprzejmy i z lekka zdziwiony, wyraża z kolei swój żal, wstaje z miejsca, bierze pod ramię Lentulusa i udaje się do wewnętrznych pomieszczeń term. Aproniusz postępuje trzy kroki za nimi. Przygląda się z obrzydzeniem, jak delektują się kolejnymi etapami ceremonii: letnią i gorącą kąpielą, później parą i zimną wodą – patrzy, jak poddają się ugniataniu i klepaniu, pocą się, jęczą i wzdychają z rozkoszy. Humor poprawia im się do tego stopnia, że postanawiają pograć w piłkę; dwaj szacowni ludzie interesu, nadzy, pulchni i ociekający tłuszczem, pokrzykując i piszcząc, brykają jak para niewinnych dzieciaków; wkładają w tę grę duszę i serce, szczerze się ciesząc, że ich beztrudne, szczęśliwe usposobienie oparło się wszelkim burzom życia.

I kiedy później spoczywają obok siebie, miło zmęczeni, otuleni miękkimi ręcznikami, nastrój Kwintusa Aproniusza zaczyna się zmieniać. Pisarz uświadamia sobie, że nigdy jeszcze podczas osiemnastu lat służby nie znalazł się tak blisko ludzi, którzy mają za sobą podobną, wielką przeszłość polityczną. Czuje narastające emocje; ogarnia go nagle wielkie rozgoryczenie własnym życiem, skrywane do tej pory przed wszystkimi, nawet przed Pomponią. Przygnębiony, ze wzrokiem wbitym w sufit, zdaje sobie sprawę, że nie zdoła się oprzeć coraz wyraźniejszej potrzebie zwierzeń.

Z wahaniem zaczyna opowiadać, jak kiedyś żywił wielkie ambicje, jak chciał odejść z urzędu, podróżować po obcych krainach i zyskać zaszczytne uznanie, publikując filozoficzny traktat o zaparciu jako załączku wszelkich rewolucji. Aby ten cel osiągnąć, zainwestował

wszystkie swoje oszczędności, owoc dziesięciu lat pracy, w udziały w spółce ściągającej podatki w prowincji Azji. Trzy miesiące później Sulla rozwiązał spółkę i z dnia na dzień udziały w niej stały się bezwartościowymi papierami, a on, Kwintus Aproniusz, został zrujnowany do końca życia.

Impresario, któremu muskularna służąca właśnie okłada brzuch gorącymi ręcznikami, odwraca głowę i uważnie przygląda się pisarzowi.

Jego spojrzenie przesuwają się po chudej postaci Aproniusza, od spadzistych ramion po spiczaste kolana i zaniedbane paznokcie owłosionych palców u stóp. Aproniuszowi zdaje się, że ten człowiek wie o nim wszystko: zna jego comiesięczny budżet, wie o poddaszu i o schodach od podwórza, nawet o starej, kościstej Pomponii z miotłą w rękach. Rufus odwraca się i uśmiecha, po części z rozbawieniem, a trochę z politowaniem.

– Posłuchaj, przyjacielu – mówi – nie byłeś jedynym poszkodowanym. Historia Azjatyckiej Spółki Podatkowej jest dość złożona, ale pouczająca. Chciałbyś jej posłuchać?

Aproniusz przełyka ślinę i kiwa głową w milczeniu.

– Słuchaj więc – zaczyna Rufus, wciąż uśmiechając się, jakby przemawiał do dziecka. – Spółka, która wydzierżawiła od państwa ściąganie podatków w prowincji azjatyckiej, i której ty także powierzyłeś swoje pieniądze, była rzeczywiście bardzo rozsądnie pomyślanym interesem.

Tyle że wszyscy jej szefowie należeli do ekwitów, czyli do nowej arystokracji finansowej, a Sulla miał nieuleczalną słabość do sfer o starożytnym rodowodzie. Nienawidził arystokracji pieniądza; każdy, kto chciał zajmować jakiś urząd, musiał dowieść, że jego przodkowie ssali rzymską wilczycę. Dlatego oświadczył, że spółka okrada podatników, zniecka ją rozwiązał i zapowiedział, że od tej pory podatki będą ściągane przez samo państwo, czyli namiestnika prowincji Azji. Nic dziwnego, że skutki okazały się dla wszystkich miażdżące. Po pierwsze, pieniądze stracili drobni udziałowcy. A po drugie, podatnicy w Azji wyszli na tym gorzej niż przedtem, ponieważ namiestnik – pamiętaj, że był nim młody Lukullus – nie miał pojęcia, jak elastycznie zarządzać skomplikowanym systemem pobierania podatków, choć niewątpliwie miał przepiękne drzewo genealogiczne.

Przy okazji, może cię pocieszy fakt, że większość prominentnych osób w Rzymie ucierpiała tak samo jak ty. Czy mam mówić dalej? Młody Cyncero był w tym czasie na drodze do kariery. Miał dwadzieścia siedem lat, a jego kochanką była pani Cerelia, mocno zaangażowana finansowo w azjatycką spółkę. Podobnie jak ty, straciła połowę swojego majątku; Cyncero poruszony tą

sytuacją, omal nie zwrócił się przeciwko Sulli. – Chrońcie nową arystokrację – wołał w publicznej mowie na Forum. – Chrońcie ekwitów, którym zawdzięczamy skarby! – mało co nie zagadał się na śmierć, dosłownie i w przenośni.

Rufus uśmiecha się, zatopiony we wspomnieniach. Pisarz Aproniusz, oszołomiony, kiwa głową. Oczekiwał pociechy, zrozumienia, wyrazów współczucia; zamiast tego ów wielki człowiek mówi o jakichś mętnych interesach, których w ogóle nie da się pojąć i które jemu, Aproniuszowi, wydają się złowrogim spiskiem uknutym wyłącznie po to, by ograbić go z oszczędności.

– ...To nie koniec opowieści – Rufus uśmiecha się i ma jeszcze wiele do dodania – chcesz słuchać dalej, Aproniuszu? Następcą Lukullusa został Gnejusz Korneliusz Dolabella. Ten był bardziej wyrozumiały i po cichu znów zaczął wypuszczać pobieranie podatków w dzierżawę różnym ekwitom i ich spółkom. Pośredniczył w tym bankier Marek Krassus i niejaki Chrysogomus, znany faworyt Sulli. Smutne to, ale sytuacja podatników w Azji i tym razem wcale się nie poprawiła; wprost przeciwnie – ich należności wzrosły z dwudziestu do czterdziestu tysięcy talentów, by pokryć straty, jakie poniosła spółka. Tamtejsi mieszkańcy mogli albo zastawić skarby świątynne, oddać wpływy z teatrów, sprzedać swoje dzieci na targu niewolników na Delos, albo uciec i dołączyć do piratów. Dlatego, kiedy tylko Dolabella zakończył urzędowanie, został oskarżony o zdzierstwo. Ale Krassus i jego przyjaciele zadbali, by go uniewinniono.

Oskarżenie wniósł młody arystokrata, którego romanse i przygody na dworze króla Bitymii ubawiły cały Rzym; nazywał się Gajusz Juliusz Cezar.

Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, wraca samotnie do domu. Znów czuje skurcze i kłucia w brzuchu i żołądku; od wszystkiego, co usłyszał, kręci mu się w głowie. Przez całe osiemnaście lat służby nie dowiedział się nawet połowy tego, co o ukrytych mechanizmach polityki Rzymu powiedziano mu dziś, w ciągu jednego, bogatego w wydarzenia popołudnia. Oszołomiony potrząsa głową i mamrocze pod nosem szyderstwa. Cóż to za dżungla, zgnilizna, jakaż otchłań otwarła się przed jego oczami! Szumowiny, takie jak ci dwaj, karierowicze i rekiny w interesach, zza sceny pociągają za sznurki republiki, spiskują i okradają uczciwych obywateli i są przyczyną wszystkich nieszczęść. A on, Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, zachowywał się w ich obecności jak wystraszony uczeń i wpatrywał się w nich z podziwem!

Ale od dziś wszystko się zmieni. Następnym razem, kiedy któregoś z nich spotka, powie mu kilka słów prawdy! A na corocznym spotkaniu Czcieli Diany i Antinousa wygłosi zjadliwą, demaskatorską mowę: najwyższy czas, powie, by te skorumpowane kanale przegonił silny człowiek, który konsekwentnie oczyści te stajnie Augiasza! Bardzo dobrze, niech ci zbóje rzeczywiście przyjdą do Kapui i wywrócą wszystko do góry nogami, sąd, termy, Salę Delfinów, skończy się wreszcie przynajmniej ta harowa i strach.

Ciemność zalega nad dzielnicą oskijską, kiedy pisarz Aproniusz opuszcza gospodę Pod Bliźniętami Wilczycy i rusza do domu. Wbrew swym zwyczajom wypił do kolacji wino, mocne falerno, by zagłuszyć melancholię i bóle brzucha. Krocząc pustymi ulicami i niedbale ciągnąc za sobą w kurzu urzędniczą togę, śpiewa zuchwałą, prowokacyjną piosenkę; piosenkę bandytów.

Wspina się po tylnych schodach do swojego mieszkania, po drodze noga mu się ześlizguje; Aproniusz omal nie spada. Ale śpiewa dalej, siada na stopniach gdzieś między drugim i trzecim piętrem, choć wcale nie kręci mu się w głowie; śpiewa przed siebie, w noc, piosenkę bandytów i wybija rytm swymi patykowatymi, owłosionymi nogami.

Niech tu przyjdzie ten wódz barbarzyńców, ten Spartakus, niech przyniesie zamęt i zniszczy to wszystko – domy, delfiny, sąd handlowy; wielkie nieba, po co komu taki świat?

1. Wiec

Gromada zamieszkała w biegnącej łukiem, górskiej dolinie, w namiotach po Klodiuszu Glaberze, żywiła się jego zapasami i wypijała jego wino.

Ale w trzewiach góry, na dnie krateru, każdej nocy zapalał się ogień, którego światło padało daleko w głąb kraju.

Wyglądało to tak, jakby Wezuwiusz znów wyrzucał płomienie, jak w legendarnych czasach, a czerwony dym unoszący się nocą z krateru był dla ludzi z dolin znakiem zwycięstwa, które armia odważnych i sprawiedliwych odniosła nad legionami Rzymu.

Bowiem to właśnie i nic innego głosiła plotka, przebiegająca kraj szybciej niż najszybszy kurier Senatu. Im dalej od miejsca zdarzeń, tym radośniej i bardziej wzniosłe brzmiały opowieści; i tak jak przybrzeżna fala nie pamięta kształtu kamienia, na którym się rozprysła, tak i legenda zapomniała o naprędce zorganizowanej armii łysego pretora, zdanej zaledwie do walki ze zbieraniną obszarpanych zbójów i parszywych gladiatorów. Plotka mówiła co innego: Rzym został pokonany, a zwyciężyli go niewolnicy. Mówiła też o przeciwniku, herosie wielkiej postury, okrytym tylko skórą zwierzęcą, który do swej gromady mścicieli przyjmował biednych i ciemieżonych.

Coraz szersze kręgi zataczało po kraju to przesłanie rozchodzące się z wyniosłego szczytu góry. Docierało do jałowych wyżyn Lukanii, ziemi obiecanej pasterzy i bandytów; pędziło jak burza przez ruiny, w które dzięki Sulli obróciło się pyszne niegdyś Samnium. A w samej Kampanii trwała wędrówka ludzkich rzesz.

Wcześniej przychodzili pojedynczo albo dwójkami – teraz napływały setki. Przedtem przemykali się tajemnymi ścieżkami na wyspę wśród bagien – teraz pieli się pod górę, jak oddziały wojska, śpiewając zuchwałe pieśni.

Dwustu niewolników z dóbr senatorskich w pobliżu Cumae w pełnym powagi pochodzie wmaszerowało do obozu; byli półnaczy, bosi i w lachmanach. Trzej idący na przedzie nieśli wysokie drzewce na wzór znaków legionów, z przywiązanymi do niego żelaznymi kajdanami i dziewięciorzemiennym batem do chłosty.

Przybyła długa kolumna kopaczy, zatrudnionych przy budowie stawu rybnego dla Lukullusa; na czele niesiono ogromną murenę, z ludzką głową w szczękach.

Z Nucerii przyszło bractwo wolnych budowniczych, którzy stracili pracę, gdy rada miasta kupiła cały statek niewolników syryjskich i zaczęła wynajmować ich grupkami za małe pieniądze wszystkim przedsiębiorcom budowlanym. Byli to ludzie zacni, porządnie ubrani; przynieśli ze sobą pieniądze swojego towarzystwa oszczędnościowego, z którego procenty pokrywały koszt ich corocznych wspólnych uroczystości.

Nadeszli pierwsi lukańscy pasterze. Przyprawdzili wielkie, groźne psy i nieśli sękate kije, podobne do pałek. Plecy okrywali skórami dzików albo wilków, jak barbarzyńscy wojownicy, mieli długie brody i porośnięci byli włosami na całym ciele.

Przyszło dwustu służących wytwornego mieszkańca Pompejów; nieśli drewniany fallus z napisem: „Oto nasz pan, Gajusz; żadna inna jego część nie jest warta uwagi”.

Ale większość przybywających niosła jako swój znak zwykły krzyż, drewniany symbol niewolnictwa.

W łukowatej dolinie zwanej przedsiemkiem piekła każda grupa budowała własny obóz. Każda z osobna gotowała sobie jedzenie i śpiewała swoje pieśni. Mówili po celtycku, tracku, oskijsku, po syryjsku, w języku Latynów, Cymbrów i Germanów. Nie przepadali za sobą nawzajem, a starcia były na porządku dziennym. Wymieniali wieprzowinę na pałki, wino na buty, kobiety na broń, broń na pieniądze.

Ci, którzy tworzyli pierwszą, najstarszą grupę, przechadzali się po obozie, spoglądając łaskawie na milczącą i podenerwowaną cizbę. Gladiatorzy puszyli się ubrani w najlepsze stroje pozostałe po rzymskich oficerach; na pierwszy rzut oka można było ich rozpoznać i pokazać nowo przybyłym. Ze szkoły Lentulusa w Kapui pozostało ich jeszcze pięćdziesięciu; ale ich grupa, zwana grupą gladiatorów, wkrótce liczyła pięć tysięcy ludzi.

Obóz szczycił się też pewną liczbą znakomitości, na widok których odwracały się wszystkie głowy. Retor Zosimos krążył od jednej grupy do drugiej, żartował, rzucał uczone powiedzonka, zbierał dowody uznania i szyderstwa; jedyny w całym obozie nosił togę. Pasterz Hermios grał przed swymi ziomkami, prymitywnymi Lukanami wielkiego pana, błyskał zębami, chełpił się służbą w armii Kampanii i znajomością świata.

Mały Kastus z przejęciem dreptał w tłumie, przystawał tu i ówdzie, bawił się srebrnym naszyjnikiem, opowiadał o wyczynach starej gwardii na rozlewiskach rzeki Clanius; był podziwiany i nielubiany. Kobiety uganiały się za Ojnomaosem, zachwycone jego dziewczęcą urodą; mówiło się, że nigdy jeszcze nie miał żadnej i że choć jest gladiatorem, układa poezje.

Kriksos peszył i budził szacunek; kiedy kroczył przez obóz – gruby, posępny i apatyczny – rozmowy zaczynały brzmieć sztucznie, a młodzi ludzie unikali jego spojrzenia. Krążyły o nim sprośne opowieści; mówiono, że sypia na zmianę z kobietami i mężczyznami, co samo w sobie nie jest niczym złym, ale jeśli człowiek to robi, to powinien wyglądać inaczej.

I wreszcie był Spartakus.

Wielu nowo przybyłych zastanawiało się po kilku pierwszych dniach, co jest w nim tak szczególnego; był to częsty temat wieczornych rozmów, a gadało się dużo, bo czasu nie brakowało.

Jedni twierdzili, że to oczy – inni, że spryt. Zdaniem kobiet chodziło o głos albo o piegi. Ale spotykało się przecież wśród nich innych, o podobnych oczach i być może równie bystrych; piegów i ładnych głosów też było pod dostatkiem.

Filozofowie i uczeni mówili, że decyduje nie jakaś pojedyncza cecha, ale całość: coś, co nazywa się „osobowością”. No cóż, brzmiało to uczenie i sztucznie, jak wszystko, co uczone, ale w końcu każdy ma jakąś „osobowość” – jedni taką, drudzy inną, i to niczego nie tłumaczyło.

Zosimos, przytykając palec do nosa, mówił:

– To siła woli daje mu moc – i dodawał jeszcze kilka podobnych, zgrabnych i efektownych sentencji. Ale kiedy się człowiek zastanowił nad tym, pomijając piękną formę, to gdzież jest człowiek, który nie powoduje się wolą? Gdyby wszystko zależało jedynie od niej, to właściciele ziemskich w Italii dawno wygubiłaby zaraza, a każda panna chodziłaby z brzuchem.

Noo, mówił Zosimos, może nie całkiem dokładnie to miał na myśli; problem nie leży w życzeniach, ale w działaniu. W działaniu? Byli kiedyś bracia Eunosowie z Benewentu; we trójkę zabili swojego pana i wygłosili do współtowarzyszy mowę, z której wynikało, że powinni zostać wolnymi bandytami, a nie służącymi, jak do tej pory. I co się stało? Powiesili ich, tych braci Eunosów, powiesili, wszystkich trzech, razem z ich wolą, działaniem i osobowością.

Krótko mówiąc, jak się dobrze przyjrzeć, ludzie są do siebie podobni; jeden może być tęższy, drugi trochę sprytniejszy, trzeci będzie przemawiał jak anioł, a czwarty straszył haczykowatym nosem – ale wszystko to w najmniejszej mierze nie tłumaczy, w czym tkwi osobliwość Spartakusa. A jak się znów porządnie zastanowić i przeanalizować, można dojść do wniosku, że właściwie nie ma w nim zupełnie nic szczególnego. Spartakus to Spartakus: chodzi po obozie w tej swojej skórze, wysoki, lekko zgarbiony jak drwal, błądzi gdzieś wzrokiem, mówi mało – ale jak coś powie, wydaje ci się, że dokładnie to samo miał na języku, a jeśli powie coś wręcz

przeciwne, natychmiast okazuje się, że właśnie to chciałeś powiedzieć. Uśmiecha się rzadko, a jeśli już, to na pewno ma po temu istotny powód i wtedy jego uśmiech naprawdę rozgrzewa człowiekowi serce. Ma mało czasu, więc kiedy przysiada się do jakiejś grupy – powiedzmy do służących Fanniusza albo pasterzy z Lukanii – nikt nie robi zamieszania; każdy jest zadowolony i wydaje mu się, że wreszcie wie, po co kręci się i zabija czas na tej niesamowitej górze, zamiast nadal wieść rozsądne i uporządkowane życie, stosowne do swej pozycji społecznej.

Kiedy Kastus każe coś zrobić, słuchają go, bo nie jest rzeczą roztropną sprzeciwiać się „hienom”. Kiedy rozkazuje Kriksos, są posłuszni, bo wzdygają się przed tym tłustym, ponurym człowiekiem. Ale kiedy Spartakus powie cokolwiek, nikomu się nie śni protestować, po prostu dlatego, że żaden protest nie przychodzi do głowy. Nie ma żadnego sensu pragnąć czegoś innego niż on; czyżby Spartakus nie chciał dokładnie tego samego, co wszyscy?

Nie można oczywiście zapominać, że każdy ma własne życzenia.

Jeden chciałby zostać tu na zawsze i objadać się do syta po kres swoich dni. Drugi wołałby, żeby wszyscy razem pomaszerowali do Puteoli i spalili dom jego pana łącznie z właścicielem. Trzeciemu marzy się zwycięstwo, a potem podróż statkiem do Aleksandrii, gdzie jest pod dostatkiem kobiet. Czwarty chce iść do Kapui, zmieść miasto z powierzchni ziemi i zbudować nowe. Piąty pragnie wojny z Rzymem. Szósty najchętniej wróciłby do domu, do swoich – po co, na bogów, tu przyszli? Siódmy wybrałby Sycylię, gdzie już kiedyś niewolnicy zbuntowali się przeciw Rzymowi. Ósmy woli dołączyć do piratów z Cylicji, dziewiąty życzy sobie wspólnych żon, a dziesiąty domaga się zakazu jedzenia ryb. Każdemu marzy się coś innego, więc gada, kłóci się albo milczy. Ale każdy czuje i wie, że człowiek noszący na ramionach skórę, choć nic konkretnego go z nim nie łączy, chce dokładnie tego samego co on i skupia w sobie pragnienia i nadzieje wszystkich, choćby i sprzeczne ze sobą i nic ponadto.

Ale może to właśnie było jego szczególną cechą.

Nadchodziły deszcze.

Przeszło już pół miesiąca od dnia, kiedy rozgromili Klodiusza Glabera; licząc od ucieczki siedemdziesięciu z Kapui, minęły blisko trzy.

Na Wezuwiuszu kurczyły się zapasy. Wyprawy w doliny przynosiły coraz mniej; ogołocoło już całą okolicę, łącznie z Herkulanum, Nola i Pompejami. W promieniu dziesięciu mil rajską równinę Kampanii leżała naga, jak spustoszona przez szarańczę. Miasta zostały zamknięte, wzmacniano garnizony i naprawiano mury.

A ludzie wciąż napływali na górę gromadami, brodaci, obdarci, z piętnem wypalonym na ramionach i obolałymi stopami. Po drodze plądrowali majątki i omijali miasta. Przynosili ze sobą kosy, łopaty, topory i pałki. Męty ziemi błogosławionej, odpadki używające jej pola; cuchnęli, a w ich ciałach nic nie było zdrowe. Przywlekli do obozu choroby i nałogi, wnieśli jako wiano głód i mgliste nadzieje.

Nie witano ich zbyt serdecznie. Kto mieszkał w obozie od dziesięciu dni, patrzył z góry na tych, którzy przyszli trzy dni temu, ci zaś podobnie traktowali najświeższych, wczorajszych przybyszów, siebie samych uważając za zasiedziały od dawna. Zaczynali się nudzić, tkwiąc tak i czekając na niewiadome. Ten i ów sarkał albo wracał do domu. Nikt ich nie zatrzymywał. Pięć tysięcy ludzi żyło na zboczu góry. Mówili różnymi językami, jedli, dyskutowali, toczyli rozmowy i kłótnie o łupy i kobiety, zawierali przyjaźnie, śpiewali i zabijali się nawzajem. Czekali, ale nie wiedzieli na co.

Nawet wśród gladiatorów nie było zgody, co robić dalej. Tylko pięćdziesięciu miało wstęp na narady w głębi krateru, poprzedzane tajemniczymi przygotowaniem. Służący Fanniusza musieli wcześniej dostarczyć tam wiele bukłaków z winem, a sami gladiatorzy idąc na obrady przybierali poważny, senatorski wyraz twarzy. Ale nigdy nie podjęli żadnych ważnych decyzji, gdyż ilekroć zanosilo się na pytanie, co należy dalej robić, zaczynały się uniki, podnoszono nieważne kwestie, rozlegały się kłótnie i śmiechy i nikt już nie pamiętał, że trzeba o czymś zdecydować.

Spartakus nigdy nie wypowiadał się na temat pomysłów, które pojawiały się co dzień jak grzyby po deszczu. Słuchał w milczeniu i dopiero pod koniec, kiedy wszystko zaczynało rozmywać się w chaotycznej gadaninie, zwięźle zabierał głos w sprawach drugorzędnych, które nie mogły czekać: zaopatrzenie, przydział broni, obozowiska dla nowo przybyłych. Nikt mu się nie sprzeciwiał, bo to, co proponował, było rozsądne i zrozumiałe; czuło się jednak powszechne rozczarowanie, ponieważ wbrew oczekiwaniom nie dawał wskazówki w sprawie najważniejszej.

A on zdawał się tego nie zauważać.

Zdołał natomiast stopniowo zorganizować luźne grupy w centurie i kohorty, stawiając gladiatora na czele każdej jednostki. Potem opowiedział im, w jaki sposób myśliwi z gór Tracji sporządzają sobie broń: okrągłe, wyplatane tarcze pokryte świeżo wyprawioną skórą i drewniane dzidy o szpicach hartowanych w ogniu. Na koniec podzielił ich na straż przednią, piechotę i odwody; ciężką kawalerię wyposażoną w zbroje i włócznie poległych Rzymian oraz lekką jazdę

uzbrojoną w miecze i proce.

Wszystko to zabierało czas; mijał dzień za dniem, rzadko który bez kłótni i zabójstw; dostawy żywności malały, a deszcze były coraz bliżej.

Ale kiedy przeszły dwa miesiące od pokonania Klodiusza Glabera, Spartakus osiągnął cel: na zboczach Wezuwiusza z bezkształtnej masy stworzył armię.

Któregoś pięknego dnia, dwa miesiące po zwycięstwie nad Klodiuszem Glaberem, służący Fanniusza nieśli od jednej do drugiej grupy tę samą wiadomość:

– Wybierzcie spośród siebie starszyznę i swoich przedstawicieli, jednego na każdą dziesiątkę – mówili. – Niech przyjdą do krateru. Będzie wielka narada.

Nastąpiło powszechne poruszenie. Poszczególne grupy mieszały się ze sobą; zaczęły się głosowania, dyskusje i domysły; krążyło coraz więcej plotek. Obóz obudził się i otrząsnął z oczekiwania, jak z głębokiego snu.

Na krawędź gardzieli ruszyła niekończąca się procesja. Do grona radzących dopuszczono tylko starszyznę i delegatów każdej dziesiątki, ale na prowadzącej w górę ścieżce tłoczyli się wszyscy; co śmielsi wspinali się po nagich skałach. Kiedy dotarli na szczyt, po raz pierwszy ujrzeni wewnątrz krateru, stopione odłamki i spękane bloki kamienne o dziwnych kształtach. Zbiegli w dół po osuwającym się rumowisku, zgromadzili się na dnie, rozbiegani, podekscytowani, pokazywali nowo przybyłym pamiątki z oblężenia: zbiorniki Traków i Celtów, szkielety zarżniętych mułów. Ostre promienie słoneczne padały do wnętrza krateru, na rosnący tłum, i zlewały go w ogromną, pocącą się, wielobarwną masę. Nawet zbocza upstrzone były ludźmi; siedzieli na poczerniałych blokach, kurczowo trzymając się mocnej płataniny dzikiej winorośli, która porastała rumowisko. Część usadowiła się na krawędzi i stamtąd patrzyła w dół.

Pod skwarным niebem krater huczał głucho jak ogromna muszla.

Spartakus zaczął mówić, ale jego głos utonął w szumie. Stał w swojej skórze na wielkim, sterczącym odłamie skalnym, w połowie zbocza, a obok niego Kriksos, kilku gladiatorów i służących Fanniusza. Odór zgromadzonych zlał się w jedno; ich oczekiwania docierały do niego jak wspólne, powszechne pragnienie. Niezgrabnie podniósł rękę – natychmiast gladiatorzy i osiłki stojący za nim powtórzyli jego ruch, i zapadła cisza.

Spartakus zaczął jeszcze raz; ściany krateru odbijały i zwielokrotniały jego głos.

– Nadchodzą deszcze – mówił – a żywności jest coraz mniej; musimy znaleźć kwatery na zimę.

„Ma rację” – pomyślał pasterz Hermios, który przycupnął na rumowisku po drugiej stronie. – „Mnie też to niepokoi” – myślał. Wyszczrzył zęby z aprobatą i popatrzył na Spartakusa. Stał na skale, wysoki, wspinały w swoim okryciu ze skóry. Mówił niewiele głośniejszym niż zwykle, spokojnie, jakby zwracał się wyłącznie do Hermiosa.

– Niewykluczone, że Rzymianie wyślą kolejne wojska – powiedział.

– Musimy znaleźć miasto na zimę, miasto otoczone murami, nasze własne.

Nie to zamierzał powiedzieć. Nie można zdobyć miasta z murami bez odpowiednich machin oblężniczych. Gruby, ociężały Kriksos, który stał u jego boku, odwrócił głowę i popatrzył na Spartakusa pochmurnie.

Wiedział, że kto nie ma potrzebnych machin, nie zajmie miasta, a i te pięć tysięcy zgromadzonych w kraterze wiedziało to równie dobrze.

Ale pięć tysięcy milczało, wsłuchane w świszczący oddech tłumu, który był ich własnym oddechem; czuło zapach tłumu, który był ich własnym zapachem i wiedziało, że ten człowiek stojący wysoko na skale ma rację, i że wszystko stanie się możliwe, kiedy tego zapragną.

– Miasto – mówił Spartakus – z domami i mocnymi murami, nasze własne. I kiedy przyjdą Rzymianie, połamią sobie zęby o mury tego miasta, które będzie należało do nas. Miasta gladiatorów i niewolników.

Dopiero teraz zorientował się, że zapadła cisza. Słyszał swój własny głos odbijany ze wszystkich stron przez ściany krateru. Słyszał oddech tłumu jak jedno tchnienie, czuł jedno wspólne oczekiwanie.

– A będzie się ono nazywało Miastem Niewolników – jego głos rozbrzmiewał obco w kraterze. – Pamiętajcie, że osiągniemy to, czego zapragniemy, i że nikt w naszym mieście nie będzie sługą. Może będzie ich więcej niż jedno; może powstanie związek Miast Niewolników. Nie myślcie, że mówię ot tak sobie, ponieważ coś takiego już kiedyś istniało, dawno, dawno temu. Nazywało się Państwem Słońca...

Przez cały czas myślał o machinach oblężniczych, których nie mieli.

To o nich właśnie miał mówić, a opowiada o Państwie Słońca. Jak przez rozgrzaną, rozedrganą zasłonę zobaczył esseńczyka siedzącego na kamieniu naprzeciwko, z zaciśniętymi surowo ustami, i kiwającego głową w zasluchaniu. Widział, jak pasterz Hermios patrzy i szczyrzy zęby. W nozdrzach czuł zapach tłumu.

– Dlaczego silni mają służyć słabym? – wołał do nich, wyrzucając nagle ramiona w górę,

jakby pociągnięte niewidzialną siłą – a mocni zniewieściałym? Czemu wielu ma służyć garstce? Pilnujemy ich bydła i odbieramy zakrwawione cielęta matkom, ale nie dla swoich własnych stad.

Budujemy im stawy, ale nie możemy się w nich kąpać. Jest nas wielu i mamy służyć garstce – dlaczego, powiedzcie mi, dlaczego?

Nie myślał już o machinach oblężniczych; słuchał własnych słów, które napływały same, nie wiadomo skąd, ogarniały wszystkich zebranych w kraterze, wciągały ich w swój wir, wypełniały uszy jak piana, podczas gdy wzrokiem chłonęli obraz człowieka okrytego skórą, rysujący się ostro na tle nagiej, skalnej ściany.

– Jest nas wielu – mówił Spartakus – i służyliśmy im, bo byliśmy ślepi i nie pytaliśmy, dlaczego. Ale gdy tylko zaczniemy pytać, nie będą już mieli nad nami władzy. Powtarzam wam, chwila, kiedy zaczniemy pytać, będzie oznaczać ich koniec i zgniją jak ciało człowieka, któremu odrąbano ręce i nogi. A my pójdziemy naszą własną drogą i będziemy się z nich śmiać. I w ślad za nami śmiechem zabrzmi cała Italia, od Galii po Tarent i Afrykę. Cóż to będzie za śmiech i jaki płacz rozlegnie się pod Wschodnią Bramą, i jaka trwoga przy innych bramach, jaki lament spłynie z siedmiu wzgórz! A wtedy będą niczym wobec nas, a mury ich miast rozpadną się same, bez machin oblężniczych.

Przerwał, w zdumieniu słuchając echa własnych słów. Tłum znów zniknął za mgłą; Spartakus widział teraz tylko esseńczyka, który siedział na kamieniu po drugiej stronie i kiwał swoją okrągłą głową. Ale po chwili wróciła myśl o machinach:

– Jeszcze raz wam powtarzam: potrzebne jest nam warowne miasto, nasze własne. Miasto, w którego murach znajdziemy schronienie. Ale nie mamy machin oblężniczych...

Tłum zafalował niespokojnie. Ci, którzy stali stłoczeni na dnie krateru, zaszurali nogami i poruszyli się, jakby sprawdzając kończyny, otrząsając się z wielkiej ciszy i zauroczenia.

– ...Nie mamy machin oblężniczych, a nieprawdą jest, że mury miast upadają z własnej woli. Ale rozbijemy obozy pod ich bramami, i każdą furtką, każdą szparą wyślemy przesłanie do niewolników w całym mieście, i będziemy je powtarzać tak długo, aż pełne go będą ich uszy: „Gladiatorzy Lentulusa Batiatusa z Kapui pragną spytać was, dlaczego wielu ma służyć garstce, a silni – słabym”. To pytanie zasypie ich jak grad kamieni z potężnych katapult, a niewolnicy z miasta usłyszą je i podniosą swoje głosy w proteście, i przyłączą się do nas, wzmacniając nasze siły.

A wtedy nie będzie już żadnych murów.

Dostrzegł teraz kilka kobiet. Nie spuszczały z niego wzroku; widział, jak wstrzymują oddech, jak wielkie wrażenie robi na nich jego głos. Mężczyźni reagowali podobnie; gdyby zechciał, zabiliby Kriksosa; gdyby im kazał, wyruszyliby natychmiast.

Mówił teraz o odległych początkach gromady, o tym, jak z pięćdziesięciu zrobiło się pięć tysięcy. O gniewie zakutych w kajdany i uciskanych, który położył się ciężarem na całej Italii, i o tym, jak złościł sobie drogi, by pędzić naprzód, podobny do strumyków tryskających spod zwalistych gór. I o tym, jak to oni, pięćdziesięciu gladiatorów Lentulusa, wykopali jedno, wspólne szerokie łożysko dla wszystkich tych małych strumieni niezadowolenia, aby połączyły się w potężny potok, który zniósł Klodiusza Glabera i jego wojsko. I jak ważne jest, by ująć w ryzy ten prąd i zapanować nad nim, by nie zmarnować jego siły. I że dlatego muszą zdobyć pierwsze warowne miasto jeszcze przed nadejściem deszczów, a związek Miast Niewolników rozszerzy się na całą Italię i stworzy ogromne państwo sprawiedliwości i dobra, które nazwane zostanie – i w tym miejscu Spartakus powiedział to po raz drugi – nazwane zostanie Państwem Słońca.

Ale w tłumie stali dwaj niemłodzi już urzędnicy z Noli, wysłani przez wysokiego członka rady, Aulusa Egnatusa, z tajną misją rozpoznania zamiarów rozbójników. Tkwili w ścisłości razem z pozostałymi, słuchając słów człowieka okrytego skórą i pojęli – bo byli starzy i doświadczeni – że od tej chwili ważą się nie tylko losy ich miasta, ale los całej ziemi italskiej, imperium rzymskiego, a wraz z nimi los całego zamieszkanego świata.

2. Zniszczenie miasta Nola

Impresario Marek Korneliusz Rufus z zadowoleniem stwierdził, że udało mu się zrobić z pierwszego występu swojej trupy w Noli wydarzenie towarzyskie. Miał własne poglądy na temat nowoczesnych metod zdobywania rozgłosu i zadbał, by pogłoski o zuchwałych politycznych akcentach w jego spektaklu obieły miasto we właściwym czasie.

Od pięciu dni Nola była odcięta od świata; pod jej bramy dotarła plaga Kampanii: armia niewolników. Nastroje w mieście stają się coraz groźniejsze; rabunki i podpalenia zdarzają się co noc; jeśli obiecana pomoc z Rzymu nie nadejdzie wkrótce, sprawy mogą przyjąć zły obrót.

Mimo to, a może właśnie dlatego, Rufus zdołał uczynić ze swej premiery wydarzenie sezonu. Otwarty amfiteatr jest przepelniony; na miejscach dla wybranych siedzą w towarzystwie dam członkowie rady miasta, dostojnie wyglądający w swoich białych, fałdzistych togach. Pojawiła się cała elita, z wyjątkiem wiekowego Aulusa Egnatusa, któremu staroświeckie poglądy zabraniają chodzić do teatru. Wśród miejscowych bogaczy są przedstawiciele okręgu, krępi i onieśmieleni, spragnieni pokazania się w wytwornym towarzystwie; kilka rzędów dalej usadowiła się złota młodzież Noli, synowie najlepszych rodzin, z umalowanymi policzkami i ufryzowanymi włosami. Z tyłu, za ławkami, na wznoszących się schodkowo miejscach tłoczy się lud, hałaśliwy, spocony i żujący ziarna grochu.

Scenę i widownię osłania od słońca barwny płócienny dach. Dwie doniczki z pszenicą, ustawione na tle gładkich kulis, udają uprawne pole.

Sztuka zatytułowana jest *Bucco wieśniak*.

Pierwszy pojawia się Bucco w pąsowej masce z wydętymi policzkami i jasnożółtymi włosami. Potykając się i paplając coś bez ustanku wpada nerwowo na scenę, jakby poruszany niewidocznymi sznurkami.

– Jestem wieśniak Bucco – mówi. – Wracam z wojny w Azji, gdzie zabiłem siedemnastu ludzi, dwa słonie i otrzymałem mnóstwo pochwał od mego dowódcy.

– Bucco – powiedział mi – zabiłeś już wystarczająco wielu nieprzyjaciół i wykazałeś się takim bohaterstwem, że możesz spokojnie wrócić do domu i uprawiać swoją ziemię, otoczony chwałą i honorami.

– Ale gdzież jest moja żona i dziecko, nie mówiąc już o parobku, którzy powinni mnie

radośnie powitać? Hej, chodźcie tu, żono, synu i parobku, wrócił zwycięski Bucco!

Klaszcze w dłonie i obraca się kilka razy na piętach, ale nikt się nie pojawia. Rozgląda się tak, zerka na boki i klaszcze jeszcze przez chwilę, aż na scenę powoli, z grobową miną wchodzi Makkus Obzartuch, uosobienie lenistwa i szpetoty, z dyndającym do kolan szmacianym fallusem.

Pogryza ogromną rzepę i wrywa źdźbła zbóż przy drodze.

– Hej, ty, kapadocki strachu na wróble – woła wieśniak Bucco – ty śmierdząca cebulo, której widok wyciska mi łzy z oczu, ty obleśna ropucho, co robisz na moim polu?

– Zbieram żniwo – odpowiada Makkus. Odgryza kawałek rzepy i wraca do wyszarpywania kłosów.

– Bogom niech będą dzięki! – woła wieśniak Bucco. – A więc wyhodowali mi pod moją nieobecność nowiutkiego parobka! Nawet jeśli nie jest piękny, to bez wątpienia mężczyzna, co każdy łatwo sprawdzi.

– Śmiem twierdzić, że doznałeś w Azji porażenia słonecznego – ton Makkusa jest wyważony. – Obawiam się, że mózg wyparował ci uszami, skoro sądzisz, że to pole należy do ciebie. Wiedz zatem, że jest to pole wielmożnego pana Dosseny.

Słyszac te słowa wieśniak Bucco zaczyna głośno lamentować. To jednak nie koniec. Dowiaduje się jeszcze, że wielmożny pan Dossena nie tylko zabrał sobie jego pole, ale wyrzucił też jego żonę z dzieckiem; każdy skrawek ziemi w okolicy należy teraz do wielmożnego pana Dosseny; Makkus Obzartuch też jest jego niewolnikiem. Wieśniak Bucco gorzko szlochając przemierza pole, które już nie jest jego własnością. Rzuca straszliwe przekleństwa na wielmożnych panów, dla których walczył na wojnie i zabił siedemnastu ludzi, nie licząc dwóch słońi; tak więc wygląda wdzięczność ojczyzny!

Na nic jednak zdają się klątwy; Bucco musi z czegoś żyć, postanawia więc nająć się do pracy na polu, które kiedyś należało do niego.

W tym momencie następuje wejście pana Dosseny, garbatego osobnika z haczykowanym nosem, więc wieśniak Bucco przedstawia mu swoją prośbę.

Pan Dossena, posługujący się pretensjonalną, literacką łaciną, w odróżnieniu od Bucco, który mówi z nosowym oskijskim akcentem, odmawia jego prośbie: stwierdza, że zatrudnia wyłącznie niewolników i nie chce mieć w ogóle do czynienia z wolnymi robotnikami, ponieważ zadzierają nosa, żądają wysokich zarobków, a nawet przyzwoitego traktowania. Nie, nie, mówi pan Dossena, nic z tych rzeczy. I odchodzi.

Stoi więc wieśniak Bucco, samotny i bezradny, kręci się po scenie i nie ma już nawet siły przeklinać. Na szczęście Pappus, dobroduszny mędrzec, który natychmiast się pojawia, znajduje wyjście: Bucco musi pójść do Rzymu, bo tam każdy, kto w tych ciężkich czasach stracił środki do życia, dostaje od państwa pomoc: co miesiąc darmową porcję zboża.

– Idź do stolicy, synu – mówi Pappus – i żyj ze zboża, które możesz zebrać, choć nie zasiałeś.

Bucco wysłuchawszy tego wpada w entuzjazm i ze żwawą piosenką na ustach wyrusza do Rzymu.

Szybko znikają doniczki i pojawia się nowe tło, przedstawiające ulicę; Bucco z zachwytem przygląda się ogromowi miasta, podziwia ruch i smród stolicy. Zgłodniał jednak, pyta więc najbliższego przechodnia, gdzie rozdziela się zboże bezrobotnym obywatelom.

Przechodzień, gruby mężczyzna z papierami pod pachą, niemal zamienia się w słup słysząc to pytanie. Skąd to przybywa Bucco, pyta, z Księżyca czy z Germanii? Czyżby nie wiedział, że wielki i nieustraszony dyktator Sulla – którego imię, jak podkreśla, wymienił z całą należną czcią – zniósł darmowe rozdawnictwo zboża, ponieważ państwo musi wszystkie pieniądze przeznaczyć na wojnę? A w ogóle to Bucco niech lepiej znika natychmiast, bo może być oskarżony o wyrotowe poglądy i zdradę stanu, a nawet zobaczyć swoje imię na liście proskrypcyjnej!

I w ten sposób przepadają wszelkie piękne nadzieje Bucca; znów jest wyczerpany i głodny. Na szczęście nadchodzi skądś wzburzony tłum, a jego przywódca pyta Bucca, czy będzie podczas wyborów głosował na Gajusza czy na Gnejusza. Wieśniak Bucco odpowiada, że osobiście gównu go to obchodzi. Na co dowiaduje się, że powinien głosować na Gnejusza i czuje, jak przywódca wsuwa mu w dłoń monetę. Bucco z zachwytem pędzi do piekarza kupić chleb, ale piekarz oświadcza, że jest to jedna z tych nowych monet, którymi państwo oszukuje lud – posrebrzana z zewnątrz, ale w środku miedziana – i że jej nie przyjmie.

Bucco siada na kamieniu przed piekarnią i szlocha.

Jeden z przechodniów pyta go, czemu płacze. Bucco opowiada mu o wojnie, na której zabił dwudziestu siedmiu ludzi i dwa słonie, i o tym, jak teraz nie ma nawet za co kupić bochenka chleba. Mężczyzna stwierdza, że Bucco, jako bohater, wie chyba, że dyktator Sulla – którego imię, co należy odnotować, wymienia z całym należnym mu szacunkiem – obiecał ziemię swoim wiernym weteranom. Nie, odpowiada Bucco, wciąż skąpany we łzach, nie wiedział o tym, ponieważ nie tylko nie dali mu ziemi, ale jeszcze odebrali mu jego własne pole. To woła

o pomstę do nieba, oznajmia nieznajomy; dopilnuje, by Bucco w zamian za straconą ziemię otrzymał inny, lepszy kawałek.

Tło z namalowanymi ulicami znika; wracają donice ze zbożem: Bucco znów gospodaruje na roli.

Ale dopiero teraz sprawy przyjmują naprawdę zły obrót. Nowe pole przydzielone Buccowi usiane jest kamieniami, co więcej, marny plon, jaki przyniosło, musiał sprzedać ze stratą, ponieważ import z krajów zamorskich sprawił, że ceny znacznie spadły. Na dodatek znów jest winien pieniądze garbatemu panu Dossenie, od którego z konieczności musiał pożyczyć pewną kwotę na zakup niezbędnych narzędzi. I oto wchodzi pan Dossena, a towarzyszący mu, zadowolony z siebie rządcą odczytuje jakiś niezrozumiały dokument, z którego wynika, że Bucco znów stracił ziemię.

Pyzaty, jasnowłosy wieśniak Bucco, sam na scenie, wygłasza monolog.

– To nieludzkie – mówi. – Z dnia na dzień jest coraz gorzej. Sprawiedliwość w naszym państwie schodzi na psy. Z ręką na sercu stwierdzam, że raczej umrę, niż uwierzę, iż wszystko to sprawili bogowie. Co teraz ze sobą poczniesz, biedny Bucco? Możesz tylko skakać w kółko, dziwić się i martwić jak mysz, która wpadła do nocnika...

Ale kiedy Dossena i rządcą wracają, by wygonić go z pola, wieśniak Bucco chwytą wielką pałkę i zaczyna ich okładać co siłą; wrzeszczy przy tym, że przyłączy się teraz do bandytów na Wezuwiuszu, żeby rozwalić w drobny mak ten przeklęty kraj, i tak oto, w burzy oklasków, sztuka szczęśliwie się kończy obowiązkową awanturą.

* * *

Stary Aulus Egnatus, przewodniczący rady miasta Noli i największy kolekcjoner dzieł sztuki w mieście, oczekiwał po przedstawieniu dwóch gości na kolacji: cieszącego się popularnością przywódcy stronnictwa postępowego, Heriusza Mutilusa i impresaria Marka Korneliusza Rufusa.

Sędziwy dostojnik tam i z powrotem przemierzał swoją jadalnię; z irytacją sprawdzał rozstawienie talerzy i przenosił z miejsca na miejsce wieloramienny świecznik, by jego światło pod jak najlepszym kątem padało na świeżo nabytą wazę, którą gospodarz zamierzał dziś zaprezentować swoim gościom.

Czekał na nich; na starego cynika Rufusa i młodego, powszechnie lubianego i bystrego

trybuna, choć ten ostatni należał do zwolenników stronnictwa demokratów, do którego stary Egnatus czuł wstręt. Jednocześnie martwiło go niezbyt atrakcyjne menu; Nola od pięciu dni była odcięta od reszty świata; świeże jarzyny okazały się nieosiągalne; starszy pan musiał nawet zaniechać swych zwyczajowych porannych przejażdżek za bramy miasta, a z tej przyjemności nie rezygnował przez wiele lat, ani dla burzliwych obrad rady, ani z powodu położenia jego młodej żony, która obdarowała go potomkiem, gdy już przekroczył sześćdziesiątkę.

Pierwszy przybył Mutilus. Trybun reprezentujący opozycję nigdy jeszcze u niego nie gościł; senator wyszedł mu na spotkanie do ogrodu i powitał z uprzejmością nie pozbawioną odrobiny rezerwy. Gawędząc z nim, może nieco zbyt żywo, by przebrnąć przez pierwsze, niezręczne chwile, poczuł irytację z powodu żony, która najwyraźniej dopełniała toalety, każąc im na siebie czekać. Jednocześnie zauważył z rozbawieniem, że światło świec odbiera sporo ze splendoru, który wielbionego demokratę otaczał na mównicy; Mutilus był krępy i robił wrażenie prowincjusza; wyglądało też na to, że nosi krochmaloną bieliznę. Postępowe zasady, jakie wyznawał, także nie pomagały mu przewyciężyć skrępowania, które ogarniało każdego wchodzącego po raz pierwszy do domu Egnatusa w Noli; nawet przejeżdżający przez miasto rzymscy arystokraci podczas odwiedzin ze zdumieniem stwierdzali, że nie mogą wydusić z siebie żadnej ze zwyczajowych, sprośnych historyjek, tak bardzo modnych w ówczesnym towarzystwie.

Senator pokazał swemu gościowi nową, czarną wazę, ale kiedy nie dostrzegł w nim zrozumienia dla jej wartości, poczuł lekki żal – a więc można dziś stać się sławnym człowiekiem, nie znając się zupełnie na wazach. Usiłował objaśnić mu różnicę między starożytnymi wazami z Etrurii i Krety, a współczesną, masową produkcją z Samos i Arezzo; ze swadą zwracał uwagę na drobiazgowość zasad rządzących formą i zdobieniem, piętnował podłe traktowanie materiału przez współczesnych partaczy.

Pokryta błękitnymi żyłami dłoń zakreślała w powietrzu łuki powtarzające kształt czarnego naczynia, które mimo solidnego wyglądu zdawało się lekkie jak piórko; senator nakłaniał trybuna, by przyjrzał się jednemu ornamentowi, przedstawiającemu nagą pompejańską tancerkę, o delikatnej sylwetce, jakby zawieszanej między rozpostartymi skrzydłami zwiewnej tkaniny, rysującą się wyraźną, żywą czerwienią na czarnym tle. Im bardziej widoczny był brak zainteresowania ze strony gościa, tym większy zapał okazywał Egnatus; przerwał dopiero w chwili, gdy niemal jednocześnie otworzyły się drzwi w przeciwległych ścianach jadalni; z jednej strony wszedł impresario, z drugiej młoda żona pana domu. Stała przez chwilę

w wejściu, po czym z właściwym sobie, nieco teatralnym wdziękiem, pozdrowiła obecnych.

– Widzę – odezwał się Rufus – że nasz przyjaciel znów zakochał się w jakiejś glinianej skorupie i będzie zachwycał się nią przez cały wieczór, głodząc gości. Jesteś, mój drogi, prawdziwym ósmym cudem świata, szczupłym i młodzieńczym jak dwudziestolatek, podczas gdy parweniusze tacy jak ja tracą sylwetkę koło czterdziestki, chyba że rok w rok fundują sobie cztery tygodnie gorących kąpiele błotnych. Co za pożytek z demokracji, jeżeli istnieją dwa rodzaje ludzi: tacy, co tyją z wiekiem, i drudzy, którzy robią się smukli jak trzcina?

Nie przerywając swej pogodnej paplaniny podszedł do pani domu, komplementował jej piękną szatę, dyskretnie wplatając w słowa greckie zwroty. Mimo zdecydowanie swobodnego sposobu bycia nigdy nie tracił aury pewnego respektu, a nawet powściągliwej godności. Stary Aulus z pełnym podziwu uśmiechem patrzył, jak impresario zgrabnie wykonuje kilkanaście kroków po nagiej, mozaikowej posadzce, prowadząc jednocześnie rozmowę i – mimo wydatnego brzucha – zachowując elegancką postawę.

Kiedy natomiast doszło do prezentacji, zauważył, że żona niemal o całą głowę przewyższa krępego trybuna Heriusza Mutilusa.

Prowadzili pogawędkę na stojąco; stary służący podał przekąski i kolorowe ziołowe likiery. Pani domu z uśmiechem przeprosiła, że nie może brać odpowiedzialności za potrawy: połowa służących uciekła do armii niewolników, nie było żadnego sposobu, by ich utrzymać.

– Czemu nie pijesz, panie? – przerwała swoje wywody, widząc, że trybun odmawia spróbowania trzeciego z kolei gatunku likieru, podsuwanego mu z tępą uporczywością przez urażonego starego sługę.

– Piję tylko wino – odparł. – Wczoraj wieczorem około dwustu ludzi przeszło przez mury. Słyszano, jak ci od Spartakusa witali ich z otwartymi ramionami. Zwróćcie uwagę, że uciekinierzy to wcale nie wyłącznie niewolnicy; równie wielu jest wśród nich rzemieślników, różnych fachowców, ogrodników. A na peryferiach, w pobliżu Regio Romana znów doszło do grabieży.

– Cóż za wspaniałe czasy dla pańskiej sztuki – zwróciła się do Rufusa pani domu. – Słyszałam, że codziennie towarzyszy jej atmosfera skandalu. Muszę ją naprawdę obejrzeć, ale Aulusa nie można zaciągnąć nawet w pobliże teatru.

Zajęli miejsca wokół stołu.

– Widziałeś ją, panie? – Rufus skierował pytanie do trybuna i z przyjemnością zabrał się za

rybę. – To dość prymitywna, na kolanie napisana historia, w rodzaju dawnych sztuk atellańskich – ale, o dziwo, ludzie niezmiernie się nią entuzjasmują.

– Widziałem ją – powiedział trybun. – Sam fakt, że jest tak prymitywna, czyni ją tym bardziej wywrotową. Gdybym miał coś do powiedzenia w sprawach teatru – rzucił szybkie spojrzenie na senatora – kazałbym ją zdjąć.

Kawałeczek ryby utknął Rufusowi w gardle; gospodarz spojrział na niego z rozbawieniem.

– A co z demokratycznymi zasadami, przyjacielu? – zapytał Mutilusa.

Trybun nie odwzajemnił uśmiechu.

– Powinieneś pójść i obejrzeć to, Egnatusie. Można powiedzieć, że w matematyczny sposób dowodzi ludziom, iż najważniejszą rzeczą jest przyłączyć się do bandytów.

– W swojej ostatniej mowie – odezwał się Rufus poirytowanym tonem – powiedziałeś coś podobnego, tylko bardziej jętrzącymi słowami. Zrobiłeś to doprawdy tak wyraziście, że wryło mi się dokładnie w pamięć. – Z sarkastycznym uśmiechem zacytował: – „Dzikie zwierzęta w Italii mają swoje nory, ale ludzie, którzy walczą i umierają dla niej, nie mają schronienia, pozbawieni domów muszą błąkać się ze swoimi żonami i dziećmi. Politycy kłamią, kiedy zachęcają biedaków, by bronili swych domostw przed wrogiem, ponieważ nie mają oni ani domów, ani żadnej innej własności, której warto bronić. Nazywa się ich panami świata, ale nie należy do nich nawet grudka ziemi”. Czy nie są to wywrotowe treści?

– Wygląda na to – roześmiała się gospodyni – że obaj nasi goście całkowicie zgadzają się z bandytami.

– Nawiązywałem tylko do reformy rolnej – odparł trybun, mocno zarumieniony. – Poza tym był to cytat z mowy Grakcha Starszego.

– Gdybym pozwolił moim aktorom cytować klasyków – wtrącił Rufus – takich jak Platon albo Faleas z Chalkedonu, z ich podburzającymi wystąpieniami na temat równości i wspólnej własności, od dawna siedziałbym w więzieniu.

– Gdyby zamknął tam cię, panie, mój mąż, posyłałabym ci codziennie porcję szynki.

– Jesteś, pani, nader uprzejma – odpowiedział Rufus. – Boję się jedynie, że jeśli Rzym, tak jak dotychczas, nadal będzie przyśpieszał zbrojenia, nikt z nas nie będzie w stanie nikogo zamknąć, ani też okazywać mu uprzejmości...

– Naprawdę sądzisz, panie, że ten Spartakus jest tak groźny? – spytała pani domu.

Rufus wzruszył ramionami.

– Wczorajsze grabieże – powiedział trybun – miały niewątpliwie charakter zorganizowany. A te tłumy dezertarów dają sporo do myślenia. Ludzie Spartakusa musieli przerzucić tu mnóstwo emisariuszy.

– Najlepszym emisariuszem, przyjacielu – powiedział Rufus – jest wspólnota odczuwania wszystkich głodnych żołądków. Kiedy w jednym z nich zaburczy w Kapui, to tak jakby ktoś brzęknął w kamerton i wtedy odzywiają się wszystkie puste brzuchy w całej Italii.

Rufus poczuł w tym momencie, że każdy z obecnych przy stole pomyślał to samo: zaledwie dziesięć lat wcześniej on sam był niewolnikiem, dlatego tak dobrze znał akustykę pustych żołądków. Odłożył kęs potrawy z powrotem na talerz, wytarł palce i spojrzał staremu Egnatusowi prosto w oczy:

– W końcu wiem to najlepiej – powiedział bez specjalnego nacisku i znów, jak się zdawało, skupił swoje zainteresowanie na pieczeniu.

Młoda żona gospodarza szybko opróżniła swój kielich – czwarty, a może już piąty – i podała przez ramię do ponownego napełnienia. Stary sługa stojący za nią nalał tylko do połowy i unikał spojrzenia pana domu.

– Bardzo bym chciała zrozumieć – powiedziała – co jest tak szczególnego w tym Spartakusie. Trzy miesiące temu nikt nie słyszał o jego istnieniu, a dziś jest żywą legendą. Nie mogę pojąć, jak taki człowiek zdobywa władzę nad tłumem.

– Ja też nie – poparł ją stary Egnatus. – Ale nasz Rufus powie zapewne, że jego żołądek burczał najgłośniej w całej Italii.

– Nie sądzę, by było to wystarczające wyjaśnienie – odparł Rufus.

Trybun odchrząknął, wyraźnie zazdrośny o reputację nieobecnego bohatera rozmowy.

– Jest podobno wyjątkowo dobrym mówcą, co, moim zdaniem, wszystko tłumaczy.

– A moim zdaniem nie – stwierdziła gospodyni podsuwając kielich służącemu. – Musi mieć w sobie coś jeszcze. Czy wiesz, panie – zwróciła się do Rufusa i dotknęła jego ramienia – jak go sobie wyobrażam? Cały porośnięty włosami, z nagim torsem i spojrzeniem, które przeszywa na wskroś. W zeszłym roku widziałam egzekucję człowieka, który napadał w górach na małe dzieci – on tak właśnie patrzył. – Roześmiała się podniecona, a Rufus pomyślał, że chyba nie jest najlepiej, gdy mężczyzna po sześćdziesiątce żeni się z młodą dziewczyną. Być może Egnatus odczytał tę myśl w jego wzroku, bo wszedł jej w słowo sztucznie ożywionym tonem:

– Wiesz, jak według mnie wygląda? Łysy, gruby i spocony, jak tragarze z Suburry. Kiedy

mówi, przeskakuje od patosu do sprośności, a poza tym jest przypuszczalnie sentymentalny i gustuje w małych chłopcach.

– No to wszyscy się zgadzamy – podsumował pogodnie Rufus. – Nawiasem mówiąc, znam go osobiście.

– Ach! – wykrzyknęła gospodyni. – I nic nam nie mówiłeś, panie?

Rufus wyraźnie ucieszył się z wrażenia, jakie wywarły jego słowa.

– Widziałem go w Kapui, kiedy oglądałem szkołę gladiatorów mojego przyjaciela Lentulusa podczas porannych ćwiczeń.

– Jak wyglądał? Czy nic nie uderzyło cię wtedy w jego widoku?

– Nie powiedziałbym. Pamiętam tylko, że nosił na ramionach skórę jakiegoś zwierzęcia, ale wśród barbarzyńców to rzecz zwyczajna.

– A twarz? Jaką miał twarz? – pytała podekscytowana.

– Obawiam się, że cię rozczaruję, pani: nie pamiętam dokładnie. Jak widzicie, nie zrobił na mnie jakiegoś szczególnego wrażenia – twarz, powiedziałbym, przeciętna, szeroka, łagodna, do tego sprawne, nieco kościste ciało. Jedyne, co zapamiętałem, to sposób, w jaki się poruszał – statecznie, trochę tak jak chodzą drwale.

– I nie czułeś, panie, niczego tajemniczego, żadnej magicznej siły?

– O ile pamiętam, nie – odpowiedział Rufus. Przez solidarność ze starym Egnatusem z pewną przyjemnością sprawiał zawód młodej kobiecie. – Jest pewna różnica między oglądaniem króla Edypa na scenie i zagłądaniem mu w zęby.

– Ale żeby wejść na scenę, musi przede wszystkim mieć w sobie to coś – pani domu mówiła już poirytowanym głosem.

– Zgoda – przyznał Rufus. – Choć osobiście uważam, że jakkolwiek to okoliczności stwarzają bohaterów, a nie co innego, to jednak okoliczności zwykle wybierają właściwego człowieka. Wierzcie mi, historia sama instynktownie odkrywa takich ludzi.

Rozmowa zaczęła kuleć, zebrani zajęli się jedzeniem i piciem. Służący wchodzili i wychodzili. Jeden z nich nachylił się do ucha swego pana.

– Znów jakieś grabieże? – spytał Rufus, którego uwadze nic nie uchodziło.

– Nic istotnego, to tylko na przedmieściach – odparł sędziwy Egnatus i spojrział ukradkiem na żonę. Nie okazywała żadnego wzburzenia, ale piła dużo i była coraz bardziej ożywiona; Rufus poczuł, jak jej udo przyciska się do jego kolana.

– W Noli zdarzały się już gorsze rzeczy – powiedział pan domu. – Kiedy wspomnę czasy wojny domowej... – zerknął zmieszany na trybuna i zamilkł.

– Czy jesteś, panie, spokrewniony z Gajuszem Papiuszem? – zapytał Mutilus Rufus, cofając jednocześnie kolano i posyłając ojcowskie spojrzenie gospodyni.

– To mój wuj – odpowiedział trybun krótko i gniewnie.

Trybun Heriusz Mutilus miał dwadzieścia lat, gdy narody południowej Italii – Samnici, Marsowie i Lukanowie powstali przeciw Rzymowi. Jednym z przywódców rebelii był jego wuj Gajusz Papiusz Mutilus. Nola, zamieszkiwana w całości przez Samnitów, jako pierwsza opowiedziała się po stronie powstańców, mimo oporu jej prorzymsko nastawionej arystokracji. Przez sześć lat Rzymianie bezskutecznie oblegali miasto. A potem w samym Rzymie nastąpił demokratyczny przewrót pod wodzą Mariusza i Cynny. Mieszkańcy Noli natychmiast szeroko otworzyli bramy i pod sztandarami rewolucji jednali się z wrogiem numer jeden, nie bacząc na protest arystokracji, która nagle zapomniała o swoich rzymskich ciągotach i proklamowała się stronnictwem separatystów. Trzy lata później w Rzymie przywrócono rządy Sulli i raz jeszcze doszło do zmian w Noli: arystokraci stwierdzili, że ratunek dla miasta zawsze upatrywali wyłącznie w sojuszu z Rzymem, ale stronnictwo ludowe zamknęło bramy i twardo wytrzymało kolejne dwa lata oblężenia. W końcu powstańcy musieli się wycofać, nie zaniedbali jednak podpalenia domów arystokratów; ostatni przywódca rebelii w południowej Italii, Gajusz Papiusz Mutilus, został zabity w czasie ucieczki.

– ...Dobrze znałam twojego wuja – powiedziała pani domu. – Byłam wtedy bardzo mała i często huśtał mnie na kolanach. Miał przepiękną brodę – o, taką – pokazała, jaką brodę nosił narodowy bohater Samnium.

– Był wielkim patriotą – stwierdził poważnym tonem Egnatus, bojąc się, że słowa żony uraziły uczucia trybuna. – Ale bezwzględny szowinistą i rzymożercą – dodał.

– Nie mów głupstw, Aulusie – odparł trybun. – Dlaczegoż to ty nie okazujesz tego słynnego szowinizmu, ty, członek jednego z najstarszych tutejszych rodów? Ponieważ interesy twoje i twojego stronnictwa są nierozdzielnie związane z interesami rzymskiej arystokracji, która wciąż nie dopuszcza do reformy rolnej i chroni wielkich właścicieli ziemskich.

Powstanie na południu Italii było rebelią chłopów, pasterzy i rzemieślników przeciw lichwiarzom i wielkim posiadaczom. A jego program nie był programem Samnitów, Lukanów ani Marsów, ale mówił o reformie rolnej i prawach obywatelskich. Prawdę mówiąc, ostatnie sto

lat polityki wewnętrznej Rzymu można podsumować jednym zdaniem: rozpaczliwa walka wiejskiej klasy średniej z wielkimi właścicielami ziemskimi. Cała reszta to tylko gadanina nadgorliwych kronikarzy.

– Może jeszcze ryby? – zapytała gospodyni.

– Nie, dziękuję – odpowiedział trybun, rozsierdzony, że trafiła w jego słaby punkt: nie radził sobie z eleganckim jedzeniem ryb.

– Te nowomodne teorie – zaczął stary Egnatus – są niby bardzo prawdziwe, ale nie wierzę w nie. Moim zdaniem korzeni wszelkich nieszczęść trzeba szukać w moralnym upadku arystokracji rzymskiej, w jej korupcji i zamięłowaniu do luksusu. Katon Starszy...

– Lepiej nie mieszajmy do tego Katona – stwierdził Rufus. – Moralizatorskie wspomnienie cnót przodków na nikim już nie robi wrażenia.

– Katon Starszy – wiesz o tym równie dobrze jak ja – był oskarżony o korupcję dokładnie czterdzieści cztery razy.

– Trzeba przyznać, że obaj jesteście bardzo biegli w historii – odezwał się stary Aulus, który podczas końcowej części dyskusji zaczynał przejawiać zmęczenie. Podniósł się, wolno przeszedł przez pokój, w zamyśleniu zatrzymał się przed czarną wazą, czule dotknął jej jednym palcem:

– Co powiesz o tym, Rufusie?

– Prześliczna rzecz. Patrzyłem na nią przez całą wieczór.

– Nie mam w rozmowie z tobą żadnych argumentów – powiedział gospodarz – więc uznasz pewnie za komicznie sentymentalne to, co teraz powiem: ta waza jest moim argumentem, i to mocniejszym, niż którekolwiek z was może wysunąć.

– Chcesz powiedzieć... – zaczął Rufus.

– Nic nie chcę powiedzieć – odparł poirytowany starszy pan. – Nie muszę kłócić się o wszystko.

– Chciałem tylko zauważyć, że nawet ta waza pochodzi nie z Italii, a z Krety. Popraw mnie, jeśli nie mam racji – spokojnie powiedział Rufus.

– Ale to ja ją kupiłem! – odparł rozdrażniony. – I gdziekolwiek na świecie ktoś takie rzeczy tworzy, maluje albo pisze, trafiają one do nas. Gdyby nie my, tak opluwani rzymscy arystokraci, żadna z nich w ogóle by nie powstała.

– Możliwe – zgodził się Rufus. Skłonił się lekko i ze swojej strony uznał dyskusję za zakończoną. Nastąpiła nieco krępująca chwila przerwy. Trybun uśmiechał się szyderczo, przy

czym nawet on sam nie wiedział, czy był to uśmiech adresowany do starego arystokraty, czy do nowobogackiego parweniusza.

– Może przejdziemy do ogrodu? – zaproponowała gospodyni. Spojrzała w stronę Rufusa. – Tak czy inaczej jest stanowczo za gorąco na politykę. – Klasnęła w dłonie i pojawił się stary służący.

– Niech przyniosą pochodnie – powiedział pan domu. – Pójdziemy do ogrodu.

– Zaraz to zrobię, Aulusie Egnatusie.

– Nie ty. Powiedziałem, że mają być przyniesione – dygnitarz nie ukrywał irytacji. Stali wszyscy w otwartych drzwiach prowadzących do ogrodów. Na zewnątrz było chłodno i bardzo ciemno, ale od strony śródmieścia niebo przecinała szeroka, czerwona smuga.

Stary służący nie poruszył się, zaambarasowany.

– Nie rozumiesz? – zwróciła się do męża gospodyni, śmiejąc się nerwowo. – Cała służba odeszła. Teraz zacznie się zabawa...

Tej nocy armia niewolników, wpuszczona do miasta przez plądrujący motłoch, złupiła Nolę. Dowódcy – Spartakus, Kriksos i Ojnomaos nie byli w stanie zapobiec pogromowi mieszkańców, którego ofiarą padła połowa wolnych obywateli miasta. Wśród zabitych był przewodniczący rady miasta Aulus Egnatus i jego żona oraz trybun ze stronnictwa demokratów, Heriusz Mutilus.

Szczęśliwy przypadek pomógł w ucieczce impresariowi Markowi Korneliuszowi Rufusowi. Stracił aktorów, wyposażenie teatru i pieniądze; jedyną rzeczą, którą – poza życiem – ocalił z płonącego domu Egnatusa, była gliniana waza z nagą pompejańską tancerką o delikatnej sylwetce, jakby zawieszona między rozpostartymi skrzydłami zwiewnej szaty, rysującej się wyraźną, żywą czerwienią na czarnym tle.

3. Na wprost

Dziesięć tysięcy ludzi pieszo i na końskich grzbietach posuwało się drogą na północ.

Za nimi dogasały w deszczu wciąż tłące się ruiny Noli. Ulewa, czarna od unoszącej się w powietrzu sadzy, bystrymi potokami spływała po bruku między szczątkami domów.

Wzdłuż ciasnych uliczek gęsto zabudowanego śródmieścia leży jeszcze mnóstwo trupów; deszcz obmył je i wymoczył – wyglądają teraz jak ciała topielców. Zwłoki zalegają w ruinach splądrowanych budynków, wśród mebli i domowych sprzętów, zwierciadeł i szafek, łóżek i rondli, krzeseł i ubrań. Kobiety kucają w gruzach i grzebią rękami zanurzonymi po łokcie w błocie, usiłując dokopać się do przysypanych resztek dobytku; mężczyźni siedzą obok nich i płaczą w milczeniu. W spalonej świątyni złote naczynia i solidne srebrne świeczniki przykrywa warstwa zmieszanej z błotem sadzy; nikt ich nie podnosi. W Noli panuje teraz cisza.

Jest cicho, ale poprzednia noc przetoczyła się przez miasto niczym rozszałała burza z piorunami, z krzykiem mordowanych i palonych żywcem, z łoskotem walących się domów, rykiem bydła i rozpaczliwym wrzaskiem małych dzieci. Teraz jednak w Noli jest cicho; szemrzą tylko płynące ulicami strumienie wody.

Poszli sobie. Ale czy na pewno? Czy nie zechcą wrócić? Armia nędzarzy wdziera się do zbudowanego z kamienia i cegły górnego miasta. Na taczkach i wózkach zaprzężonych w muły wywożą pogruchotane stoliki o delikatnych nóżkach, nasiąkłe wodą kądziele, kitary, patelnie, niedomknięte dziecięce trumny, jakieś zarżnięte cielę, drewniane posążki bóstw z niewidzącymi oczami. Stawiają im czoła ochotnicy – młodzież z dobrych domów, która sformowała milicję. Przepędzają przybyszów ze slumsów.

Czy odeszli? Na pewno? Gruzy zostały przeszukane; zwłoki i kawałki ciał złożono w amfiteatrze. Rzecz dziwna, ale górne miasto nie bardzo ucierpiało. Wprawdzie złupiono i zdemolowano sporo bogatych rezydencji, główne siły bandytów skoncentrowały się jednak na śródmieściu.

W górnej części Noli onieśmiały ich ciche aleje biegnące wzdłuż ciemnych, dobrze utrzymanych ogrodów, tu zaś czuli się jak w domu wśród podrzędnych tawern, tandetnych jadłodajni i burdeli, gdzie całe ulice paliły się żywo jak pochodnie – śródmieście zbudowano z drewna.

Czy odeszli? Czy rzeczywiście odeszli? Deszcz leje bez przerwy.

Bezdomnym urządzono prowizoryczne kwatery w halach targowych i w gmachach publicznych; koło południa w kurii zbierają się pozostali przy życiu członkowie rady miasta. Posiedzenie odbywa się wśród stosów złożonych w sali rupieci, w ciężkiej atmosferze przygnębienia; mowę żalobną wygłasza zastępca przewodniczącego. Okrutny los, mówi, zabrał jedną trzecią naszych kolegów, a wśród nich także czcigodnego Aulusa Egnatusa, którego on właśnie próbuje zastąpić, niestety, jakże nieudolnie, na tym zgromadzeniu. A jednak, ciągnie mówca, którego zaciekle zazdrość wobec starego Egnatusa była publiczną tajemnicą, sprawy mogły wziąć dużo gorszy obrót. Na szczęście furia tych łajdaków wyładowała się głównie w dzielnicy biedoty i dotknęła takich samych jak oni, oszczędzając większych strat dzielnicom bogatszych mieszkańców.

Pora więc, by podjąć niezbędne kroki, przede wszystkim zaś wystąpić o odszkodowania. Nastrój podniosłej rozpaczki ustępuje stopniowo miejsca bardziej przyziemnym rozważaniom. Trzeba rozpocząć starania, wynegocjować pożyczki, miasto musi zastrzec sobie prawo pierwokupu bezpiecznych parceli. Trzeba się liczyć z ogromnym spadkiem cen nieruchomości i spróbować zapobiec spekulacji. Ławy miejskiej rady wyraźnie opustoszały; w przedśionku radni ukradkiem załatwiają już pierwsze transakcje gruntami.

Czy odeszli? Czy naprawdę odeszli?

Zapada noc, deszcz wciąż leje, oddział młodych ochotników z dobrych rodzin w wojskowym szyku opuszcza śródmieście. Spotykają po drodze gromadę okutych w kajdany grabieżców, znalezionych w piwnicy którejś willi; leżeli pijani do nieprzytomności, w ogóle nie wiedząc, że reszta ich towarzyszy opuściła miasto. Ochotnicy wydierają zbrodniarzy z rąk milicji i zabijają na miejscu. W pobliżu kurii stoi grupka podejrzanych osobników – są to słudzy i tragarze lektyk, czekający na swych panów. Młodzi ludzie otaczają ich i mordują. I tak zaczynają się łowy – polowanie na niewolników, którzy pozostali w mieście. Nie porzucili swych panów; nie mieli nic wspólnego z buntem i rozruchami, za co teraz płacą życiem. Masakra trwa całą noc, deszcz wciąż pada. Rano okazuje się, że z rąk młodzieży z dobrych domów zginęło więcej niewolników niż było ofiar rebelii.

Tę noc przeżyli tylko nieliczni niewolnicy w Noli. Ci, którym to się udało, mówią, że zabici zasłużyli na swój los i przeklinają Spartakusa, sprawcę wszystkich nieszczęść.

Piętnaście tysięcy ludzi pieszo i na końskich grzbietach posuwało się drogą na północ. Zostały za nimi ruiny miasta Suessula – połowa domów spalona, trzy tysiące zabitych, a wszystko podczas jednej nocy. W południe, kiedy szli przez porażone trwogą miasto ku Północnej Bramie, drugi raz oglądali Suessulę, tym razem w ostrym blasku słońca. Ciągłe jeszcze dymią czarne szkielety domów, w powietrzu nadal unosił się odór spalonego mięsa; po obu stronach ulic czyjeś nieznane ręce ułożyły wały z trupów. Mężczyzna okryty skórą zwierzęcia, jadący powoli na czele kolumny, przypatrywał się stosom zwłok. Widział nieruchome ręce chwytające powietrze, wyszczerzone zęby, zwęglone i czarne ciała, leżące na plecach kobiety z bezwstydnymi rozwartymi udami, dzieci z wyłamanymi członkami. Tak wyglądało Państwo Słońca.

Nie wiedział, jak do tego doszło, ani jak mógłby temu zapobiec. Jedno wiedział na pewno – winien był Kriksos. Siedząc ciężko w siodle, pogrążony w drzemce, grubas jechał na koniu jak na mule. Od czasu bitwy na Wezuwiuszu zawsze było tak samo. On, Spartakus, podzielił gromadę na kohorty i pułki, nauczył ludzi, jak posługiwać się bronią, z bezkształtnej masy gliny uformował prawdziwe wojsko. A Kriksos trzymał się z boku, ponury i obojętny, nie wadził, ale i nie pomagał, spał z kobietami i mężczyznami, pogrążony w swoich nieprzeniknionych i mrocznych myślach.

Ale tej nocy, gdy otwały się przed nimi bramy Noli, Kriksos przebudził się; nadeszła jego godzina. To miasto miało zapewnić im bezpieczne schronienie na zimę; jednak już pierwsza noc spędzona w jego murach okazała się nocą Kriksosa, jego małego kumpla Kastusa i „hien”. Horda zachowywała się jak pijana albo oszołomiona trucizną; nie docierały do niej żadne słowa. Gadanina kiwającego się esseńczyka, wszystkie te słowa o sprawiedliwości i dobrej woli rozwiały się jak dym, odleciały z gorącym wiatrem niosącym odór płonących miast, pod których gruzami legło Państwo Słońca.

Gdzie popełnił błąd, czego zaniedbał, pozwalając gromadzie wymknąć mu się z ręki – do tego stopnia, że całkiem zlekceważono jego słowa?

Kroczył prostą drogą, zostawiając zło za sobą, zmierzając wprost do celu i nie zbaczając ani w lewo, ani w prawo. A może tu właśnie tkwił błąd, może trzeba było wybierać okrężne i kręte ścieżki?

Ściągnął wodze i ruszył z powrotem, wzdłuż kroczącej w milczeniu kolumny. Kriksos odwrócił głowę, obejrzał się leniwie i pojechał dalej truchtem, rozwalony na koniu jak na mule.

Śnił pewnie o Aleksandrii.

Gromada nie miała takich skrupułów. Maszerowała spokojnie drogą spoglądając na przejeżdżającego Spartakusa. Siedział sztywny, wyprostowany, miał zapadłe policzki i obojętne spojrzenie, najczęściej zresztą spuszczał wzrok. Ponuro zaciskał wargi, mrużył oczy; twarz straciła charakterystyczny dobroduszny wyraz. Ludzie oglądali się za nim, gdy mijał ich na zakurzonej drodze, trącali się i pokazywali go sobie; wzdychali, trochę pod wpływem wyrzutów sumienia, a trochę ze złości, że Spartakus jest taki niezyciowy i zasadniczy. Czego właściwie od nich oczekuje? Co mu szkodzi, że wyrównują swoje rachunki z panami i nadzorcami niewolników? Jeśli my ich nie zabijemy, oni zabiją nas. Przecież oszczędzili wszystkich niewolników, którzy stanęli po ich stronie, co więcej – zabrali ich ze sobą.

Czego więc Spartakus chce, o co jest na nich zły? Kim w końcu są, na wszystkich gniewnych bogów? Bandytami czy pobożnymi pielgrzymami albo gromadą wędrownych głupków?

Dwadzieścia tysięcy ludzi pieszo i na końskich grzbietach posuwało się drogą na północ.

Pozostawili za sobą już trzecie miasto, zamienione w stos dymiących ruin – nazywało się Calatia. Nie stawiało żadnego oporu. Jego bramy otwarły się same, niby zaczarowane i Calatia poddała się, drżąc i szlochając, bo oto życie musiało ustąpić przed śmiercią. Mieszkańcy liczyli na wybawienie przez rzymskie wojsko, jednak odsiecz nie nadeszła. Niektórzy błagali o litość, ale nie było litości. Śmierć nie zna litości, nie pobłaża i nie wymierza sprawiedliwości; jest po prostu śmiercią. Ocalili tylko ci, którzy bratając się z nią sami stali się mordercami.

Deszcz chłostał Kampanię i płynął brudnymi potokami po Via Appia.

Strumienie wody spływały z dachów i okien, i padały z sykiem na zwęglone szczątki i lepłą krew. Taki był koniec krainy Kampanii tratowanej przez hordę demonów, dziesiątki tysięcy demonów, które krocząc od miasta do miasta niczym piekielna plaga, zmiażdżyły jej kręgosłup.

Ulewa zacinała na Via Appia. Po wielkich, lśniących kamiennych płytach, między spadzistymi poboczami, kolumna rozciągnięta na wiele mil maszerowała wciąż na północ. Na czele szła awangarda uzbrojona w szerokie tarcze, oszczepy i miecze; każdej kohorcie przewodził gladiator. Flanki osłaniała kawaleria – syryjscy i lugańscy pasterze. Za nimi szła gwardia w ciężkich zbrojach, z ramionami i nogami osłoniętymi pancerzem – byli to słudzy Fanniusza. Z tyłu wlokła się bez końca skłębiona i dzika masa prymitywnie uzbrojonych ludzi wymachujących maczugami, siekierami, kosami i pałkami; obdarty i bosy tłum utykał, kłął i śpiewał. Na końcu posuwały się tabory – muły, wozy z łupami i bagażami zaprzężone w woły,

dalej kobiety, dzieci i kalecy, żebracy i prostytutki.

Po obu stronach tego pochodu niewolników biegały poszczekując zdziczałe i podobne do wilków ogromne psy pasterzy z Lukanii; ich zapadłe boki zdążyły już zaokrąglić się od ludzkiego mięsa.

Zeszli ze stoków Wezuwiusza w poszukiwaniu Państwa Słońca, posiali ogień i zebrali popioły.

Szli teraz do Kapui.

4. Zmienne nastroje w Kapui

Kapua wytrzymała.

Nola, Suessula, Calatia poddały się, wezwanie Spartakusa przeniknęło przez mury, niewolnicy otwarli bramy, nie było walk i niepotrzebne okazały się maszyny oblężnicze. Ale Kapua się obroniła.

Dziwne rzeczy działy się w mieście.

Pierwszym, który przyniósł do Kapui wiadomość o upadku Noli, był impresario Rufus. Nadjechał samotnie na spienionym koniu, bez służących i bez bagażu; wyglądał tak nędznie i żałośnie, że straż miejska początkowo nie chciała go wpuścić. Udał się prosto do domu swego przyjaciela Lentulusa, wziął kąpiel i odbył z nim naradę. Wyprzedził o kilka godzin oficjalnych kurierów Senatu i posłańców wielkich firm handlowych. Wiadomość o upadku Noli była ciosem cięższym niż tuzin doniesień z azjatyckiego frontu – stanowiła zapowiedź wojny domowej. Zaiste, losy Republiki Rzymskiej były mocno niepewne; w przestronnej łazience Lentulusa powiał nagle wiatr historii. Obaj mężczyźni odziani w szaty kąpielowe poczuli jego tchnienie na swoich twarzach i postanowili skupować zboże – niezwłocznie i po każdej cenie.

Razem podjęli więc niezbędne kroki, co zajęło im parę godzin, a potem poszli z wizytą do przewodniczącego rady miasta, żeby poinformować go o najświeższych wydarzeniach.

Tymczasem pierwsze pogłoski o pożarze i zniszczeniu Noli dotarły już do miasta; ludzie tłoczyli się na targu rybnym i przy straganach z wonnościami; w podcieniach, w miejscach publicznych i termach dyskutowano o tym, co się stało. W większych i mniejszych grupkach trwały ożywione spory; niektórzy otwarcie okazywali radość, inni tylko kiwali głowami, zdradzając jednak przy tym tajone zadowolenie. Powszechnie żywiona satysfakcja rychło znalazła ujście w jawnej manifestacji triumfu, którego przyczyny z pewnością były różne w indywidualnych przypadkach, ale ostatecznie, w miarę jak tłum wypełniał ulicę po ulicy, rodziły to samo, ogarniające wszystkich odczucie. Armie niewolników dzieliło od Kapui jeszcze wiele mil, a zebrane tłumy już stwarzały w mieście problemy.

Pokątny doradca prawny i orator Fulwiusz, powszechnie znany z wywrotowych przemówień, które codziennie wygłaszał w przedsionku łaźni, napisał później rozprawę, w której podsumował przyczyny owego buntowniczego niepokoju. Nie została nigdy opublikowana, a jej tytuł głosił:

O PRZYCZYNACH ENTUZJAZMU NIEWOLNIKÓW I POSPÓLSTWA NA WIEŚĆ O ZDOBYCIU MIASTA NOLA PRZEZ SPARTAKUSA, WODZA GLADIATORÓW I ROZBÓJNIKÓW.

Ci, którym jest dane rozumieć mentalność ludu, głosiła rozprawa, mogą rozróżnić następujące motywy niepokojów w Kapui: po pierwsze, złośliwa radość, bo stosunki między Kapuą i Nolą nigdy nie układały się dobrze. Po drugie, lokalna duma, bo wzmiankowany Spartakus zaczynał swą karierę, jeśli można tak to określić, właśnie w Kapui. Po trzecie, czwarte i piąte, niewolnicy i pospólstwo cierpieli w błogosławionej Kapui na skutek rosnących cen, bezrobocia i pogardy warstw wyższych tak srogą biedę, że gotowi są powitać z radością każde zdarzenie zdające się zapowiadać zmianę stosunków; rodzaj tej zmiany jest im obojętny, gdyż i tak nie mają do stracenia nic prócz swych kajdan. Czy można tedy się dziwić – tak kończyła się nieopublikowana rozprawa, której autor w końcu przyłączył się do bandytów, polemizował z biegłym w teologii esseńczykiem, a jeszcze przed rozstrzygnięciem sporu dokonał zycia na krzyżu u boku swego polemisty – czy można więc się dziwić, że w Kapui prości ludzie tak hałaśliwie manifestują radosne podniecenie albo wręcz uczucie triumfu?

Kiedy przewodniczący rady miasta przyjmował Rufusa i Lentulusa, wiedział już, co się stało. Z lodowatą uprzejmością wysłuchał impresaria, który uparł się wtargnąć do jego domu bez wcześniejszej zapowiedzi, do tego o tak niezwykłej porze. Serdecznie go nienawidził, bo dobrze zapamiętał pewną sztukę zatytułowaną *Wieśniak Bucco*.

Gdy jednak Rufus zapędził się za daleko, twierdząc, że zagrożona jest także Kapua, urzędnik osadził panikującego karierowicza pobłażliwym patrycjuszowskim uśmiechem i zgasił jego niewczesną gorliwość uwagą, że magistrat wie najlepiej, kiedy podjąć stosowne działania.

Audjencja dobiegła końca. Rufus wzruszył ramionami. Przewodniczący zamierzał właśnie odprawić go paroma słowami chłodnej podzięki – Lentulus jedynie asystował w milczeniu, bo czuł się skrępowany i onieśmielony w obecności arystokratów – kiedy z ulicy doleciały ich niewyraźne, lecz niepokojące odgłosy.

Najpierw były to pojedyncze, odległe okrzyki, potem usłyszeli tupot nóg i wzbierający pomruk nadciągającego tłumu, a w chwilę później ulica wypełniła się zbitą masą ludzi.

Dygnitarz pobladł, zrezygnował z odprawienia Rufusa; wszyscy trzej podeszli do okna. W dole, na ulicy tłuste i spocone indywidualium o wyglądzie oskijskiego robotnika wspięło się na jedną z drewnianych beczek po winie, które nieodmiennie pojawiały się przy wszystkich

niepokojach.

Człowiek na beczce przemawiał do przewodniczącego, a zebrani raz po raz przerywali mu aplauzem. Mówił krótko i na temat. Powiedział, że polityka i nędza Kapui cuchną tak strasznie, że nawet odór niewolniczego legionu nie może być gorszy; krótko mówiąc, rada miasta powinna otworzyć bramy przed Spartakusem.

Tłum wrzaskiem wyraził swą aprobatę, a wysoki urzędnik odsunął się od okna. Mniej więcej w tym samym czasie na zachodnich przedmieściach zaczęły się plądrowania i grabieże.

W tydzień później, gdy armia Spartakusa dotarła do Kapui, bramy miasta były zaryglowane, a mieszkańcy, zarówno wolni obywatele, jak niewolnicy, gotowi byli razem stawić jej czoło, zjednoczeni płomiennym entuzjazmem.

Co takiego wydarzyło się w Kapui? Jak doszło do tak kompletnej zmiany nastrojów, zaledwie w parę dni po tym, jak lud domagał się otwarcia bram i tęsknił za Spartakusem – wybawicielem?

Jak to się stało, że zabarykadowali bramy i ochoczo wylegli na mury – niewolnicy na straży swych kajdan, nędzarze strzegący swojej biedy, głodni, którzy zaryzykowali życie i zdrowie w obronie burczenia w brzuchu?

Pewien pokątny doradca prawny i retor, któregoomal nie zabito, bo trzymał się z dala od wielkiego patriotycznego uniesienia – nazywał się Fulwiusz i skończył na krzyżu – udał się tego dnia do domu i ujął w dłoń pióro, zamierzając opisać, co i dlaczego wydarzyło się w Kapui. Był nie tylko prawnikiem, ale i pisarzem, który znał podstępny i zawilosci człowieczej duszy, poznał jej zachłanność i niewzruszony brak rozsądku.

Pisał ten traktat w swoim kącie na poddaszu, na piątym piętrze czynszowego domu przy targu rybnym. Tuż nad jego rozchwianym stołem biegła belka wiązania dachowego, siadając do pisania musiał się więc garbić. Czasem, gdy wpadał na jakiś wyjątkowo udany pomysł, podrywał się i walił w nią głową; za każdą błyskotliwą myśl płacił guzami na czaszce. Powietrze na poddaszu przesycone było smrodem gnijących ryb, a przez okno wpadał gwar wojowniczego tłumu, który wyległ na wały i ulice.

Fulwiusz skończył już pierwszą część rozprawy, w której była mowa o początkowym entuzjazmie, z jakim mówiono o Spartakusie i o przyczynach tego stanu rzeczy, a teraz zabierał się do drugiej części, dotyczącej nagłej wrogości, z jaką armia Spartakusa spotkała się wśród

kapuańskich niewolników. To już było znacznie trudniejsze. Napisał tytuł drugiej części:

O PRZYCZYNAH, KTÓRE SKŁANIAJĄ CZŁOWIEKA DO DZIAŁANIA WBREW WŁASNYM INTERESOM.

Chwilę później uświadomił sobie, że nie ma racji; w jego pamięci odżyły liczne sprawy sądowe, które prowadził jako prawnik, przypomniał mu się upór i spryt jego klientów stojących na straży własnych interesów, zawsze gotowych wsadzić swych sąsiadów do lochu albo i doprowadzić na szafot z powodu jednej skradzionej kozy.

Z dołu doleciał go odgłos maszerującego oddziału. Nie byli to żołnierze, lecz niewolnicy uzbrojeni przez swych panów. Ze szczerym zapałem szli walczyć ze Spartakusem – w obronie swych dręczycieli i przeciw takim samym jak oni. Wykreślił wcześniejszy tytuł i napisał poniżej:

O PRZYCZYNAH, KTÓRE SKŁANIAJĄ CZŁOWIEKA DO DZIAŁANIA WBREW CUDZYM INTERESOM, GDY WYSTĘPUJE W POJEDYNKĘ, A WBREW WŁASNYM INTERESOM, GDY DZIAŁA W GRUPIE LUB W TŁUMIE.

Długo myślał nad tym zdaniem, ale nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Nieraz zastanawiał się, co sprawia, że tam, gdzie chodzi o wielkie sprawy, ludzie decydują się postępować wbrew własnym interesom, ale gdy mogą stracić coś mało istotnego, uporczywie i przebiegle strzegą swoich racji. Wojownicze odgłosy dochodzące z ulicy przygnębiały go coraz bardziej. Entuzjazm tych biednych durniów, gotowych przyjąć swych wybawicieli oszczepami i wrzącą smołą, a także cały ten ich gorliwy zapał uniemożliwiał po prostu myślenie. Fulwiusz odłożył pióro – miało minąć wiele obfitujących w wydarzenia miesięcy, zanim znowu zasiadł do pisania tej rozprawy, która zresztą i tak nigdy nie doczekała się zakończenia – i zszedł na dół, na ulicę.

Na prawo i na lewo stali mówcy; kto nie przemawiał, ten słuchał i potakiwał. Panował nastrój podniosłej solidarności i euforii; Fulwiusz zapisał w myślach, że w czasach takich jak obecne człowiek odczuwa potrzebę wygłaszania i słuchania w kółko tych samych wystąpień; najwyraźniej nie ufa własnym odczuciom i nie wierzy, że zdołałyby przetrwać, gdyby ich nie zasilać nieustannymi powtórkami.

Na każdym rogu – mówcy, sami przyjaciele ludu, wszyscy o postępowych poglądach. Donosili o okrucieństwach, których dopuszczali się ludzie Spartakusa, opowiadali o mordach i gwałtach popełnianych przez niejakiego Kastusa i jego osławione hieny – i nie mijali się z prawdą.

Chwalili pokój i porządek – najczęściej szczerze. Opowiadali o bliskiej reformie rolnej i niemal gotowi byli uwierzyć we własne słowa. Autentycznie wstrząśnięci opisywali spalone domy Noli, Suessuli i Calatii. Mówili o duchu oporu, który łączy wszystkich kapuańczyków – biednych i bogatych, panów i niewolników – w jedną rodzinę, i poprawiało im to samopoczucie. Nie należeli ani do arystokracji, ani do partii Sulli, naprawdę byli demokratami, opozycjonistami, przyjaciółmi ludu i bynajmniej nie kłamali. Każde ich słowo było szczerze, rozumne i pełne dobrej woli. Wyrzucali z siebie argumenty, swe małe, gładkie, łatwe do przełknięcia prawdy podobne do drobnej monety. Słuchacze im wierzyli i nie dostrzegali, że ukryto przed nimi inną prawdę, ważną i okrutną – że ludzie nadal dzielą się na panów i niewolników. Zdawał sobie z tego sprawę tylko pisarz Fulwiusz; na jego głowie wyrosło sporo guzów, paliło go słońce, dolegała ludzka ciemnota, bo cóż z tego, że tę wielką prawdę posiadał i oferował ją wszystkim, skoro nikt nie chciał jej od niego przyjąć.

W Kapui zmieniły się nastroje. Przyjaciele ludu przemawiali naraz na wszystkich ulicach, na każdym placu, w każdej sali zgromadzeń; nie mianował ich Senat ani nie opłacała żadna partia, a jednak byli i wykonywali swą powinność. Apelowali do patriotyzmu. Ostrzegali niewolników i pospólstwo przed głupim, nieprzemyślanym zachowaniem, przed buntem i wojną domową. Odbudowywali ludzką wiarę w Republikę i w wielką wspólnotę obywateli Rzymu. Zdobywali serca niewolnych wiadomością, że w dowód wielkiego zaufania rada miasta wyda im broń. Tak oto niewolnik będzie mógł wystąpić w obronie swego pana, okazując, że zasłużył sobie na przynależność do wielkiej rzymskiej rodziny. Bez względu bowiem na to, czy jeden mieszka w pałacu, a drugi w lepiance, czy nosi togę, czy dźwiga kajdany – świadectwo uczciwej pracy – obaj są dziećmi rzymskiej wilczycy i obaj wyssali z jej mlekiem świadomość i potrzebę praw człowieka, ładu i obywatelskiego rozsądku.

Morale niższych klas i niewolników wzrastało. Zapomniano o wczorajszych nieszczęściach, o podłych odruchach dyktowanych przez głód i rozgoryczenie. Przyszła pora wymachiwania chorągwiami i potrząsania włóczniami. Zwłaszcza miejscy niewolnicy przeżyli radosne oszołomienie, gdy rada miasta rzeczywiście rozdała im broń, a tym samym – choć tylko na razie i do odwołania – podniosła ich do rangi wolnych i zbrojnych obywateli Rzymu.

Niepozorny prawnik z poobijaną czaszką, przemykający ulicami samotnie z własną niedolą i prawdą, zanotował później w swoim dzienniku:

„Rozbraja się niewolników, wciskając im w dłonie miecze – ludzie skazani na to, by światło

ogłądać jedynie z ciemności, są ślepi”.

W obecnej sytuacji nikomu nie były jednak potrzebne takie aforyzmy. Nikt też nie interesował się pogłoskami, że płomienny patriotyzm demokratów był produktem manipulacji ich śmiertelnych wrogów – arystokratów, członków rady miasta oraz agentów niejakiego Lentulusa Batiatusa, organizatora igrzysk, który kierował niegdyś kampaniami wyborczymi w Rzymie. Ludzie, którzy rozpowszechniali te plotki, byli oczywiście nikczemnymi demagogami i defetystami; niektórych nawet zdemaskowano jako agentów Spartakusa. Nie pozwolono im przemawiać i zatłuczono na śmierć.

5. Krętą drogą

Nola, Suessula, Calatia poddały się Spartakusowi. Kapua wytrzymała.

Bandyci rozbili swój obóz szerokim kręgiem wokół fortyfikacji miejskich. Jak groźna chmara szarańczy zalegli na wilgotnych polach południa, tratując błogosławioną kampańską pszenicę. Ich szare, nasiąkłe wodą namioty wyrosły wśród winnic na zboczach góry Tifata; zbiły się w nieregularne skupiska wspinające się coraz wyżej jak stopnie schodów rozrzucone pomiędzy opuszczonymi rezydencjami i ogołoconymi tarasami z marmuru. Z obu stron napierały ku brzegom rzeki Volturnus, która przelała się przez wały i niosła do morza brudną, mulistą ciecz. Za zasłoną deszczu widniały szare, wyniosłe mury Kapui.

Na szczycie góry Tifata, w otoczeniu eleganckich arkad i altan, stała świątynia Diany, mieszkanie pięćdziesięciu dziewic-kapłanek. Same, bez pomocy z zewnątrz, tłoczyły nogami winogrona na swój użytek i doglądały moszczu fermentującego w mrocznych lochach. Często upijały się i uprawiały ze sobą grzeszną miłość; ich terytorium było święte i nie wolno go było naruszyć żadnemu mężczyźnie. Teraz w Zgromadzeniu Diany siedzieli gladiatorzy: Spartakus, Kriksos i inni dowódcy legionu niewolników; toczyły się tu narady i kłótnie, lecz ani razu nie osiągnięto porozumienia.

Brakowało machin oblężniczych. Tak jak przedtem, wysyłano do miasta tajnych emisariuszy, żeby zachęcali niewolników do wielkiego zbratania w Państwie Słońca. Ale Państwo Słońca zostało pogrzebane pod okopconymi ruinami Noli i Calatii, agitatorów zaś zabijano po tamtej stronie murów natychmiast – bez ceremonii i bez rozgłosu. Natomiast niewolnicy z Kapui stali na wałach z bronią otrzymaną od swoich panów i kierowali je ku innym, oblegającym ich niewolnikom. Potrząsali włóczniami i nie potrzebowali żadnego Państwa Słońca.

W wykwintnej świątyni Diany, gdzie wciąż jeszcze unosił się zapach wonności i perfum kapłanek, rozsiedli się gladiatorzy. Tylko Spartakus i Kriksos milczeli, nie biorąc udziału w kłótni. Stopniowo obóz podzielił się na dwa stronnictwa. Jedno opowiadało się za Kriksosem i jego niewysokim towarzyszem; drugie, dużo liczniejsze, trzymało stronę Spartakusa. Powoli, z dnia na dzień, torowało sobie drogę otrzeźwienie. Coraz więcej ludzi zaczynało pojmować, że bestialskie szaleństwa „hien” w zdobytych miastach zniechęciły do nich niewolników z Kapui. Gromadę ogarniało przygnębienie; tu, w obozie, dokuczał deszcz, ciekące namioty, irytacja

i rozczarowanie. A zaledwie o krok było najbardziej kuszące, jeśli nie liczyć samego Rzymu, miasto w całej Italii, suche i ciepłe, pełne woni dochodzących z jadłodajni i aromatów przypraw sprzedawanych na targowiskach. I wszystko to popsuł jeden odrażający typek razem ze swoimi „hienami”.

Dwunastego dnia oblężenia Kapui, kiedy ustał deszcz, do obozu niewolników przybył wysłannik z miasta. Stary człowiek, eskortowany przez dwu służących Fanniusza, kroczył ścieżką między namiotami na zboczu góry Tifata, ciężko opierając się na lasce. Nie rozglądał się na lewo ani na prawo. Jego przybycie wywołało sensację, zdumienie i śmiech: oto zjawia się wysłannik z Kapui, by prowadzić negocjacje. A więc wszystko wygląda tak jak na prawdziwej wojnie. Słudzy Fanniusza, milczące i zwaliste osiłki, kroczyli po jego bokach; kiedy starzec zatrzymywał się, żeby zaczerpnąć tchu, stawali i oni, patrzyli wprost przed siebie, a potem znów ruszali w milczeniu pod górę przy akompaniamencie śmiechów i gwizdów dochodzących z obozu za ich plecami.

Spartakus siedział na wyściełanej ławie w sanktuarium świątyni Diany.

Słudzy Fanniusza wprowadzili posła i wycofali się na zewnątrz. Spartakus wstał; od razu poznał gościa i uśmiechnął się – po raz pierwszy od czasu spalenia Noli.

– Nikos – powiedział łagodnie. – Jak się miewa twój pan?

Sędziwy sługa nie okazał wzruszenia. Odchrząknął i cofnął się o ćwierć kroku.

– Przychodzę tu w imieniu rady miejskiej Kapui.

– Ach, tak – odparł Spartakus, a w jego głosie wciąż czuło się uśmiech. – Zostałeś więc ważną, urzędową osobistością. No i popatrz – czy dawniej przyszyłoby nam coś takiego do głowy?

Przerwał, bo stary milczał i stał bez ruchu w progu. A Spartakusa ogarnęła fala wspomnień: wielki, prostokątny dziedziniec szkoły gladiatorów, zapach stajni docierający do sal sypialnych, nawet oswojenie ze śmiercią – wszystko to emanowało pogodnym ciepłem bezpowrotnie minionych czasów.

– Czy jesteś teraz poddanym władz miasta? – zapytał. – Niewolnikiem municypalnym? Czy pan cię sprzedał?

– Zostałem wyzwolony – sucho odparł Nikos. – Jestem urzędnikiem rady miasta Kapui z wszystkimi cywilnymi prawami. Wydelegowano mnie do rozmów z buntownikami i ich wodzem Spartakusem w sprawie oblężenia.

Plecie jak dziecięciniały starzec, pomyślał Spartakus. Oczywiście nauczył się tego na pamięć. To przecież Nikos, dobry człowiek, do którego mówiłem „ojcze”. Stoi teraz przede mną i coś paple, ale nie czuję w nim ani odrobiny ciepła. A więc na nikogo już nie można liczyć.

– Dawniej mówiłeś do mnie całkiem inaczej – powiedział i znów usiadł na ławie.

– Dawniej obaj rozmawialiśmy inaczej. Tak się zmieniłeś, że ledwie cię poznaję. Od kiedy zszedłeś na złą drogę, twarz ci zgorzkniała, a rysy się zaostrzyły. Oczy też masz inne niż przedtem. Przyszedłem, żeby negocjować przerwanie oblężenia.

– No to negocjuj – Spartakus uśmiechnął się.

Stary człowiek milczał.

– Na złą drogę – powtórzył Spartakus – a co ty właściwie wiesz na ten temat? Czterdzieści lat pracowałeś jako niewolnik i czekałeś, żeby cię wyzwolili. Zestarzałeś się. I co ty masz do powiedzenia o złych drogach?

– Wybrałeś drogę zła – odpowiedział Nikos. – Drogę zamętu. Posłuchaj – usiadł na ławie obok Spartakusa – jestem już stary, wypalony i mam swoje racje. Służyłem czterdzieści lat czekając na wolność. Teraz jestem stary i moja wolność też jest jałowa i wypalona. Kiedy jednak pytasz, co na ten temat wiem, odpowiem ci, że wiem więcej od ciebie. Może kiedyś o tym porozmawiamy, ale jeszcze na to nie przyszła pora.

– Nie wiedziałem, że jesteś takim filozofem, Nikos. Ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, w tawernie przy Via Appia, powtarzałeś w kółko, że wszystkich nas powieszają. Ale niewiele brakowało, a poszedłbyś z nami.

– Straciłem głowę, ale to trwało tylko chwilę – rzekł stary. – A jednak nie poszedłem z wami, bo wiedziałem, że wchodzicie na drogę zła i zamętu. Nola, Suessula, Calatia – patrz, co zrobili tam twoi przyjaciele!

Zalaliście krwią piękny, spokojny kraj. Posialiście ogień i zebraliście zgliszcza. Każdy ci powie to samo.

– Wszyscy niewolnicy byli po naszej stronie – odparował Spartakus.

– Otwarli nam bramy w Noli, Suessuli i Calatii.

– W Kapui nikt nie stanie po waszej stronie. Ludzie otwierali wam bramy, a wy niszczyliście ich miasta. Teraz nikt już wam nie otworzy. Jesteście bandą awanturników i wszyscy o tym wiedzą. Odwrócili się od was.

Spartakus milczał.

– Nikos – powiedział po chwili – rozkazy nie były złe, tylko wielu ludzi nie chciało ich słuchać. Są i tacy wśród nas. Jak się od nich oddzielić? Jak odsiać plewy od ziarna? Poradź mi coś.

– Nie mam pojęcia – odparł stary. – Ale to zła droga – powtórzył z tęym uporem.

Spartakus wstał, z jego twarzy zniknął uśmiech. Sanktuarium było chłodne i mroczne.

– Milcz – odezwał się po chwili. – Znam już Droge, Nikos. Poznałem ją na Wezuwiuszu, wysoko w chmurach. Spotkałem tam starca, mądrzejszego od ciebie; do ciebie zwykłem kiedyś mówić „ojcze”, ale on nazwał mnie Synem Człowieczym. Otóż ten starzec znał drogę – i odkrył mi jej nazwę.

– Co to za nazwa? – spytał Nikos.

– Państwo Słońca – Spartakus zwlekał przez moment. – Tak się nazywa ta droga.

– Nie znam jej. Znam tylko Nolę, Suessulę i Calatię.

– Oczywiście, to prawda. Ale to są te małe prawdy. Sam mnie uczyłeś, że ci, którzy widzą tylko małe prawdy, to głupcy.

Starzec nie umiał znaleźć właściwej riposty. Był zmęczony i nie rozumiał, o czym mówi Spartakus, który stał się dla niego obcym człowiekiem. Słudzy Fanniusza wnieśli pochodnie. Pomieszczenie wydało się nagle wyższe i jaśniejsze, ściany rozsunęły się i oddaliły od siebie.

Nikos wyprostował swe artretyczne nogi, zeszywniałe i kruche.

Podniósł się i stanął przed siedzącym mężczyzną, rozbójnikiem, którego kiedyś kochał jak syna.

– Rada miasta – rzekł – ostrzega was przed obleganiem Kapui. Mamy pod dostatkiem zboża w swoich spichrzach i wina w piwnicach. Możemy spokojnie czekać, aż zmiękniecie w deszczu i spłyniecie z deszczówką. Tak powiada rada. Morale naszych żołnierzy jest znakomite, a wam brakuje machin oblężniczych. Rada uprzedza też, że wcale nie martwi się, że obozujecie pod naszymi mocnymi murami i tratujecie pola, bo do Rzymu napływa za wiele zboża z importu i zwyżka cen byłaby nam na rękę. Mimo to rada z pewnych powodów życzyłaby sobie, abyście przenieśli wasze obozowisko gdzieś w inne strony – na przykład do Samnium albo do Lukanii. Zdaniem rady leży to również w waszym interesie.

– Przestałbyś wreszcie gadać bzdury – przerwał mu Spartakus. – Jak ci nie wstyd, w twoim wieku! Prosiłem cię, żebyś mi powiedział, jak odsiać plewy od ziarna, bo takiej właśnie porady nam trzeba. Mamy dwa typy ludzi, które trzeba od siebie oddzielić. Pierwsi noszą w sercach

wielki, sprawiedliwy gniew; drudzy mają tylko brzuchy i kierują się prymitywną chciwością. To oni ponoszą odpowiedzialność za Nolę, Suessulę i Calatię. Musimy się z nimi rozstać, ale to będzie bardzo trudne. Trzeba znaleźć chytne sposoby, trzeba kluczyć i kręcić, żeby się ich pozbyć. Dotąd nie zdawałem sobie z tego aż tak jasno sprawy, ale gdy przyszedłeś i zacząłeś pleść te bzdury, wreszcie dotarło to do mnie. Masz jeszcze coś do dodania?

– Mam – rzekł Nikos. – Jeszcze nie powiedziałem tego, co najważniejsze. Rada miasta informuje i ostrzega was, że rzymski Senat rozkazał pretorowi Gajuszowi Waryniuszowi wyruszyć z dwoma legionami w pełnym składzie i przywrócić porządek w Kampanii. Za parę dni jego armia nadejdzie tu i wybije was do nogi.

Zręczliwy, irydujący głos starca ucichł; Nikos czekał teraz niecierpliwie na efekt swoich słów. Zauważył, że człowiek, którego barki okrywała zwierzęca skóra, podniósł głowę. Twarz, którą stary tak pokochał, nieco rozluźniona podczas rozmowy, przybrała znów zacięty, twardy wyraz, a jej rysy się zaostrzyły. „...Coś jednak zrozumiał”, przemknęło przez głowę staremu. Po raz pierwszy odczuł, że zlecona mu misja jest kłopotliwa, a człowiek naprzeciwko niego to wróg. „...To wódz łupieżców, a ja mam układać się z nim w imieniu miasta”, pomyślał Nikos i wyprostował zgarbione, starcze plecy.

– Powtórz to jeszcze raz, ale ze szczegółami – zażądał Spartakus.

Światło pochodni rzucało głębokie cienie na jego twarz, która wydawała się teraz wyrzeźbiona i martwa, zniknęło gdzieś przyjazne spojrzenie. Nikos musiał zmrużyć oczy i omijał go wzrokiem, patrząc obok, w ciemność. „Jestem już stary – pomyślał – i cóż o nim wiem? To twardzi ludzie, przepelnieni gniewem”. Chciał mieć już to wszystko za sobą.

– Dwa legiony w pełnym składzie pod komendą pretora Waryniusza – powtórzył. – Dwanaście tysięcy ludzi. Jego legatami są Kossiniusz i Gajusz Furiusz. Wojsko składa się z weteranów kampanii Lukullusa i świeżych rekrutów. Nie śpieszą się, ale będą tutaj za tydzień albo nawet wcześniej. Nie wierzysz mi?

„Niechby wreszcie znów zaczął mówić – pomyślał Nikos. – Takim go jeszcze nie znałem. Coś w końcu do niego dotarło”. Wreszcie Spartakus odezwał się, lecz ani na moment nie spuszczał wzroku z twarzy Nikosa.

– Jeśli to prawda, po co mi o tym mówisz? Skoro wojsko wyruszyło, żeby nas wykończyć, dlaczego nas ostrzegasz? Możesz mi to wyjaśnić?

– Oczywiście, że mogę. – Nikos przybrał konfidencjonalny ton. – Wspominałem ci

wcześniej, że rada ma pewne własne powody. Rada Kapui nie chciałaby, aby miasto znów wyzwalało żołnierze przysłani przez rzymski Senat. Za każdym razem, gdy Kapuę ratują rzymskie legiony, miasto musi za to płacić rachunek. Tak już było za Hannibala i podczas wojen sprzymierzeńczych. Być ratowanym przez Rzym, powiada Rada Kapui, to żadna przyjemność.

Umilkł z uczuciem ulgi, bo powiedział prawdę i widział, że człowiek w skórze mu uwierzył. Spartakus rozmyślał chwilę.

– Macie w tej radzie naprawdę sprytnych ludzi – rzekł w końcu. – Wzywają przeciw nam rzymskich żołnierzy, jednocześnie nas przed nimi ostrzegając. Rzeczywiście potrafią chodzić krętymi drogami. Dużo możemy się od was nauczyć.

Nikos nie odpowiedział. Czekał. Człowiek w skórze wydawał mu się teraz bardziej obcy niż kiedykolwiek.

– Późno się robi – rzekł Spartakus. – Zostaniesz u nas na noc czy wolisz wracać?

– Wracam – powiedział stary.

Ruszył eskortowany przez dwu milczących osiłków z pochodniami.

Już w drzwiach doleciał go głos mężczyzny w skórze. Wiedział, że słyszy go pewnie po raz ostatni.

– Chodź z nami, Nikos. Jesteś już zmordowany, ojcze, a w Lukanii są piękne lasy.

Nikos zawahał się przez moment. Drobny, kruchy staruszek stał obok dwóch krzepkich mężczyzn. Nie odwrócił się.

– Nie – powiedział. Poszedł przed siebie, a krok za nim dwaj służący z pochodniami wysoko nad głową.

Raz jeszcze dobiegł go ten sam głos. Nikos wyczuwał w nim serdeczność i uśmiech.

– Czy to droga zła, ojcze?

Nie odwrócił się i nie odpowiedział. Kroczył w ciemności, stary i drobny, a nad nim migotały pochodnie eskorty.

– Żegnaj, ojcze – ostatni raz odezwał się jeszcze głos ze świątyni.

Nikos nie mógł go już usłyszeć: był za daleko.

Narada znowu zakończyła się niczym.

Znów zasiedli przy długim, kamiennym stole, gadali godzinami i skrycie nienawidzili się wzajem. Kriksos spoglądał posępnie na resztę i przysypiał. Drobny Kastus obracał w palcach naszyjnik, wrzeszczał przenikliwym głosem, że legiony Waryniusza to bajki i domagał się ataku

na Rzym. Przedstawiciel służących Fanniusza działał wszystkim na nerwy swym prostodusznym uporem. Mędrzec o okrągłej głowie wygłaszał jakieś mętne sentencje i nikt nie rozumiał, o co mu chodzi. Ojnomaos milczał i spoglądał na mężczyznę w skórze. Błękitna żyła na czole nabrzmiała mu z tłumionej emocji, a wstydliva nieśmiałość młodzieńca też działała reszcie na nerwy. Gadali bez końca; każdy międlął w kółko te same, wyświechtane oświadczenia, zdając sobie sprawę, że nikt już tego nie słucha. Ciężyła im udawana i ceremonialna powaga narady; wszyscy tu znali się na wyłot i wiedzieli dużo więcej, niż chcieliby powiedzieć. Kiedy w prywatnych rozmowach nazywali rzeczy po imieniu, doskonale się rozumieli i choć zgromadzeni tutaj razem stanowili przecież zmaterializowaną sumę owych niezobowiązujących rozmów, w debacie nie dało się znaleźć ani śladu tych rozważań – pozostało tylko ich mdłe i ceremonialne echo. Wiedzieli o tym, zdawali też sobie sprawę z milczącej pogardy okazywanej im przez mężczyznę w skórze. Przenosił wzrok na kolejnych mówców, ale w jego oczach nie było już ani cienia życzliwości.

Czuli, że odsunął się od nich, przerastał ich w swej izolacji, ale uparcie milczał, choć mógłby podsunąć jakieś rozwiązanie albo zadać decydujący cios. Pozwalał im dreptać w tym absurdalnym kieracie, a wraz nimi dziesięciu, a może już dwudziestu tysiącom ludzi, którzy grzęzli w błocie i mokli pod przeciekającymi namiotami. Ci, którzy mieli im przewodzić, ciągnęli każdy w swoją stronę; przeklinali własną bezsilność, a jednak nie umieli się wyzwolić i postąpić ani kroku naprzód.

A w dali widać było mury Kapui, szyderstwo zamknięte w kamieniu.

Stali na nich kapuańscy niewolnicy z bronią zwróconą przeciw oblegającym. Ich nadzieje zostały zdeptane, spalone i pogrzebane pod gruzami Noli, Suessuli i Calatii. Wielu ludzi w obozie zdawało sobie z tego świetnie sprawę i z bezsilną nienawiścią spoglądało na Kastusa i jego „hieny”. A uśmiechnięty Kastus bawił się spokojnie swym naszyjnikiem; miał już ponad tysiąc zwolenników; słuchali tylko jego, chodzili w łachmanach i trzymali się osobno; już z dala cuchnęło od nich żądzą krwi i rozpusty.

Gładiatorzy siedzieli przy długim kamiennym stole, gadali, klócili się i pili na umór. Potem wstali i pobrnęli z powrotem przez błotniste ścierniska. Nie podjęli żadnej decyzji.

Na odchodnym Spartakus zatrzymał człowieka o okrągłej głowie.

– Siadaj i słuchaj. – Zabrzmiało to niemal opryskliwie.

Esseńczyk przyjrzał mu się i potrząsnął głową.

– W tej sprawie będziesz musiał chyba poszukać innego doradcy – powiedział. Skulił się

i uniósł barki jakby poczuł chłód.

Spartakus nie zwracał na niego uwagi.

– Rzym wysłał Waryniusza z dwunastoma tysiącami żołnierzy. Jeśli chcemy żyć w spokoju, zgodnie z naszymi przekonaniem, musimy pójść do Lukanii, do kraju gór i pasterzy. Ale są wśród nas ludzie, którzy nie słuchają rozkazów. Już popsuli nam Państwo Słońca i tak samo nie zgodzą się pójść do Lukanii. Chcą zmierzyć się z Waryniuszem, który ich zniszczy – jeśli pozwolimy, by wyruszyli sami.

Esseńczyk wciągnął głowę w ramiona – trochę przypominał teraz żółwia. Słońce świeciło Spartakusowi prosto w oczy; kiedy je mrużył, jego twarz wydawała się jeszcze bardziej surowa i bezwzględna.

– Jeśli pozwolimy, by wyruszyli sami... – powtórzył Spartakus. – Wszystko zależy teraz od nas. To są głupcy. Jeśli zostawimy ich bez pomocy, pójdą prosto pod miecz: Waryniusz wyrznie ich jak barany i wreszcie się ich pozbędziemy. Raz na zawsze skończą się wszystkie kłopoty. Nikt nie przeszkodzi nam budować Państwa Słońca. Nic na to nie powiesz?

Esseńczyk nie odzywał się, nawet nie kiwnął głową. Siedział bez ruchu.

– Teraz milczysz – ciągnął Spartakus – ale wtedy, w górach, wśród chmur, miałeś mnóstwo do powiedzenia, tyle pięknych, okrągłych zdań.

A przecież droga, którą mi wskazałeś, wcale nie prowadziła do Państwa Słońca tylko do Noli, Suessuli i Calatii. Nie chcesz nic mówić, ale ja muszę trzymać się tej drogi. Za dużo wśród nas takich, którzy nie chcą słuchać rozkazów i trzeba ich teraz wysłać Waryniuszowi, żeby wyrznął ich jak owce w ofierze dla twojego Państwa Słońca. Albo my zlikwidujemy ich, albo oni nas. Istotnie, oni to plewy, a my ziarno, ale przecież pochodzimy z tego samego kłosa, a to, co musimy teraz zrobić, sprzeciwia się naturze.

Esseńczyk wciąż milczał. Drobny i pomarszczony siedział naprzeciw Spartakusa, zdumiewając się, tak samo jak stary Nikos, że ten człowiek stał się nagle kimś zupełnie obcym. I tak samo jak Nikos pomyślał:

„Twardzi są gladiatorzy, pełni gniewu. Co ja właściwie o nich wiem?”.

W końcu pokręcił głową i z ociąganiem powiedział:

– Bóg stworzył świat w pięć dni i za bardzo się śpieszył. W pośpiechu wiele rzeczy wyszło mu nie tak jak powinno, a kiedy szóstego dnia zabrał się za tworzenie człowieka, chyba porządnie poirytowany i zmęczony, parę razy zdarzyło mu się go przekląć. I dlatego człowiek,

dążąc do dobra i prawdy, musi kroczyć drogą złą; chcąc dojść do uczciwego celu kluczy i kręci – to najgorsze z tych przekleństw. Raz jeszcze powiadam ci: do tego, co ma się stać teraz, potrzebujesz innego doradcy.

Kiedy okrągłogłowy wychodził za próg, Spartakus nie podniósł na niego wzroku; siedział okrakiem przy stole i ogromnymi haustami pił wino z dzbana. Esseńczyk obejrzał się, popatrzył na jego szeroką, kościstą twarz i wydało mu się, że widzi tego człowieka pierwszy raz w życiu.

Spartakus pił do wieczora. O zmroku przyszedł Kriksos. Nie mówili dużo, bo krępowała ich świadomość, że obaj znają swoje myśli. To, co miało się teraz stać, od dawna dojrzewało w nich, tak jak miazga drzewa rośnie powoli pod powierzchnią kory, a kiedy w końcu słowa padły, były niczym przejrzały owoc. Wreszcie wszystko zostało powiedziane, decyzja zapadła. Było już całkiem ciemno. Kiedy leżąc na kobiercach, odprężeni, jedli wieczorny posiłek przy stojącym między nimi stole, obaj myśleli o tamtej nocy pod Wezuwiuszem, po zwycięstwie. Spędzili ją w namiocie pretora Klodiusza Glabera; Kriksos tak samo sięgał wtedy z dołu po omacku na stół, wybierał kawał mięsa i wkładał go do ust, a potem oblizywał tłuste palce i wycierał je w dywan. Milczeli teraz, świadomi, że wracają myślami do tych samych chwil. Spartakus położył się na plecach, podłożył pod głowę skrzyżowane ręce; Kriksos oblizywał wargi, popijał z dzbana i wydłubywał końcem języka resztki jedzenia spomiędzy zębów. Omijali się wzrokiem.

Nieco później do sanktuarium przyszedł Kastus z informacją że w obozie wrze pod wpływem pogłosek o kłótni między gladiatorami i zanoszą się na rozpad gromady. Uśmiechał się niepewnie stojąc w drzwiach, mrużył oczy i usiłował wypatrzeć coś w ciemności. Nikt mu nie odpowiedział, więc czekał, bawiąc się cienkim srebrnym naszyjnikiem.

Kriksos pociągnął łyk wina i wypluł je.

– Po co przychodzisz tu z tymi bzdurami? – zapytał.

Kastus uśmiechnął się.

– Myślałem, że może to was zainteresować.

– W ogóle nas to nie interesuje – odparł Kriksos. – Chyba że ciebie – spojrzał na Spartakusa.

– Nie – padła odpowiedź. – Postanowiliśmy, że jutro część z nas wyruszy przeciw Waryniuszowi – zwrócił się do Kastusa. Zależało mu, by ta zapowiedź brzmiała możliwie obojętnie.

– Ciekawe – powiedział Kastus. – Część z nas?

– Tak – odparł Spartakus. – Ci, którzy chcą.

Wszyscy trzej milczeli. Kastus stał wciąż w drzwiach, nie zbliżył się ani o krok.

– A reszta? – zapytał.

– Idziemy do Lukanii. W góry, do pasterzy – odpowiedział Spartakus.

Znów zapadła cisza, tym razem dłuższa. Skądś dolatywało porykiwanie muła, minęło trochę czasu, zanim się uspokoił. Potem wszystko umilkło.

Wreszcie Kastus rzucił jeszcze pytanie w ciemność, w stronę Kriksosa.

– Ty też wybierasz się do Lukanii?

Kriksos nie odpowiadał. Wyręczył go Spartakus:

– Nie, on idzie z wami.

Mały człowieczek uśmiechnął się z ulgą i znów zaczął bawić się łańcuszkiem.

– Na Rzym, co? Myrmilonie, ruszamy do Rzymu.

Kriksos jeszcze raz pociągnął z dzbana.

– Do Rzymu. Albo i gdzie indziej – powiedział.

Kastus nie mógł go zobaczyć, ale wiedział, że przygląda mu się swymi mętnymi, rybimi oczami osadzonymi w foczej głowie.

Lekko się wzdrygnął. Pomyślał, że następną noc znów spędzą na wspólnym posłaniu.

6. Przygody prawnika Fulwiusza

Pod osłoną nocy pisarz i pokątny doradca Fulwiusz zdołał przejść przez mur, uwalniając się tym sposobem od towarzystwa głupich kapuańskich patriotów. Jego wyczyn graniczył z akrobacją i drobny, krótkowzroczny prawnik ze swą łysą, pokrytą guzami głową sam się dziwił, że czegoś takiego dokonał. Klapnął na rozmokły, gliniasty grunt po drugiej stronie muru i przez jakiś czas po prostu siedział bez ruchu. Przed nim rozciągały się ścierniska i zdeptane pola, rozległy i pusty pas ziemi niczyjej, a za polami, gdzieś dalej, był zapewne obóz oblegających. Na razie nic nie widział; do jego uszu docierał tylko nieustanny szum lejącego deszczu – kto wie, może ci bandyci, ich obóz i wielki Spartakus, Wódz Uciśnionych, Wyzwoliciel Nędzarzy, w ogóle nie istnieją? Siedział więc w lepkiej glinie, w nasiąkniętym wodą ubraniu, a plecami wyczuwał śliski i zimny mur. Mur był bardzo wysoki; kiedy Fulwiusz wykręcał głowę, żeby spojrzeć w górę, miał wrażenie, że pochyła się i zaraz na niego runie. Na górze, po koronie muru chodził tam i z powrotem strażnik, partyjski niewolnik z nagą piersią i włócznią w ręce. Fulwiusz uznał w końcu, że nie może tak siedzieć w nieskończoność; dopiero teraz dotarło do niego, że po grzbiecie ścieka mu woda. Ledwie jednak zdążył odejść parę kroków, dogonił go ochrypły, gardłowy okrzyk Parta. Fulwiusz stanął i popatrzył w górę. Zobaczył wychyloną do przodu sylwetkę strażnika, z lekko ugiętym kolanem i uniesioną, gotową do rzutu włócznią.

– A dokąd to? – gardłowym głosem krzyknął Part.

– Ja tylko tu, bliźniutko – zawołał z udawaną beztroską, największą, na jaką go było stać. W tym samym momencie zdał sobie jednak sprawę, że nie jest to odpowiedź, która zadowoli wojowniczą postać na murze, i rzucił się biegiem, na oślep, przed siebie. Czuł jak narasta w nim strach. Part na murze wrzasnął przeraźliwie, a Fulwiusz usłyszał świst przelatującej włóczni, która zaryła się tuż obok niego w błotnistej brei.

„No i dobrze, już ją straciłeś!” – pomyślał prawnik mimo dławiącej go paniki. – „Co za idiotyczne zajęcie”.

Zapewne posypały się teraz za nim strzały z łuku, ale już po dwudziestu krokach Fulwiusz całkowicie zniknął w deszczu i ciemności. Zbiegł, potykając się, po niewielkiej pochyłości, gdzie swoje pokręcone gałęzie wyciągały drzewa oliwne. Zatrzymał się zdyszany i przywarł do pnia.

„Kogo broni ten cudzoziemiec, rzucając we mnie włócznią?” – zastanawiał się. – „W imię

czego, u licha, zgrywa się na bohatera?”

Postanowił poświęcić więcej uwagi tej kwestii podczas pisania swej wielkiej kroniki Wojny Niewolniczej. Bohaterstwo to oczywiście skutek fizycznej nieporadności okazywanej przez człowieka w jego próbach przeciwstawienia Idei obcym siłom i zagrożeniom Natury. Ale żeby niewolnik wykazywał się bohaterstwem na rzecz swego pana, w dodatku bez przymusu i bez żadnej porywającej idei – to już naprawdę osobliwość.

Brnął w ulewie przez błoto, próbując zorientować się w terenie. Było zupełnie ciemno, zniknął księżyc i gwiazdy, a kurtyna deszczu przesłaniała wszystko w odległości kilkunastu kroków. Fulwiusz doszedł do wniosku, że tę wędrowną w bezkresnej i nieprzeniknionej ciemności może wykorzystać jako punkt wyjścia swojej kroniki.

Nagle zza ściany deszczu dobiegł go jakiś głos. Zatrzymał się i wytrzeszczył krótkowzroczne oczy. Był to zapewne posterunek armii niewolników, jednak w tym momencie Fulwiuszowi wydało się całkiem nieprawdopodobne, żeby komuś chciało się wystawiać strażę. Poprzez lejący nieustannie deszcz usłyszał ten sam głos po raz drugi. Musiał coś odpowiedzieć, żeby przez pomyłkę nie zabili go ci, do których chciał się przyłączyć. Pewnie czekają na hasło – przecież w całej głupiej Kapui bez przerwy rozbrzmiewały jakieś hasła.

– Spartakus – zawołał schrypłym głosem, przekrzykując szum ulewy. Akurat to imię wydało mu się najbardziej właściwym słowem. I natychmiast chwycił go nagły atak kaszlu.

Wartownik zbliżył się. Wyłonił się stopniowo z mroku, na głowie miał ociekający wodą kaptur.

– Czemu wrzeszczysz „Spartakus”? – zapytał strażnik z silnym lukańskim akcentem i wyraźnie zaskoczony wyszczerzył zęby.

Prawnik nie mógł powstrzymać kaszlu – na pewno się przeziębił.

– Jestem Fulwiusz z Kapui, prawnik i pisarz. Gdzie jest wasze wojsko? – wykrztusił w końcu.

– Gdzie? – wartownik był coraz bardziej zdziwiony. – Jak to gdzie?

– Tu, tam – wszędzie. – O co ci chodzi?

Dopiero teraz Fulwiusz zauważył w pobliżu niewyraźne zarysy paru namiotów. Zapewne było ich tutaj dużo więcej. Wyglądały na całkowicie opuszczone. Istotnie, czego właściwie tu szuka?

– Jestem pisarzem – powiedział i znowu się rozkaszał. – Chcę dostać się do Spartakusa,

żeby napisać kronikę waszych walk.

– Napisać naszą kronikę? – wartownik rozbójników miał długie zęby, wystające i żółte, co widać było nawet w ciemnościach. Wyglądał znacznie mniej wojowniczo od tamtego Parta na murach, który cisnął za nim włócznią. – A po co?

– Trzeba opisywać takie sprawy, żeby później ludzie wiedzieli, co się działo.

– A czy to kogoś obchodzi? – zapytał strażnik. Zupełnie nie przeszkadzała mu ani ulewa, ani ciemności i najwyraźniej szykował się do dłuższej rozmowy.

– Każdy chciałby wiedzieć, co się zdarzyło, zanim się urodził – odpowiedział prawnik.

– To prawda – rzekł pasterz Hermios. – Czasami sam jestem ciekaw. A skąd to wiesz?

– Piszą o tym w książkach.

– A ty piszesz książki?

– Zamierzam napisać historię waszej kampanii – powiedział Fulwiusz i zakaszał.

– Nie ma w tym nic ciekawego – wzruszył ramionami wartownik. – Idziemy po prostu od miasta do miasta i od jednej bitwy do drugiej.

– Za sto lat – wyrecytował prawnik, bo od dawna przygotowywał się do takiej rozmowy – co mówię, za tysiąc lat świat wciąż będzie mówił o Spartakusie, który wyzwolił rzymskich niewolników. – Przerwał mu kolejny atak kaszlu, z ubrania ściekały strumyki wody.

– Coś takiego! Co też ci chodzi po głowie – w głosie wartownika dał się wyczuć podziw. – Napiłbyś się gorącego wina? Strasznie zmokłeś.

– Och, tak – westchnął prawnik i spojrzał tęsknie w stronę opuszczonych namiotów. – Z wielką chęcią.

– No to idziemy. – Hermios ruszył przodem, Fulwiusz pośpieszył za nim. – A kto zostanie na straży? – zapytał, kiedy zbliżali się do miasteczka namiotów.

– Ktoś tam może przyjdzie – odpowiedział pasterz. – Zresztą w taki deszcz i tak nie ma tu po co stać.

Wiadomość, że w armii doszło do rozłamu, wywołała w obozie wielkie poruszenie, choć oczywiście nikogo nie zaskoczyła, bo już od pewnego czasu wszystko wyraźnie wskazywało na taki finał. W końcu kłócili się, przeklinali i powtarzali codziennie, że „coś musi się zmienić”. Ale teraz, gdy rzeczywiście coś się zmieniło i wreszcie doszło do całkowitego i nieodwołalnego podziału, obóz aż kipiał od ciekawości i zdumienia podszytego niedowierzaniem.

Słudzy Fanniusza rozpowszechnili wiadomość o rozłamie; donośnymi głosami, z kamiennym

wyrazem twarzy publicznie ogłosili postanowienie we wszystkich rogach obozu. Armia niewolników – głośno recytowali wyuczony tekst – podzieli się na dwie części, stosownie do różnic poglądów w obozie i decyzji rady gladiatorów. Jedna część zgodnie z własnym życzeniem ruszy na północ, do Rzymu, i stoczy bitwę z nadciągającymi legionami. Na jej czele staną gladiatorzy Kriksos i Kastus ze szkoły Lentulusa Batiatusa w Kapui. Każdy, kto całkowicie i szczerze podziela ich zamiary, powinien wyruszyć wraz z nimi.

Natomiast ci wszyscy, którzy mają odmienne poglądy i są zdecydowani iść za Spartakusem, wyruszą pod jego dowództwem do Lukanii, górskiej krainy pasterzy. Jest bowiem wołą Spartakusa, żeby zrezygnować z dalszych bitew, plądrowań i rabunków. Należy natomiast wezwać wszystkich niewolników i żyjących w nędzy pasterzy z południa Italii, ludzi z miast, wsi i gór, żeby przyłączyli się do wielkiego przymierza sprawiedliwości i dobra zapowiadanego od początku czasu, od ery Saturna, przymierza, które nazwane zostanie Państwem Słońca. Ale od każdego, kto chce pomaszerować na południe, Spartakus żąda bezwarunkowego posłuszeństwa i podporządkowania się jego władzy.

Śludzy Fanniusza obwieścili to wszystko w godzinę po zachodzie słońca, i natychmiast w mniejszych i większych grupkach rozpoczęły się hałaśliwe dyskusje. Ale mimo całego tego zamieszania i starcia poglądów, ruszyła realizacja wielkiego i utajonego zamysłu Spartakusa – oddzielania plew od ziarna.

Kiedy prawnik i pisarz Fulwiusz wraz ze swym przewodnikiem, pasterzem Hermiosem, obaj przemoczeni do suchej nitki, weszli do obozu, na każdym kroku natykali się na zawzięcie dyskutujące grupki. Nikt się nimi nie zainteresował.

– Czy wasi ludzie zawsze się tak zachowują? – zapytał Fulwiusz.

– Nie – odparł pasterz – wszystko przez ten rozłam. – Niedobrze z nami, bracie – westchnął przygnębiony. – Niedobrze. Zachowujemy się jak nierozumne owce i jagnięta. Jedne idą tu, drugie tam, nie utrzymasz ich w kupie.

– A o co właściwie im chodzi? – dopytywał się prawnik.

– Sam nie wiem, bracie – jęknął pasterz. – Właściwie zawsze tak było; nawet w kraterze Wezuwiusza, kiedy nie mieliśmy co jeść, klóciliśmy się bez przerwy. Są wśród nas źli ludzie, którzy trzymają z Kastusem i jego „hienami”. Może wreszcie teraz sobie pójdą, a Rzymianie ich wykończą. I wtedy będzie spokój.

Kończył, kiedy dopadł ich Zosimos. Wskoczył spomiędzy namiotów w swej złachanej,

brudnej todze i z podnieceniem wymachiwał rękami.

– Zastanów się, co gadasz! – wrzasnął na Hermiosa i złapał go za ramię, usiłując dotrzymać mu kroku. – Będzie spokój, powiadasz, kiedy wyślą naszych braci, prawda, że ciemnych i niebezpiecznych, na pewną śmierć?! To przebiegła i cyniczna polityka rozbijaczy... A to kto taki? – przerwał nagle i nieufnie przyjrzał się dygocącemu prawnikowi.

– Przeziębili się i musi łyknąć gorącego wina – wyjaśnił Hermios. – To zbieg z Kapui. Pisze książki – dodał tajemniczym szeptem.

– Filozof Zosimos, pozdrawia cię, kolego – jowialnie, acz nieco kwaśno powitał go retor. Wykonał szeroki, elegancki gest, a wtedy mokra toga klasnęła go po brzuchu.

Fulwiusz nie mógł odwzajemnić jego kurtuazji, bo znów obezwładnił go atak kaszlu. Ten napuszony człowiek budził w nim odrazę, a jednocześnie litość. Mimo wielkopańskiego zadęcia wyglądał marnie i smutno; zapewne nieraz w życiu dostawał porządnie w kość.

– Chodź – Hermios zwrócił się do swego podopiecznego. – Tu mieszka pewien stary człowiek, mój przyjaciel. Musisz się wczłogać do wnętrza, ale uważaj, żeby nie zabłocić kolan.

Stary Wibusz siedział nieruchomo pod ścianą namiotu; w świetle oliwnej lampki nie dało się rozpoznać – spał czy rozmyślał? Wnętrze było przyjemnie duszne i mroczne, krople bębniły po płóciennym dachu; nawet deszcz wydawał się przyjazny, bo nie lał się na głowę.

– Przyprowadziłem ci gościa – Hermios mówił głośno, bo stary ostatnio słyszał coraz gorzej. – Przyszedł z Kapui.

– Witam cię – powiedział starzec. Zosimos zmieszany stał w kącie.

– I ciebie, Zosimosie – dodał.

Prawnik skłonił się przed gospodarzem namiotu. Usiedli.

– Przydałoby mu się trochę gorącego wina – rzekł pasterz. – Jest przeziębiony.

Wibusz sięgnął po owinięty szmatami dzbanek i podał go prawnikowi. Fulwiusz pociągnął porządny łyk, zakaszłał, a potem wypił znowu.

Pod wpływem mocnego falerna zaprawionego cynamonem i goździkami ogarnęła go kolorowa mgiełka. Poczul się szczęśliwy, że tu właśnie trafił.

Przez chwilę milczeli, podając sobie kolejno dzbanek. W końcu stary gospodarz zapytał:

– Co mówią ludzie w Kapui?

– Ludzie w Kapui – zaczął prawnik i potarł dłonią guzy na czaszce – są bardzo głupi, ojcie. Działają wbrew własnym interesom, chwalą swych dręczycieli, a dla wyzwolicielei mają

nienawiść i ostre partyjskie włócznie. A jeszcze dziwniejsze, że ta głupota jest całkiem szczerą. Pragną być upokarzani, natomiast pocziwie i szczerze gardzą tym co nowe, obce i wznioślejsze. Czy potrafisz mi to wyjaśnić? Prawie znałem odpowiedź, ale chyba wyleciała mi z głowy.

Pociągnął z dzbanka i odchylił się do tyłu, jak zawsze, gdy świeciła mu jakaś nowa myśl. Zaskoczył go brak belki nad głową. Poglądził dłonią łysinę i nie wyczuł nowego guza. Poczł się zdeorientowany. Czegoś mu brakowało, choć sam nie wiedział czego; wytręcało go to z równowagi. Łyknął następny haust. Pomogło. Teraz nawet smutek z powodu głupoty ludzkości rozplynał się w dusznej ciemności namiotu.

– Jest to pytanie stare jak świat – rzekł Wibiusz.

– Wyjaśnieniem jest brak rozumu – powiedział retor Zosimos – a także niezdolność do szukania inspiracji w wyższych wartościach.

– Puste słowa – wtrącił starzec. – Żaden człowiek nie zdoła żyć bez inspiracji. Bez niej wyschłyby jego soki żywotne, a dusza musiałaby obumrzeć.

– Słusznie – rzekł prawnik. – Wybierzcie się do Kapui i obejrzyjcie sobie te demonstracje patriotyczne i potrząsanie oszczepami. Przekonacie się sami, jak trudno nie zarazić się ospą zainspirowanego zapalu.

– O tym właśnie mówię – zareplikował Zosimos. – Zawsze inspiruje ich coś złego.

– A może dla nich to właśnie jest dobre? – powiedział Hermios i wyszczerzył swe żółte zęby w uśmiechu zażenowania. Zdumiała go własna zuchwałość.

– Nie – rzekł starzec. – To jest chore i złe, kiedy cielec brata się ze swym rzeźnikiem, a niewolnik z panem. – Przerwał i pociągnął z dzbanka parę drobnych łyčzków. Pozostali milczeli. Deszcz bępnął w dach namiotu; pożyteczny deszcz, który nie przenikał do wnętrza i nie padał na głowy. W mózgu prawnika klębiły się nieskładne myśli pobudzone czerwonym falernem gotowanym z goździkami i cynamonem. Hermios przysnął; drzemał pasterskim zwyczajem na siedząco, podnosząc co jakiś czas opadającą głowę. Stary Wibiusz także przymknął oczy. Kiedy tak siedział medytując, wyglądał jak wyschła egipska mumia; jedynie obdarty retor, powiewając połami swej togi, próbował sformułować konkluzję.

Powtórzył słowa Wibiusza:

– Tak, to jest złe, gdy cielec brata się z rzeźnikiem. Ale jeszcze gorzej, gdy jedne cielecła posyłają inne na rzeź. A właśnie coś takiego robi teraz nasz Spartakus.

Na dźwięk tego imienia pasterz otworzył oczy.

– Znowu go szkalujesz, Zosimosie? – wybełkotał oszołomiony winem i snem.

– Ten Spartakus stał się ostatnio bardzo sprytny – ciągnął retor. – Chyba za bardzo, jak na mój gust. Ktoś, kto marzy o Państwie Słońca i rządach dobra, nie powinien posuwać się do politycznych manipulacji i podstępного rozbijactwa.

Prawnik nagle otrzeźwiał, przypomniał sobie o kronice, którą chciał napisać.

– Konieczność wyboru krętych dróg – powiedział. – Nikomu nie uda się tego uniknąć. Zmierzając do wyznaczonego celu, każdy musi wkroczyć na ten fatalny szlak.

– Krętych dróg, powiadasz? Ależ on wysłał ich na śmierć najkrótszą drogą, i to tak, żeby się nie zorientowali – upierał się Zosimos. – Prawda, że Kastus i jego ludzie dopuszczali się rzeczy odrażających, ale czy to rzeczywiście ich wina? Nie można nazwać winnym człowieka, którego do grzechu popchnął los, siejąc w nim ziarno chciwości zrodzonej z długotrwałej biedy. To wciąż nasi bracia. Czy zasnąłeś, Wibiuszu?

Starzec bynajmniej nie spał; siedział pogrążony w rozmyślaniach.

– Słyszę twoje słowa i nie mogę się z nimi zgodzić – powiedział dopijając ostatnie krople z dzbana. – Jeśli chcesz założyć ogród, musisz zacząć od wyrywania chwastów.

– Dobrze – odparł Zosimos, który wyglądał na szczerze zrozpaczonego rozłamem. – Jest jednak różnica między ludźmi i główkami kapusty. Ciekaw jestem, czy nadal byłbyś taki mądry, gdyby posłano twego syna na rzeź tylko dlatego, że za głośno burczało mu w brzuchu.

– Każdy może przecież wybierać wedle własnej woli – powiedział pasterz. – Słudzy Fanniusza ogłosili to wszem i wobec.

– Zgoda – stwierdził Zosimos. – Ale czy ujawnili też, jak silna jest armia Waryniusza, z którą mają się zmierzyć? Dwa pełne legiony, dwanaście tysięcy żołnierzy, o tym ani słowa, prawda? Ci biedni narwańcy znają tylko plotki, nie przemęczają się myśleniem i wydaje im się, że załatwią się z Warynuszem tak samo łatwo jak z Klodiuszem Glaberem.

A jednak jest ich tylko trzy tysiące; bezrozumnych i chciwych, wybierających się na północ z marnym uzbrojeniem i bez pojęcia o dyscyplinie.

Wszyscy zginą, a przebiegły Spartakus pozwala im iść na pewną śmierć, żeby tylko się ich pozbyć – „każdy może wybierać, proszę bardzo...”.

– Ale ich przywódcy – zapytał prawnik – ten Kriksos, Kastus czy kto tam jeszcze, zapewne o tym wszystkim wiedzą?

– Kastus to pętał, bezczelny zuchwalec, który ma akurat takie pojęcie o wojowaniu jak i oni

wszyscy. Z Kriksosem rzecz ma się inaczej – Zosimos półgłosem ujawniał obozowe plotki. – Nikt go nie umie rozszyfrować. Oczywiście, że tak samo jak Spartakus zna siłę rzymskiej armii i tak samo dobrze wie, co to znaczy. Niby wie – a jednak nie wie. Nie jest człowiekiem zdolnym do chłodnej kalkulacji. Sam nie wie, czego chce. A może mu odpowiada to, co ma się stać? Nienawidzi Spartakusa, a równocześnie kocha go jak brata. Mówią, że tego dnia, kiedy uciekli od Lentulusa z Kapui, byli wyznaczeni do pojedynku na arenie. Jeden z nich miał zabić drugiego. Cały czas to wiedzieli, rozumiesz? I nadal o tym wiedzą. Trudno to wszystko wytłumaczyć. Na pewno oswoili się kiedyś z myślą, że aby przeżyć, jeden będzie musiał zabić drugiego. I może jeszcze do obu nie dotarło na dobre, że obaj przeżyli. Jeśli więc Kriksos teraz wyrusza i rozstaje się ze Spartakusem, może to właśnie mu odpowiada. Może obaj czują, że tak musi być i może nawet nie wiedzą dlaczego. Trudno to jednak wyjaśnić.

– Ależ ty masz głowę – pasterz był szczerze zaintrygowany.

Ale i Fulwiusz patrzył zaskoczony na napuszonego retora. Czyżby nie docenił tego człowieka w dziwacznej todze? Znow zwrócił uwagę na jego twarz, chudą, wyniszczoną i budzącą współczucie. Naprawdę niełatwo czytać w człowieku, pomyślał prawnik. On sam przeżywał kiedyś lepsze dni – mimo wszelkich starań nie umiał wczuć się w psychikę kogoś, komu nigdy się nie poszczęściło.

– ...To, co zamierzają zrobić, jest nikczemne – Zosimos znow przybrał swój arogancki, kłótniwy ton. – Ten wasz Spartakus postępuje wyjątkowo podle. Mówicie o krętych drogach prowadzących do celu? To oszukańcze ścieżki. Niebezpieczne ścieżki, powiadam wam, bo nigdy nie wiadomo, gdzie was na końcu doprowadzą. Było już wielu takich, którzy weszli na drogę tyranii, najpierw robili to tylko po to, by służyć wzniosłym ideom, ale potem okazywało się, że z tej drogi nie da się zejść. Przypomnijcie sobie dyktaturę Mariusza, Przyjaciela Ludu, i czym się to skończyło. Pomyślcie tylko...

– Po co właściwie opowiadasz te bzdury o dyktaturze i tyranii? – przerwał mu Fulwiusz.

– Mówię o krętych drogach – Zosimosowi z podniecenia głos łamał się i przechodził w nienaturalny pisk. – Takie drogi rządzą się własnymi, bezlitosnymi prawami. A czy to ja poruszyłem temat dyktatury i tyranii?

To wy zaczęliście z tymi krętymi drogami, a stąd przecież tylko krok do jednej i drugiej.

– Ho ho – zaśmiał się pasterz – czy myślisz, że Spartakus stanie się tyranem?

– Tak, mówię o Spartakusie, mój ty wodzu owiec i jagniąt.

– Sam jesteś jak becząca owca – skontrolował go pasterz, ale uśmiechał się przyjaźnie. Postanowił ułożyć się do snu. Tym razem zwinął się na ziemi i przyciągnął kolana do brzucha.

Fulwiusza zmęczyła ta dyskusja; zebrał już dość materiału, by zacząć kronikę wyprawy niewolników. Z dala całkiem inaczej wyobrażał sobie rewolucję – sądził, że jest bardziej prostolinijna i mniej pogmatwana, choć przecież powinien zdawać sobie sprawę, że wszystko oglądane z bliska jest inne. Dezorientowało go to, ale i wciągało; musiał teraz przemyśleć sprawy, których wciąż nie rozumiał.

Życząc reszcie towarzystwa dobrej nocy, wyciągnął się na ziemi pod ścianą namiotu, z głową tuż obok prostych buciorów pasterza. Pachniały ostro, choć nie obrzydliwie. Deszcz bębnił monotonnie i usypiająco. Czy naprawdę wszystko zdarzyło mu się tej jednej nocy – ów bieg w deszczu i rzucona z murów włócznia, która tuż obok niego wbiła się w błoto? Oto, jak niektóre godziny naszego życia rozciągają się i napęniają aż po brzegi, podczas gdy inne – puste, żalodne paciorki nawlekane na naszyjnik czasu – nie mają znaczenia i rozplywają się w przeszłości.

7. Kronika prawnika Fulwiusza

Kronikę Fulwiusza, prawnika z Kapui, czekały dziwne losy. Nigdy nie została ukończona, tak samo jak nie skończyła się opowiadana przez nią historia. Ale zwoje pergaminu, na których ją zapisano, przetrwały, budząc uczucie dziwnego respektu rodzącego się z nienawiści, zakłopotania i zgrozy. Przekazywano je z wieloma świadomymi okaleczeniami i dopiskami, zapomniano o nich i znów wydobywano na światło dzienne, gdy tylko sama historia zdawała się zmierzać ku zakończeniu dawno podjętego przez siebie dzieła.

Okazało się więc, że w pewien sposób potwierdziły się słowa prawnika Fulwiusza, które – przemoczony do cna i kłapiąc z zimna zębami – wypowiedział tamtej nocy do Hermiosa: ludzi zawsze interesuje to, co się zdarzyło na świecie przed ich narodzeniem. Nawiasem mówiąc, sam nie do końca wierzył w to, co mówił, bo też człowiek nie do końca wierzy, że coś może naprawdę zdarzyć się przed jego narodzinami albo po jego śmierci, co w końcu wychodzi na jedno. Ci, którzy mieli czytać tę książkę kiedyś w przyszłości, byli dla niego pojęciem równie mglistym i mało konkretnym jak on dla nich; żeby przekonać się wzajemnie o swym istnieniu, obie strony potrzebowały wnikliwej, abstrakcyjnej refleksji.

A jednak, jak można dowieść idąc dalej tym tropem, łańcuch łączący narratora ze słuchaczami ponad otchłanią czasu liczy nie więcej niż sześćdziesiąt siedem pokoleń; nie więcej niż sześćdziesiąt siedem razy ojcowie musieli ustępować miejsca swym synom i zacierali się w ich pamięci, wnosząc swój przyczynek do wielkiej, wyblakłej rzeczywistości czasu przeszłego.

Fulwiusz od samego początku uważał za konieczne tu i ówdzie wprowadzić drobne korektury do opisywanych zdarzeń. W żadnym razie nie zamierzał upiększać historii po części zamierzonymi, a po części mimowolnymi poprawkami. Nie był estetą – gdyby nim był, nie skoczyłby przecież z murów Kapui. W gruncie rzeczy chodziło mu tylko o to, by uporządkować opowieść na podobieństwo przejrzystego, starannego manuskryptu, wygładzając przypadkowe zmarszczki, załamania i pomięte miejsca. Traktował swą pracę bardzo poważnie i z profesjonalną rzetelnością dbał o wierne oddanie detali, choć z drugiej strony patrzył na samą czynność pisania z podobnym sceptycyzmem, z jakim odnosił się do wynurzeń retora Zosimosa. Wszystkie gómolotne odwołania do przyszłych stuleci wydawały mu się bowiem wątpliwą pociechą wobec tej konkretnej rzeczywistości, którą człowiek osobiście przeżywa.

Dziwne losy książki utrwalonej na zwojach pergaminu, którą pisał w skupieniu, wzdychając i pocierając co chwila łysinę, zdają się potwierdzać jego trzeźwą ocenę. Albowiem, jak powiedziano już wcześniej, jej tekst był wciąż wygrzebywany z mroku przeszłości, świadomie uzupełniany i wciąż na nowo odczytywany, za każdym razem, gdy ludzie podejmowali próbę dokończenia w rzeczywistości tamtej, wciąż niezamkniętej historii.

Pergaminowe zwoje prawnika Fulwiusza z Kapui niczego nowego nie odkrywały; ich treść od dawna żyła w odwiecznej tęsknocie prostych ludzi za utraconą sprawiedliwością; przekazywano ją sobie jak pałeczkę w sztafecie gniewu, która wystartowała już w mrokach prehistorii, gdy bogaty bóg rolnictwa i miast zamordował boga pustyni i pasterzy.

Z KRONIK PRAWNIKA FULWIUSZA Z KAPUI

1. ...A kiedy miasto Kapua stawiało opór i odmówiło otwarcia bram Spartakusowi, w obozie buntowników zrodziła się niezgoda. Spartakus, który zdawał sobie sprawę, że sama odwaga, pozbawiona doświadczenia, nie sprosta strategii zdyscyplinowanej armii, zamierzał ustąpić przed nadciągającym C. Warynuszem i jego legionami, wycofując się z otwartych pól Kampanii do Lukanii. Jej góry obiecywały kryjówkę i schronienie, a przyjazny stosunek pasterzy zapewniał zarówno bezpieczeństwo, jak i szansę spełnienia wszelkich ambitnych planów.

Natomiast Galowie, a także ci wszyscy, którzy pragnęli tylko mordów, grabieży i zaspokojenia najniższych instynktów, wyruszyli ze swymi przywódcami Kriksosem i Kastusem, aby zmierzyć się z Rzymianami. Niejeden mógłby uznać tę decyzję za mężniejszą i bardziej prawą od rozropnej postawy Spartakusa, ale było to tylko złudzenie. Ulegają mu tylko ci, którzy nie są świadomi, że słabość równie często idzie w parze z odwagą, jak z tchórzostwem. Otóż owi odszczepieńcy, a było ich trzy tysiące, opuścili wspólny obóz podczas szczególnie dżdżystej nocy, mniej więcej w godzinę po zachodzie słońca. Ludzie dochowujący wierności Spartakusowi stali przed namiotami i przyglądali się niezdyscyplinowanemu tłumowi, który wychodził z hałasem i zuchwałymi drwinami. Pod adresem stojących przed namiotami leciały pogardliwe okrzyki i zniewagi, ci jednak, choć niczego wcześniej między sobą nie ustalali, znosili to w milczeniu. Dla każdego, kto patrzył trzeźwo, było jasne, że ów tłum kiepsko uzbrojonych opryszków z całą pewnością źle skończy, bo nie może mierzyć się z rzymskimi najemnikami, dla których wojna jest zawodem. Poubierali się w jakieś cuchnące łachmany i niewyprawione wilcze skóry, jakby już samym wyglądem chcieli odróżnić się od reszty rebeliantów. Ten rażący brak troski o ciało najwymowniej świadczył o ich marnej wartości bojowej.

Wychodzili, demonstrując ogromną pewność siebie. Zebrali się na granicy obozu i stamtąd ruszyli przy dźwiękach hałaśliwej i wojowniczej muzyki; przygrywały im krótkie flety podobne do gwizdków używanych przez etruskich pasterzy.

Mieli także kocioł, którego donośny, a zdaniem niektórych złowróźbny dźwięk dawał się słyszeć jeszcze długo po tym, gdy pochód zniknął wśród ogromnych rozlewisk, jakie o tej porze roku tworzy rzeka Volturnus.

Po jakimś czasie ucichło nawet potężne dudnienie kotła, zaś tych, którzy pozostali w obozie, ogarnęło wielkie przygnębienie.

2. Również i Spartakus zamierzał zwinąć obóz i wraz ze swymi wiernymi towarzyszami, których liczebność oceniano na około osiemnaście tysięcy, wybierał się do Lukanii. Miało to nastąpić zaraz po rozstaniu z grupą Kriksosa, której losy prawdopodobnie uważał za przesądzone. Wymarsz opóźnił się jednak o parę dni, bo przygotowania do wędrówki tak wielkiej masy ludzi wymagały starannego zaplanowania i podjęcia stosownych kroków. A poza tym rebelianci zwlekali, bo przed odejściem na południe ogromnie byli ciekawi, jak powiodło się ich niedawnym towarzyszom.

Wiadomości nadeszły rankiem trzeciego dnia. O świcie do obozu z dwu różnych kierunków dotarło osobno dwu wynędzniałych zbiegów. Nie wiedzieli nawzajem o sobie, ale obaj opowiadali to samo. Rozeszły się więc rychło wieści, że Kastus i jego towarzysze zostali zaatakowani i rozgromieni przez Rzymian nieco na północ od rzeki Volturnus. Dwa tysiące poległo na miejscu, natomiast Kastus został zamordowany przez swych własnych ludzi podczas próby wspólnej ucieczki przez bagna. Rzymscy legioniści w ogóle nie potraktowali tego starcia jako regularnej bitwy, lecz zapędzali pojedynczo swych zdesperowanych przeciwników w moczary, tak jak się szczuje zwierzęta podczas igrzysk na arenie i prowokowali ich szyderczymi okrzykami znanymi z cyrku. Doprowadziło to uciekinierów do skrajnej furii, która popchnęła ich do zabójstwa własnego dowódcy, bo uważali, że to on ponosi odpowiedzialność za klęskę, a potem rzucili się z gołymi rękami na swych ciężkozbrojnych prześladowców, co tylko umocniło w Rzymianach przekonanie, że mają do czynienia nie z prawdziwym wojennym przeciwnikiem, ale z dzikimi zwierzętami. Prawie pięćuset tych, którym udało się przeżyć – kończyli swoją opowieść dwaj zbiedzy – ujęto i przybito do drzew przy Via Appia.

O tej porze roku ich śmierć była szczególnie ciężka, bo padające deszcze łagodziły pragnienie i opóźniały zgon.

Nowiny o strasliwym końcu, jaki zgotowano dezertantom, którzy zaledwie trzy dni temu odchodzili przy przenikliwych dźwiękach fletów, błyskawicznie obieżyły obóz, w którym aż do tej pory wciąż było sporo ludzi wahających się i niepewnych. Nawet ci, którzy robili Spartakusowi wyrzuty, że nie zdołał albo nie chciał zapobiec zagładzie swoich byłych towarzyszy, trzymali teraz języki za zębami.

Wszyscy bez wyjątku podporządkowali się jego rozkazom i wycofali się w Apeniny.

3. Spartakus zamierzał zaniechać walk, wezwać do braterstwa wszystkich pasterzy, robotników rolnych i niewolników z południa oraz stworzyć konfederację miast zawiązaną w oparciu o ideały dobra i sprawiedliwości. Jego wniośły plan udało się, przynajmniej po części, zrealizować w mieście Thurium, ale dopiero po rozgromieniu pomniejszych rzymskich dowódców, a wreszcie i samego Waryniusza. Rzymianie bowiem oczywiście dobrze zdawali sobie sprawę, że taka społeczność, jaką wyobrażał sobie Spartakus, podważyłaby, nawet bez zaborczych intencji, po prostu samym swym istnieniem, stabilność ich własnej republiki, która wzniesiona została na fundamencie lichwy i niesprawiedliwości, bowiem zdrowie i choroba nie mogą mieszkać równocześnie w tym samym ciele i w końcu górę wzięć musi albo jedno, albo drugie. Choroba rodzi bowiem wielką tęsknotę za zdrowiem, zaś zdrowie to dobrostan ciała. Choroba przeto nigdy nie zadowoli się pokonaniem jednego organu, ale będzie kierowała swe szkodliwe jady do wszystkich pozostałych.

Przeto pretor Waryniusz ani na moment nie odkładał pościgu za buntownikami i wciągnął ich w wielomiesięczną kampanię. Tak oto Spartakus niejedną raz zmuszony był schodzić z drogi do celu, który sobie wytyczył.

4. Podczas owej kampanii doszło do wielu zdarzeń wynikających ze splotu okoliczności i przypadków. Powszechnie wiadomo, że przypadki mnożą się, gdy ludzki rozum w układanych przez siebie planach zostawia jakieś luki i szczeliny.

Każda wojna opiera się raczej na sile niż na racjonalnym planowaniu i fakt ten dostatecznie tłumaczy, dlaczego w tej konkretnej dziedzinie przypadek odgrywa tak wyjątkową rolę. Opisywanie wszystkich pomniejszych zdarzeń składających się na tę przewlekłą kampanię wydaje się przeto zbędne, zaś sam fakt, że zakończyła się ona całkowitym zwycięstwem niewolników, powinien być wystarczającym dowodem strategicznych zdolności Spartakusa.

Szczególne okazja zaprezentowania jego osobliwego talentu nadarzyła się tuż po rozpoczęciu kampanii, gdy powstańcy znaleźli się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji i wszystko wskazywało na

to, że są skazani na porażkę. Warynuszowi udało się okrążyć ich w jałowej okolicy pomiędzy górami i zatoką koło Tarentu. W Lukanii sporo jest takich nieurodzajnych obszarów, gdzie góry składają się tylko z nagich skał, a glebę tworzy biały wapień. Dlatego właśnie Enotrianie, Grecy zamieszkujący pierwotnie tę krainę, obdarzyli ją nazwą „Lukania”, co w ich języku znaczy: biały kraj.

Kiedy powstańcy zostali otoczeni ze wszystkich stron i zjedli już wszystkie zapasy, ich los wydawał się przypieczętowany. Znowu ogarnęła ich bojaźń i przygnębienie. Wielu z nich wspominało ciężkie dni spędzone w kraterze Wezuwiusza i dziwiło się znanej skłonności losu do powtarzania identycznych sytuacji.

Wydawać by się mogło, że za pierwszym razem zaniedbał on doprowadzenia spraw do finału i tym sposobem chciał teraz swój błąd naprawić. Spartakus znowu jednak znalazł skuteczne wyjście: wymyślił sposób wyprowadzenia wszystkich swoich ludzi z obozu podczas drugiej nocnej warty. Pozostawił jednego wartownika, który jak zwykle odtrąbił przerywany sygnał, zaś do pali wbitych w ziemię dookoła obozu kazał przywiązać trupy mające udawać strażników na warcie. Oświetlały ich potężne ogniska rozpalone w różnych punktach obozu, zaś od czasu do czasu pomiędzy pustych namiotów dolatywał sygnał trąbki.

Tym oto sposobem całkowicie oszukano przeciwnika, a Spartakus pod osłoną nocnych ciemności przeprowadził całą gromadę przez wąskie przejście, w którym wszyscy mogliby zginąć, gdyby ich odkryto.

5. Nie można jednak z pewnością przypisywać tych wielkich i pamiętnych sukcesów niezdyscyplinowanego tłumu w starciach z rzymskimi legionami wyłącznie pomysłowości jednego tylko człowieka, bo do osiągnięć powstania przyczynił się równej mierze fakt, że chłopci i pasterze z południowej Italii współdziałali z niewolnikami, których niedole były podobne do ich własnych.

To samo bezprawie i niesprawiedliwość, które doprowadziły do buntu w Kampanii, kwitły bowiem także w Lukanii i Brucjum. Rzymscy ziemianie byli tam właścicielami gór i dolin pomiędzy nimi, do każdego z nich należało też po kilka tysięcy niewolników strzegących olbrzymich stad. Nieszczęśnicy ci, naznaczeni wypalonym na skórze piętnem, mogli swobodnie poruszać się po polach i górach i tam też, drogą rabunków, starali się zrekompensować sobie skąpo wydzielane im pożywienie i odzież. Z punktu widzenia właścicieli było to postępowanie nie tylko usprawiedliwione, ale i wskazane, bo pozwalało zmniejszyć wydatki ponoszone na ich

utrzymanie. Piętnowani niewolnicy coraz zuchwalej napadali nocami na chaty chłopów, jedli, pili i dogadzali sobie do woli, tak że w owych okręgach Italii praktycznie nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Byli to ludzie silni i potężnie zbudowani, nawykli do życia dniem i nocą pod gołym niebem, nawet przy niesprzyjającej pogodzie. Ich bronią były sękate, długie i ostro zakończone albo nabijane kamieniami pałki. Odziewali się skóry wilków i dzików, co sprawiało, że upodobniali się wyglądem do barbarzyńskich wojowników, a na dodatek zawsze towarzyszyły im olbrzymie, niezwykle groźne psy pasterskie.

Półdzicy pasterze od dawna opanowali góry; nikt jednak nie próbował pociągać ich do odpowiedzialności za popełniane zbrodnie, bo właścicielami niewolników byli w większości przypadków rzymscy nobile, którzy sami tylko mogli wymierzać sprawiedliwość w swoich majątkach. Takie oto stosunki panowały w południowych rejonach Italii. A kiedy pojawił się tam Spartakus z armią niewolników, rozsyłając heroldów i wysłanników, którzy nawoływali pospólstwo, by przyłączyli się do Lukańskiej Wspólnoty, cała kraina powstała przeciwko Rzymianom.

6. A oto co mówiły odezwy heroldów i wysłanników:

Po pierwsze, zarzucały zniewieściałość i tyranję ludziom, którzy tuczyli się na pracy wielu srogo i bezlitośnie traktowanych nędzarzy. „Nie ma nic łatwiejszego – nawoływano – od poskromienia tych słabeuszy, z których wszystkie siły wysały rozpusta i przepych, ludzi pyszniących się podczas swych bankietów należną tylko bogom złotą i srebrną zastawą. Cóż zdziałaliby bez nas i co mogą nam zrobić, jeśli wykorzystamy naszą przewagę fizyczną? Kto będzie panował, jeśli nie my, wierni towarzysze, skoro jesteśmy od nich silniejsi i liczniejsi? Natura wcale nie obdarowuje jednych ludzi bogactwem, a innych biedą, ale siłą i zdolnościami. To nie ona ustanowiła odrażający podział na panów i niewolników, ani nie ona chce, by silni służyli słabym, a jednostki rządziły ogółem. Podporządkujmy się więc jej prawom, bo to jedyne sprawiedliwe prawa – prawa obowiązujące zawsze i wszędzie. Sprawcie, by cała ludzkość zawsze czciła wasze imiona za to, że oddaliście to, co należy się biednym i pokrzywdzonym, jęczącym pod tym samym jarzmem, które ciąży i wam. A więc, bracia, nie wahajcie się dłużej; odwaga marnieje od zbyt długich rozmyślań. Świat należy do tych, którzy podjęli słuszną decyzję!”

7. Pretor Waryniusz musiał pogodzić się z utratą dwu swych legatów – Furiusza i Kossiniusza. Straty te poważnie osłabiły jego siły, a jako głównodowodzący utracił zaufanie

żołnierzy, którzy obciążali go odpowiedzialnością za powstałą sytuację. Część wojska cierpiała od chorób występujących zwykle jesienią, reszta zaś zachowywała się tyleż niechętnie, co tchórzliwie.

Spartakus uznał, że jest już gotów stawić czoła Rzymianom w otwartej bitwie.

Dotychczas ryzykował jedynie pojedyncze wyprawy i drobniejsze potyczki, ale tym razem powstańcy wyruszyli na spotkanie z Waryniuszem w regularnym szyku i przeważnie nieźle uzbrojeni. Prawdę powiedziawszy, broń, którą dotychczas dysponowali, pochodząca z łupów, zakupiona albo samodzielnie wykuta, zaspokajała potrzeby jedynie części buntowników. Reszta używała sierpów, wideł, grabi, cepów, toporów i innych narzędzi rolniczych, a kiedy i tych zabrakło, sięgała po drągi, pałki, maczugi i inne przedmioty z drewna, które po zaostrzeniu i utwardzeniu w ogniu służyły równie dobrze jak broń z żelaza. Nienawiść do prześladowców rozbudzała ludzką pomysłowość: wielu przynosiło ze sobą własne kajdany, żeby przekuć je na groty strzał i miecze.

Ale i Rzymianie poczuli się pewniej. Senat przysłał Waryniuszowi posiłki. Nowi żołnierze, świeżo przybyli ze stolicy i pełni pogardy dla Spartakusa i jego wojsk, wypowiadali się o buntownikach z najwyższym lekceważeniem. Traktowali ich jako hołotę, której trzeba znów nałożyć kajdany, i sądzili, że rozpędzenie tej bandy rozbójników nie przysporzy im żadnych trudności. Ich przechwałki miały jednak i dobrą stronę, bo starzy żołnierze zawstydzili się własnego tchórzostwa i nabrali ducha. Zapał przybyszów stopniowo jednak topniał, gdy poznawali lepiej swych przeciwników. Sam pretor odznaczał się raczej ostrożnością niż zuchwałą odwagą i nie ryzykował sprawdzenia ich w bitwie, zanim nie oswoili się dobrze z widokiem straszliwego wroga.

8. Krótko przed bitwą w szeregach Spartakusa też nastąpiło ożywienie nastrojów, bo nieoczekiwanie pojawił się w obozie galijski gladiator Kriksos, o którym sądzono, że poległ na bagnach wraz z innymi. Cudowne ocalenie wpływowego przywódcy, cieszącego się wśród powstańców szacunkiem ustępującym tylko respektowi, jakim otaczano samego Spartakusa, wywołało ogromne podniecenie, zwłaszcza że ów milczący i gburowaty mąż nie odpowiadał na żadne pytania dotyczące swych przeżyć, a to sprawiło, że wielu ludzi potraktowało jego pojawienie się jako cud i dobry omen.

Bitwa rozegrała się na południowym skraju półwyspu italskiego, w sąsiedztwie miasta zwanego Thurii lub Thurium, na brzegu rzeki Sybaris.

9. Przed walką Spartakus, naśladowując zwyczaje wielkich wodzów, zaapelował do swych towarzyszy, aby zachowywali się jak prawdziwi wojownicy. Teraz oto, mówił, zaczyna się prawdziwa wojna, której wynik rozstrzygnie się już w pierwszej bitwie. Albo poniosą klęskę, albo zdołają stawić opór i oby odnosili kolejne zwycięstwa, bo w przeciwnym razie nieuchronnie czeka ich haniebna śmierć.

Odpowiedziały mu głośnie owacje.

Ledwie rzymskie kohorty ujrzały swych przeciwników nacierających z przeciwległego brzegu, w ich własnych szeregach zaczęło się dziać coś dziwnego. Zbici z tropu przerażającymi okrzykami wojennymi gladiatorów najpierw zwolnili marsz, a potem – coraz mniej pewni siebie – przystąpili do walki, ale już bez owej pychy, z jaką wcześniej domagali się bitwy.

W tej samej chwili, gdy pierwsza linia Rzymian starła się z nieprzyjacielem, Kriksos, który niepostrzeżenie przeprawił się nieco wcześniej w górnym biegu rzeki i czekał ukryty w głębokim wąwozie, uderzył z impetem na czele swych Galów na ich drugą linię. Rzymianie zaczęli uciekać w takiej panice, że porzucili nawet swego wodza. Pretor runął wraz z koniem na ziemię i doprawdy niewiele brakowało, by został wzięty do niewoli przez gladiatorów. Biały rumak, purpurowa szata i różgi liktorskie, a więc wszystkie insygnia jego władzy, wpadły w ręce zwycięzców, którzy triumfalnie przekazali je swemu wodzowi.

Od tej chwili Spartakus pokazywał się publicznie w szatach i z insygniami rzymskiego imperatora; a ponieważ podczas uroczystych przejazdów noszono przed *mmfascēs* – różgi, mieszkańcy prowincji traktowali go z czcią należną władcy.

10. W tym miejscu należałoby powiedzieć parę słów o pochodzeniu i charakterze tego niezwykłego człowieka, w którego ręce los zdawał się składać klucz do przyszłości. Spartakus pochodził z wędrownego plemienia pasterzy, a urodził się w małej trackiej wiosce, której nazwie zawdzięczał swe imię. W młodości nie odebrał żadnej edukacji, ale wyjątkowe zdolności, jakimi został obdarzony, umożliwiły mu przyswajanie i przekuwanie w czyn wszelkich myśli i teorii, z którymi los pozwolił mu się zetknąć. Tak jak promienie światła padające z jednej strony na wypukłe szkło opuszczają je w postaci pojedynczej, gorącej wiązki, tak i Spartakus ogniskował w sobie ludzkie dążenia i myśli. Talent ten pozwalał mu radzić sobie z coraz cięższymi zadaniami, które wyznaczał mu los, zaś siła jego osobowości wzrastała wraz z rozmiarami i ciężarem zadań.

12. Rozwój Spartakusa rychło wyniósł go ponad poziom jego towarzyszy, uświadamiając

mu, że postępują jak ślepcy albo nierozumne bestie, które trzeba nadzorować i siłą sprowadzać na właściwą drogę. Rozmaite zdarzenia podczas oblężenia Kapui i doświadczenia zebrane w długiej kampanii przeciw Warynuszowi która obarczyła go odpowiedzialnością za życie tak wielu ludzi, pozbawiły go serdeczności i ciepła, jakimi początkowo się odznaczał, i zmusiły do wielu zachowań nadających mu w oczach ludzi cechy arbitralnej twardości.

Ale ten, kto przewodzi ślepym, nie ma prawa cofać się, gdy pada zarzut arbitralności. Musi stwardnieć, by nie słyszeć ich lamentów i znosić ich cierpienia. Ma bowiem obowiązek bronić ich interesów wbrew temu, czego żąda ich własny rozum, co nieraz zmusza go do podejmowania kroków, które wydają się równie arbitralne, co niezrozumiałe. Nieraz przyjdzie mu schodzić z prostej drogi i kluczyć, czego nie zdołają zrozumieć tamci, bowiem tylko on widzi, podczas gdy pozostali są ślepi.

12. Tak oto zakończyła się pierwsza kampania, a Rzymianie mogli się teraz przekonać, czy mieli słuszość, traktując rebelię jako zaledwie przejściowe niepokoje wywołane przez garstkę bandytów.

Cała południowa Italia znalazła się teraz pod rządami powstańczego sprzysiężenia i nic nie stało na przeszkodzie w urzeczywistnieniu ich planów i budowie wspólnoty dobra i sprawiedliwości, którą postanowili nazwać Państwem Słońca.

Księga trzecia

PAŃSTWO SŁOŃCA

1. Hegio, obywatel miasta Thurium

Hegio, obywatel Thurium, obudził się przed świtem z miłą świadomością, że rozpoczyna się świąteczny dzień; by uczcić wkroczenie księcia Tracji, nowego Hannibala, należało udekorować dom zielenią i girlandami. Hegio postanowił wcześniej rano udać się do winnicy po winną latorośl i jemiołę. Spojrzał na śpiącą żonę, wsunął sandały i wszedł na płaski dach swego domu.

Było jeszcze ciemno i chłodno, ale czasza morza, okolona horyzontem, zaczynała już zmieniać kolor. Hegio z całego serca kochał tę porę dnia, jej blask i woń. W słoneczne, upalne południe morskie powietrze pachniało inaczej niż nocą. W nocy przynosiło zapach krystalicznego chłodu, przywodzącego na myśl sól i gwiazdy; rankiem czuło się w nim wodorosty, a w południe odór ryb i opary zgnilizny. Hegio wciągnął powietrze i popatrzył na góry – najpierw na północy, gdzie, jeśli się nie mylił, szczyty Apeninów Lukańskich bieleły ślady śniegu, choć mogła to być poranna mgła. Później zwrócił się na południe, w stronę odległego, fioletowego masywu Sila; miał tam udziały w spółce produkującej smołę i żywicę. Góry wspaniałym, płowym łukiem otaczały dolinę Crathis, strzeżoną od wschodu misą morza, której najdalsza krawędź zaczynała właśnie jaśnieć, a potem buchnęła płomieniem pod dotknięciem niewidocznej jeszcze tarczy.

Zapiał jeden kogut, potem drugi, wreszcie wszystkie gorliwie stanęły w zawody w hałaśliwym powitaniu wschodzącego słońca. Hegio doszedł do wniosku, że tylko rzymski drób potrafi pisać tak butnie i fałszywie; w jego attyckiej ojczyźnie nawet w kogucich głosach więcej było harmonii.

Szorstko dla ucha greckiego brzmi pianie kogutów w Latinum – zaimprovizował.

Nie lubił Rzymian. Nie gardził nimi, ale ich prostactwo, próżność i agresywna pewność siebie budziły w nim rozbawienie. Byli sprawni i operatywni; te cechy emanowały z nich wszystkimi porami. Mimo to Hegio, który swoich przodków wywodził od wojowników spod Troi, ożenił się z Rzymianką. Drzemała teraz na dole, w szerokim wspólnym łożu; wilgotna od potu i zaspokojona. To zadowolenie nie miało związku ze świątecznym dniem, w którym miał się pojawić Spartakus, książę tracki, drugi Hannibal, ale z faktem, że on, Hegio, potomek bohaterów spod Troi, ostatniej nocy, po długiej przerwie dopełnił swych obowiązków małżeńskich.

Dobiegł jego nozdrzy zapach morza, już rozjarzonego na całej powierzchni; poczuł się

podeksytowany jak chłopiec i starzec jednocześnie. Wolał delikatną woń księżycowej nocy, niż pełny blask słońca, tak jak chłodny wdzięk greckich chłopców zachwycał go bardziej niż obowiązkowe przyjemności prokreacyjne z małżonką.

Jakiż miały sens? Całe jego attyckie drzewo genealogiczne nie jest warte pięciu krzaczków w winnicy ani nawet jednego udziału w spółce produkującej smołę i żywicę. U stóp bładoniebieskiej góry leżą ruiny legendarnego Sybaris, zaczarowanego miasta, które dawno temu zbudowali jego przodkowie. Cały pas wybrzeża południowej Italii był wtedy własnością greckich kolonistów, ludzi o wyrafinowanej kulturze, którzy używali srebrnych monet, grali na harfach i znali zasady geometrii w czasach, gdy Latynowie, okryci niedźwiedzimi skórami, zajmowali się łażeniem po drzewach.

Koguty zapiały po raz drugi. Ktoś szedł sapiąc w górę po schodach.

Małżonka.

– Co tak wcześniej robisz na dachu? – spytała z odcieniem łagodnej surowości, przyjmowanym w rozmowach z małymi dziećmi i staruszkami.

– Patrzę sobie, kochanie, po prostu patrzę. – Nie miał nic przeciwko temu, by traktowała go jak dziecko albo jak starca; pomarszczona twarz na szczupłym ciele przybrała młodzieńczy, szelmowski wyraz.

– Na co tu patrzeć? – powiedziała tonem nagany. Ziewnęła i stanęła obok męża na krawędzi dachu, z ręką opartą na jego wąskim, chłopięcym ramieniu; pełna wspomnień o wydarzeniach nocy miło zadrżała w chłodzie świtu.

Spoglądali w dół, na miasto. Wciąż jeszcze spało; w ciszy i spokoju poranka przypominało raczej dużą, białą, zbudowaną z kamienia wieś, pełną kolumn, piękną i bardzo smutną. Jej ścieżki wiły się wśród murów jak wyschnięte doliny potoków. Domy o płaskich dachach tłoczyły się ufnie na zboczu wzgórza. Ale już na szczycie wieś stawała się prawdziwym miastem, z szerokimi, prostymi alejami, rynkiem i fontanną w centrum. Po zniszczeniu Sybaris słynny architekt Hippodamus na nowo zaprojektował serce miasta i wyrysował je starannie na barwnych kartonach. Kredowobiałe domy stanęły między błękitnymi górami i błękitnym morzem. Tak powstało Thurium, nowe miasto mieszkańców Sybaris, teraz też już bardzo stare. Wszystkie rody założycieli też były bardzo stare: miały wielu przodków i mało dzieci. Mówili greką czystsza niż sami Grecy, którzy wymarli już wszędzie poza Aleksandrią; pochodzili od rycerzy spod Troi, w każdym razie od niejakiego Smyndiridesa, który nie mógł zasnąć, bo jego łożo zepsuł

zeschnięty płatek róży, zaplątany pod prześcieradłem.

Od czasu do czasu żenili się z córkami rzymskich kolonistów, którzy zostali im narzuceni przez Senat za karę, że podczas ostatniej wojny punickiej miasto opowiedziało się za Hannibalem, a przeciw Rzymowi.

Koloniści mieszkali we własnej dzielnicy, na północny wschód od centrum, szybko się mnożyli, pracowali dobrze i ciężko, ale byli głęboko znienawidzeni; mówiło się o nich, że wycierają nosy ramieniem. Mieli czelność używać innej nazwy miasta: od rzymskiej dzielnicy Copia miało teraz wziąć nazwę całe Thurium; co już znajdowało odbicie we wszystkich oficjalnych dokumentach. Stare rody oczywiście upierały się przy dawnych określeniach, Attyka pozostała Attyką, więc i Thurium nikt nie myślał zmieniać. Zamierzały też naturalnie opowiedzieć się po stronie Spartakusa, tego nowego Hannibala, bez względu na to, czy jest Kartagińczykiem, czy Trakiem; najważniejsze, że przyłożył parę razy tym smarkającym w rękaw mądralom. Całe miasto czekało na jego wjazd z entuzjazmem właściwym dzieciom i starcom.

Thurium powoli się budziło: pierwsi, nieliczni pasterze, ranne ptaszki ludu, prowadzili wąskimi uliczkami swoje kozy, jeszcze ciepłe od snu.

Niedbale dzwoniły pojedyncze dzwoneczki zawieszane na szyjach zwierząt, pasterze gwizdali przeraźliwie na piszczałkach. Morze przynosiło na dach poranny zapach piasku i wodorostów. Daleko, na polach pod wzgórzami, pasły się stada białych bawołów; ich obraz zlewał się z poranną mgłą nad rzeką, a młode samce, białe jak cała kredowa Lukania, sztywno unosiły głowy i patrzyły w stronę Apeninów.

– Chodź na śniadanie – odezwała się żona.

Hegio uśmiechnął się:

– Idę nad rzekę po gałązki i liście do dekoracji na wjazd.

– Chyba nie przed śniadaniem – zaproponowała.

– Wezmę ze sobą chłopców – powiedział – potem pomogą nam w dekorowaniu.

– Chłopcy zostaną w domu.

Córka kolonisty. Koloniści są przeciwni trackiemu księciu. Obnoszą się z posępными minami na niechętnych, patriotycznych obliczach. Może się boją.

– W takim razie pójdę sam – stwierdził Hegio.

– W nocnej koszuli? – spytała.

– Coś nałożę. Zobaczysz, ile gałęzi przyniosę.

Zszedł w dół po schodach; żona postępowała za nim, lekko prychnając z irytacji. Na dole Publibor, jedyny niewolnik w ich domostwie, karmił psa.

– Pójdiesz ze mną nad rzekę – oznajmił mu Hegio. – Nazbieramy zielonych gałęzi. Ty też idziesz – zwrócił się do psa o rozmiarach cielaka, szarpiącego się z wyciem i ujadaniem na łańcuchu.

Poszli: Hegio przodem, niewolnik kilka kroków za nim; pies to hasał przed nimi, to zostawał z tyłu, by za chwilę dogonić ich szalonym pędem.

Na skraju miasta, gdzie mury otaczające ogrody budowane były już nie z kamienia, lecz z suszonej na słońcu gliny i nawozu, spotkali handlarza zieleniną, Tyndarusa, który pchał do miasta wózek wyładowany świeżą sałatą i ziołami.

– Dokąd to tak wcześnie? – spytał Tyndarus.

– Ja, mój niewolnik i mój pies idziemy zebrać liście i gałęzie na powitanie trackiego księcia – odpowiedział Hegio.

– Między nami mówiąc – zaczął Tyndarus i oparł swój wózek o mur – słyszałem, że nie ma on żadnych praw do jakiegokolwiek tytułu. Ludzie mówią, że był gladiatorem i bandytą, jeżeli nie gorzej.

– Nonsens – odparł Hegio. – Zawsze się pojawiają jakieś plotki o ludziach, którzy mają władzę. Tak czy inaczej, spuścił Rzymowi ciężkie lanie. Drugi Hannibal, oto kim jest, i w każdym razie oznacza to miłą zmianę.

– Racja – powiedział handlarz, który lubił być ze wszystkimi w dobrych stosunkach. – Ale tak naprawdę mówi się, że zamierza przyznać wszystkim niewolnikom równe prawa obywatelskie, zabrać ludziom ich pieniądze i domy i że wszystko wywróci do góry nogami.

– Nonsens – powtórzył Hegio i zwrócił się do młodego niewolnika. – Chciałbyś porzucić służbę i zacząć nowe życie?

– Chciałbym – odpowiedział Publibor.

– No widzisz – wtrącił Tyndarus i z powrotem zaprzął się do wózka. – To groźna sprawa, mówię ci.

Hegio świetnie się bawił.

– Co za zuchwalstwo! – stwierdził. – Tylko dlatego, że pani jest odrobinę surowa i miewa humory? Mnie też czasem nie jest z tym lekko. Czy traktuję cię źle?

– Nie.

Chłopiec patrzył na niego poważnie. Zdawał się wszystko traktować serio. Twarz też miał poważną; Hegio nigdy dotąd nie zauważył, że w ogóle ma twarz. To sprawiło, że się zamyślił.

– Czy nie pozwoliłem ci przystąpić do stowarzyszenia pogrzebowego?

– Pozwoliłeś.

– Jest w tym samym stowarzyszeniu, co ja – powiedział handlarz. – Mieliliśmy przedwczoraj ogólne zebranie.

– No proszę – zdumiał się Hegio. – Całkiem jak wolni ludzie.

– To mój jedyny przywilej – bronił się Publibor.

– Jedyny? – Hegio był coraz bardziej zdziwiony. – Cóż, może i tak, w myśl prawa. Ale to już jest coś. A ja wyzwolę cię w testamencie. Czy na twój gust żyję zbyt długo?

– Tak, panie.

Hegio wyszczerzył zęby, handlarz westchnął:

– A nie mówiłem? To niebezpieczna rzecz. Na twoim miejscu bym go wychłostał.

– Czy wolność jest więc dla ciebie tak ważna? – spytał Hegio. – Jeśli chciałbyś znać moje zdanie, jest tylko złudzeniem. Czy nie przyznałeś właśnie przed chwilą, że jest ci u mnie dobrze?

– Przyznałem.

– Oszczędzasz pieniądze.

– Tak.

– To jest najgorsze – odezwał się Tyndarus. – Dawniej byłoby to niemożliwe. Własność prywatna rodzi apetyt na więcej. Ja bym odebrał mu oszczędności i wybatożył.

– To może być pomysł – przyznał Hegio ruszając dalej. – Tymczasem pójdziemy po gałęzie i liście na wjazd trackiego księcia.

Kiedy zebrali już dość zielonych gałązek i pędów winorośli, usiedli w pobliżu stada pasącego się nad rzeką Crathis. Pies, równie zmęczony, leżał na brzuchu wysunawszy z wdziękiem przednie łapy do przodu, jak tebański sfinks.

– Popatrz – powiedział Hegio do niewolnika. – Siedzimy tu we dwójkę nad rzeką, niedaleko wyniosłych gór. Czy naprawdę czekasz na moją śmierć?

Młodzieniec popatrzył na niego i odparł:

– Czy naprawdę jesteś moim panem, a ja twoją własnością?

– Obawiam się, że tak. Takie są fakty, z której by strony ich nie oglądać. Nawet w tej chwili, kiedy jesteśmy sami, tu, nad rzeką, w obliczu dostojnych gór, nawet teraz ty każde swoje

słowo uznajesz za bezczelne i zuchwałe, a ja w swoich dopatruję się wielkiej łaskawości i miłosierdzia. Powiedz prawdę: czy nie jest tak?

– Jest – przyznał Publibor po chwili milczenia.

– Idźmy więc dalej – ciągnął Hegio. – Wszystko co istnieje, jest realne, nie da się tego zmienić. Siedzę teraz na słońcu, przypiekam sobie grzbiet, a ty siedzisz w cieniu i marzniesz. To niesprawiedliwe, przyznaję, ale fakt pozostaje faktem i bogowie musieli mieć jakiś zamysł, kiedy tak zrzadzili. Gdyby postanowili na odwrót, byłoby na odwrót. Rzeczywistość jest dość mocnym argumentem, nie sądzisz?

– Tak – odparł niewolnik. – Ale gdybym cię tylko odrobinę popchnął, to ja siedziałbym na słońcu, a ty, panie, wpadłbyś do rzeki.

– Więc dlaczego tego nie robisz? – spytał Hegio uśmiechając się. – Spróbuj. Boisz się bata?

Po raz pierwszy chłopiec odwrócił wzrok. Nic nie odpowiedział.

– No więc? Odpowiedz. Siedzimy tu razem nad rzeką, a ty jesteś silniejszy. Gdybyś mnie zabił i uciekł do Traka, nie musiałbyś nawet bać się kary. Więc czemu tego nie robisz?

Publibor milczał, spuścił oczy i wrywał garściami trawę.

– To właśnie tu wielki Pitagoras nauczał, że panującym należy się boska cześć, a służbę należy traktować jak bydło. Zgadzasz się z tym?

– Nie.

– W takim razie, dlaczego nie wepchniesz mnie do rzeki, zwłaszcza że niczym by ci to nie groziło? Dlaczego nie zrobisz użytku z własnej siły? Czemu twoja dusza odczuwa teraz wstyd, a moją przepelnia wielkie wzruszenie i łaskawość? A może się mylę?

– Nie mylisz się – powiedział niewolnik. A po chwili dodał: – To tylko kwestia przyzwyczajenia.

– Tak myślisz? Sądzisz, że Trak przyniesie nowe zwyczaje? Jeśli tak, okaże się większy od Hannibala. Nie ma nic większego niż zmienić nawyki myślenia.

– Tak – potwierdził niewolnik.

– Skąd właściwie u ciebie te wszystkie poglądy? – spytał Hegio. – Zawsze ciężko pracowałeś, nie otwierałeś ust, nie zauważyłem nawet, że masz twarz i potrafisz się uśmiechnąć. Śmiać – może tak. Ale uśmiechać się – powiedz mi, wiesz jak to się robi?

Niewolnik milczał. Hegio przyglądał mu się uważnie, uśmiechał się tak jak robią to dzieci albo staruszkowie.

– Czy teraz pragniesz mojej śmierci? – spytał. – Ten, kto czeka, nie potrafi się uśmiechać. Spójrz na kamyki na dnie rzeki: woda jest całkiem przejrzysta, można nawet dostrzec źdźbła trawy na dole. Kiedy przepływa po kamieniach i trawie, słychać delikatne brzęczenie. Umiesz widzieć i słyszeć takie rzeczy?

– Nie, panie. Nigdy nie miałem czasu, by leżeć na trawie.

– Ślepy, głuchy i posępny idziesz przez ten świat, czekając na moją śmierć, podczas gdy ja mam oczy do patrzenia i poznaję niezliczone zapachy morza. Oto dlatego ty czujesz wstyd, a ja pogodną pobłażliwość. Człowiek dotknięty nieszczęściem nigdy nie wydaje się miły.

Publibor wyrwał już naręcza trawy. Po chwili odezwał się:

– Sam powiedziałeś, że jestem silniejszy.

– Owszem, ale od jak dawna o tym wiesz? To wcale nie jest tak oczywiste stwierdzenie, jak się zdaje. Twoja pani bije cię często, prawda, że niezbyt mocno, ale jednak, a tobie nigdy nie przyszło do głowy, że jesteś od niej silniejszy.

– Nie przyszło – zgodził się niewolnik. I dodał: – To z przyzwyczajenia.

– A teraz? Czyżby Trak nagle poinformował cię, że jesteś silny? Ludzie mówią, że jego agenci i wysłannicy są wszędzie i podburzają poddanych. Czy to prawda?

– Prawda.

– A ty wierzysz w jego nauczanie?

– Wierzę.

– I wszyscy tobie podobni wierzą mu?

– Wielu.

– Dlaczego nie wszyscy?

– Stare nawyki są zbyt silne.

– Jak on wygląda, ten twój niewolnik – Hannibal?

– Nosi skórę zwierzęcą i jeździ na białym koniu, a siłacze z jego straży niosą przed nim różgi.

– Jak przed rzymskim imperatorem, tak?

– Nie, bo to nie są srebrne orły, tylko pęknięte kajdany.

– Oryginalny pomysł – powiedział Hegio. – Myślę, że obaj śmiało możemy oczekiwać milej odmiany. Nie sądzisz?

– Tak, panie – odparł niewolnik, patrząc na niego uważnie.

Milczeli przez chwilę leżąc na plecach na trawie i patrząc na góry, które otrząsnęły się już z porannych mgieł i zamykały horyzont potężnym, błękitnym masywem. Słońce wychynęło już nad powierzchnię morza, powędrowało wyżej i ogrzewało powietrze nasycone porannymi zapachami znad pól. W gajach oliwnych i cytrynowych ludzie pochylali się nad robotą jak co dzień.

Zanim ruszyli do domu, Hegio odezwał się:

– Dziwnie jest pomyśleć, że Trak przyjdzie właśnie dziś, że zapewne zmieni wszystko, choć ani ty, ani ja tak naprawdę w to nie wierzymy. Tak samo jest z wojną: wszyscy o niej mówią, jedni są za, inni przeciw, ale nikt w głębi serca nie wierzy w jej rozpoczęcie; a kiedy już naprawdę się toczy, są zdumieni, że mieli rację. Nie ma chyba większego zdziwienia, niż osłupienie proroka, którego proroctwa się spełniły. Ponieważ w myśleniu człowieka wielką rolę gra przyzwyczajenie i siła bezwładu, a łagodny głos, tkwiący w nim głęboko, podszeptuje, że Jutro będzie dokładnie takie samo jak Dziś i jak Wczoraj. I człowiek, wbrew rozsądkowi, w to wierzy. I całe szczęście, bo w przeciwnym wypadku nie mógłby żyć ze świadomością pewnej śmierci.

A teraz chodźmy, ozdobimy dom zielenią, żeby należycie powitać trackiego księcia.

2. Wejście

Słońce stało już wyżej, w mieście trwała radosna wrzawa; mieszkańcy Thurium dekorowali swoje domy winoroślą i zielonymi girlandami. Były to budynki o płaskich dachach, białe jak cała Lukania. Potomkowie wojowników achajskich mieli nadzieję, że tracki księżę odziany w zwierzęcą skórę zmieni coś na lepsze w ich szarym, monotonnym życiu. Potrącali się i popychali na uliczkach wąskich i krętych jak kamieniste koryta wyschniętych potoków. Rzymscy koloniści trzymali się z boku i demonstrowali patriotyczne niezadowolenie. Może po prostu się bali.

Rada Thurium też nie była zbyt szczęśliwa. Prawdą jest, że ten osobliwy imperator zadał Rzymowi dotkliwy cios, który ucieszył jej członków. Mniej natomiast podobały im się inne aspekty jego działalności.

Nazywał siebie „wyzwolicielem niewolników, wodzem uciemionych”.

Można było, oczywiście, odczytywać to symbolicznie, zwłaszcza w nawiązaniu do sojuszu z greckimi miastami na południu, jęczącymi w rzymskim jarzmie; czyż Thurium i inne miasta południowej Italii nie opowiedziały się kiedyś po stronie Hannibala? Ale Hannibal był wielkim wodzem i księciem w swoim rodzinnym kraju, natomiast jeśli chodzi o przodków Spartakusa, to im mniej się będzie mówić na ich temat, tym lepiej.

W przeciwnym wypadku należałoby przyznać, że księciem stał się wyłącznie z łaski senatu Thurium, i to z powodu poczucia własnej godności miasta: potomkowie wojowników spod Troi nie mogli wchodzić w żadne związki z włóczącym się gladiatorem. A związek taki był konieczny, bo inaczej nastąpiłby koniec Thurium; mówiąc całkiem szczerze, rada miasta nie posiadała się z radości i zdumienia, kiedy tenże gladiator przystąpił do negocjacji. Przyjęły one, jak się jeszcze okaże, dość dziwny obrót, w końcu jednak podpisany został traktat, którego główne punkty głosiły co następuje:

Poza murami miasta Thurium, na równinie rozciągającej się między rzekami Sybaris i Crathis, z jednej strony osłoniętej górami, a z drugiej przytykającej do morza, Armia Niewolników wzniesie swój stały obóz i zbuduje miasto, które nazywać się będzie Miastem Słońca. Thurium przekaze trackiemu księciu wszystkie pola i pastwiska na rzeczonym terenie; podejmie się też utrzymania Armii Niewolników do czasu, gdy ta ostatnia będzie mogła

zaopatrywać się w żywność wyprodukowaną na własnej ziemi. Natomiast żołnierze Spartakusa po uroczystym wkroczeniu do Thurium – które będzie miało znaczenie wyłącznie symboliczne – nie będą więcej niepokoić mieszkańców miasta. Ponadto z chwilą zawarcia traktatu Spartakus winien zaprzestać podburzania niewolników z Thurium.

Wysłannicy Spartakusa ostro sprzeciwiali się temu ostatniemu żądaniu, ale w końcu wyrazili zgodę.

– Powinni tu być lada chwila – powiedział handlarz zielenią, zwracając się do stojącego obok Hegiona.

Ponad godzinę tkwili już w ścisku, w radosnym tłumie, który tworzył szpaler po obu stronach szerokiej ulicy prowadzącej ku agorze. Czekali na wjazd trackiego księcia. Nad nimi z białych ścian domów zwieszały się girlandy i gałęzie; w górze, na niebie stało okrągłe, palące słońce, a ponad dachami płynęła od morza południowa bryza, śmierdząca rybami i zgnilizną. Mieszkańcy Thurium czekali, plotkowali, popychali się i mocno pocili.

W końcu, kiedy słońce stanęło pionowo nad nimi, nastąpiła wielka chwila.

– Idą! – zawołał mały synek Hegiona – idą!

Rzeczywiście szli; na dalekim końcu ulicy pojawił się niewielki obłok kurzu. Stłoczeni obywatele Thurium chichocząc i stękając natarli do przodu. Rozwścieczeni porządkowi odepchnęli ich z powrotem. Nadchodzili niewolnicy.

– Ilu ich jest? – spytał handlarz Tyndarus, wyciągając szyję.

– Sto tysięcy – wrzasnął mały chłopiec, najwyraźniej dobrze poinformowany – sto tysięcy zbójów, którzy przewrócą wszystko do góry nogami.

– Tylu nie może tędy przejść – stwierdził Tyndarus. – Zablokują całe miasto.

– Tylko reprezentacyjne oddziały wezmą udział w defiladzie – wtrącił się sąsiad Hegiona z lewej strony. – Reszta będzie musiała zostać na zewnątrz. Tak zostało ustalone.

– Ustalone, akurat – sapnął Tyndarus. – I myślisz, że dotrzymają słowa?

Chmura kurzu była coraz bliżej. Obywatele Thurium stłoczeni w szpalerach wyciągali szyje. Większość ubrana była na biało; młode kobiety miały na sobie cienkie, przezryste szaty. Zaaferowani i pewni siebie urzędnicy biegali tam i z powrotem.

Po chwili dawało się już rozróżnić czoło kolumny: dwa szeregi, w każdym po dziesięciu mocno zbudowanych mężczyzn o byczych karkach.

Wzbijali kurz ciężkimi buciorami. Nie patrzyli na boki, miasto ich nie interesowało; nieśli

różgi, a w nich, zamiast toporów, rozerwane żelazne łańcuchy.

Kilku mieszkańców stojących w szpalerze wzniosło nieśmiało okrzyki, ale większość zachowała milczenie. Obywatele miasta byli boleśnie zdziwieni, posępny pochód łachmaniarzy ich rozczarował.

I oto, zaraz za ciężko stąpającymi żołnierzami ujrzeli białego konia, a na nim trackiego księcia okrytego skórą dzikiego zwierza. U jego boku jechał otyły mężczyzna o smętnej twarzy ze zwisającymi wąsami. Dosiadał konia, jakby to był muł. Przodem, przed jeźdźcami, niesiono purpurowe *velum*.

Mieszkańcy miasta wiedzieli, czego się od nich oczekuje: wznosili okrzyki i wymachiwali rękami. Imperator uprzejmie przyjmował ich powitania, podnosił rękę w geście pozdrowienia; biały koń przechodził w kłus, ale jeździec nie uśmiechał się i patrzył nieprzyjaznym wzrokiem.

Mieszkańcom dość się spodobał, choć ich nie oczarował; jeszcze mniej przypadł im do gustu grubas z wąsami. Nie odpowiadał nawet na ich okrzyki, nieobecny wzrok skierował wprost przed siebie. Szpaler po jego stronie cofał się nieco, gdy przejeżdżał obok. Jego twarz wbiła się im w pamięć mocniej niż oblicze imperatora; po latach jeszcze będą ją pamiętać.

O Spartakusie będą mówić „książę”, „imperator” albo drugi Hannibal, ale w ich umysłach obraz wodza stopniowo się zatrze. Wielu nawet zwątpi, czy faktycznie przejechał obok nich na białym wierzchowcu, poprzedzany przez *velum*.

Marsz w kierunku placu targowego nabrał tempa, jakby przybysze chcieli mieć już uroczystość za sobą. Burzliwe nastroje mas zostały zduszone w zarodku.

Za wodzami, podnosząc kurz, postępowała piechota. Dziwni to byli żołnierze, ci nowi sojusznicy z usmolonymi twarzami i beznamiętnym spojrzeniem, którzy tak mocno dali się we znaki Rzymianom. I dziwne insygnia nieśli przed sobą, posępne i złowieszcze: surowe, drewniane krzyże. Ślaniali się pod ich ciężarem i musieli przyciskać je mocno do piersi, by nie upaść. I znów pojawiły się ponure, złowrogie rozerwane kajdany i żelazne łańcuchy. Dowódca oddziału złożonego z wyjątkowo zbójeckich typów, dziobaty gbur, niósł ogromną murenę, w której szczękach tkwiła ludzka głowa zrobiona ze szmat. Synek Hegiona wspiął się na palce i zapytał piskliwym głosikiem:

– Co to jest, tato? Czy są takie ryby, co jedzą ludzi?

Hegio uśmiechnął się, tak jak się uśmiechają małe dzieci albo starcy, ale handlarz zieleniną zakrył dłonią usta chłopca.

– Ćśś, mały, ćśś – powiedział. – Nie wolno zadawać pytań, bo żołnierze będą się gniewać.

A tłum stopniowo cichł. Mieszkańcy miasta przestali się uśmiechać, urwały się owacje i żarty. Chłopczyk przerażony, zamilkł. Na ulicy rozbrzmiewał tylko tupot maszerującej armii, stopy zbrojnych wzbijały kurz, który wirował i otulał ich gęstą chmurą.

Chwilę potem pojawiła się jazda na małych lukańskich konikach, a wtedy zdziwienie ogarnęło nie tylko synka Hegiona, który dzięki swoim żołnierzynom wiedział, jak powinni wyglądać prawdziwi wojownicy; nawet miłujący pokój mieszkańcy stłoczeni w szpalerach czuli zdumienie, ba, przerażenie, tak mało wojskowym wyglądem nowych sojuszników. Niemal żaden jeździec ani koń w oddziale ciężkiej jazdy nie miał zbroi – co najwyżej jednego czy drugiego chronił brzęczący kawał cynowej blachy przywiązany konopnym sznurkiem do ręki lub nogi; ich włócznie były najczęściej z drewna, tarcze ze skóry i trzciny; większość trzymała kosy, widły i topory zamiast mieczy, a co najgorsze, nie mieli nawet jednolitych wojskowych strojów ani błyszczących hełmów! Część procarzy szła z gołymi głowami; inni nosili czarne, filcowe kapelusze, zblakłe i tak zniszczone, że ich runda opadały jak frędzle na brodate twarze; równie znoszone były koszule i lniane bluzy, ale połowa tego wojska nie miała na piersiach i ramionach nic; jechali ogorzali i kosmaci, bezczelnie nadzy od zmierzwionych bród po pas.

Nad szpalerami przeleciał jęk, wielu mężczyzn z Thurium ze wstydem odwracało twarze, ale kobiety wzdychały i patrzyły z błyskiem w oku.

Jakaś męzatka zemdląła; trzeba było ją wynieść z tłumy.

Marsz nowych sojuszników trwał; znów pojawiła się piechota o brudnych twarzach, podnosząc z ziemi kurz i drętwo patrząc przed siebie.

Teraz szli oddziałami według narodowości: prostacy, nieokrzesani Galowie, wąsaci Germanie, sprężyste kroczący wysocy Trakowie o jasnych oczach; barbarzyńcy z Numidii i z Azji, ciemnoskórzy, z kolczykami i grubymi, wilgotnymi wargami, które rozchylając się, ukazywały białe zęby.

– Co za paskudztwo! – szepnął handlarz zieleniną do Hegiona.

– Myślę, że to przyjemna odmiana – uśmiechnął się Hegio i nachylił się do synka. – Podoba ci się? Widzisz, jak wesoło i kolorowo?

– Tak – kiwnął głową chłopiec. – Całkiem jak w cyrku.

– Ćśś – odezwał się handlarz – to jest właśnie to, czego nie wolno mówić.

Napłynęła kolejna chmura pyłu, a w niej wozy zaprzężone w woły, wiozące chorych

i rannych. Leżeli na wznak, na brudnych derkach; jedni spokojnie patrzyli w niebo, inni wili się z bólu albo krzywili się i wysuwali języki. Muchy obsiadły ich twarze, wciskały się w oczodoły i przywierały mocno do szmat. Synek Hegiona rozplakał się.

– Po co nam pokazują to wszystko? – spytał handlarz. – Czy to też ich reprezentacyjne oddziały?

– Nie – zaśmiał się Hegio. – To rzeczywiście dość oryginalny wjazd.

Przejechały trzy kolejne wozy, w nieco lepszym stanie, zaprzężone w woły. Na każdym leżało jedno ciało, pokryte warstwą much. Na głowach zmarłych umieszczono rozerwane łańcuchy. Od wozów bił mocny fetor.

I to był koniec przemarszu.

Tłum nieco się przerzedził, ale większość mieszkańców nie śmiała odejść do domów. Strach nie pozwalał im ruszyć się z miejsca. Nawet teraz, kiedy widowisko się skończyło, niepewni, wciąż pozostawali na ulicach.

3. Nowe prawo

Mieszkańcy Thurium uspokoili się; żaden żołnierz armii niewolników nie zbliżał się do murów miasta. Za nimi, na równinie między rzekami Crathis i Sybaris budowali swój obóz, Miasto Słońca.

Było już coraz bliżej wiosny. Znad ziemi unosiły się wonne opary, od morza wiały silne, marcowe bryzy. Niewolnicy z toporami w dłoniach wdrapywali się na porośnięte lasem góry i wracali stamtąd z kłodami ciągniętymi przez białe bawoły, a potem cięli deski i belki na pierwsze spichlerze i jadalnie nowego miasta. Na brzegach rzeki Crathis Celtowie kopali ciężką, dobrą glinę, lepili z niej cegły i suszyli je na słońcu, bo wszyscy Celtowie chcieli mieszkać w murowanych, ceglanych domach.

Trakowie szyli namioty z czernionych kozich skór, ze sprężystych gałązek pletli obręcze podtrzymujące dach, a podłogi wykładali kobiercami, by można było rozmawiać cicho i spokojnie, kiedy przyjdą goście. Lukanowie i Samnici mieszały torf z łajnem i kamieniami i z tej masy wznosili swoje małe, stożkowate domy; podłogę posypywali sieczką i słomą, ich siedziby zdrowo pachniały stajnią. Czarni ludzie z kolczykami w uszach sprytnie splatali pędy w siatkę i mocowali do kołków; ich chaty wyglądały jak kruche zabawki, ale nie przepuszczały deszczu i mocno trzymały się na wietrze.

Słońce świeciło, gleba parowała, spod grud wyłaniały się pierwsze kielki zbóż. Miasto rosło szybko, jakby promienie słoneczne wyczarowały je spod ziemi, użyźnionej rozkładem, buchającej długo powstrzymywanymi, życiodajnymi sokami. Siedemdziesiąt tysięcy ludzi, naznaczonych piętnem, wygnanych przez los i rozrzuconych po świecie, budowało teraz dla siebie. Taszczyli pnie drzew, bili młotami, składali i piłowali. To miało być coś wyjątkowego i wspaniałego, własność nędzarzy, mieszkanie bezdomnych, schronienie nieszczęśników. Każdy wznosił tu swój dom i dom ten należał do niego.

Miasto rosło. Każdemu plemieniu: Celtom, Trakom, Syryjczykom i Afrykanom przydzielono kawałek ziemi; każde mogło na nim budować po swojemu. Ale ogólny plan był zgodny ze ściśle ustalonymi regułami zakładania rzymskiego obozu, o prosto wytyczonych murach i prostych, równoległe biegnących ulicach. Zewnętrzny wał i fosa tworzyły kwadrat na równinie między Crathis i Sybaris, u stóp dumnych, poszarpanych, błękitnych gór. Miasto Niewolników było

surowe i wyzywające – z czterema bramami strzeżonymi przez nieprzystępnych, milczących strażników o byczych karkach; przed każdą bramą z daleka widniał ten sam znak – rozerwany łańcuch. Na wzgórzu w samym środku stał wielki namiot z purpurowym *velum*; stąd imperator wydawał nowe, obowiązujące tu prawa. Wzgórze otaczały siedziby niższych wodzów – gladiatorów; drugi, większy pierścień tworzyły budynki służące całej wspólnocie: szopy na narzędzia, kuźnie, w których wykuwano miecze, spichlerze, zagrody dla zwierząt, wspólne jadalnie. Każdy bowiem mógł zbudować sobie dom po swojemu na swoim kawałku ziemi, ale zboże, bydło, broń, narzędzia i plony wszelkiej pracy były wspólną własnością. A nowe prawa ustanowione przez imperatora w chwili zakładania miasta, spisane przez prawnika Fulwiusza z Kapui głosiły co następuje:

1. Nie wolno już nikomu uciskać ani zadawać cierpienia sąsiadowi z chciwości i zachłanności w walce o życiowe potrzeby, ponieważ Wspólnota obejmuje opieką wszystkich.

2. Nie będzie też od tej pory nikt służył drugiemu człowiekowi ani silny nie będzie podlegał słabemu, ani też ten, kto zdobędzie worek mąki, nie uczyni niewolnikiem tego, kto nie wziął żadnego łupu, bo wszyscy powinni służyć Wspólnocie.

3. Dlatego żaden człowiek nie będzie gromadził zapasów na dłużej niż pół dnia ani też nie będzie zbierał w swym domu żadnych innych towarów, ponieważ wszyscy będą żywieni na oczach wszystkich, w wielkich salach jadalnych, jak przystoi braciom.

4. Podobnie potrzeby dotyczące materiałów budowlanych, broni oraz spraw życia i zdrowia będą zaspokajane w zamian za pracę wykonaną przez każdego stosownie do jego możliwości dla zwiększenia wspólnego dobrobytu, czy to przy budowie domów, czy wykuwaniu mieczy, uprawie ziemi albo zajmowaniu się zwierzętami. Każdy też powinien podejmować pracę, na którą pozwalają mu siły i możliwości i nie będzie rozróżnienia w dzieleniu wszelkich materialnych dóbr, bo każdy dostanie swoją część i wszyscy zostaną obdzieleni równo.

5. Dlatego nie będzie dozwolone osiągnięcie korzyści przez zmuszanie innych, by kupowali i sprzedawali. Nikomu nie wolno zdobywać ani posiadać własności w postaci weksli i monet – dozwolone jest tylko to, co należy się każdemu. Dlatego też Wspólnota Lukańska znosi używanie monet złotych, srebrnych, a także bitych z mniej wartościowych metali; każdy więc, u kogo takie monety zostaną znalezione, zostanie wydalony ze Wspólnoty i ukarany śmiercią.

Takie to prawa ustanowił Spartakus, by rządziły życiem w rosnącym Mieście Słońca. Prawa bardzo nowatorskie – a jednocześnie stare jak świat. Kiedy tylko zaczęli budować obóz i wkopali

się w ziemię, trafili na ruiny legendarnego Sybaris, którego gliniane naczynia, potłuczone wazy i mury zniszczone przez deszcz i wiatr, były świadkami wieku Saturna, wspomnianego z czcią i tęsknotą; wieku panowania dobra i sprawiedliwości. Znaleźli inskrypcje mówiące o herosie Likurgu i o wspólnych, spartańskich magazynach i jadłodajniach – trochę tak, jakby zmurszały kamień z napisem wyrytym kiedyś przez dłonie dziś już martwe, i kierowane myślą ludzi, którzy dawno już nie żyją, właśnie tu i teraz potwierdził prawa ogłoszone przez Spartakusa. Przemówił duch ziemi, która wydała przodków obywateli Thurium. A obywatele ci przyglądali się jak rośnie nowe miasto, kręcili głowami, gromadząc się u jego bram i zerkali ciekawie, ponieważ nigdy nie wpuszczono do środka nikogo obcego; pamiętali przecież dziwnie poruszające opowieści o dawno minionych czasach: o dobrym królu Agisie, o wyspie słońca, o niesłychanych fantazjach starego Platona, któremu marzyła się republika rządzona przez mądrość; wszystkie te odrobinę nudnawe historie czytało się w szkole z uśmiechem i wzruszeniem, jeśli oczywiście ktoś raczył pochylić się nad klasykami, tak jak dzień dzisiejszy łaskawie zniża się czasem do zapomnianej przeszłości. Myśleli zawsze, że te wzniosłe i nie najciekawsze legendy nie mają właściwie żadnego związku ani z rzeczywistością, ani ze współczesnymi im czasami. Więc kiedy jakiś dziwny tracki książę, jeśli to w ogóle książę, a nie jak głośzą plotki, gladiator z cyrku, kiedy taki człowiek nagle pojawia się znikąd, zwycięża Rzymian i buduje miasto, w którym wszystkie te nierealne marzenia stają się nie tylko faktem, ale prawem – to naprawdę niesłychane widowisko.

A miasto rosło.

Rósł surowy czworobok murów, rosły proste ulice, magazyny i jadalnie. Nowe też było prawo, które tu rządziło, sprawiedliwe i nieubłagane.

Na wzgórzu w środku miasta, strzeżony przez dwie linie wart, stał namiot imperatora, skąd wychodziło ono w świat. A dla tych, którzy je łamali, na uboczu, w rogu przy Bramie Północnej, wzniesiono krzyże.

Każdego dnia w imię wspólnego dobra umierali na nich ludzie z połamanymi kończynami i poczerniałymi językami; w przedśmiertnych drgawkach przeklinali namiot z purpurowym *velum* i Państwo Słońca.

4. Sieć

Negocjacje, które poprzedziły zawarcie przymierza między imperatorem i miastem Thurium miały niecodzienny charakter; panów z Rady Miasta czekała więc niejedna niespodzianka.

Już sam dobór delegatów wysłanych przez imperatora do przepysznej sali Rady Thurium był dość szczególny: łysy, zasuszony prawnik o pomarszczonej twarzy i wysoki, nieśmiały młodzieniec, który spuszczał wzrok, czerwienił się i miał na czole grubą, błękitną żyłę prześwitującą przez cienką skórę; obaj wyglądali niepozornie, ubrani byli okropnie i zupełnie nie znali dyplomatycznych manier. Dwaj wysocy członkowie rady miasta boleśnie się zdumieli i nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Kiedy jeden z nich, starzec o lekko wyłupiastych oczach, rozpoczął przemowę od zwyczajowych ozdobników i powiedział o „waszym panu, wspaniałym zwycięzcy Rzymu i księciu imperatorze”, łysy człowieczek przerwał mu:

– Masz na myśli Spartakusa? Sądziliśmy, że wiecie, kto to taki.

Dostojny starzec osłupiał, a wtedy jego kolega, krępy, przysadzisty przedsiębiorca, właściciel jednej z największych wytwórni smoły w górach Siła, pośpieszył mu z pomocą.

– Powiedziano nam – wtrącił – że wasz przywódca jeździ na białym koniu, obwozi insygnia pretora Waryniusza i każe nosić przed sobą różgi i topory. A to przecież oznaki władzy imperatora. Zresztą sprawy etykiety nie mają w tym wypadku znaczenia.

– W kwestii formalnej – odparł prawnik z Kapui – pozwolę sobie zauważyć, że nie jest to sprawa różg i toporów, ale pewnych symbolicznych znaków. Ale, jak powiedziałaś, nie chodzi tu o etykietę – zakończył z nutką sarkazmu.

– Co za znaki? – zapytał starzec, który był dociekliwy i lubił ścisłość.

– Jak słyszeliśmy, mają znaczenie czysto symboliczne – bez namysłu powiedział przedsiębiorca. Stary człowiek pokręcił głową, ale nie ciągnął tematu. Co to może być: symboliczne znaki? Jest w tym jakiś haczyk.

W całym tym przymierzu tkwi jakiś haczyk.

Żadna ze stron nie obstawała dłużej przy swoim, zajęto się więc sprawami naprawdę ważnymi. Prawniki Fulwiusz, gładząc się od czasu do czasu po łysinie i przerywając swoje słowa częstym pokaszliwaniem, złożył w imieniu imperatora następujące propozycje:

Miasto Thurium zawrze z armią Spartakusa przymierze. Tym samym przestanie podlegać

władzy Republiki Rzymskiej. Ustaną wpłaty pogłównego, dziesięciny i innych podatków na rzecz Rzymu. Wszystkie pola, pastwiska i inne ziemie uprawne w okolicy, jako tereny należące dotychczas do Rzymu, staną się własnością miasta.

– A co z wytwórniami żywicy i smoły? – spytał przedsiębiorca.

– Te, które należą do państwa, przejmie miasto. W wypadku firm dzierżawionych przez osoby prywatne niemieszkające w mieście, umowa zostanie unieważniona.

– Doskonale – powiedział przysadzisty senator. – Jak dotąd wszystko brzmi rozsądnie i zasługuje na aprobatę.

– Ale czy wasz książę jest uprawniony do anulowania traktatów? – zapytał stary dygnitarz. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi, a prawnik Fulwiusz ciągnął dalej:

– Ponadto proponujemy, by miasto Thurium ogłosić portem wolnym od cła. Rzymskie cła i inne opłaty za towary importowane i eksportowane zostają zawieszane; będzie to dotyczyło zarówno handlu z portami zamorskimi, jak i rzymskimi.

– Co to znaczy? – spytał starzec. – Czy to też ma charakter symboliczny? Nie znam się na prawie handlowym i zawsze myślałem, że sojusz koncentruje się głównie na sprawach wojskowych.

– To znaczy – wyjaśnił z entuzjazmem przedsiębiorca – to znaczy, że Thurium zdobędzie przewagę nad portami w Brundizjum, Tarencie, Metapontum, et cetera, et cetera, i stanie się najważniejszym portem na południu. To oznacza bogactwo i szczęście dla tego miasta, a także – kto wie – być może koniec monopolu Rzymu na światowy handel i żeglugę.

– Morze pełne jest piratów – powiedział starszy pan – i niebezpieczne.

– Co do piratów – odparł spokojnie prawnik Fulwiusz – zawrzemy z nimi przymierze.

– Z piratami? – spytał przerażony starzec. – Przecież to mordercy, bandyci, zdecydowanie niegodni ludzie.

Zapadła niezręczna cisza. Tym razem i na bezmyślnej twarzy przedsiębiorcy zaznaczyło się oszołomienie i wzburzenie, a ponieważ Ojnomaos poprzestał na nieśmiałym, grzecznym uśmiechu, trzeba było poczekać, aż prawnikowi minie atak kaszlu, by usłyszeć, co przemawia za sojuszem z piratami.

– Dlaczegożby nie? – zaczął Fulwiusz. – Piractwo jest skutkiem rzymskiego monopolu na morzu, tak samo jak rabunkowe napady na lądzie są konsekwencją monopolu na posiadanie ziemi i istnienia wielkiej własności ziemskiej. Tyle że, jak wiadomo, piraci z Cylicji są znacznie

lepiej zorganizowani niż żałośni bandyci sprzed czasów Spartakusa. Mają coś w rodzaju pływającego, sprawnie rządzonego państwa, z surowym prawem i z admirałami. Król Mitrydates zawarł z nimi sojusz, podobnie zresztą jak emigranci z Rzymu pod wodzą Sertoriusza. Rzym nazywa to piractwem, ale w rzeczywistości jest to święta wojna, którą ludzie uciskani prowadzą na morzach. Więc i my zawrzemy z nimi przymierze i włączymy ich do Lukańskiej Wspólnoty.

– A może i z Mitrydatesem zawrzecie sojusz? – ton przedsiębiorcy był sarkastyczny.

– Bardzo możliwe – odparł prawnik. – Negocjacje są w toku.

– A z emigrantami w Hiszpanii też?

– Owszem – odpowiedział Fulwiusz. Spokojnie patrzył na niego swoimi krótkowzrocznymi oczyma.

Starzec potrząsnął głową i nie próbował już niczego zrozumieć. Przedsiębiorca w milczeniu przyglądał się dwóm nieprawdopodobnie ubranym wysłannikom, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia o dyplomatycznych obyczajach. Nie był pewien, czy jest świadkiem historycznego wydarzenia czy farsy. Wyobrażał sobie, co pomyślałby Krassus, Pompejusz lub którykolwiek inny wielki rzymski mąż stanu, gdyby był niewidzialnym świadkiem tej rozmowy. Zapewne uśmiełby się, w najwyższym stopniu rozbawiony widokiem posłów ponurego gladiatora pertraktujących o losach świata ze zramolałym Grekiem i drobnym przemysłowcem. Wszystko to oczywiście czysta amatorszczyzna i dziecinada, poczynając choćby od tego, że ci ludzie w ogóle podjęli rozmowy, zamiast wejść do miasta i wziąć sobie, co tylko zechcą. Bo i któż by im przeszkodził po tym, jak pobili Waryniusza? Thurium nie ma ani porządnych murów, ani sensownej wojskowej załogi, a ten Spartakus wie o tym równie dobrze jak oni sami. Tylko wytworny staruszek nie ma o niczym pojęcia i poważnie traktuje tę karykaturę negocjacji. Tyle że jeśli chcą rozmów, należy za wszelką cenę zdobyć nad nimi przewagę. To jedyna sensowna rzecz, jaką można zrobić w tym szalonym przedsięwzięciu.

– Czy to pomysły waszego pana, księcia trackiego? – spytał w końcu.

– Te pomysły od dawna unosiły się w powietrzu – odpowiedział prawnik. – Ktoś tylko musiał je podjąć.

– W porządku. To wasza sprawa, zresztą wykraczająca poza temat naszego spotkania. Pozwólcie, że wrócę do tego, co istotne. Chodzi mi o rzecz następującą: jakiego rodzaju obowiązki spadną na nas w proponowanym przez was sojuszu, czy też, mówiąc konkretnie, czego od nas chcecie?

– To łatwo określić – powiedział uprzejmie prawnik. – Chcemy, byście dali nam dobrowolnie wszystko to, co moglibyśmy bez trudu wziąć siłą.

Starszy pan omal nie zemdleł.

– To bardzo ogólne sformułowanie – wyjąkał. – Nie możecie traktować sprawy tak jednostronnie.

Fulwiusz odniósł się jednak do jego protestów sucho i niezbyt uprzejmie i przedstawił swoje żądania: pod budowę nowego miasta rada odda armii niewolników teren położony między rzekami Crathis i Sybaris; ponadto podejmie się zaopatrzenia w materiały budowlane i żywność, dopóki nie będzie możliwe wyżywienie armii z własnych płodów rolnych.

– Ilu was jest? – spytał rzeczowo przedsiębiorca.

– Na razie siedemdziesiąt tysięcy – odparł Fulwiusz – ale wkrótce będzie nas sto tysięcy, albo i więcej.

– Nie ma o czym mówić – stanowczo stwierdził stary dygnitarz. – Mamy pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców i nie możemy utrzymywać dwukrotnie większej liczby ludzi.

– Prowadzimy dość duże stada – ciągnął prawnik – więc mniej więcej jedną trzecią naszego zapotrzebowania na mięso i mleko pokryjemy sami. Poza tym żywność będzie przychodziła przez wolny od cła port w Thurium, podobnie jak metale i inne materiały potrzebne do uzbrojenia.

– A kto za to zapłaci? – spytał przedsiębiorca.

– My – odparł Fulwiusz, a przedsiębiorca po raz drugi podczas tej rozmowy stracił zimną krew. Opanował się dopiero, kiedy prawnik dodał:

– To znaczy, ustalimy ceny, w porozumieniu z radą, naturalnie.

– Nie możemy nakazać każdemu sklepikarzowi, ile ma wziąć za ogórka albo marynowanego śledzia, jeśli przyjdzie do niego na zakupy któryś z waszych żołnierzy.

– Prawdę mówiąc, byłoby to całkiem zbyteczne, ponieważ będziemy kupować wszystko hurtowo, na potrzeby całego miasta, jako że jesteśmy wspólnotą. A jeśli już o tym mowa, to mamy zamiar znieść pieniądze.

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której przedsiębiorca głośno dyszał i w widoczny sposób usiłował zdusić liczne uwagi, jakie cisnęły mu się na usta. W końcu powiedział:

– Co chcecie robić w swoim obozie, to wasza sprawa.

– Właśnie – przytaknął Fulwiusz. – Poza tym mówmy raczej nie o obozie, a o mieście, które

zamierzamy zbudować. Będzie się nazywało Miasto Słońca.

– Jakie to liryczne – powiedział przedsiębiorca i znów na chwilę zapadła cisza.

Niech ci głupcy robią sobie, co chcą, myślał. Jeśli chodzi o los Thurium, przygotowany był na gorsze rzeczy. Miejsce pod obóz stanowiło w przeważającej części własność państwa rzymskiego; Spartakus odebrał je Rzymianom i przekazał radzie, która z kolei darowała je Spartakusowi. Można było to zrobić prościej i bez tych prawnych zabiegów, ale skoro tym ludziom tak zależy na symbolach, nie pozbawiajmy ich tej przyjemności. A czy dotrzymają warunków układu, czy nie, to całkiem inna sprawa. Ale Thurium jest zdane na ich łaskę i nawet problematyczny układ będzie lepszy niż żaden. W sumie przedsiębiorca był naprawdę bardzo zadowolony. Zwrócił się teraz do swego sędziwego kolegi:

– Moim zdaniem, to dość ciężkie warunki, ale można je rozpatryć. Jak myślisz, panie?

Stary człowiek popatrzył na niego lekko wylupiastymi oczyma.

– Bardzo niewiele z tego wszystkiego pojmuję – odezwał się. – Czy pozwolisz, ambasadorze trackiego księcia, że zadam jedno pytanie? Słyszałem, że chcecie zabrać nam całe nasze pieniądze, domy, żony, córki i służbę i wszystko przewrócić do góry nogami. Czy to prawda?

– Jestem pewien, że to tylko czcza gadanina – wtrącił szybko przedsiębiorca. – Nawet jeżeli takie sugestie padły, to nie należy brać ich zbyt dosłownie. – Rzucił obu wysłannikom życzliwe, pełne zrozumienia spojrzenie, szukając potwierdzenia swoich słów.

Ojnomaos zarumienił się i spuścił wzrok. Nie chciał żadnego zrozumienia ze strony tego człowieka; marzył o tym, by znaleźć się jak najdalej stąd. Pomyślał o kraterze Wezuwiusza, gdzie wszystko było proste.

Stary człowiek jakby nie słyszał uwag swego kolegi. Popatrzył w oczy Ojnomaosowi, potem prawnikowi, i czekał, aż odpowiedzą na jego pytanie.

Fulwiusz spodziewał się takiego przebiegu rozmowy i z góry przygotował dokładną i rzeczową wypowiedź. Ale ku swemu bolesnemu zaskoczeniu, zorientował się nagle, że wszystko zapomniał. Czuł na sobie wzrok starca siedzącego naprzeciwko, zgarbionego i słuchającego go w skupieniu. Miał pomarszczone worki pod lekko wylupiastymi, ale bystrymi oczami. Dziwne to, ale pisarz i prawnik Fulwiusz pomyślał nagle o swoim ojcu, co mu się nie zdarzyło od lat. Ogarniało go coraz większe skrępowanie, znienacka pojawiło się irytujące poczucie winy.

– Chcemy prawa i porządku – odezwał się w końcu – ale praw i porządków nowych

i sprawiedliwych. – Zakaszłał.

– Słowa – powiedział starzec. – To tylko słowa, ambasadorze trackiego księcia, unikasz istotnego tematu. Mówisz o cłach, o imporcie, eksporcie i symbolach, ale ja pytałem, czy zamierzacie zabrać mi dom, czy nie.

Przedsiębiorca chrząknął.

– Nie o to chodzi. – Znow postąpił Ojnomasowi błagalne spojrzenie. Ale młodzieniec nie podnosił oczu.

– Bzdura – rozłościł się starzec. – Tylko o to chodzi. Jeżeli jeden człowiek ma dom, a drugi chce mu go zabrać, to taka dwójka nie może zawierać sojuszu, bo to czysta hipokryzja.

Fulwiusz milczał. Stary człowiek dziwnie przywodził mu na myśl ojca, o którym dawno zapomniał. To samo uczucie, które kazało młodemu Ojnomasowi spuścić wzrok, sprawiło, że wszystkie argumenty, nagle mizerne i pozbawione znaczenia, wyleciały pisarzowi z głowy. Jasna i prosta była tylko droga siły oraz wzniosła głupota, widoczna w oczach starogo. Ponieważ – i to właśnie odkrycie wprawiało w zakłopotanie kronikarza Fulwiusza i hamowało jego elokwencję – bywa głupota tak wspaniała i majestatyczna, że zbija z tropu najbystrzejszego człowieka. Bywa niesprawiedliwość tak zakorzeniona i arogancka, że człowiek sprawiedliwy zaczyna wątpić w samego siebie. Bywa poczucie własności tak dostojne i pełne naturalnego wdzięku, że pragnienie pozbawionych środków do życia, by posiadać taki sam majątek, wydaje się im samym niezgodne z naturą.

Prawnik Fulwiusz podjął decyzję i wyprostował się gwałtownie. Odruchowo też natychmiast pomacał czaszkę: uchylił się przed drewnianą belką nad stołem na swoim poddaszu, gdzie przyplącał guzem każdą śmiałą myśl. Tęsknił teraz za nią i niełatwo było przyzwyczaić się do nowego modelu życia.

– Masz prawo zadać takie pytanie – zwrócił się do starca i urwał.

Niemal słyszał westchnienie ulgi, jakie wydał przedsiębiorca; poczuł na sobie badawcze spojrzenie Ojnomasa; zobaczył dziecięcą ufność w oczach starca. Zakaszłał i ciągnął dalej:

– Cele, do których dąży nasz ruch – znow zakaszłał – i tracki księżę, doprowadzą niewątpliwie do całkowitej zmiany systemu i warunków w tym kraju. Osiągnięcie tych celów jest jednak rzeczą bardzo odległą. W tej chwili trzeba nam bezpieczeństwa dla nowo budowanego miasta i sojuszków, które je zagwarantują. Nasi sprzymierzeńcy nie muszą się obawiać niczego z naszej strony.

– Żadnych niepokołów? – spytał starzec. – To znaczy, że nie zabierzecie nam domów i nie będziecie więcej przysyłać nam do miasta swoich ludzi, którzy zachęcaliby naszych niewolników do rebelii?

Prawnik znów poruszył się energicznie i znów uchylił się przed uderzeniem w belkę. Tym razem brak przeszkody lekko go zaniepokoił. Czyżby jego umysł funkcjonował lepiej, kiedy belka była stałym zagrożeniem?

Czyżby brak brutalnego, namacalnego ostrzeżenia miał niszczące skutki dla poglądów jednostki? Gromada nigdy nie zrozumie, dlaczego powinni odstąpić od kaptowania niewolników z sąsiadującego z nimi miasta.

A trzeba się na to zgodzić, żeby zyskać wreszcie czas na przeprowadzenie wielkiego eksperymentu – budowy Miasta Słońca. Fulwiusz w milczeniu wspominał rozmowę, jaką prowadził ze Spartakusem pierwszej nocy spędzonej w obozie; zasada krętych dróg; oto i ona, krępuje każdy krok nowymi żądaniami, jest mętna i niezrozumiała.

Prawnik Fulwiusz chętnie zerwałby negocjacje. To, w co nigdy nie chciał wierzyć, wydawało się teraz niemal prawdą: że uczciwa jest tylko droga prosta. Ale czy droga prowadząca przez Nolę, Suessulę i Calatię była uczciwsza? Czy bardziej właściwą rzeczą byłoby pchnięcie oszczepem w dostojne wnętrze starego dygnitarza zamiast...? No cóż, zamiast zawierania zgniłych kompromisów i przyjmowania warunków, których gromada nigdy nie zrozumie.

– Nie odbierzemy wam domów ani nie będziemy przysyłać swoich emisariuszy – odpowiedział zwięźle. – Czy teraz nie masz już wątpliwości, panie?

– Wierzę ci na słowo – powiedział starzec wyraźnym, lekko drżącym głosem.

Wniesiono poczęstunek; traktat został zredagowany dość pośpiesznie i podpisany natychmiast. Obu stronom zależało na czasie i nikt nie kwapił się do omawiania szczegółów. W dokumencie imię Spartakusa ozdobiono wszystkimi pełnymi czci określeniami, do których prawo miał cudzoziemski książę; jego wysłannicy nie zgłaszali już żadnych zastrzeżeń.

Tak przebiegały negocjacje, które poprzedzały założenie miasta, a po nich nastąpiły kolejne. W Mieście Słońca życie miało toczyć się niezależnie od tego, co działo się poza jego murami, a jego mieszkańcy, jako ludzie wolni, nie podlegali już prawom i zasadom świata zewnętrznego.

Ale od samego założenia miasto związane było z istniejącym porządkiem tysiącami niewidzialnych nici, które nieuchronnie zagęszczały się wokół niego w sieć.

Zbliżała się wiosna. Miasto szybko wyłaniało się z gołej ziemi; zaplanowano je na

siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, a tymczasem w jego murach żyło już sto tysięcy ludzi. Rosły spichrze, kuźnie, gdzie wykuwano miecze, wspólne jadalnie, a także krzyże w rogu przy Północnej Bramie; umierali na nich ci, których życie poświęcano w imię wspólnego dobra, niezdolni do podporządkowania się surowym prawom wolności.

5. Przybysz

Wśród wielu ludzi, którzy przybyli do miasta, był też młodzieniec imieniem Publibor. Uciekł tu od swego pana, Hegiona, i to nie dlatego, żeby specjalnie źle mu się u niego żyło. Nawet pani biła go dość rzadko; tylko wtedy, gdy była w szczególnie złym nastroju, a przecież wielu innym wiodło się pod tym względem dużo gorzej. Ale Publibor usłyszał o Mieście Słońca, zanim jeszcze układ ze Spartakusem zabronił jego wysłannikom podżegania niewolników w Thurium. I wiadomość ta zasiała w jego sercu ziarno tęsknoty, które od tamtej pory wypuściło pączek i rozkwitło, aż wreszcie Publibor poczuł, że musi odejść.

I tak znalazł się tu, jeden ze stu tysięcy, młody i niczym się niewyróżniający. Przyszedł z tęsknotą w sercu i z wizją nowego życia, jaką odmalowali mu wysłannicy i emisariusze, nim kazano im zaniechać werbowania niewolników z Thurium. Szedł nowymi, czystymi ulicami, zdziwiony i onieśmielony i nikt się nim nie interesował. Ludzie tu byli bardzo zapracowani i wciąż zajęci; wszędzie coś budowano, stukwały młotki, powstawały nowe konstrukcje i nie było nikogo, komu Publibor mógłby opowiedzieć, jak wielka radość go rozpiera: przybył przecież do Miasta Słońca.

Nie poszło mu łatwo przy bramie. Stali tam wartownicy, sztywni i nieprzystępni, i jak wszyscy na służbie, patrzyli z góry na cały świat. Hej tam! Dokąd to, chłopcze? – spytali pogardliwie.

Ufnie, z uśmiechem, odpowiedział, że przyszedł, by zamieszkać z nimi, pod rządami nowego prawa Wspólnoty Lukańskiej, że do dziś był niewolnikiem i właśnie uciekł od swojego pana z Thurium.

Wyznania Publibora nie nastawiły jednak wartowników ani odrobinę bardziej przyjaźnie; wciąż zachowywali się wrogo i zniechęcająco. Czyżby nie pojęli jego słów? Pojęli, i to całkiem dobrze. Bezceremonialnie stwierdzili, że go nie wpuszczą; musi wrócić do swojego pana, bo żadnemu niewolnikowi z Thurium nie wolno wejść do miasta. Tak postanowiono w traktacie zawartym z Radą Thurium; niech się więc wynosi.

Nie miał takiego zamiaru. Wołał, że go nie zrozumieli, że to wszystko okropna pomyłka, bo jest niewolnikiem i chce zamieszkać w Mieście Niewolników, gdzie panuje dobro i sprawiedliwość. A kiedy strażnicy, najpierw rozbawieni, a potem znużeni już jego wrzaskiem,

próbowali od; pędzić go szturchańcami i kuksańcami, uczeplił się słupa bramy, krzycząc i jak oszalały, że nie mogą mu tego zrobić, że chce pójść do samego Spartakusa, który na pewno przyjmie go do swego państwa. Płakał. Był to bowiem młodzieniec łagodny i nieśmiały, który nigdy jeszcze nie stał się przyczyną takiego zamieszania, i bardzo się wstydził swoich krzyków. Ale coraz więcej ludzi gromadziło się przy bramie, żeby zobaczyć, co się i dzieje, więc w końcu strażnicy musieli wprowadzić Publibora do środka i burcząc dostawili go do swojego dowódcy.

No to w porządku, pomyślał chłopiec i otarł łzy z twarzy, znów spokojny i nieśmiały. Nie musieli iść daleko; drewniana chata dowódcy, z dachem z pokrytej smołą tkaniny, była zaledwie kilka kroków od wewnętrznej linii wałów. Wokół chaty zebrało się wielu ludzi, stali albo siedzieli stłoczeni w upale, wyglądali na zmęczonych i wyczerpanych, jak po długim marszu; były wśród nich dzieci i karmiące matki, a wszystkich pilnowali strażnicy. Wartownik, który przyprowadził Publibora, powiedział coś do jednego z nich i wrócił na swój posterunek; chłopakowi kazano czekać wraz z innymi. Usiadł w kurzu, zadowolony, że jednak udało mu się wejść do miasta.

Czas mijał, słońce mocno grzało, ludzie siedzący w pyle wokół Publibora rozmawiali zaniepokojeni i z ponurymi minami zjadali swoje zapasy; i kilka matek karmiło piersią płaczące niemowlęta. Tłum przed chatą liczył kilkaset osób; od czasu do czasu jakąś grupę wzywano do wnętrza. Podnieceni, w pośpiechu, wchodzili niepewnym krokiem do drewnianego domu, pod uważnym wzrokiem pozostałych na dworze. Nie widać było, by ktoś potem wychodził; zapewne wyprowadzano ich innym wyjściem.

– Czy to wszystko nowi? – spytał Publibor siedzącego obok mężczyznę o ostrych, ptasich rysach, z długim, spiczastym nosem i blisko osadzonymi oczami, które rzucały niespokojne spojrzenia; wyglądał na włóczęgę. Żuł pajdę chleba z cebulą i nie zwrócił najmniejszej uwagi na pytanie chłopca. Odwróciła się za to ku niemu kobieta z wychudłą, żółtawą twarzą.

– Ty też jesteś z kopalni? – spytała.

Kołysała jednocześnie na kolanach brzydkie niemowlę, wczepione ustami w sutek jej workowatej piersi.

– Nie – odparł. – Jestem z Thurium.

Chętnie opowiedziałby jej więcej, ale odwróciła się i zajęła kołysaniem dziecka. Chyba w ogóle nie słuchała, co mówił.

Włóczęga przerwał jedzenie.

– Jeśli jesteś z Thurium – odezwał się – odeślą cię z powrotem. Nie chcę żadnych kłopotów z magistratem. Spartakus jest teraz wielkim panem, stara się być człowiekiem honoru.

– Na pewno nie – stwierdził Publibor. – Spartakus nie odsyła nikogo, kto chce do niego dołączyć.

– Spartakus ma na głowie poważniejsze sprawy niż twoja – włóczęga wodził oczami na wszystkie strony. – Wczoraj byli u niego posłowie Mitrydatesa, a dziś traci czas na agentów Sertoriusza. To obsesja. Tę też odeślą – zakończył szeptem, wskazując kciukiem na kobietę o żółtawej cerze.

– Nie gadaj tyle. Na każdego przyjdzie kolej – odezwał się dobrodusznie któryś z żołnierzy i otarł pot spod hełmu.

Do chaty wprowadzono następną grupę.

Kobieta zwróciła się do Publibora.

– Na pewno zatrzymają tych z kopalń – powiedziała. Mówiła z dziwnym roztargnieniem i pośpiechem, po czym odwróciła się natychmiast, nie czekając na odpowiedź. Pokołysała dziecko, wyjęła mu z ust pierś i wcisnęła drugą. Niemowlę chyba spało; muchy laziły mu po buzi.

– Moim zdaniem ci z kopalń zostaną – stwierdził włóczęga. Pokazał na grupkę barczystych mężczyzn ze lśniącymi, nagimi torsami, siedzących cicho w kącie. – Są mocni i zdrowi; przydadzą im się. Ale tacy jak ja nie są potrzebni w tym ich Państwie Słońca. A stare więdźmy też im na nic. Sutki taka ma jak wymię wyschłej kozy, od dawna nie ma w nich żadnego mleka.

Publibor poczuł się znów nieswojo, tak jak przedtem przy bramie.

– To znaczy, że tak dużo ludzi tu przychodzi? – spytał.

Włóczęga objął ramionami całą krainę, pola, góry i morze.

– Trzech na czterech odsyłają z powrotem.

– Myślałem – zaczął Publibor – że dla wszystkich biednych i prostych ludzi jest miejsce w Państwie Słońca.

Włóczęga popatrzył na niego i skrzywił się.

– Nie rozśmieszaj mnie, dobra? – powiedział i wrócił do żucia swojego kawałka chleba.

Ale w końcu wszystko poszło dobrze; pod wieczór Publibora razem z kilkoma innymi ludźmi wezwano do chaty, strażnicy zapomnieli zameldować, że przybył z Thurium, a ponieważ był młody i pełen wigoru, pozwolono mu zostać i przyjęto do Wspólnoty Lukańskiej. Następnego

dnia miał zacząć szkolenie wojskowe; ponadto dostał przydział do brygady stolarzy, którzy budowali zagrody dla zwierząt, ale do wieczora był jeszcze wolny i mógł swobodnie spacerować po ulicach, oglądając nowe miasto, Państwo Słońca.

Tu wszyscy ludzie byli jego braćmi, ale też mieli mnóstwo zajęć, nikt więc nie mógł mu poświęcić czasu. Był zbyt nieśmiały, by nawiązywać rozmowy, ale gdyby go ktoś zachęcił, z przyjemnością wdałby się w pogawędkę. Nikt jednak tego nie zrobił. Publibor zatrzymał się przed kuźnią, obserwując dwóch usmolonych chłopaków, mniej więcej w jego wieku, dmących w miechy; trzeci, nieco starszy, trzymał na kowadle rozgrzany do czerwoności metal, a czwarty z rozmachem walił weń ciężkim młotem. Czerwone iskry leciały w górę, a hałas rozsadzał uszy. Publibor przyjrzał się: to byli jego bracia. Z zainteresowaniem studiował ich twarze: powinno przecież rysować się na nich szczęście, że są wolni i mogą żyć zgodnie z Nowym Prawem. Wszyscy czterej wpatrywali się jednak ponuro w metal, nie odzywając się do siebie ani słowem; ten ze szczypcami w dłoniach splunął nagle i zaklął ze złością. Czy nie widzą, jak ważna zmiana zaszła w ich życiu, czy już zapomnieli, jak wyglądało ono wcześniej? Publibor odezwał się do nich z nieśmiałym pozdrowieniem. Tylko jeden z chłopców obojętnie odwrócił głowę i splunął czarną śliną. Publibor poszedł dalej.

Chaty i namioty były puste. Trwały właśnie godziny pracy. W sztywnym, geometrycznym porządku stały magazyny, jak spiczaste piramidy, szarobiałe w oślepiającym blasku słońca. Szopy, warsztaty i jadalnie zbudowano z drewna; białe bawoły ciągnęły z gór grube deski; budynki wciąż miały w sobie zapach lasu, a ze złączy sączyła się żywica. Publibor skręcił w szeroką, lekko wznoszącą się ulicę; zobaczył ustawione na pagórku wielkie namioty ze skóry, a w środku największy z nich, z purpurowym *velum* zwisającym ze stojącego u wejścia wysokiego masztu. Zamarł.

Poczuł w sercu falę gorąca, a w oczach napływające łzy. Ale z wysoka patrzyli na niego wyniośle wartownicy o byczych karkach, surowi i nieprzystępni, zawrócił więc z powrotem.

I znów wędrował ulicami, włóczył się wśród lepianek i warsztatów, zaglądał w twarze, szukał w nich błysku radosnego podniecenia. Doszedł do dzielnicy Afrykanów, zamieszkaną przez czarnych olbrzymów o grubych wargach, skręconych jak wełna włosach i okrągłych, przyjaznych, tępo patrzących oczach. Uśmiechali się do niego, ale nie rozumiał niskich dźwięków, melodyjnych, choć chropawych, które wydobywały się z ich gardeł. Jak wielu rozmaitych ludzi żyje na świecie! Czy to także jego bracia? Czy i oni marzą o Państwie Słońca?

Mają innych bogów, inne ciała i co innego w głowach. Publibor zagadnął jednego z nich, niosącego na ramieniu obdarty z kory pień drzewa, tak ciężki, że trzech takich jak on tylko z najwyższym trudem dałoby mu radę. Olbrzym zatrzymał się i z mieszaniną lęku i zyczliwości spojrzął na chłopca, który stanął przed nim na pustej, rozpalonej słońcem ulicy.

– Ciężkie – powiedział Publibor. – Ciężkie, ciężkie.

Olbrzym z poważną miną wskazał na góry. Sądził pewnie, że chłopiec pyta go, gdzie rosną takie drzewa.

– Ciężkie, ciężkie – powtórzył już odrobinę zakłopotany Publibor, robiąc ruch podnoszenia ciężaru.

Czamy człowiek, przestraszony, pokręcił głową: nie odda mu drzewa. Wydał z siebie jakieś zwierzęce dźwięki, krzyknął coś żałośnie i wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Czyżby bał się, że zabiorę mu tę belkę, czyżby bał się mnie, myślał zdumiony Publibor. Czy tak źle traktowano go w przeszłości, że teraz przeraził się na mój widok? Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Spartakus – zawołał uśmiechnięty i wskazał palcem w stronę namiotu z *velum*. – To na pewno zrozumie – powiedział sobie. Ale olbrzym nagle uderzył go w pierś i zaczął uciekać. Obejrzał się jeszcze za siebie z szaleńczym strachem w oczach. I zniknął.

Fala radości unosząca Publibora wysoko od chwili ucieczki z domu Hegiona stopniowo opadała. Zmęczyła go bezcelowa wędrówka po ulicach, ale nie mógł pozbyć się poczucia, że wciąż śni. Nie było łatwo wyrwać się z gąszczy codziennych nawyków; zaledwie godzinę przed ucieczką wydawało mu się, że nigdy nie wystarczy mu na to odwagi. Ale później, w ciągu tych strasznych minut pod bramą, nie opuszczało go już wrażenie, że to wszystko sen; nawet okropna kłótnia i jego własne, przejmujące wrzaski, docierały do niego jakby z daleka. Teraz jednak odświętny nastrój zanikał, pozostawało zakłopotanie, połączone z wiarą, że czeka go coś szczególnego i osobliwego. Szedł dalej, spokojny już i znużony, kiedy nagle usłyszał wołający go kobiecy głos.

Młoda dziewczyna siedziała na progu długiego, drewnianego domu i smukłymi, zręcznymi palcami łuskała kolby kukurydzy. Wewnątrz, w wielkiej, tracącej stęchlizną sali pracowały inne kobiety, równie szybko i sprawnie; była to jedna z dużych, wspólnych kuchni, w których przygotowywano jedzenie podawane później w jadłodajniach.

Publibor nie dosłyszał słów dziewczyny, ale jej głos wciąż brzmiał mu w uszach – zachrypnięty, ale dźwięczny, jak dotyk miękkiej, cennej materii o lekko szorstkawej powierzchni.

Zatrzymał się zaczerwieniony.

– Jestem nowy – powiedział przepaszającym tonem.

– Wiem – odparła dziewczyna z lekkim uśmiechem, nie podnosząc wzroku znad kukurydzy.

Siedziała schylona, nie widział więc jej oczu, tylko rzęsy, owal twarzy i luźno związane włosy.

Mówiła po grecku.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytał.

Milczała, wciąż uśmiechnięta; ziarna kukurydzy sypały się szybko jak koraliki spod jej palców do miski. Odrzuciła obrany kaczan do kubła i sięgnęła po nowy; zdawało się, że zapomniała o rozmowie. W końcu Publibor wymyślił następne pytanie.

– Od dawna jesteś we Wspólnocie?

– Co?

– Spytałem, czy od dawna jesteś we Wspólnocie.

Zaśmiała się dźwięcznie i odrzuciła głowę; przez sekundę widział jej oczy.

– We... Wspólnocie. Od Noli.

Nie dostrzegł w tym nic śmiesznego i ponuro zadał nieuchronne, kolejne pytanie.

– Jesteś szczęśliwa?

Tym razem tylko uśmiechnęła się.

– Podaj mi drugą kolbę – powiedziała. – Nie tę. Tę dużą. – Znów spoważniała i jeszcze szybszymi ruchami obierała ziarna.

Publibor zdawał sobie sprawę, że robi z siebie głupca i powinien odejść. Ale zamiast tego zapytał:

– Pewnie uciekłaś od swego pana w Noli?

– Zabili go – odpowiedziała nie przerywając pracy.

– Ucieszyłaś się, kiedy przyszli, żeby go zabić?

– A z czego się miałam cieszyć?

– Bo teraz jesteś wolna. Przedtem twój pan mógł z tobą zrobić wszystko, co chciał.

Dziewczyna wyglądała tak, jakby znów miała się roześmiać, ale tylko popatrzyła na niego rozbawiona.

– Owszem, mógł – powiedziała uśmiechając się.

– Mógł cię wychłostać – stwierdził Publibor.

– Wychłostać? Za co?

– Mógłby, gdyby zechciał – upierał się chłopak.

– A czy to takie straszne?

Zamyślił się; sam już nie wiedział, o co mu chodzi. Po czym zapytał:

– Czy to nie wspaniałe być wolnym?

– Co za różnica? – spytała obojętnym tonem. – Nadal muszę pracować. Wolny jest ten, kto nie musi.

– Przedtem pracowałeś dla swojego pana, a teraz pracujemy dla siebie. Czy to nie różnica?

Wzięła do ręki nową kolbę.

– No tak – odparła, najwyraźniej znudzona.

Publibor stał jeszcze przez chwilę na ulicy przed dziewczyną, ale nie potrafił już wymyśleć żadnego pytania. W końcu wymamrotał coś na pożegnanie i powoli odszedł. Nie podniosła wzroku, ani nie odpowiedziała na jego pozdrowienie. Ziarna kukurydzy niezwykle szybko sypały się spod jej palców do miski.

Był coraz bardziej zmęczony, do tego zaczynał czuć głód. Powinien był zapytać dziewczynę o drogę do jadalni stolarzy i cieśli; teraz nie miał odwagi nikogo zaczepić. Dotarł do dzielnicy Celtów zabudowanej małymi domkami z surowej cegły, krytymi strzechą; nie prezentowały się zbyt schludnie. Pomyślał o białych werandach i ogrodach na dachach domów w Thurium, o czarnych cieniach pod kolumnami i wydało mu się, że całe lata minęły od chwili, gdy je oglądał. Teraz jego dawny pan, Hegio, wraca zapewne z porannego spaceru, bawi się z psem i przekomarza się jak dziecko z panią, która narzeka, że Publibor zniknął. Tu, daleko od centrum, ulice były prawie puste; wszyscy gdzieś pracowali albo jedli; spotkał jedynie kilku spoconych, grubych mężczyzn w prostej, surowej odzieży, ze sterczącymi wąsami i pełnym złości spojrzeniem – barbarzyńców z Galii. Znalazł się na rozległym, otwartym placu przylegającym z jednej strony do zewnętrznego muru, niedaleko Bramy Północnej. Plac był zupełnie pusty; Publibor chciał go przeciąć, by spytać wartowników przy bramie, jak trafić do jadalni, gdy nagle serce omal mu nie stanęło.

W rogu placu, po lewej stronie, tuż koło fosy, zobaczył trzy drewniane słupy z przybitymi do nich w poprzek, nieobrobionymi belkami, na których wisieli ludzie. Głowy opadły im na piersi; przez skórę ostro sterczały żebra. Ręce i nogi wiszących były nienaturalnie wykręcone, nadgarstki przywiązano linami do belek; wisieli jak ptaki zaczepione za skrzydła.

Publibor nigdy dotąd nie widział ukrzyżowanego człowieka, wszyscy śmiali się z niego,

ponieważ nie chodził oglądać egzekucji. Musiał teraz oprzeć się o mur, zrobiło mu się słabo; zwymiotował. Kiedy znów podniósł wzrok, jeden ze skrzyconych kształtów powoli uniósł głowę i popatrzył na niego.

Z ust wysunął się ciemny, opuchnięty język i bardzo wolno przejechał po zębach, najpierw z lewa na prawo, potem w drugą stronę. Oczy wciąż wpatrzone były w chłopca. Publibor drapał palcami mur za sobą, gardło miał ściśnięte, nie wiedział, czy kaszle, czy szlocha. Skóra na twarzy wisielca zaczęła się powoli poruszać, wokół oczu i ust pojawiły się zmarszczki; człowiek na krzyżu najwyraźniej próbował się uśmiechnąć.

Poruszył kilka razy grdyką, widać było przesuwający się w dół skurcz, a potem zamknął oczy; głowa znów wolno opadła, zsunęła się z ramienia i na koniec oparła się z powrotem brodą na piersi. W tym momencie czyjaś ręka dotknęła Publibora; stanął za nim wartownik, do tej pory niewidoczny w cieniu muru.

– Co tu robisz? – zapytał. Ale chłopak nie był w stanie odpowiedzieć. Patrzył jedynie na żołnierza, na jego rzymski strój i na hełm, spod którego widać było czerwony kark.

– Pewnie jesteś nowy – powiedział strażnik. – Idź stąd, nie masz tu nic do roboty.

– Dlaczego – jęknął Publibor wysuwając trzęsący się podbródek w stronę trzech słupów – dlaczego im to zrobili?

Żołnierz wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Popatrzył na trzech wiszących, ale po chwili odwrócił głowę i otarł pot z twarzy.

– Dla zachowania dyscypliny i ku przestrodze innych – odparł. – Jeśli dasz im coś do picia, będzie to tylko dłużej trwało. Idź już, wynocha stąd.

I znów Publibor błąkał się po ulicach miasta, sam nie wiedział jak długo; wydawało mu się, że minęły godziny. Oczy skrzyconego człowieka na krzyżu wciąż mu towarzyszyły, raz za razem powracał widok języka przesuwającego się powoli po zębach, najpierw z lewa na prawo, później w drugą stronę. Ale kiedy zmęczone stopy niemal odmówiły posłuszeństwa, a żołądek skurczył się z głodu, obraz stopniowo bladł i zacierał się.

„Dla zachowania dyscypliny i ku przestrodze innych”, powiedział wartownik. Skoro tak twierdził, pewnie tak było, wartownik akurat wie to najlepiej, i jeśli Spartakus każe kogoś ukrzyżować, to zapewne ma swoje powody. Publibor pomału uspokajał się, zdobył się nawet na odwagę i zapytał, jak trafić do jadłodajni.

Był to długi, drewniany budynek, niedawno wykończony. Tak jak w całym mieście, ze

świeżo przyciętych desek na złączach sączyła się żywica. Kiedy Publibor usiadł na ławie przy niesłychanie długim stole z surowego drewna, w nieprawdopodobnie długim szeregu mężczyzn, kiedy dotknął łokciami sąsiadów po obu stronach, poczuł, że znów wszystko jest jak należy. Powrócił odświętny nastrój, który przenikał go, gdy wchodził do miasta. Posiłek składał się z gęstej zupy z cebuli i kukurydzy; na każdym sześciu ludzi przypadała jedna misa, z której jedli razem, pochyleni, drewnianymi łyżkami.

W dużej sali mieściło się jednocześnie blisko sto takich sześciuosobowych grup. Mężczyźni przy długich stołach łykali zupę w ciszy; powoli parowało z nich zmęczenie po całym dniu pracy, ale budynek wypełniał jednostajny szum głosów. Pięciu ludzi, z którymi Publibor dzielił miskę zupy i których łyżki wciąż krzyżowały się, od czasu do czasu zderzając się z jego własną, nie odzywało się do tej pory. Publibor, który zdążył już pokochać ich jak braci, nie odważył się przemówić, w obawie, że powie coś niewłaściwego, gdyż miał wrażenie, że przez cały dzień zachowywał się nie tak jak trzeba. Zauważył jednak, że człowiek siedzący naprzeciw niego miał na sobie szatę zupełnie inną niż pozostali: była to kiedyś zapewne toga, dziś zniszczona, kilka razy owinięta wokół ciała; materiał zwisający z przedramion wciąż groził zanurzeniem w misce z zupą. Mężczyzna miał twarz wychudzonego ptaka, odrobinę przypominał tamtego włóczęgę sprzed chaty; ale w jego rysach i w spojrzeniu był skryty ból, dziwnie kontrastujący z żywą, przesadną gestykulacją. To on pierwszy zwrócił się do młodzieńca.

– Jak smakuje chleb wolności? – spytał i uderzył łyżką w krawędź miski.

– Dobrze – odpowiedział skwapliwie Publibor. Poprzednio tak właśnie wyobrażał sobie tutejsze rozmowy, ale w tej chwili nieco odpychał go pompatyczny ton.

– Widzę to po twoich oczach – stwierdził Zosimos. – Wkrótce się całkiem nasycisz.

– Już to zrobiłem – uśmiechnął się Publibor i oparł się wygodnie.

– Na razie tylko ciało jest pełne – ciągnął Zosimos – ale dusza aż pęka od uczuć i wielkich oczekiwań. Zaczekaj – i na nią przyjdzie pora.

Tylko on jeszcze jadł; mówił, a jednocześnie łapczywie i jakby z udręką zagłębiał łyżkę w zupie. Reszta słuchała leniwie.

– Dusza zapomina szybciej niż ciało – powiedział i machnął ostrzegawczo łyżką. – Rozejrzyj się tylko, popatrz, jak siedzą wszyscy nad garnkami, głupio i bezsensownie zadowoleni z całodziennej roboty; co ich obchodzi głodni bracia w całej Italii? Niestety, swoje pragnienie zaspokoił już, kiedy ledwie pociągnęli łyk z pucharu wolności; dawno zapomnieli, o czym

marzyli, gdy wysyczały im podniebienia na Wezuwiuszu. A Spartakus nazywa siebie „imperatorem”, układa się z możnymi tego świata i zawiera z nimi sojusze. Poczekaj tylko, młodzieńcze, aż otworzą ci się oczy, bo póki co skleja je wciąż nadmiar uczuć.

Publibor nie wiedział, jak zareagować; oczywiście, że był tu nowy.

Ale niesłychanie dziwiło go, że pozostali siedzący przy stole milczą i zupełnie nie interesują się rozmową. Najbliższy sąsiad Publibora, rudowłosy olbrzym z wiecznie stęsknionym spojrzeniem trackiego górala, podniósł się niezdarnie z ławki, przyjaźnie i z pewnym zakłopotaniem skinął im głową i odszedł ciężkim krokiem. Sala powoli pustoszała. Ale Zosimos mówił dalej.

– Od blisko dwóch miesięcy siedzimy tu, budujemy swoje domki, jakby rozwiązane już zostały wszystkie problemy ludzkości. Gdzie powstanie naszych braci w Italii? Opowiadają sobie bajki o Spartakusie przed snem i są dumni, że gdzieś tam jest Miasto Niewolników. A kiedy pan da im kopniaka w tyłek, wrzeszczą: poczekaj, przyjdzie Spartakus i wtedy zobaczysz! To wystarcza, żeby ich pocieszyć i na tym się kończy. Nasza sprawa, niestety, nie postępuje naprzód, natura ludzka jest tępa i głucha. Ale budujemy swoje małe domki, zjadamy zupę i zapominamy o nieszczęściach innych.

Zosimos podkreślał słowa zamaszystymi ruchami; na koniec opuścił ramiona w geście żalu. Nikt mu nie odpowiedział, westchnął więc i wyskrobał resztki zupy z miski. Jego żarłoczność wydała się Publiborowi niezwykle zabawna, a jednak miał wrażenie, że przez mowę retora przebija szczery smutek.

Sala była już pusta; tylko w jednym kącie kilku mężczyzn rzucało kośćmi ze skórzanego kubka. Publibor czuł zmęczenie i senność; za dużo wydarzyło się jak na jeden dzień, a kiedy retor znów rozpoczął tyradę na temat Państwa Słońca, nawet nie udawał, że słucha, podobnie jak dziewczyna łuskająca kukurydzę nie interesowała się tym, co do niej mówił.

Oczy, o których Zosimos powiedział, że są sklezione nadmiarem uczuć, zamknęły się z własnej woli; Publibor zasnął na siedząco.

6. Wielka polityka

Niewolnicy Italii nie posłuchali wezwania.

Na północy kraju, w Etrurii i Umbrii, zginęło wielu właścicieli ziemskich; rano obok ich ciał znajdowano zwykle symboliczny rozerwany łańcuch. Nic więcej jednak się nie zdarzyło. W kilku miastach, między innymi w Kapui i Metapontum, wybuchły sporadyczne i szybko stłumione rozruchy na rynkach. I na tym rzecz się skończyła. Wielkie powstanie, które zapowiadał esseńczyk na Wezuwiuszu, zryw italskich niewolników przepowiadany w termach przez prawnika Fulwiusza, nie doszedł do skutku. To prawda, że nawet z bardzo daleka wciąż napływali ludzie do Miasta Słońca – choć zbudowało je siedemdziesiąt tysięcy par rąk, liczyło już sto tysięcy mieszkańców – ale wciąż było to jedyne takie miejsce w Italii; surowe, osamotnione, u stóp gór, między Crathis i Sybaris.

Rządziło się własnymi prawami, jakby leżało nie w granicach rzymskiego imperium, ale na innej planecie.

Kronikarz Fulwiusz, ze zwiniętym pergaminem pod pachą, przemierzał ulice miasta, gładził swoją poobijaną czaszkę i łamał sobie głowę, zastanawiając się, gdzie i kiedy popełniono błąd. Imperium rzymskie się skończyło; sam tak twierdził, powtarzał to w kółko w swoich mowach.

Chłopi zostali zrujnowani, wolnych robotników zastąpiono niewolnikami; ludzie, którzy kiedyś zarabiali uczciwie na życie, musieli teraz żebrać albo rabować. W Rzymie pełno było rąk do pracy, ale nikt ich nie potrzebował. Kraj zasypała tania pszenica; ziarnogniło w spichrzach, ale biedni nie mieli chleba. Co kilka lat wybuchały powstania i wojny domowe; nowy świat i nowy porządek pukał do wszystkich drzwi, nawet dziecko zdawało sobie z tego sprawę. Gdzie w takim razie tkwi błąd, zachodził w głowę prawnik Fulwiusz i tęsknił za belką nad swoim dawnym stołem.

Dlaczego Miasto Słońca nie ma naśladowców, czemu świat się nim nie interesuje, jakby stało na innej planecie?

Ostatnim, który próbował ocalić ten gnijący system, był Sulla. Czuł, że państwo toczy się ku przepaści, słyszał krzyk głodnych i wynędzniałych, żyjących na dnie i wiedział, że nadchodzi nowa era. Odważył się zawrócić koło historii; chciał wskrzesić legendarny ład dawno minionych czasów, wiek patriarchów, nieznający światowego handlu ani praw człowieka, wiek pobożności,

ograniczonej wyobraźni i złych, krwiożerczych bogów rządzących umysłami ludzi. W jego państwie liczyć się mieli tylko ci, którzy potrafią udowodnić, że w ich żyłach płynie krew przodków wykarmionych przez wilczycę; reszta nie znaczyła dla niego nic. Ale kiedy usiłował przywrócić bohaterską przeszłość, na jego wołanie odpowiedziały tysiące donosicieli, szantażystów, szpiegów i awanturników. Jak rozjuszone rekiny szaleli w morzu rozlanej krwi, tucząc się ciałami ofiar i wspinając się dzięki protekcji coraz wyżej, podczas gdy najlepsi obywatele państwa udali się na emigrację.

To prawda, dyktator chodził po ziemi jak w transie, twierdził, że we śnie rozmawia z bogami, nazywał siebie samego Sullą Szczęśliwym i otoczył się dziesięcioma tysiącami żądnych mordu wyzwoleńców; wcielonych diabłów jego urojonego królestwa.

Ale potem wszy oblaży wielkiego Sullę i pożarły go, co nazwano *phthiriasis*.

Jego panowanie było tylko koszmarowym interludium, ostatnią próbą odsunięcia nieuchronnego końca państwa metodą magicznych zaklęć.

Faktem jest, że pozostawiona przez niego konstytucja wciąż obowiązywała, wygnani demokraci nadal tkwili na emigracji, ale władza wyslizgiwała się z bezsilnych, starczych rąk rzymskiej arystokracji – jej koniec był tylko kwestią lat, może miesięcy.

Kto powinien ją przejąć? Kto ma na tyle mocną rękę i stanowcze przekonania, by rozpocząć nową epokę? Niewolnicy Italii okazali się głusi, nie odpowiedzieli na wezwanie. Było ich w Italii dwa razy więcej niż wolnych obywateli, a jednak Miasto Słońca powstało tylko jedno. Jedynych sojuszników miało w Thurium; panowie z rady wykorzystali sytuację szybciej niż ci, dla dobra których wszystko się zaczęło. Gdzie tkwił błąd? Czy należałoby szukać innych sprzymierzeńców?

Prawnik Fulwiusz przypomniał sobie rozprawę, którą zaczął pisać, kiedy niewolnicy z Kapui rzucili się bronić murów, zamiast przyłączyć się do Spartakusa. Praca nosiła tytuł: „O przyczynach, które powodują, że człowiek działa wbrew własnemu interesowi”. Czy skończy ją kiedykolwiek? Nagły niepokój ścisnął Fulwiusza za gardło; może przecucie, choć nie wierzył w przecucia. Co go czeka? Pewnej deszczowej nocy przełazi przez mur, żeby włączyć się w rewolucję, teraz jest kronikarzem i doradcą imperatora Państwa Słońca – ale rewolucji wciąż nie ma. Co czeka ich wszystkich? A może całe to miasto, które tak błyskawicznie wyrosło z ziemi, to też tylko interludium skazane na równie szybką zagładę? Jedna krótka chwila, przeciwieństwo upiornej dyktatury Sulli; nie ma przecież powodu, by w historii raz na jakiś czas

nie mógł zdarzyć się także jakiś dobry sen – a potem nastąpi przebudzenie i wszystko potoczy się po dawnemu.

To znaczy jak? Wszystkie te cierpienia, wszystkie dwuznaczne, taktyczne zmiany, ponoć konieczne, może wcale nie były środkiem prowadzącym do celu, może takie jest po prostu prawo historii, a sam cel jest tylko wytworem ludzkiej fantazji, niemającym żadnego oparcia w rzeczywistości?

Prawnik Fulwiusz znieruchomiał nagle na środku ulicy, tak przerażony, że zwoje pergaminu wypadły mu spod pachy na ziemię. Co też mu przychodzi do głowy? Skrajnie mętne myśli, szkodliwe, zgubne, niemal samobójcze. Doradca polityczny, którego umysł błądzi w taki sposób, naprawdę zasługuje na to, by rozpiąć go na jednym ze słupów przy Bramie Północnej, by usunąć źródło zła. A także w interesie wspólnego dobra.

Nie jest dobrze, doszedł do wniosku prawnik Fulwiusz, nie jest dobrze, gdy ludzie obarczeni obowiązkami za wiele myślą. A jeśli już nie mogą inaczej, to lepiej, żeby mieli nad głową drewnianą belkę, która bolesnymi, lecz zbawiennymi guzami ostrzega, by idee nie błądziły gdzieś w przestworzach.

Prawnik Fulwiusz westchnął i pozbierał swoje pergaminy. Oczywiście, trzeba rozejrzeć się za nowymi sojusznikami, to w tej chwili bardzo ważne. Należy rozmawiać ze wszystkimi, dostosowywać taktykę do okoliczności, niezależnie od tego, dokąd to zaprowadzi. Fulwiusz mocno przycisnął zwoje ramieniem i powędrował pod górę, ku namiotowi z purpurowym *velum*.

Namiot z purpurowym *velum* zaczynał się liczyć w wielkiej polityce.

W obozie imperatora widywano rzadko. Jego rozkazy przekazywali ubrani w lśniące hełmy gwardziści o surowym spojrzeniu. Wrzawa i stukanie młotów docierały do namiotu w postaci dalekiego, cichego szumu, jak odległy podmuch z gór.

Purpurowe *velum* wiszące na maszcie przed namiotem trzepotało w powiewach sirocca albo ciężko uderzało o słup, gdy moczył je deszcz.

Strażnicy nie pozwalali nikomu wejść bez rozkazu; onieśmiały już same ich szorstkie, surowe twarze.

A jednak przeróżni, czasem bardzo dziwni goście wciąż wchodzili i wychodzili z namiotu. Byli wśród nich panowie z Rady Thurium, którzy przybywali, by omówić sprawy zaopatrzenia w żywność, metal i materiały budowlane. Przedstawiciele różnych grup mieszkańców, najczęściej wysyłani przez wiecznie niezadowolonych Galów, składali skargi: trzeba było

rozsądzać spory i ogłaszać wyroki. Gladiatorzy i niżsi rangą przywódcy przychodzili na codzienne narady, teraz krótkie i właściwie wyłącznie formalne, bo czas niekończących się dyskusji już minął, a każde spotkanie zamykały zwięzłe decyzje imperatora.

Byli też dostojnie wyglądający, choć ubrani z nieco krzykliwą elegancją panowie, którzy pojawiali się dość systematycznie w eskorcie honorowej gwardii z Thurium: ambasadorowie państwa piratów. Ich wspaniałe okręty flagowe kołysały się w porcie, budząc podziw i respekt wśród mieszkańców Thurium. Flota piracka zaopatrywała Armię Niewolników w broń i metal, dostarczała zboże i inne towary do wolnego od cła portu w Thurium, gdzie obroty rosły coraz szybciej. Przedstawiciele piratów prezentowali się godnie i dumnie, choć często nosili ślady lekkich okaleczeń; admirał miał czarną przepaskę na lewym oku, jego adiutant troszkę kulał, a i pozostałym członkom świty z racji ryzykownego życia na morzu brakowało drobnych części ciała: a to kawałka ucha, a to kilku palców u rąk lub nóg; inne straty ukryte były zapewne pod pysznymi strojami.

Na terytorium Rzymu, zgodnie z obowiązującym prawem, czekał ich stryzyk; teraz Rada Thurium witała ich w otoczeniu honorowej eskorty.

Przybywali też podróżni z Hiszpanii. Ubrani jak kupcy, uśmiechnięci, z niewielkim orszakiem: wysłannicy armii emigracyjnej.

Z największym przepychem i pompą, poprzedzani przez heroldów, radośnie witani przez lud, w barbarzyńskich, błyszczących szatach, z twarzami nieruchomymi jak na posągach bogów, zjawiali się z misją dyplomatyczną posłowie Wielkiego Króla Mitrydatesa.

Wszyscy oni znikali w namiocie z purpurowym *velum*, siadali i pertraktowali z nowym imperatorem, władcą południowej Italii, człowiekiem nieznanego pochodzenia, który pobił legiony wysłane przez Senat Rzymu, dowodził stutysięczną armią, a teraz siedział naprzeciw nich, w ciemnym kącie namiotu, z twarzą ukrytą w półcieniu i chropawym głosem trackiego górala rzucał kilka zwięzłych słów.

Wieczorami przychodził prawnik Fulwiusz. Spędzał w namiocie imperatora długie godziny, aż do późnej nocy, kiedy cichł zgiełk obozu, a czarne góry jakby bliższym, ciaśniejszym kręgiem otaczały miasto. Sucho, monotennie, z przerwami wywoływanymi częstym kaszlem, mówił o polityce Rzymu, w której przez bardzo długi czas sam czynnie uczestniczył jako członek radykalnego skrzydła stronnictwa demokratów, póki w wyniku dyktatury nie wylądował w Kapui, w charakterze pisarza, retora i pokątnego doradcy. Opowiadał o wrogach rzymskiego

imperium, o Mitrydatesie, królu Pontu, o Tigranesie, władcy Armenii, o państwie piratów, o armii emigracyjnej w Hiszpanii i o całej sieci układów łączących te potęgi rozrzucone od Azji po wybrzeże Atlantyku i od Pirenejów po Sycylię. Wspominał o niepokojach i o niemocy rzymskich mężów stanu.

Zaiste, koniec rzymskich wielmożów jest bliski; władza wymyka się z ich starczych, drżących rąk, pozostaje tylko pytanie, kto pierwszy im ją wyrwie. Imperator słuchał nieporuszony.

– Weźmy uchodźców w Hiszpanii – mówił Fulwiusz – większość z nich należała do dawnego stronnictwa demokratów. Część jego członków zginęła w czasie wojny domowej, część na szafocie, a reszta uciekła za granicę. Były ich tysiące; intelektualna elita Rzymu. Początkowo marnie się im wiodło na wygnaniu, przenosili się z jednego kraju do drugiego, ale nikt ich nigdzie nie chciał. Na starych łodziach, które z litości dali im piraci, zebrali się gdzieś na południu Morza Śródziemnego i zawijali do wszystkich portów Sycylii i północnej Afryki w poszukiwaniu schronienia i opieki, ale wszędzie im odmawiano.

I tak dotarli aż do Numidii; tam na jałowym wybrzeżu, wśród piaszczystych wydmy znaleźli miejsce do przezimowania. Okazało się jednak, że król Numidii, z pozoru nastawiony przyjaźnie, składał im przeróżne obietnice tylko po to, by uspić ich czujność i wydać dyktatorowi; gdyż władza Sulli sięgała daleko, a jego pragnienie zemsty było nienasycone; agenci i szpiedzy Sulli tak naciskali na Hiempsala, jak nazywał się król Numidii, tak go na przemian straszili i zwodzili, że w końcu przystał na to niewiarygodne złamanie prawa gościnności. Uchodźcy o włos uniknęli ekstradycji i znaleźli nowe schronienie na małej wysepce u wybrzeży Tunisu. I tak żyli – żałośnie i awanturczo, przez wszystkich traktowani z litością i pogardą, bo te dwa uczucia są jak bracia bliźniacy. Do czasu, gdy ich przywódcą został największy ze wszystkich rewolucjonistów, dawny namiestnik Hiszpanii, usunięty przez Sullę – Sertoriusz; odtąd gromada nędznych emigrantów stała się najpotężniejszym przeciwnikiem Rzymu.

Lud Hiszpanii powstał przeciw nowym namiestnikom przysłanym przez dyktatora i zaprosił uchodźców do swojego kraju. Sertoriusz zaczął werbować miejscowych do armii, która tymczasem urosła już w siłę, i choć nie miał dla nich pieniędzy na żołd, tylko dar płomiennej wymowy i siłę argumentów, tysiące najszlachetniejszych mieszkańców prowincji uznało go za prawowitego namiestnika, przysięgając dozgonną wierność jemu samemu i jego ludziom. Wszyscy wygnańcy z Rzymu zostali zaciągnięci w stopniu oficerów, a król Mitrydates i piraci,

którzy początkowo nie chcieli o nich słyszeć, zawarli z nimi przymierze. Tak zaczęła się wojna emigrantów, najpierw przeciw Sulli, a potem przeciw jego spadkobiercom u władzy; wojna, która ciągnie się od ośmiu lat i trwa do dziś.

Prawnik przerwał, ale Spartakus nie odzywał się; trudno było dojść, o czym myśli. Za trzy dni mają przybyć posłowie od Sertoriusza; posłańcy już zapowiedzieli ich wizytę. Fulwiusz przewidywał, że negocjacje na temat sojuszu będą wyjątkowo trudne. Pamiętał pierwsze pertraktacje z Radą Thurium i czuł się dość niewyraźnie na myśl o tych, które czekają ich teraz. Pragnął usłyszeć opinię imperatora. Ale imperator milczał.

Fulwiusz chrząknął; najchętniej siedziałby w tej chwili w swoim namiocie, a jeszcze lepiej przy własnym stole na poddaszu i pisał tam kronikę; oglądane z dystansu wydarzenia na pewno byłyby klarowniejsze.

Odczekał chwilę w nadziei, że imperator coś w końcu powie, po czym ciągnął dalej:

– Wielka jest potęga Sertoriusza. Stworzył w Hiszpanii Senat wygnańców, który ogłasza prawa i uważa się za konstytucyjny rząd Rzymu. Traktatem z Mitrydatesem oddaje królowi cztery azjatyckie państwa, będące pod protektoratem Rzymu, w zamian za co Mitrydates przyrzeka trzy tysiące talentów złota i czterdziestu wojowników do dyspozycji Sertoriusza. Mówi się, że jego flota, obsadzona elitą uchodźców i dowodzona przez Mariusza Młodsze go lada dzień zakotwiczy u wybrzeży Italii.

Bardzo możliwe, że delegaci z Hiszpanii zechcą zadać nam parę pytań, zanim przystąpią do sojuszu. I to dość podchwytliwych.

Imperator wreszcie odezwał się z kąta:

– Powiedz mi, jakie to będą pytania.

– To łatwo przewidzieć – odparł Fulwiusz. – Spytają nas dokładnie o to samo, o co pytali ludzie z Thurium. Czy to prawda, że chcemy odbierać obywatelom ich domy, a panom służbę? Że zamierzamy przewrócić wszystko do góry nogami? Czy to prawda, że chcemy dać ziemię nie tylko rolnikom, ale także niewolnikom? A co najgorsze, będą pytać tylko po części z egoizmu i strachu o własne interesy, a po części z prawdziwego, szczerego przekonania i wielkiej ślepoty. I jeśli odpowiemy im uczciwie i z przekonaniem, nie zrozumieją nas.

– A co mamy im odpowiedzieć? – spytał Spartakus.

Prawnik milczał przez chwilę. W gardle poczuł niemiły uścisk. W końcu odezwał się:

– Pokonaliśmy Waryniusza, ale Rzym wysłał nowe legiony. Armia Sertoriusza jest

wielokrotnie liczniejsza od naszej; ma więcej broni i wyćwiczonych żołnierzy, a jednak przez osiem lat usiłowała pokonać legiony rzymskie. Państwo jest słabe i bliskie śmierci; legiony silne jak zawsze. Wrogowie Rzymu mogą zwyciężyć tylko zjednoczeni; ich walka jest naszą walką.

– A ich zwycięstwo naszym zwycięstwem?

– Nie. Ale każdy sojusz ma swoje drugie dno.

– A co powie gromada na taki sojusz?

– Nie zrozumieją go. Ale my działamy w ich imieniu i w ich interesie.

Spartakus milczał.

Olejna lampa zamigotała, omal nie zgasła, prawnik podniósł się więc niezdarnie, by wymienić ją na nową.

– Zostaw to – rzucił ostro Spartakus ze swojego kąta.

– Nie mogę mówić w ciemności – oświadczył Fulwiusz.

– Nie potrzebujesz światła, żeby mówić. Starzec, który zwykle rozmawiał ze mną, zanim się pojawiłeś, najlepiej formułował swoje myśli, kiedy było ciemno.

– Są sprawy, które lepiej omawiać po ciemku, i takie, o których lepiej mówi się przy świetle.

– Co za różnica?

– Pierwsze odwołują się do uczuć, mających swe korzenie w mroku, a drugie do rozumu, który wymaga wyostrenia wszystkich zmysłów.

Obaj zamilkli. Fulwiusz był wyczerpany; walczył z sennością i opadającymi powiekami. Miał dziwne uczucie, że wcale nie wyraża swoich myśli, tylko ubiera w słowa to, co tamten chce usłyszeć. Kto jest tu przywódcą, a kto prowadzonym? Ten nieprzenikniony syn gór wciąż siedzący bez ruchu w kącie, jak drwał, z łokciami opartymi na kolanach i kamienną twarzą, zaczynał go niepokoić. Chytry, czy głupi? Zna się na rzeczy, czy niesie go fala? A może te rozróżnienia nie liczą się w działaniu? Promieniuje wielką siłą, która sprawia, że wszyscy wokół oddają na jego usługi swoją najtajniejszą wiedzę; przykuwa wzrokiem i przenika człowieka na wskroś, ale wydaje się, że niewiele go to obchodzi. Czy te przewlekłe rozmowy pomagają mu w podejmowaniu decyzji, czy żąda tylko potwierdzenia własnych, dawno powziętych postanowień?

W przedłużającej się ciszy ściany namiotu zakołysały się od podmuchu wiatru znad morza. Purpurowe *velum* plasnęło kilka razy o maszt i ucichło, ale morska bryza nie ustała; powracała falami, przejaśniła niebo między gwiazdami i wywiała z namiotu stęchłe powietrze. Kogut

nadweręzał głos piejąc, inne dołączyły w niezgodnym chórkę; nadchodził świt.

Fulwiusz zerwał się. Człowiek naprzeciw niego wstał, przeciągnął się i nagle wypełnił sobą cały namiot. Prawnik zamrugał, spojrział na szeroką, surową twarz już miejscami rozjaśnioną żółtawym światłem dnia.

Ostrożnie dobierając słowa zapytał:

– Czy zawrzesz przymierze...?

...i zaskoczył go dobiegający z wysoka pełny, dźwięczny głos imperatora, który odrzucił już klapę namiotu i wołał z zewnątrz, obcy i daleki:

– Fulwiusz może ogłosić, że niewolnicy zjednoczą się z przeciwnikami Rzymu, piratami, emigrantami i wielkim królem Mitrydatesem; przystąpią do wspólnej walki przeciw władcy ziemi, rzymskiemu Senatowi.

Zobaczył, jak imperator schodzi ze wzgórza i znika między dwoma szeregami gwardzistów, którzy pozdrawiali go podniesieniem ręki, wyrwani z głębokiego snu; szerokie plecy wodza okrywała cętkowana zwierzęca skóra.

7. Tęsknota

Wiosną, kiedy marzec dmuchał ostrą bryzą, a zboża zaczynały kielkować, zbudowali miasto; teraz było już lato i nastąpiła pora upałów.

Ziemia spękała; wyschła z soków. Morze jak roztopiony ołów odbijało oślepiający blask nieba. Gleba rozsypywała się w pył, który pokrywał wszystko, co jeszcze niedawno było zielone i wilgotne. Strumienie skurczyły się, zwolniły bieg i umarły z pragnienia.

Bydło ruszało się leniwie, białe bawoły leżały w cieniu robiąc bokami. Ludzi też ogarnęło lenistwo; najpierw rozleniwiły się ich ciała, potem umysły.

Było ich sto tysięcy.

Kiedy padały deszcze, marzyli o solidnym mieście, w którym przeżyją zimę, otoczonym murem; ich własnym.

Teraz miasto z mocnymi wałami było gotowe. I należało do nich.

Dlaczego silni mają służyć słabym, pytali kiedyś, czemu wielu ludzi ma być na usługi nielicznych? Teraz byli silni, liczni i służyli samym sobie.

Pilnujemy ich bydła, skarżyli się w tamtych czasach, i odbieramy krowom nowo narodzone cielęta, ale nie dla siebie. Budujemy domy, w których mieszkają inni, nie my. Musimy walczyć w imię ich interesów. Teraz robili to wszystko dla siebie.

Przedtem tęsknili za utraconą sprawiedliwością, za wiekiem Saturna, w którym panowała zgoda, nie znano panów ani niewolników, a prawa były równe dla wszystkich. Teraz byli wolni i mieli nowe prawa.

Mieszkali – sto tysięcy ludzi – w nowym mieście, które stanęło, widoczne z daleka, między górami i morzem. Już nie wizja przyszłości, nie przeszłość, którą oddalenie w czasie pozwala kwestionować; tu i teraz były góry, miasto, spełnienie...

Czy rzeczywiście spełnienie?

Czy rozleniwienie, które ogarnęło ich w gorącym, skwarowym powietrzu brało się z poczucia sytości i zaspokojenia? Czy nie mają już żadnego celu, żadnych tęsknot ani pragnień?

Życie w mieście biegło swoim torem. Pasterze wyprowadzali bydło na łąki; robotnicy rolni, ludzie do pielienia i koszenia szli do swoich zajęć, kobiety gotowały, dzieci bawiły się w kurzu, ci, którzy złamali prawo, umierali na słupach przy Północnej Bramie, a na rozpalonych ulicach

bogowie wyrwali sobie włosy z głów. Zdawało się, że trwa to już tak od lat. Wieczorami opowiadano sobie historie o strasznych czasach niewolnictwa; wszystko to było dawno i nie do końca prawda.

Jakaś senność wisiała nad miastem, może z winy upału. A w ludziach tkwiło stare, zatęchłe i niezdrowe oczekiwanie, z którego sami nie zdawali sobie sprawy.

Pięć miesięcy po zbudowaniu miasta zaczęło brakować żywności; spichrze były puste, a posiłki w jadalniach stały się bardzo skromne.

Nastroje gwałtownie opadły.

Młody Publibor zauważał to za każdym razem, kiedy wchodził do wspólnej jadalni. Jak zawsze w szóstkę sięgali po zupę do misy, ale teraz była napełniana tylko do połowy; drewniane łyżki poruszały się w niej dużo zwawiej i uderzały o siebie coraz częściej. Największą zręczność wykazywał retor Zosimos; jego łyżka wędrowała od ust do naczynia dwa razy szybciej niż innych; mówił jednak nieprzerwanie, głównie o słupach przy Północnej Bramie, ostatnio coraz liczniejszych.

– Dla dyscypliny i przestrogi, czyżby? – pokpiwał. – Czy po to walczyliśmy i wytrzymywaliśmy najgorsze trudy, żeby zamienić stare jarzmo na nowe? Kiedyś dławił nas gniew, teraz dławi nas dyscyplina. Życie w Mieście Słońca jest trudne i męczące, gdzie się podział dawny entuzjizm i poczucie braterstwa? Odwieczna przepaść między przywódcami i zwykłymi ludźmi znów się otworzyła, imperator spotyka się tylko z radą miasta i dyplomatami – przy goszczeniu których, pozwolę sobie dodać, braki w zaopatrzeniu jakby nagle przestawały istnieć – ale to nie ma znaczenia. Wiemy oczywiście, że wszystko to dzieje się w imię wyższych celów i naszego wspólnego dobra, czyli spraw, o których, niestety, nic nie wiemy. Nie mamy więc innego wyjścia jak dać się prowadzić jak owce, które same nie znajdą drogi na pastwisko; niech i tak będzie, przypuśćmy, że to prawda. Ale łąka jest jałowa, i jak można się spodziewać, owce zaczynają beczeć. Teraz słuchaj uważnie, chłopcze, posłuchaj, co się może zdarzyć, bo to ważna sprawa. Nagle, rozumiesz, pasterz zaczyna przemawiać do owiec, jakby to były rozumne istoty; mówi im o cierpliwości, dyscyplinie i wzniosłych motywach, i ogłasza, że kto tego nie zrozumie i będzie nadal beczął, zostanie zarżnięty w imię wyższych celów.

Filozofowie nazywają to *paradoxon*. Czy potrafisz znaleźć na to odpowiedź, młodzieńcze?

Nie, Publibor nie potrafił odpowiedzieć. Słuchał Zosimosa z mieszanymi uczuciami; odpychało go jego podniecone wymachiwanie rękami, a jednocześnie czuł, że retor, mimo

swoich błazeństw, jest szczerze zasmucony. O tak, trudno zorientować się w sytuacji w tym mieście, którego życie tak bardzo różniło się od tego, co sobie człowiek wymarzył!

Publibor pamiętał dzień swojego przybycia i przerażenie, jakie go ogarnęło na widok drewnianych krzyży przy Północnej Bramie, i jakby w odruchu przeprosin za karygodne myśli, wymamrotał pośpiesznie:

– Ale imperator na pewno chce dobrze, niezależnie od tego, co robi.

Wyglądało na to, że takich właśnie słów oczekiwał Zosimos. Odłożył nawet łyżkę i zapamiętale gestykulując wręcz rzucił się na biednego Publibora.

– Chce dobrze, mówisz? Oczywiście, że chce dobrze, to właśnie najgorsze. Nie ma bardziej niebezpiecznego tyrańca niż taki, który wierzy, że jest bezinteresownym obrońcą ludu. Ponieważ szkody wyrządzone przez największego nikczemnika ograniczają się do obszaru jego prywatnych interesów i rozmiarów jego osobistego okrucieństwa; natomiast tyran, który ma jak najlepsze intencje i zawsze kieruje się wzniosłymi motywami, może spowodować straty nie do ogarnięcia. Pomyśl tylko o Bogu Jahwe, mój chłopcze: od chwili, kiedy nieszczęśni Hebrajczycy postanowili się go trzymać, spada na nich jedna katastrofa po drugiej, za każdym razem ze wzniosłych powodów, ponieważ On chce dobrze. Nie ma to jak nasi dawni, krwiożerczy bogowie: rzucisz im od czasu do czasu ofiarę i dają ci spokój.

Na to oczywiście Publibor też nie znalazł odpowiedzi. Nie było to zresztą potrzebne, gdyż Zosimos ciągnął swój wywód niepowstrzymanie. Chłopak zauważył, że inni stołownicy, którzy nigdy nie słuchali retora i zwykle podnosili się zaraz po skończeniu posiłku, teraz zostali, przysłuchując się uważnie.

– Ale – ciągnął Zosimos – nie mówimy o bogach, tylko o ludziach.

I pamiętaj, nie jest bezpiecznie, gdy zbyt wiele władzy spoczywa w jednym ręku i zbyt wiele wzniosłych idei w jednej głowie. Na początku głowa zawsze rozkazuje ręce uderzać z tych właśnie wzniosłych powodów; później ręka zadaje ciosy z własnej woli, a głowa wynajduje potem dla nich powody, oczywiście wzniosłe; sam człowiek tej różnicy nawet nie zauważa. Taka jest ludzka natura, młodzieńcze. Niejeden zaczynał jako przyjaciel ludu, a kończył jako tyran; nigdy natomiast historia nie zanotowała, by ktoś zaczął jako tyran, a skończył jako przyjaciel ludzi.

Dlatego powtarzam: nie ma nic bardziej niebezpiecznego od dyktatora, który chce dobra.

Nikt się nie odezwał; Zosimos usiłował wyskrobać z miski resztki zupy. Ale siedzący obok

Publibora rudowłosy olbrzym o wiecznie tęsknym wzroku trackiego pasterza westchnął nagle i powiedział:

– Naprawdę pleciesz straszne głupoty. Powinniśmy wszyscy wrócić do domów, w nasze rodzinne góry.

– Słyszeliście! – wrzasnął Zosimos. – Codziennie możecie usłyszeć coś takiego. Myślą o przeszłości zamiast o przyszłości. Ni stąd, ni zowąd wszyscy chcą iść do domu.

Olbrzym pokiwał głową na znak zgody.

– Wszyscy to mówią. Cośmy zyskali, bijąc się ciągle z Rzymianami? Jednego zabijesz, to drugi się pojawia. Powinniśmy wracać teraz, kiedy nikt nie może nas zatrzymać...

Zosimos z oburzeniem wyrzucił ramiona w górę. Z rozwianą szatą był już gotów do wygłoszenia wielkiej mowy protestacyjnej. Ale tym razem Publibor go ubiegł.

– Nie byłoby ci żal odejść z miasta i nigdy już nie żyć tak jak teraz? – zapytał, zarumieniony z powodu własnej zuchwałości.

Olbrzym nie odpowiedział; może nie znalazł odpowiedzi na jego pytanie.

– W górach też byliśmy wolni – stwierdził tylko – zanim ludzie o gołych czaszkach przyszli, żeby nas łapać. I było tam też dużo słońca. Powinniśmy wracać. Tam powinien nas zaprowadzić Spartakus.

– Ale na pewno tego nie zrobi – zawołał Zosimos – o czym innym myśli.

– Dobra, dobra – odparł rudowłosy i podniósł się niezdarnie. – Skąd wiesz, co chodzi po głowie Spartakusowi? Musimy czekać i tyle, a potem poprowadzi nas z powrotem do domów.

Znowu westchnął i razem z innymi wyszedł z jadalni bez pożegnania.

Codziennie słyszał Publibor podobne rozmowy. Coraz więcej ludzi mówiło o powrocie do domu. Nocami Trakowie i Celtowie śpiewali zapomniane od lat pieśni o swoich rodzinnych stronach. Wielu z nich, urodzonych w niewoli tak jak ich ojcowie i dziadowie, nigdy nie widziało tych mitycznych krain; inni pamiętali je tylko jak przez mgłę. Teraz jednak mówili o nich wszyscy; tęsknota za domem dręczyła ludzi tak, jak kiedyś na wyspie wśród rozlewisk rzeki Clanius męczyła ich gorączka.

I nie było żadnego lekarstwa na tę chorobę.

Niezdrowa, pełna niejasnych oczekiwań nostalgia zaraziła ludzi. Z namiotu z purpurowym *velum* wyszło oświadczenie, że przyczyną braków jest przejściowe wstrzymanie dostaw żywności. Trochę cierpliwości, a wszystko wkrótce się ułoży. W drodze jest też sprzymierzona

flota emigrantów pod dowództwem Mariusza Młodszeo.

Ale od tego nic nie przybyło w garnkach, a gwardziści w lśniących hełmach, którzy zanosili komunikaty imperatora do miasta, coraz częściej napotykali kamienne twarze i zamknięte uszy. Ten i ów mówił, że z namiotu z purpurowym *velum* wyszło już wystarczająco dużo słów i rozporządzeń; nie po to człowiek walczył, przelewał krew i zwyciężał Rzymian, żeby znów zginać się w jarzmie i wyciskać z siebie siódme poty.

Szczególnie głośni i wymowni byli ci, którzy nigdy nie walczyli ani nie przelewali krwi, a pojawili się całkiem niedawno, błagając, by ich wpuszczono; znalazł się wśród nich włóczęga o ptasiej twarzy i blisko osadzonych, stale rozbieganych oczach.

Znalazło się też wielu ludzi, którzy nie chcieli dłużej słuchać słów płynących z namiotu z purpurowym *velum*, a posiłki były coraz skromniejsze. Nie głodowali wprawdzie, ale już niewiele brakowało. Wielu z nich, prawdę mówiąc większość z tych stu tysięcy, bardzo dobrze znała głód z własnych doświadczeń i traktowała go jako naturalne zjawisko w życiu. Ale wspomnienia szybko ulatują z pamięci, a im więcej w nich było udręki i męczarni, tym szybciej znika po nich wszelki ślad. Tak więc, gdy na nowo w ludziach rozpałał się zapomniany już, a tak dobrze znany płomień, wybuchali złością na namiot z purpurowym *velum*, na fałszywych doradców i wyniosłą ślepotę Spartakusa, który pertraktuje z posłami i dyplomatami zamiast zdobyć dla siebie i swoich towarzyszy to, o co wołają ich żołądki. Czyż nie mają za sąsiada bogatego Thurium z pełnymi magazynami? Czyżby nie było w Lukanii innych obfitujących w dobra miast? Kto zabroni zwycięzcom wziąć sobie to, co im się należy? Jakież to idiotyczne prawo skazuje ich na irytujące braki i nie pozwala w naturalny sposób im zaradzić? Czy nie było dobrze na początku powstania, kiedy radośnie wkraczali do Noli, Suessuli i Calatii?

Niezdrowa, pełna niejasnych oczekiwań nostalgia zaraziła ludzi, a ponieważ żyli gęsto stłoczeni, sto tysięcy kobiet i mężczyzn, odezwała się stutysięcznym echem.

Nocami Trakowie i Celtowie śpiewali swoje wygrzebane z niepamięci, tęskne pieśni. I jedno imię pojawiało się na wszystkich ustach, też od jakiegoś czasu zapomniane: Kriksos.

Od dnia swojego powrotu Kriksos wycofał się z życia publicznego.

W czasie oblężenia Kapui buntownicy wybrali go swoim przywódcą.

Nie zrobił nic, by spotęgować rozłam, ale też nic, by mu zapobiec; nie zabiegał też o ten wybór. Buntownicy zostali wycięci przez Rzymian, ale Kriksos cudem ocalał i powrócił do obozu; małowówny jak zawsze, walczył tak jak zwykle, ponury i bezlitosny. Kiedy po

zakończeniu kampanii rozpoczęła się budowa miasta między górami i morzem, Kriksos znów się wycofał i oddał przywództwo Spartakusowi. Nie mówił nic, gdy zawierano przymierze z Thurium, gdy Spartakus ogłaszał nowe prawa, ani gdy doszło do negocjacji z Sertoriuszem i azjatyckim królem. Z posępną twarzą obnosił po obozie swoje potężne ciało; rybimi oczami przyglądał się pracom budowlanym, a nocami upijał się i sypiał z dziewczętami i chłopcami. Ale nawet wtedy był ponury i milczący; nikt nigdy nie widział, by cielesne rozkosze wywołały uśmiech na jego twarzy.

Nie był szczególnie lubiany, ale Galowie i Germanowie po cichu uważali go za swojego prawowitego wodza, bo mówił ich językiem i jak oni nosił wąsy i gruby, srebrny naszyjnik.

Galów i Germanów było razem około trzydziestu tysięcy; stanowili jedną trzecią mieszkańców miasta. Ale i wszyscy inni, pielęgnujący w sereach niezdrową tęsknotę i wspomnienia czasów Noli, Suessuli i Calatii, kierowali spojrzenie na tego małomównego człowieka. Nie ogłaszał praw, nie wydawał rozkazów, nie prowadził rozmów z posłami z zagranicy, a jednak wielu ludziom wydawał się potężniejszy od samego imperatora. Przyciągała ich do niego jakaś niejasna siła, której nie umieliby nazwać; widzieli w nim posępne uosobienie własnego losu.

Nie próbował przyśpieszać biegu wypadków, ani też go wstrzymywać. Ale coraz mniej było jedzenia w porze posiłków, a wspomnienia pięknych dni w Noli, Suessuli i Calatii żyły w pamięci wielu ludzi. Wszyscy niezadowoleni, wszyscy, których dręczył niepokój i niejasne tęsknoty, wiedzieli: ten ponurak jest człowiekiem, na którego trzeba stawiać.

8. Cienkie, czerwone żyłki

Bezpośrednią odpowiedzialność za pustki w magazynach i marne jedzenie ponosiła Rada Thurium, która ostatnio zaczynała sprawiać coraz większe kłopoty.

Od chwili, gdy panowie z rady ku swemu zdumieniu zorientowali się, że ten niezwykle książę czy też, jak kto woli, wódz bandytów, trzyma się ściśle warunków porozumienia i surowo pilnuje, by jego ludzie respektowali nietykalność mieszkańców miasta, wróciła im pewność siebie, a jak wiadomo poczucie bezpieczeństwa rozjaśnia umysł i sprzyja wszelkiego rodzaju myślom i rozważaniom.

Po pierwsze, należało odnotować, że w żadnym innym rejonie Italii nie zauważono oznak rozprzestrzeniania się buntu. Na próżno emisariusze Wspólnoty przemierzali cały kraj, od Zatoki Tarenckiej po Galię Przedalpejską, od Adriatyku po Morze Tyrreńskie. Niewolnicy nie powstali; wysłanników przyjmowano chętnie, ale nie szła za tym gotowość do jakichkolwiek działań. Może przytłoczeni niedolą ludzie stracili odwagę, może właśnie teraz ujawniły się skutki trwającej sto lat wojny domowej i towarzyszące im objawy paraliżującego znużenia, a może był to po prostu okres nieudanych rewolucji. Bez względu na przyczynę, Trak mógł w nieskończoność czekać na powstanie w Italii.

A co z potężnymi sprzymierzeńcami tego wodza bandytów? W ciągu kilku ostatnich dni do Thurium docierało mnóstwo różnych informacji i plotek. Podobno wśród uchodźców w Hiszpanii zaczęły się spory; i tak od dawna skakali sobie do gardeł, anty-Senat też podzielony był na skłócone ze sobą stronnictwa; mówiono poza tym o wielkiej klęsce, jaką armia emigrantów poniosła z rąk Pompejusza. Los nie sprzyjał też Mitrydatesowi; odmówił mu pomocy teść, Wielki Król Tigranes. Każdego, kto wiązał nadzieje z tymi ludźmi, czekały same rozczarowania. Naprawdę wyglądało na to, że Rzymianom znów zaczyna sprzyjać szczęście, które tradycyjnie pojawiała się, kiedy wszystko już zdawało się stracone.

Bogom tylko wiadomo, z jakimi mieszanymi uczuciami wysłuchiwali tych wiadomości panowie z Rady Thurium; trzeba było jednak patrzeć na sprawy realnie.

Istniała wciąż jeszcze flota emigrantów dowodzona przez młodego Mariusza. Składać się miała z co najmniej pięćdziesięciu galer i fregat, obsadzonych przez dziesięć tysięcy doborowych żołnierzy, śmietanki rzymskich uchodźców, pod osobistym dowództwem syna męznego

orędownika wolności, Mariusza Młodszeo. Gdyby wylądowali na ciemi italskiej, przed rewolucją otworzyłaby się nowa szansa. Poparliby ją najbardziej szanowani obywatele o sympatiach demokratycznych, jak też wszystkie warowne miasta, które teraz witają gladiatora zaryglowanymi bramami i lasem włóczni na murach.

Na razie wszystko idzie dobrze. Gdy ustało zagrożenie i kamień spadł z serca członkom Rady Thurium, bez uprzedzeń przeanalizowali sytuację międzynarodową, rozważyli argumenty za i przeciw, dochodząc do wniosku, że szanse obu stron są w tej chwili mniej więcej równe.

Zmiana nastąpiła w dniu, kiedy jeden z pirackich kapitanów – którzy teraz w wolnocłowym porcie czuli się jak w domu, wypływali i wracali jak gołębie pocztowe i jadali kolacje z najbardziej szacownymi obywatelami miasta, jak każą zwyczaję przyjęte w wytwornych kręgach ludzi interesu – kiedy więc jeden z tych zażywnych dowódców przybył w pewnym pośpiechu do siedziby Rady Thurium, bez zwykłej w takim wypadku honorowej asysty, tylko w towarzystwie adiutanta.

Nazywał się Athenodoros. Przybył wprost z długiego rejsu; jego pozłacana galera, wyladowana żelazem i miedzią dla Miasta Niewolników, kołysała się na błękitnych falach zatoki Thurium, witana i podziwiana przez tłum. Kapitan został natychmiast przyjęty przez panów z rady, którzy wyrazili żal, że z braku czasu nie zdołali zapewnić mu honorowej eskorty. Zbył przeprosiny machnięciem ręki; przywiózł ważniejsze wiadomości, mniejsza więc o eskortę i etykietę.

Na wodach Azji Mniejszej rozegrała się wielka bitwa; wiadomość o niej przekazano z wyspy na wyspę ogniwymi sygnałami, potem konni posłańcy rzymskich kompanii handlowych przewieźli ją przez ziemie greckie, a pirackie statki nadały do siebie sygnałami flagowymi. Kapitan Athenodoros jako pierwszy stanął z nią na ziemi Italii. Flota emigrantów została doszczętnie zniszczona.

Nikt na razie nie znał żadnych szczegółów. Wiadomo było tylko, że rzymski wódz Lukullus z częścią swojej floty wziął przez zaskoczenie, a potem zatopił piętnaście galer nieprzyjaciela. Stało się to między wybrzeżem Troi i wyspą Tenedos. Główne siły emigrantów stacjonowały obok małej wysepki Neae koło Lemnos. Okazało się, że wiedzeni karygodną lekkomyślnością uchodźcy rzucili kotwice w pobliżu plaży i rozbiegli się po wyspie w pogoni za dziewczętami. Najwyraźniej nie wysłali nawet zwiadowców, jak z pogardą zauważył kapitan. No i Lukullus ich zaskoczył. Zajął źle strzeżone okręty, a rozproszoną załogę spędził w jedno miejsce jak zające.

Sam Mariusz, a z nim elita uchodźców, zginęli w walce na wyspie. Resztę zgarnięto i uwięziono na ich własnych statkach.

Taki był koniec floty emigrantów. Król Mitrydates, który finansował tę wyprawę, poniósł także wielkie straty.

Czy mogła być ważniejsza wiadomość? Należało popatrzeć na sprawy świeżym okiem i uważnie ją rozważyć. Szale, utrzymujące do tej pory chwiejną równowagę, zależną od rozkładu sił i napięć na świecie, wyraźnie się przechyliły. Biedny, poczciwy bandyto, książę gladiatorów, gorliwie dotrzymujący umów; zważyliśmy cię i okazałeś się zbyt lekki.

Pilnuj dalej pokoju i porządku w tym swoim mieście, czekaj sobie na swych potężnych sprzymierzeńców, nie przybędą; otwiera się już nowy rozdział. Czy szlachetny kapitan chciałby przekazać tę bezcenną informację trackiemu imperatorowi?

Nie widzi takiej możliwości, odpowiedział. Prędzej czy później imperator i tak ją usłyszy. Poza tym, biorąc pod uwagę nieuchronne zmiany cen zboża, samo posiadanie takiej informacji jest, jak sami panowie trafnie zauważyli, naprawdę bezcenne.

– Tak, istotnie – potwierdzili członkowie Rady Thurium i bardzo szybko osiągnięto zgodę w sprawach finansowych.

Kapitan zawiadomił ich też, że w przyszłości za zboże sycylijskie dostarczane Miastu Niewolników będzie żądał natychmiastowej zapłaty.

Do tej pory piraci zgadzali się, by Rada kredytowała Spartakusa?

Kilka godzin później Rada Thurium zebrała się na poufnej naradzie.

Plan spotkania przewidywał: zmianę polityki w świetle nowej sytuacji i podjęcie decyzji w sprawie ograniczeń w dostawach żywności dla Miasta Słońca, co zresztą miało w krótkim czasie spowodować rozpaczliwe skutki w jego jadalniach.

Na tej historycznej sesji obecni byli przewodniczący rady i jego zastępca – dostojny starzec z lekko wyłupiastymi oczami oraz barczysty przedsiębiorca – a prócz nich Hegio, emerytowany filozof, handlarz zieleniną Tyndarus i kilku innych członków gremium.

Większość obecnych przystała na proponowane ograniczenia. Niektórzy jednak wyrażali obawy, czy nie będzie to oznaczać wzrostu zagrożenia dla Thurium, w wypadku gdyby bandyci, których miałyby one dotyczyć, postanowili jednak zerwać układ i zaspokoić swoje pierwotne instynkty. Zwłaszcza Tyndarus przypominał dobrze znane uwagi o cięciwie, której nie wolno napinać zbyt mocno, o lwie, którego nie należy drażnić i po części ze strachu, a po części z chęci

zaimponowania swoją wiedzą kolegom wygłaszał inne, podobne metafory. Właśnie w trakcie tej rozmowy po raz pierwszy padła w tym gronie nazwa miasta Metapontum.

Wymienił ją wytworny starzec.

– Dlaczego to my mamy cały czas cierpieć? – zawołał głosem drżącym od świętego oburzenia. – Dlaczego właśnie my i tylko my, a nie na przykład Metapontum? Chociaż raz? – Spojrzenie jego wyłupiastych oczu spoczywało przez chwilę na każdym z zebranych; wszyscy nagle umilkli. Ich umysły, pokrzepione teraz świeżymi informacjami, szybko pojęły znaczenie i wielkość tego okrzyku.

Metapontum, drugi co do wielkości port nad Zatoką Tarencką, także zostało założone przez Greków; dzieliła oba miasta odległość sześćdziesięciu rzymskich mil i tocząca się od stu lat rywalizacja handlowa.

– Dlaczego właśnie my i tylko my? – powtórzył przewodniczący, a jego sędziwa głowa lekko się trzęsła. – W końcu zawarliśmy przymierze z trackim księciem. Jeśli bardzo mu zależy na łupach albo na wojennych popisach, niech ich szuka u tych, którzy tego nie zrobili.

Członkowie rady milczeli. Nie podejrzewali, że ich wiekowy, nobliwy kolega wykaże tak wielki zmysł praktyczny; nawet handlarz Tyndarus stłumił uśmiezek, który cisnął mu się na usta, Tylko Hegio gwizdnął jak chłopak, z młodzieńczym lub, jak kto woli, starczym brakiem manier; pomyślał o wielkim Pitagorasie, który uczył w Metapontum, dzięki czemu stało się ono kolebką tak zwanego italskiego kierunku w filozofii, a potem wpadło mu do głowy, że jeśli okaże się, iż wytworny starszy pan ma rację, Metapontum zostanie zrównane z ziemią. Przypomniawszy też mu się Publibor, niewolnik, który uciekł od niego, ale przedtem z właściwą sobie nieśmiałością wyznał, że czeka na jego, Hegiona, śmierć. Na wszystkich bogów i filozofów, trudno było Hegionowi w tej chwili mieć do niego o to pretensję; siedział więc cicho i lekko pogwizdywał. Ponieważ trzecią rzeczą, jaka przyszła mu na myśl po Pitagorasie i młodym Publiborze były jego udziały w wytwórni smoły w Sila, a także jego żona, matrona rzymska, której bał się, ponieważ zbyt rzadko był w stanie wypełniać swoje małżeńskie obowiązki.

Takimi krętymi ścieżkami powędrowały myśli Hegiona, kiedy słowo „Metapontum” po raz pierwszy padło z bezzębnych ust starego dostojnika.

Od tego dnia dostawy żywności do Miasta Niewolników stały się skromniejsze; coraz częściej zdarzały się też w nich krótsze i dłuższe przerwy. Duża część dostarczanych towarów bywała zepsuta i niejadalna. Trzeba było otworzyć magazyny, ale i one szybko opustoszały.

Panowie z Rady Thurium, od których zażądano wyjaśnień, uciekali się do uników. Kiedy tylko to było możliwe, wysyłali na spotkanie dostojnego, starego przewodniczącego. Drżącym, pełnym szczerego przekonania głosem przedstawiał przyczyny złej sytuacji; mówił o powodach natury technicznej i finansowej, na których zupełnie się nie znał. Było to bardzo poruszające. Ubolewał nad niesolidnością piratów; inaczej było za jego młodości – takie są skutki, kiedy robi się interesy z awanturnikami.

Przy tych słowach młody Ojnomaos odruchowo spuszczał oczy, a doradca Fulwiusz chrząkał niepewnie. Przypominał sobie, jak sam mówił, że każdy sojusz ma podwójne dno: może właśnie dlatego czuł się teraz bardzo nieswojo. Patrzył w wylupiaste oczy, poprzecinane siateczką cienkich, czerwonych żyłek, i miał wrażenie, że nie znaczy zupełnie nic. Gładził się po pełnej guzów czaszce, mocno tęsknił za drewnianą belką nad stołem na kapuańskim poddaszu i szczególnie suchym tonem zadawał pytanie o wóz załadowany zgniłą rzepą. Co patrycjusz o siwych włosach wie na temat zgniłej rzepy? Ten jednak pobłażliwie i z wielką godnością pomijał pytanie, nie wykazywał objawów złości, a leciutkie zaczerwienienie świadczące o irytacji, które pojawiała się na jego pomarszczonych policzkach, przechodziło prawie niezauważone. Przystawał na rozmowę o rzepie, o której nie miał pojęcia, i podawał zupełnie pozbawione sensu wyjaśnienia, dzięki czemu jego wysiłki były tym bardziej wzruszające.

Po pół godzinie takiej rozmowy Fulwiusz, wykończony nerwowo, zwykle rezygnował. Cienkie, czerwone żyłki stanowiły argument tak silny, że nie potrafił niczego im przeciwstawić. Ojnomaos od dawna był już tylko milczącym zerem ze spuszczonej oczami.

I tak minęło kilka tygodni bez żadnych ostatecznych ustaleń. Po każdej naradzie mieszkańcy Miasta Niewolników łudzili się, że błędy zostaną naprawione, a zagadki rozwiązane – i wiedzieli, że sami siebie oszukują. Dowódcy domagali się zastosowania środków przymusu i odwetu wobec Thurium: Fulwiusz wahał się, Spartakus opierał. Od jakiegoś czasu otrzymywali żywność na kredyt, łupy wydano na miecze; żelazo i miedź stały się najważniejsze, dostarczano je punktualnie w zamian za zapłatę w gotówce.

Kiedy braki z dnia na dzień stawały się coraz dotkliwsze – nie był to jeszcze głód, ale stan rzeczy bardzo do niego, niestety, zbliżony – dowódcy zebrali się i zażądali podjęcia kroków wobec Thurium. Nie sprecyzowali, o jakie kroki chodzi. Po raz pierwszy od czasów Kapui na naradzie pojawił się Kriksos; nie mówił nic, ale sam fakt jego obecności wywarł wielkie wrażenie na wszystkich zebranych i wpłynął na ogólne nastroje w mieście. Spartakus nie

zamierzał zastosować się do niczyich sugestii – kazał czekać. Przecież flota Mariusza jest w drodze. Lada dzień może wylądować na wybrzeżu Italii. Nie wolno psuć wszystkiego tylko z powodu chciwości i burzących brzuchów. Nie zapominajcie o Noli, Suessuli i Calatii! Rozlaliśmy krew w całej Kampanii i wszyscy przeciw nam się obrócili, nawet nasi bracia. Pamiętajcie, jak żyliśmy przed Kapuą, w bagnach i deszczu, jak splamiliśmy nazwę Państwa Słońca, jak ciemność i przerażenie zapanowały na naszej drodze...

Żarliwie, z wielką mocą mówił do nich człowiek okryty skórą zwierzęcą, ich nikłym argumentom przeciwstawiał wielkie, a krótkowzrocznym żądaniom pójścia prostą drogą – zasadę krętej drogi. Był to głos, który pamiętali z dawnych dni na bagnach nad rzeką Clanius i w kraterze Wezuwiusza; nie zawiódł ich nigdy w godzinach próby. Teraz kazał czekać, przemawiał dobrze i z pasją.

Dowódcy poszemrali i ucichli. Fulwiusz wahał się. Kriksos milczał.

Ale po mieście krążyła w tych dniach powtarzana szeptem, z ust do ust nazwa, która budziła chciwość i niezdrowe pragnienia: Metapontum.

9. Zagłada Metapontum

Z KRONIKI PRAWNIKA FULWIUSZA

31. Ponieważ niewolnicy w Italii nie wznieśli powstania, a sojusznicy Spartakusa, którym nie dopisało bitewne szczęście, nie zjawili się w Italii, mieszkańcy Miasta musieli samotnie stawiać czoła całemu wrogiemu im światu. Nie zanosilo się na nastanie w Italii zapowiadanego przez wielorakie znaki Wieku Sprawiedliwości, z którym wiązali tyle nadziei. Wszystko pozostało po dawnemu i w całym zamieszkanym świecie uparcie trwały tradycyjne prawa i dawne porządki. W tych warunkach Miasto Słońca zbudowane przez Spartakusa i rządzone przez Prawo Niewolników w ogóle nie przystawało do współczesnych realiów; wydawało się raczej tworem z innej epoki, z jakiegoś obcego kontynentu czy nawet planety.

Człowiek nie może bowiem kształtować własnego losu na przekór obyczajom, prawom i warunkom swoich czasów.

33. To właśnie spotkało niewolników w ich Mieście.

Los i niegodziwy system skazały tych ludzi na cierpienia niewoli i zasiały w nich ziarna głodu i chciwości, przez co stali się podobni do wilków. I tak jak gromada wilków wypuszczonych z klatek rzucili się na Nolę, Suessulę i Calatię, aby nasycić swą żądzę. Stopniowo oduczali się wilczych obyczajów i nabywali ogłady.

Zbudowali swoje Miasto i marzyli, że w jego murach zapanuje sprawiedliwość i dobro, ale nie było na nie miejsca w czasach, w których wypadło żyć tym nieszczęśnikom. Rzeczywistości nie dało się powstrzymać murami Miasta – wciąż przypominała, że tam, na zewnątrz, wcale nie rządzi Prawo Państwa Słońca, lecz prawo silniejszego, które stawia niewolników przed prostą alternatywą – albo poddaństwo, albo użycie brutalnej siły. Ci, którzy pragnęli żyć jak ludzie, musieli znowu stać się wilkami.

Przebudzili się teraz ze snu i spostrzegli, że znów wyrosły im pazury. Z ich piersi znów wydarł się ryk bestii i ruszyli, by rozszarpać na sztuki swych prześladowców. Za cel wybrali miasto Metapontum, które zniszczyli do cna.

Wracając do okrucieństwa i dawnych wilczych zwyczajów, sami zrujnowali jednak fundament, na którym wznosiło się ich własne Miasto, i nikt już potem nie był w stanie powstrzymać jego zmierzchu i upadku.

Pomysł wyszedł od szczupłej garstki ludzi, ale już rychło nazwa Metapontum na dobre zdomowiła się w wielu głowach. Wspaniałe to było miasto, z magazynami pełnymi owoców i mięsiwa, ze świątyniami pękającymi od sztab złota i srebra.

Ludzie, którzy wstawali od pustych misek w jadłodajniach, tręcali się ukradkiem łokciami, jakby przekazując sobie tajne sygnały: – Co będziemy jedli w Metapontum? – Kwiczoły ze słoninką, oto co nas czeka w Metapontum. – Czego napijemy się w Metapontum? – Wino z Karmelu, wino z Wezuwiusza, to właśnie będziemy pić w Metapontum. – A jakie będą dziewczęta w Metapontum? – Niby otwarte pomarańcze – po prostu cudowne. – Jak daleko stąd do Metapontum? – Tylko sześćdziesiąt mil, jedna noc i jeden dzień marszu.

Pomysł wyszedł od szczupłej garstki ludzi, tych, którzy często załatwiali jakieś interesy w Thurium, nadzorowali rozładunek statków i utrzymywali kontakty z dygnitarzami z rady miasta.

Codziennie po powrocie opowiadali nowe rewelacje o bogactwach Metapontum. Sami zresztą nie byli tak zgłodniałymi tych luksusów jak cała reszta, bo już pozwolono im ich nieco zakosztować.

Narada dowódców, podczas której Spartakus kazał czekać, Fulwiusz wahał się, a Kriksos milczał, odbyła się w południe. Teraz zapada już zmierzch; noc będzie ciemna, bezksiężycowa.

Księżyc gdzieś powędrował, nie śpieszy się z powrotem.

Jest już całkiem ciemno, nie widać nawet zarysu gór; tylko morze szumi. W obozie trwa jakaś potajemna krzątanina, słychać szepty i szelesty; kiedy na ciemnych uliczkach rozlegają się kroki wartowników, zapada dławiąca cisza. Kroki powoli oddalają się w ciemności – i natychmiast znów dolatują szepty, syknięcia, z każdego zakątka dobiega pośpieszny tupot sandałów. Stłumione odgłosy dochodzą zwłaszcza z dzielnicy Celtów, gdzie mieszkają Galowie i Germanie. W namiotach niewtajemniczeni wsłuchują się w to wszystko z niepokojem – i milczą.

A ci, którzy wiedzą, przekazują sobie szeptem hasło: – Jak daleko do Metapontum? – Sześćdziesiąt mil, jedna ciemna noc i jeden krótki dzień.

Krąży rozpowszechniana szeptem pogłoska: Kriksos idzie z nami.

Noc jest bardzo ciemna, nie widać nawet zarysu gór. Sirocco napętnia ciemność gorącym podmuchem, więc ludzie pojękują we śnie, nękani przez nocne zwidy. W rogu namiotu, przed którym wisi purpurowe *velum*, za oliwną lampką siedzi imperator. Naprzeciw niego prawnik

Fulwiusz schrypłym głosem czyta kolejny dokument – Rada Thurium wyjaśnia przyczyny opóźnień w dostawach rzezy.

W tym samym czasie trzy tysiące spiskowców opuszcza obóz i pędzi ile sił drogą wzdłuż brzegu połyskującego morza – do Metapontum.

Miasto Metapontum także dopatrywało się swych początków w czasach wojen trojańskich; starodawne zapiski w archiwum magistratu stwierdzały, że zbudował je Nestor, król Pylos, kiedy jego wojownicy podbili ten kraj obfitujący w wino i wołowinę i pokazali italskim barbarzyńcom azjatycki przepych, sztukę i naukę. W magistrackiej bibliotece przechowywano pod kluczem cudowną kolekcję monet osłoniętych kolorowym fenickim szkłem; w niczym nie przypominały ostemplowanych z jednej tylko strony, topornych i grubych sztuk rzymskiego srebra, które z łatwością dawało się podrobić w podlejszym kruszcu, gdy tylko władza miała na to ochotę; były to płaskie, cieniutkie i kusząco gładkie krążki ze srebra z eleganckimi i delikatnymi inskrypcjami, których objaśnianie pozwalało filologom popisać się erudycją. Miasto istniało od ośmiu wieków, przeżyło dziesiątki najazdów, zawsze poddając się zwycięzcy z przyjaznym uśmiechem i obłaskawiając go pełną wdzięku uległością. Otwierało już bramy Hannibalowi, a także Pitagorasowi wygnanemu przez mieszkańców Krotonu; chyliło czoła przed wielu panami i licznymi bóstwami, choć najgorliwiej przed Anadyomene. Piwnice Metapontum kryły zapasy wykwintnych, słodkich win, a na roznach nad paleniskami obracały się tusze białych krów. Żaden z proroków, augurów ani uczonych astronomów nie przepowiedział miastu jego straszliwego końca.

Zdarzyło się to po zachodzie słońca, po dniu takim samym jak inne.

Nie zamknięto jeszcze bram, rolnicy kończyli pracę w polu. Wyprzęgli już woły z pługów i zaprowadzili spragnione zwierzęta do wodopoju, a potem zarzucili narzędzia na ramię i spokojnie szli ku swym domom, gdy od południa nad drogą pojawił się obłok pyłu. Przyglądali się z ciekawością, zastanawiając się, co to takiego zbliża się do miasta z wrzaskiem i tętentem kopyt. Ale już bydło zaczęło żałośnie ryczeć i rozbiegło się, tratując pola. Przerażeni popędzili za zwierzętami, a za nimi rzucili się jeźdźcy na spienionych koniach i mieczami rozbijali im czaszki, zanim jeszcze ginący zdążyli zrozumieć, co się dzieje. Rzeź zaczęła się poza murami i przez wszystkie bramy jednocześnie wlewała się do środka; przez całą noc Metapontum tonęło w strumieniach krwi i w ogniu pożarów. W mrocznej, bezksiężycowej nocy ani na chwilę nie słabł i nie ustawał wrzask mordowanego miasta; krzyk zabijanych, ryki wściekłości i żądz

zlewały się w koszmarny chór zagłuszający nawet uderzenia fal. O drugim pianiu kurów płonęło już całe miasto, od portu aż po Latyńską Bramę, a kiedy wreszcie słońce wynurzyło się z fal, blade i mdłe, przesłoniło swoje oblicze welonem utkanym z czarnych płatków unoszących się nad słupami ognia i dymów z pogorzelska. Wszystkie miasta złupione przez niewolników podczas ich marszów ucierpiały i srodze okaleczały, bo zdobywcy wyładowywali na nich swą wściekłość. Metapontum cierpiało tylko przez jedną noc – kiedy wstał świt, miasta już nie było.

Wzniesli je wojownicy spod Troi, przez osiem stuleci poddawało się z uległym uśmiechem każdemu zdobywcy, a rożny nad paleniskami Metapontum nigdy nie przestawały się obracać. Teraz zostało po prostu starte z powierzchni ziemi. Resztki zwęglonych ścian, czekające, aż pogoda dopełni dzieła zniszczenia, spopielone prochy ludzi, które rozwiewał wiatr, i mętnie połyskujące w pogorzelsku stopione okruchy kolorowego fenickiego szkła wraz ze szczątkami monet: takie było żniwo tego poranka.

10. Wyższe racje

Kiedy nad ranem przekazano imperatorowi wiadomość o tym, co się stało, pojął natychmiast, że oznacza to koniec Miasta Słońca.

Dwaj gwardziści, którzy przyszedli z tą informacją, bali się jak nigdy.

Spod błyszczących hełmów widać było ich czerwone, nalane karki; obaj przyłączyli się do gladiatorów jeszcze w gospodzie przy Via Appia i przez cały czas dochowywali wierności wodzowi. Odważnie, choć z trudem, w lakonicznych słowach przekazali raport: część Wspólnoty, około trzech tysięcy ludzi, zniknęła ostatniej nocy z miasta. Zabrali konie. Są podejrzenia, że wyruszyli, by złupić miasto Metapontum.

Złożyli swój meldunek zwięźle i jasno, tak jak co dzień; teraz stali wyprostowani, potężni, z pochodniami w dłoniach. Bali się.

Ale imperator nie wpadł w gniew. Siedział bez ruchu i milczał. Słudzy Fanniusza byli zaskoczeni. Przez dłuższy czas tkwił tak, po swojemu, nieruchomo; światło pochodni migotało na okrywającym mu ramiona futrze. Potem swym zwykłym, surowym trackim akcentem zaczął wypytywać o szczegóły. Służący stali wciąż wyprostowani i coraz bardziej zdumieni. Zauważyli w oczach wodza zwierzęcy smutek. Wciąż trzymali pochodnie w dłoniach, choć na zewnątrz już zaczęło się rozwidniać.

I wtedy wydał im rozkazy.

Brzmiały tak jak zawsze – zwięźle i zdecydowanie. Gwardziści wymienili ukradkiem spojrzenia: tak mówi prawdziwy imperator. Spiskowców było trzy tysiące, a więc pośle za nimi sześć tysięcy najpewniejszych ludzi, wyłącznie Traków i Lukanów. Sprowadzą z powrotem zbiegów, jeśli to konieczne – nawet siłą. Tamci mają około dwunastu godzin wyprzedzenia; pościg dopadnie ich więc w Metapontum, wyczerpanych grabieżą i hulankami. Najpóźniej za dwa dni zbiegowie i ścigający powinni wrócić do obozu.

W międzyczasie wysłał posłańca z listem do Thurium. Zagroził w nim, że gdyby powtórzyły się przerwy w dostawach żywności, obciąży za to osobistą odpowiedzialnością dostojników z rady i ukarze ich surowo, aby dać przykład całemu miastu. Dygnitarze zaniepokoiли się. W końcu mieli do czynienia z szefem bandytów, z którym w ogóle nie należało nigdy wchodzić w żadne układy. Obiecali, że dołożą wszelkich możliwych starań.

Teraz wszyscy czekali już tylko na powrót tamtych z Metapontum.

Pełna napięcia cisza zaległa nad dzielnicą celtycką. Ustał puls życia miasta. Nikt nie pracował. Każdy czuł, że zbliża się przesilenie. W jadłodajniach doszło do pierwszych awantur.

Wrócili następnego wieczora, ścigający i ścigani, ale z dziewięciu tysięcy zostało ich tylko sześć. Celtowie i Germanie stawiali opór, ekspedycja pościgowa musiała więc otoczyć ich w ruinach Metapontum i stoczyć okrutną bitwę. Po obu stronach zginął co trzeci. Wreszcie rebelianci poddali się, zostali rozbrojeni i odprowadzeni do obozu. Wśród jeńców nie było Kriksosa. Szli ze skrupowanymi rękami, powiązani długimi linami w osobne grupy. Trakowie i Lukanie wprowadzili ich do miasta przez Bramę Wschodnią.

Natychmiast po ich powrocie Miasto Niewolników podzieliło się na dwa stronnictwa. Obydwa oplakiwały swych zabitych i oskarżały przeciwników o bratobójstwo. I jednym, i drugim nie brakowało argumentów, a każda ze stron miała jakąś część racji. Nocą doszło do niepokoju i zamieszek.

Tej samej nocy imperator wygłosił mowę do zgromadzonych dowódców. Oświadczył, że jeśli chcą ocalić Miasto Słońca, nie mogą lękać się surowych kroków. Spokojnie, zwykłym tonem rozkazał bezzwłocznie ukrzyżować dwudziestu czterech prowodyrów. Po to właśnie, mówił, sprowadzono ich tutaj. Nie mamy innego wyjścia, jeśli chcemy zapobiec rozpadowi armii na łupieżcze bandy.

Po raz pierwszy od czasów Kapui dowódcy zgłosili zastrzeżenia. Gdy w namiocie rozpoczął się spór, z miasta dobiegł stłumiony hałas i okrzyki; na ulicach trwały już starcia, a Celtowie zaczęli rabować magazyny.

Spartakus pozwolił swym gościom klócić się jeszcze chwilę, a potem powtórzył, że nie ma wyboru, bo inaczej nie da się zapobiec rozpadowi armii, i nie ma ani chwili do stracenia. Zapytał bardzo spokojnie, kto z nich zamierza sprzeciwić się jego rozkazom. Zgłosiło się pięciu celtyckich dowódców, sami gladiatorzy z pierwszej, najwcześniejszej grupy buntowników. Zanim zdążyli wydobyć broń, obezwładnili ich gwardziści czekający przed namiotem. Reszta uświadomiła sobie, że znalazła się w pułapce, i zamilkła. Kiedy imperator, wciąż tym samym, spokojnym głosem poinformował ich, że także i ta piątka podzieli los prowodyrów, nikt nie ważył się zaprotestować. Wyjątkiem był nieśmiały Ojnomaos, który do tej pory nie otwierał ust. Gdy zajęła się nim straż, wódz po raz pierwszy odwrócił wzrok.

Całą szóstkę wyprowadzono ze skrupowanymi rękami i nogami. Przeklinali, kopali

i szamotali się, któryś płakał ze wściekłości i żalu. Ojnomaos zwiesił głowę, błękitna żyła nabrzmiała na jego posiniaczonym czole.

Wszyscy byli gladiatorami, razem z imperatorem wyszli ze szkoły Lentulusa Batiatusa w Kapui.

Narada była skończona i dowódcy wrócili do swoich kwater. Kriksos się nie pojawił.

Zabrakło krzyży przy Północnej Bramie i trzeba było pośpiesznie montować nowe. Kiedy dwa oddziały Traków przyprowadziły na plac trzydziestu skazańców, a wśród nich młodego Ojnomaosa, znów doszło do starć i padły następne ofiary. W końcu tłum rozproszono, a krzepkie osiłki mogły zabrać się za krzyżowanie.

Na ziemi, rzędem leżało trzydzieści krzyży. Żołnierze doprowadzali winowajców jednego po drugim, przewracali i przyciskali mu grzbiet do słupa. Siłą rozciągali ramiona i wiązali za nadgarstki do poprzecznej belki; rozwiązywali skrępowane nogi, ciągnęli je w dół, żeby ciało zwisało w tej pozycji i przywiązywali za kostki, a potem zostawiali skazańca na ziemi i przewracali następnego. Reszta patrzyła, czekając na swoją kolej. Ci, którzy jeszcze stali, byli stosunkowo spokojni; ale powaleni i przywiązywani zaczęli przeklinać, miotać głową na wszystkie strony, jęcząc i plując na pochylających się nad nimi ludzi. Słudzy Fanniusza ocierali twarze i brali się za następnego.

W końcu cała trzydziestka skazańców leżała przywiązana do krzyży, bok przy boku. Zachowywali się rozmaicie. Jedni nieprzerwanie przeklinali, drudzy głośno śpiewali, inni cichli albo wykrzykiwali jakieś żarty do swych współtowarzyszy. Leżącemu w milczeniu, grubemu mężczyźnie spływały po twarzy strumienie łez; raz po raz napinał mięśnie rąk, jakby usiłował zerwać trzymające go więzy. Młody Ojnomaos kręcił głową w lewo i prawo i nie otwierał oczu. Gdy przyszła kolej na podnoszenie krzyży, setnik wezwał całą centurię, aby uporać się z tym zadaniem za jednym podejściem i nie tracić niepotrzebnie czasu. Do każdego z krzyży podeszło od tyłu po trzech żołnierzy; stękając i zachęcając się okrzykami, dźwignęli je w górę. Krzyże powoli podniosły się, stanęły pionowo i szybko zostały wbite w ziemię. Ramiona skazańców z trzaskiem stawów napięły się i wykręciły, daremnie próbując unieść wstrząsane drgawkami ciała. Jeden z pośpiesznie skleconych krzyży złamał się w samym środku, powieszony na nim mężczyzna runął na ziemię i całą procedurę trzeba było zaczynać od początku. Pechowcem był gruby, płaczący mężczyzna, Kiedy go odwiązano, tarł twarz obiema rękami; potem przywiązano go z powrotem.

W mieście wszystko umilkło, jakby ściął je mróz. Ludzie pochowali się w domach, pogasły pochodnie. Nad całą równiną, pod gwiazdami zapadła śmiertelna cisza.

Po jakimś czasie trzydziestu ukrzyżowanych zaczęło wołać. Najpierw każdy osobno i bezładnie wykrzykiwał z siebie własną mękę, potem wyli wszyscy razem, w regularnych odstępach. Ich wrzask przenikał oniemiałe miasto, wdzierał się do ciemnych domów, niósł się echem w pustych jadalniach, urywał się, a potem znów wpadał do namiotu, przed którym wisiało purpurowe *velum*.

Spartakus leżał w ciemności samotnie, na plecach, z rękami skrzyżowanymi pod głową. Na czole czuł drobne kropelki potu. Nikt go teraz nie widział, mógł więc spokojnie zaciskać powieki, gdy słyszał tamten krzyk.

Mógł nawet mówić głośno i dyskutować sam ze sobą, tak jak zwykli robić ludzie w górach; teraz nie musiał już być imperatorem. Kto jest przewodnikiem ślepców, nie może bać się swego stada; musi zadawać im cierpienie – dla ich własnego dobra. Bo tylko on jeden widzi, a oni są ślepi. Musi przecież rządzić tylko jedna wola, wola tego, który wie. Tylko on zna bowiem ostateczny cel i koniec tych wszystkich nieszczęsnych odwrótów i zwrotów, postęp ukryty za pozornym cofaniem się. Jego obowiązkiem jest siłą utrzymać ich na tej drodze, by wytrwali i nie rozproszyli się po całym świecie. Nie wolno mu litować się nad ich cierpieniem, musi być głuchy na ich krzyki. Ma obowiązek bronić ich interesów przed tym, czego domaga się ich własny rozum; bronić wszelkimi możliwymi środkami, choćby nawet wydawały się niezrozumiałe i okrutne.

I znów niekończące się wycie ukrzyżowanych wdarło się w ciemność namiotu. Trzydziestu ludzi wiszących na krzyżach wciąż krzyczało chórem, tylko przerwy stawały się coraz dłuższe. Początkowo można było zrozumieć słowa, wyli, prosząc o litość, wzywali na pomoc swych braci. Teraz w tym strasliwym chórze dało się odróżnić tylko nieskładne dźwięki.

Spartakus nadal leżał w ciemności na kobiercu, samotny, ociekający potem; poruszał wargami. Nikt go nie widział. Po jakimś czasie zawołał służących, przynieśli mu ogromny róg z Wezuwiusza. Odeszli i został sam.

Nie dopuszczali do niego żadnych gości, nawet panów z Rady Miasta Thurium, którzy wybrali się wieczorem na pertraktację w sprawie dostaw rzepek. Ani też prawnika Fulwiusza.

– Co robi imperator? – spytał prawnik.

– Chce się upić – poważnie i bardzo oficjalnie odpowiedzieli słudzy Fanniusza.

Człowiek w skórze leżał w swym namiocie, miał przy sobie róg; wejście szczelnie zamknięto, by mógł pić w ciemności. Od dawna nie był pijany, po raz ostatni upił się nocą po zwycięstwie na Wezuwiuszu; teraz jednak wiedział, że dobrze mu to zrobi. Upojenie zdejmuje z człowieka ciężar i wypiera złe myśli.

Leżał na wznak, z rękami pod głową i z rogiem obok siebie. Czekał.

Wciąż nie mógł się upić. Z głębokiej studni pamięci wynurzały się tylko jakieś mgliste obrazy i wdzierały się pod zamknięte powieki.

Kto właściwie rzuca kośćmi losu, kto decyduje o losach ludzi, zanim się jeszcze narodzą? Czy ten, kto rozdaje im nosy, przydziela oczy, wnętrzności i płeć, bez większej różnicy? A przecież segreguje ludzi jeszcze w łonach matek. Niektórzy nigdy nie będą się śmiać ani do nich nikt się nie uśmiechnie, innym pisane jest światło i słońce. A oni wszyscy tutaj, złowroga tłuszczka, sprzeciwiając się losowi rozwalili ściany lochu i rozerwali kajdany, ażeby pławić się w słońcu. Wyobrażali sobie, mrużąc nienawykłe do światła oczy, że teraz wszystko się ułoży, że z ich ciał wyparuje i na zawsze zniknie odór stęchlizny. A jednak cały ten jasny świat nie był dla nich; nie nawykli przecież do tak jaskrawego światła. Miotali się i wierzgali jak ślepcy i niszczyli wszystko, co wpadło im w ręce. Ktoś musiał nadzorować ich niby dzikie zwierzęta, ktoś musiał im wskazać drogę.

Wyprowadził ich najpierw na prosty, wspaniały szlak, oni zaś siejąc ogień, zebrali nienawiść i popioły. To była błędna droga. Potem prowadził ich gładkimi, ale okrężnymi trasami, tak krętymi, że cel zginął im z oczu. Znowu miotali się i wierzgali jak ślepcy i wlekli za sobą odór hańby. I znów wyrosły im wilcze pazury.

Ogarnął go gniew i uczucie frustracji. Sięgnął po róg, potem odłożył go i zamknął oczy. Był strasznie znużony. Przypomniawszy sobie Kriksosa, jak z głową wspartą na nagim ramieniu leżał po drugiej stronie stołu i sięgał po kawał mięsa.

– Trzeba spalić te ciała – powiedział wtedy Spartakus. – Cuchną.

Kriksos obliznął i wytarł zatłuszczone palce w posłanie.

– Albo my będziemy jedli, albo nas zjedzą – powiedział smętnie. – Chyba że znasz jakieś lepsze wyjście? – Wódz wychylił się wtedy do przodu i patrzył w blade, rybnie oczy Kriksosa. W ich źrenicach ujrzał smutek ogromny jak morze i tęsknotę za Aleksandrią.

Teraz Kriksos zniknął, a na jego miejscu siedział sędziwy esseńczyk i kiwał głową.

– Czy znasz jakieś lepsze wyjście? – zapytał go Spartakus.

– Być może – powiedział stary – napisano bowiem w Piśmie, że władza czterech bestii skończyła się; i jeden wstąpił na górę, Syn Człowieczy.

Jego słowa utonęły jednak w docierających z dala krzykach tych trzydziestu na krzyżach przy Północnej Bramie, zamiast mędrca zaś siedział teraz kaszlący prawnik i gładził swą łysinę. Spartakus niezbyt go lubił, ale pochylił się ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

– Słyszałeś, co powiedział Kriksos? Nie podoba mi się to. Czy znasz jakieś lepsze wyjście?

– Nie zdarza się, żeby rzeczy były całkiem czarne albo całkiem białe – powiedział prawnik. – I nie ma prostych dróg. Są tylko kręte.

Z ciemności nocy znów dobiegł ryk trzydziestu ukrzyżowanych, jednym z nich był młody Ojnomaos. Pot spływał Spartakusowi z czoła.

– Posłuchaj więc teraz, dokąd nas doprowadziły twoje okrężne drogi – jęknął.

– Niczego nie da się powiedzieć, dopóki tam nie dojdziemy – a to zajmie dużo czasu – odparł prawnik, lecz w jego głosie dało się wyczuć niepewność.

– Nie możemy tak długo czekać – krzyknął Spartakus. Był tak wściekły, że się obudził.

Przed nim stało dwu krzepkich gwardzistów; nie mieli już w rękach pochodni, bo na zewnątrz było całkiem jasno.

11. Punkt zwrotny

Od rana coraz więcej ludzi tłoczyło się przy Północnej Bramie. Dwie centurie Traków i Lukanów uformowały najeżone włóczniami półkole, zamykając dostęp do krzyży.

Trzydziestu skazańców krzyczało przez noc, choć z coraz dłuższymi przerwami. Gdy któryś z nich mdlał z bólu i wyczerpania, krzyki pozostałych przywracały mu świadomość, i znów wołał razem z nimi. Ryczeniem podtrzymywali słabnące powoli życie.

Grupa Germanów i Celtów stała w ciszy, pod gołym niebem całą noc.

Od świtu dołączało ich coraz więcej, ale nadal byli spokojni. Wezwano jeszcze jedną centurię. Kiedy wzeszło słońce, gęsty tłum zapełniał już cały plac. I nie milczał. Ludzie wołali coś w stronę krzyży, wzywali Kriksosa, a ukrzyżowani co jakiś czas odpowiadali krzykiem. Sprowadzono dwie dodatkowe centurie.

Słońce przedarło się przez poranne mgły, ukrzyżowani wisieli teraz w jaskrawym świetle. Kiedy milczeli, głowy zwisały im na piersi i ramiona jak u martwych ptaków. Dopiero gdy wyrwał się im z piersi krzyk, odrzucali je do góry, waląc w drewno belki i pokazując białka oczu. W takich chwilach tłum cichnął; dopiero gdy krzyk wiszących zamierał, tłum zaczynał wołać, coraz głośniejsze i coraz groźniejsze. Żołnierzy ogarniał niepokój. Ich dowódca, tracki gladiator, wysłał do namiotu z purpurowym *velum* wiadomość, że na dłuższą metę nie zdoła utrzymać porządku; nie ręczy również za swoich ludzi. Dowódca był przyjacielem młodego Ojnomaosa, jedyne z całej trzydziestki, który nie podnosił już głowy.

Zanim posłaniec wrócił, ktoś z tłumu łokciami przepchnął się do pierwszego rzędu. Był to retor Zosimos, odziany w niechlujną jak zawsze togę.

Mówił coś gorączkowo, powiewając w podnieceniu połami szaty. Wysunął się o krok przed szereg.

Pierwszy zauważył go pasterz Hermios stojący w szeregu z włócznią. Zrezygowany i smutny wyszczerzył żółte zęby w bezradnym uśmiechu.

– Musisz się cofnąć, Zosimosie – powiedział.

Zosimos stanął, a tłum za nim wstrzymał dech. Ptasie oblicze retora wydawało się jeszcze bardziej wychudzone niż zwykle. Był przeraźliwie blady, miał szarą twarz, podobną kolorem do płótna własnej brudnej szaty. Stał wpatrując się w pasterza, jakby go nie poznawał.

– Cofnij się, przyjacielu – powtórzył Hermios, bliski płaczu, bo sytuacja, w jakiej się znalazł, mocno go przygnębiała. – Nie możecie się do nas zbliżyć.

Ale Zosimos zrobił jeszcze jeden krok naprzód i zaczął się drzeć:

– Bracia, bracia – zwrócił się do ukrzyżowanych – czy mnie słyszycie?

Podnieśli głowy i zaczęli krzyczeć.

– Czy słyszycie ich, bracia, czy ich słyszycie? – wołał Zosimos powiewając połami swej szaty niby chorągwiami. – Dobrze wam się wisi, bracia? Czy czujecie w członkach tę przyjemną wolność? A czy drzazgi z drzewa wolności ranią wam ciało? To czerwone, co spływa wam z ust to właśnie Państwo Słońca. Przypięli was tam jak robaki, aby każdy widział, że nastał już wiek dobra i sprawiedliwości.

Ktoś zachichotał, ale tłum milczał. Wtedy odezwał się jakiś schrypły głos:

– Sprowadźcie Kriksosa, on z tym wreszcie skończy. – Natychmiast dołączyły się inne głosy, a wkrótce huczał cały plac. Hermios, z trudem hamując łzy, rozpaczliwie wymachiwał włócznią, chcąc powstrzymać podchodzącego coraz bliżej Zosimosa. Próbował zaczepić jej końcem szatę retora, żeby go łagodnie odsunąć, ale Zosimos sam ją rozdarł i odsłonił nagą pierś:

– Pchnij, na co czekasz, ty pacholku tyrana – zawołał.

Hermios wybałuszył oczy i cofnął się o krok. Jego sąsiedzi z lewej i prawej szybko skrzyżowali włócznie, by zagrozić Zosimosowi drogę.

Zapadła cisza i retor nagle zorientował się, że został sam w pustej przestrzeni między żołnierzami i tłumem. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zatoczył się. Kilku ludzi, przestraszywszy się, że go zabili, wyskoczyło przed szereg i podjęło go pod ramiona. Straż ich nie wstrzymywała, więc reszta też posunęła się do przodu. Momentalnie całą pustą przestrzeń wypełnił tłum napierający na szeregi wojska. Żołnierze, bojąc się zranić ludzi, pochylili włócznie; mieli już wszystkiego dość, byli zmęczeni upałem i głodem, krzykiem ukrzyżowanych i całą tą bezsensowną sytuacją.

Dowódca, sam pełen wątpliwości, spróbował wydać rozkaz ataku.

Nikt go nie posłuchał, i rad był, że tak się stało. Niezatrzymywany przez nikogo przecisnął się przez tłum i szybko udał się do namiotu z purpurowym *velum*, gdzie odbywała się narada starszyzny.

Na ogromnym placu przy Północnej Bramie kłębił się teraz gęstniejący z każdą chwilą tłum. Zmieszały się z nim wszystkie cztery centurie, żadnemu z żołnierzy nie uśmiechały się dalsze

przepychanki z ludźmi.

Wszyscy mówili jednocześnie, nieskładnie i nawet niezbyt głośno, ale nieprzerwany gwar tysięcy głosów docierał aż do namiotu imperatora. Ukrzyżowani znów zaczęli krzyczeć; tym razem z nadzieją – tylko młody Ojnomaos nie podnosił już głowy. Przez plac przebiegły jakieś kobiety z dzbanami pełnymi wody; starały się podsunąć je pod szerniałe usta skazańców. Kilku mężczyzn trzymało już w rękach siekiery i noże; przecinali sznury, zdejmowali ukrzyżowanych i odnosili ich na bok. Wszyscy, z wyjątkiem młodego Ojnomasa, byli jeszcze żywi. Tłum porąbał na kawałki krzyże. Hermios wraz z kilkoma żołnierzami głośno zastanawiali się, co powie na to Spartakus. Odepchnięto ich na bok, obojętnie, bez wrogości.

I znów odezwał się głos wzywający Kriksosa, tym razem przyłączyli się do niego wszyscy. Niech Kriksos wraca, wołali, niech zrobi porządek, niech zabierze ich do domu. Cały gęsto nabitą ludźmi plac wzywał Kriksosa; w głosach ludzi nie było wściekłości, tylko bezgraniczne zmęczenie i pragnienie, aby ktoś ich gdzieś zaprowadził, obojętnie gdzie, byle był to wreszcie dom.

Znów zjawił się Zosimos. Wspiął się na jeden z połamanych krzyży i stał tam w szacie powiewającej na wietrze.

– Bracia – jego słowa niosły się nad morzem głów – czy na tym chcecie skończyć? Czy nie widzicie, że zostaliście zdradzeni? Biada nam, nowy tyran wyszedł z krwawego łona rewolucji; biada nam wszystkim, bo asystowaliśmy przy jego narodzinach. Z zerwanych łańcuchów ukuliśmy sobie nowe kajdany; spalone krzyże odrosły na nowo. Chcieliśmy budować nowy świat, i co teraz mamy? Spartakus zawiera porozumienia z panami, a im więcej oferuje im ustępstw, tym więcej przelewa krwi we własnych szeregach. Wierzy w swej bezgranicznej pysze, że działa dla naszego dobra, kiedy odsuwa nagrodę za krew i poświęcenia coraz dalej i dalej przed naszych oczu, i że to dla naszego dobra każe nam tak długo iść okrężnymi drogami, aż całkiem tracimy cel z oczu. Biada nam, nieszczęsnym istotom z nasienia Tantala! Cóż to za wolność, która wcale nie wyzwala nas z jarzma pracy? Cóż to za sprawiedliwość, która każe nam łykać własną ślinę i pić własny pot, stale wyczekując przyszłości, zamiast korzystać z dzisiejszego dnia? A jak nazwać takie braterstwo, w którym jeden człowiek rozkazuje, a reszta słucha rozkazów?

Zaprawdę, jego zajadła pycha nie zna żadnych granic, bo ten człowiek potrafi usprawiedliwić w swym sumieniu każdy czyn, tłumacząc sam sobie, że zrobił to dla naszego wspólnego dobra.

Zabijcie go, zabijcie, bracia, bo tyran, który ma dobre chęci, jest gorszy od krwiożerczej bestii...

Piskliwy głos retora załamywał się, szata powiewała wokół resztek krzyża, ale tym razem Zosimos nie znalazł aprobaty. Tłum milczał. Nagle ktoś znów zaczął wzywać Kriksosa, a inni podchwycili jego wołanie.

Niech przyjdzie Kriksos i zrobi z tym wreszcie koniec, niech odprowadzi ich do domu. Na placu tłoczyli się głównie Celtowie i Germanie, było ich kilka tysięcy; w ich głosach nie czuło się jednak wściekłości – tylko zmęczenie i pragnienie, by wydostać się z tego przeciwnego naturze miasta, wypłatać się z tej obłąkanej wojny i z piekielnej Italii, nie słuchać więcej przemówień, zapomnieć o niezrozumiałych prawach i tyradach – po prostu wyjść stąd i wrócić do domu. Kriksos jest jednym z nich, jak oni nosi srebrny naszyjnik, ufają mu. On doprowadzi ich do domu, a po drodze pożyją sobie beztrosko, jak w Metapontum.

Kriksos odpowiadał im pod każdym względem. Niewiele mówił. Nie stanowił praw. Był człowiekiem, który mógł im przewodzić.

Spartakus kazał otoczyć całą dzielnicę celtycką. Miasto liczyło sto tysięcy mieszkańców, z czego około trzydziestu tysięcy stanowili Celtowie i Germanie. Mógł polegać na Trakach, Lukanach, Dakach, na czarnych i na Getach. Rozmieszczył oddziały wojska na wszystkich ulicach prowadzących do dzielnicy Celtów i po zewnętrznej stronie Północnej Bramy. W trzy godziny po wschodzie słońca poszedł na wielki plac, gdzie tłum zgromadzony wokół zniszczonych krzyży zachowywał się coraz hałaśliwiej i coraz głośniej wołał Kriksosa. Kriksos poszedł razem z nim, jak zawsze ponury i milczący. Za nimi kroczył tylko mały oddziałek sług Fanniusza.

Tłum rozstępował się w milczeniu, robiąc im przejście. Spartakus wspiął się na występ w murze i podniósł rękę na znak, że chce przemawiać. Gwar ścichł, ale niezupełnie.

Patrzył na tłum. Ludzie stali rozproszeni po całym ogromnym placu; stapiali się w jego oczach w jedną wielką, oddychającą masę o wielu tysiącach kończyn. Czuł jej milczącą, skrytą wrogość i zacieklą głupotę.

Wyławiał wzrokiem poszczególne twarze, badawczo zaglądał im w oczy, ale nie znajdował niczego poza znudzeniem, zwierzęcą tępotą i bezwzględny, uparty sprzeciwem. W ustach zbierała mu się gorzka ślina, czuł niesmak i przyprawiającą o nudności pogardę.

Zaczął mówić. Głos też mu się zmienił, niósł się daleko i spadał na tłum jak bicz. Najpierw wspomniął o pogłoskach zapowiadających nadejście nowej rzymskiej armii, której awangarda wkroczyła do Apulii akurat tego samego dnia, kiedy jego ludzie tłukli się i zabijali nawzajem.

Mówił o mijającym stuleciu nieudanych rewolucji, kiedy każde powstanie udęczonych mas upadało z powodu ich własnej niezgody. Mówił – a gorycz gęstniejącej śliny w ustach przyprawiała go o mdłości – że nobile i właściciele niewolników chichoczą szydąc, gdy widzą swych wrogów zabijających się wzajemnie, niczym na arenie. Powiedział, że jeśli się nie cofną i nie zmienią zdania, zapłacą tysiąc, a nawet milion razy większą cenę za uwolnienie ukrzyżowanych prowodyrów i buntowników. Przypomniał o dwudziestu tysiącach ukrzyżowanych podczas powstania na Sycylii, o dziesięciu tysiącach zabitych podczas kontrrewolucji w czasach Sulli, o rzezi rzymskich niewolników, jaka nastąpiła po nieudanej rebelii Cynny. Zadał im pytanie – a z irytacji aż pociemniało mu w oczach – czy naprawdę niczego ich nie nauczyły wszystkie te klęski, czy wolą być stadem beczących baranów niż żołnierzami rewolucji? Czy rzeczywiście chcą swoim zachowaniem przyznać rację szydzącym stwierdzeniom wroga, że ludzkość nie dorosła jeszcze do lepszego porządku, nie chce nawet sprawiedliwości i wołałaby, aby wszystko pozostało po dawnemu?

Już po kilku zdaniach poczuł, że nie poradzi sobie z biernym oporem tłumu stojącego tam w dole, u jego stóp, że jego wołanie nie przebije skorupy ich upartej niechęci. Słowa spadały na nich jak uderzenia bicia, ale był to wysiłek daremny – równie dobrze mógłby chłostać różgami morze, wierząc, że to je zmieni. Znowu zaczął wyłuskiwać wzrokiem z tłumu poszczególne twarze; ich spojrzenia wyrażały wciąż tę samą znudzoną obojętność, niektóre uśmiechały się do niego, demonstrując zabójczą wyższość głupoty; ktoś krzyknął, że czekają na porządne wyżywienie zamiast wiecznych kazań. Inny zawołał, że ani to rewolucja, ani wolność, skoro nie zniesiono jarzma pracy; każdemu bowiem wiadomo, że tylko ten jest wolny, kto nie musi pracować. I kiedy znów podniosły się wołania o Kriksosa, wszyscy je podchwycili: to Kriksos powinien wreszcie skończyć z tym wszystkim i poprowadzić ich do domu. Jakiś donośny głos wybił się ponad resztę: tylko w Galii, tylko w Germanii jest prawdziwa wolność. I po raz pierwszy cały plac nagle ryknął entuzjastycznie.

Spartakus popatrzył na stojącego obok Kriksosa. Jak zawsze ponury i milczący, odwzajemnił jego spojrzenie. Było tak samo jak wtedy, w namiocie Klodiusza Glabera i potem, kiedy rozstawali się pod Kapuą: obydwaj wiedzieli, że myślą o tym samym. Byłoby lepiej, gdyby ich pojedynek odbył się jeszcze przed opuszczeniem szkoły Lentulusa. Jeden z nich musiałby zginąć, zapewne Spartakus. Kriksos zostałby jedynym przywódcą gromady, utopiłby całą Italię we krwi, rozwalilby i zniszczył wszystko. I kto wie, może okazałoby się, że miał rację.

Tłum coraz głośniejsze domagał się Kriksosa. Reszta miasta pozostała wierna Spartakusowi. Dowódca sług Fanniusza zbliżył się o krok. Czekał na rozkaz. Ludzie na placu byli nieuzbrojeni, a dzielnica celtycka otoczona; całą broń złożono w szopie przy Południowej Bramie. Milczący, oddany, z potężnym, czerwonym karkiem stał za Spartakusem, czekając na rozkazy imperatora.

Spartakus jednak milczał.

Wahał się tylko przez ułamek sekundy, choć z przeraźliwą jasnością dotarło do niego, że tu i teraz, właśnie w tym momencie, rozstrzyga się przyszłość. Gdyby wydał rozkaz, na który w milczeniu czeka gwardzista u jego boku, obóz padłby ofiarą nowej, krwawej rzezi, z której zapewne on sam wyszedłby zwycięsko – jako znienawidzony, budzący strach triumfator i absolutny wódz rewolucji. Tylko taka, bardzo krwawa i bardzo niesprawiedliwa okrężna droga mogłaby ich uratować. Druga – łagodna, przyjazna i ludzka – prowadziła nieuchronnie do rozłamu, a w konsekwencji do zagłady.

Zdawał sobie z tego sprawę bardzo jasno. Mignął mu w świadomości łańcuch wyrazistych obrazów, a jednak nie wywarło to już żadnego wpływu na jego decyzje. Cała ta skomplikowana wiedza należała bowiem do zupełnie innej sfery, nie miała nic wspólnego z żywymi, ludzkimi odczuciami. Krzyki ukrzyżowanych znacznie dobitniej docierały do jego uszu niż schrypty głos prawnika. Mądrość i wiedza nie miały już takiej wagi, by skłonić go do wydania rozkazu. Gdzie się podziało to poczucie wyższości, które towarzyszyło mu jeszcze parę minut wcześniej? Wypalony i pusty stał teraz przed tysiącglową, ryczącą masą. Należałoby kazać ich zabić, dla ich własnego dobra; tak jak nakazuje prawo odwrotów i zwrotów. Ale jakieś inne prawo, wypływające z innych źródeł, kazało mu milczeć, żądało, by dał znak Kriksosowi – niech stanie obok niego na podwyższeniu. Jakby z oddali słyszał przechodzący w wycie krzyk tysiącglowego potwora. I jakby z daleka widział Kriksosa, jak zawsze ponurego i markotnego, który stanął tuż obok niego na występie muru. Jasno i z całym spokojem przyjął do wiadomości, że to, co nieodwołalne, już się dokonało, że podział armii stał się faktem, a tym samym ostatecznie przypieczętowany został los rewolucji. Bo jakkolwiek wiedza jest cudownym darem, to nie ona jednak rządzi biegiem zdarzeń.

Wciąż jak z oddali zobaczył, że ponury człowiek podnosi rękę. Tłum momentalnie ucichł. Czy to dzieje się naprawdę, teraz i tutaj? Kiedyś, w przeszłości, już to przeżył; znał to od dawna doskonale i wiedział, że nie ma ucieczki. Jak prosto i bezpośrednio ten ponury człowiek trafia do tłumu! – Imperator chce, aby wasza wola została spełniona. – Radość, entuzjazm. Na tej prostej

drodze wszystko jest tak jasne i nieskomplikowane... Chcą tego, więc tak się stanie. A że działają wbrew własnym interesom i z prawdziwą radością własnymi rękami grzebią rewolucję?

To prawda, ale na cóż może się przydać ta wiedza? W obliczu dziejących się zdarzeń jest przecież całkiem bezsilna; w żyłach tysięcznego potwora tętnią czarne soki entuzjazmu, natomiast smak mądrości wydaje mu się mdły i gorzki.

Nikt nie zdoła narzucić jej z zewnątrz ani odgórnie, na nic wyniosła duma samotnego mędrca, na nic przebiegłość taktyka wybierającego okrężne drogi i okrutna uprzejmość proroka. Stulecie poronionych rewolucji skończyło się; teraz nadejdą inni, podejmą hasło i przekażą je dalej przez stulecia w wielkiej sztafecie gniewu; w krwawych bólach porodowych rewolucji zrodzi się nowy tyran – aż wreszcie jęcząca, tysięczna masa ludzka nauczy się myśleć samodzielnie i nie będzie trzeba narzucać jej mądrości z zewnątrz, bo w mozolnej męce sama wreszcie odnajdzie ją w sobie, zdobywając w ten sposób wpływ na bieg zdarzeń.

12. Koniec Miasta Słońca

Narada starszyzny nie trwała długo. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, zwłaszcza gadaniną. Odetchnęli z ulgą, bo zanosilo się na to, że przy podziale obozu nie będzie komplikacji. Podczas omawiania szczegółów wyjścia z miasta udawali swobodę i życzliwość, jakby rzeczywiście interesowały ich tylko marginalne sprawy w rodzaju budowy nowych koszar przy Południowej Bramie czy zmiany wart. Na ile było to możliwe, nie patrzyli sobie w oczy i starali się nie podnosić głosu. Spartakus też mówił zwyczajnie i prosto, jak za dawnych czasów. Ludzie wyrazili już swoją wolę, stwierdził, zdejmując tym samym odpowiedzialność z kierownictwa. Trzydzieści tysięcy Celtów i Germanów wybrało Kriksosa na wodza. Kriksos przeprowadzi ich przez rzekę Pad i Alpy do Galii. On sam, Spartakus, z Trakami, Lukanami i resztą, która pozostała mu wierna, zamierza pozostać w obozie jeszcze przez parę dni, dopóki nie nadejdą pewniejsze wiadomości od sojuszników. O tym, co zrobi później, zadecyduje dopiero po zapoznaniu się z ich treścią.

Wyjście Celtów i Germanów odbyło się gładko i bez incydentów.

Ludzie opuszczający obóz zachowywali się niezwykle przyjaźnie, wiwatowali na cześć Kriksosa, ale i Spartakusa. Obaj przywódcy uścisnęli się przy Północnej Bramie. Spartakus obejmując Kriksosa szepnął mu do ucha:

– Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdyby jeden z nas zginął w pojedynku, myrmilonie?

Kriksos spojrział na niego z irytacją i odpowiedział:

– Nic by to nie zmieniło.

Odeszli wzbijając kurz, aż po kilku godzinach zniknęli na drodze na północ – trzydzieści tysięcy mężczyzn, pięć tysięcy kobiet i dzieci. Ci, którzy pozostali, patrzyli za nimi w milczeniu, czekając aż opadnie ostatni obłok pyłu. Ogarnęło ich głębokie przygnębienie, ale potem znów wrócili do swoich zajęć. Jedna trzecia miasta opustoszała. Pozostałe dwie trzecie miały przetrwać jeszcze tylko kilka dni.

Okres wyczekiwania zaplanowany przez Spartakusa skończył się dużo wcześniej, niż można się było spodziewać. Nazajutrz po odejściu Celtów panowie z Rady Thurium postanowili w końcu wyłożyć karty na stół.

W Rzymie konsulami na bieżący, 683, rok od założenia miasta wybrano Lucjusza Gelliusa

i Gnejusza Lentullusa; obaj reprezentowali reakcyjną partię arystokratyczną i byli zdecydowani położyć kres niewolniczej rebelii na południu Italii. Senat z miejsca przyznał im nadzwyczajne uprawnienia. Ostatnie, nader pomyślne doniesienia z hiszpańskiego i azjatyckiego frontu brzmiały zachęcająco – żołnierzy z nowego zaciągu, tak jak i nowych najemników można było w całości wysłać do walki z niewolnikami. Dwie dobrze przygotowane armie w sile dwunastu pełnych legionów opuściły już Rzym. Obaj konsulowie osobiście objęli dowództwo, co bardzo rzadko zdarzało się w dziejach Republiki – tylko w sytuacjach najwyższego zagrożenia.

Wiadomość ta, wraz z doniesieniami o zniszczeniu floty emigrantów, znacznie usztywniła postawy panów z Thurium, którzy nie zawahali się teraz z należytą uprzejmością powiadomić trackiego księcia, że rada głęboko ubolewa, ale nie może zagwarantować dostaw chleba i ziarna dla armii niewolników. Sytuacja światowa, jak mówili, całkowicie zmieniła się w paru ostatnich miesiącach, Rzymowi w bitwach znów, skądinąd niezasłużenie, zaczęła sprzyjać Fortuna. W tej sytuacji Thurium jest niestety zmuszone liczyć się z nowymi okolicznościami, zwłaszcza że jego magazyny są ogołocone do ostatniego worka.

Była to, nawiasem mówiąc, prawda, co zresztą także stanowiło konsekwencję zmian w sytuacji politycznej, bowiem zboże importowano dotychczas z Sycylii. Namiestnik Sycylii Werres, bystry polityk, stawiał dotychczas na rewolucję w Rzymie. Wydawało mu się, że jej zwycięstwo jest bliskie, dostarczał więc piratom zboże na kredyt, wiedząc doskonale, że przekażą je sprzyjającemu opozycji Thurium, miasto zaś z kolei podzieli się z wodzem rozbójników Spartakusem. Od tegoż Werresa właśnie, którego prawnik Cynceron uwiecznił jako arcykanalię, rzezimieszka i wcielenie nikczemności, zależał dobrobyt Miasta Słońca; teraz jednak opowiedział się on nagle po stronie Senatu. W rezultacie spichrze Thurium opustoszały, tak samo jak magazyny Miasta Słońca, zaś czcigodny i sędziwy przewodniczący o wylupiastych oczach, którego raz jeszcze wysłano na pierwszą linię, mógł to tylko potwierdzić. Dodał przy tym, że osobiście w ogóle nie zna się na handlu zbożem, a potem zapytał o młodego Ojnomiosa. Wyraził żal, że nie uczestniczy w tej rozmowie i ciepło wyraził się o nim, jako o dobrze wychowanym młodzieńcu; równocześnie przekrwionymi oczami uważnie wpatrywał się przez cały czas w Fulwiusza. Kiedy wreszcie prawnik uporał się z nagłym atakiem kaszlu i wymamrotał coś wymijająco, sędziwy dostojnik poprosił go, by zechciał przekazać wyrazy uszanowania trackiemu księciu, skinął na swą świętą i oddalił się starym, nieco chwiejnym krokiem.

Nazajutrz przybył wreszcie od dawna oczekiwany wysłannik hiszpańskiej armii emigrantów.

Przede wszystkim wręczył list od przywódcy wygnańców, Sertoriusza, zawierający akceptację warunków antyrzymskiego sojuszu; zaraz potem ujawnił jednak, że Sertoriusz został zamordowany następnej nocy po napisaniu listu. Obóz uchodźców od samego początku rozdzierały konflikty i rozbieżności; emigranci utworzyli ugrupowania wiernie odpowiadające politycznym podziałom w Rzymie; niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Jakiś czas temu pojawił się u nich dość dwuznaczny typ imieniem Perpenna. Krytykował ociężałość Sertoriusza w prowadzeniu wojny; żadne z działań wodza nie dorastało do jego oczekiwań i rewolucyjnego zapału. W końcu otwarcie zadeklarował swoją nieufność – twierdził, że zbyt wiele dni traci się na ucztowanie, trwoniąc zarówno pieniądze, jak i czas. Rzecz dziwna, sam Perpenna dysponował sporą gotówką nieznanego pochodzenia, którą hojnie rozdawał, pozyskując w ten sposób zwolenników. Kiedy w końcu Sertoriusz powiedział mu prosto w oczy, że jest płatnym prowokatorem rzymskiego Senatu, Perpenna wraz z przyjaciółmi przystąpili do działania. W kwaterze głównej w Osca zorganizował bankiet ku czci wodza, a kiedy goście już dobrze popili, doszło do zainscenizowanej awantury. Pełen niesmaku Sertoriusz wyciągnął się na swoim łożu i zamknął oczy: nie wiedział, że już nigdy ich nie otworzy. Otrzymał ponad sto ciosów sztyletem, podczas gdy Marek Antoniusz, jego sąsiad przy stole, trzymał go za nogi i ręce. Załamanie armii emigrantów i zwycięstwo Pompejusza stało się już teraz kwestią miesięcy, a może nawet tygodni.

Demokratyczna opozycja w Rzymie została pokonana z powodu niedołęstwa swych przywódców; uchodźców zgubiły właśnie. Słabość opozycji, nie zaś siła władzy ocalała raz jeszcze – ileż razy zdarzyło się to już wcześniej? – spróchniały i anachroniczny reżim. I ileż jeszcze razy w nadchodzących wiekach powtórzy się ten sam żalony spektakl?

To ostatnie pytanie zadał Fulwiusz, kronikarz i prawnik. Skierował je raczej do samego siebie niż do Spartakusa, który siedział naprzeciw w namiocie z purpurowym *velum* i ku zaskoczeniu Fulwiusza chyba w ogóle nie przejmował się katastrofalnymi wiadomościami. Na twarzy miał znów ten sam dawny, dobroduszny uśmiech z pierwszych dni – choć owa wesołość mogła brać się z zupełnie innych, odległych powodów, takich jak choćby niezwykle czyste potoki, które niczym pot gór tryskały spod masy granitu. Tym razem rozmowa odbywała się przy świetle dziennym, kiedy jaskrawe słońce wdzierało się przez szpary u dołu namiotu. Fulwiusz był mocno przygnębiony, męczył go też suchy kaszel i reumatyzm, którego nabawił się deszczowej nocy pod murami Kapui. Ileż jeszcze razy w nadchodzących stuleciach, powtórzył

melancholijnie, dojdzie do tak żalosego widowiska?

Człowiek w skórze siedział naprzeciw niego, rozstawiwszy szeroko nogi jak górscy drwale i uśmiechał się niefrasobliwie. Co jeszcze mogło skłaniać go do uśmiechu, skoro wszystko się skończyło, a do załamanych i zrozpaczonych dusz triumfalnie wracały duchy przeszłości?

– Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał imperatora. Zabrzmiało to zimno, niemal nieprzyjaźnie.

Spartakus wciąż jednak uśmiechał się życzliwie, odprężony i beztroski.

– Pójdziemy wszyscy do domu – powiedział z lekka zakłopotany, jakby powtarzał coś od dawna postanowionego i wszystkim znanego.

Nagle, niemal z dnia na dzień, w mieszkańców Miasta Słońca znów wstąpiła energia i chęć działania. Tak jakby po długiej, całkowitej ciszy na morzu pierwszy silny powiew wiatru napiął wreszcie żagle statku, skrzypnęły maszty, a pod dziobem znów zaczęła się rozstępować spieniona woda. Weseli i podnieceni ściągali kiedyś z gór pnie drzew, wznosili szopy i baraki, budowali od podstaw swoje miasto; teraz – z równą radością – rzucali się na budynki z siekierami i piłami, rozbijali z takim wysiłkiem postawione ściany, burzyli wszystko aż do gruntu. Na prosto wytyczonych ulicach leżały zwały ruin; przedmioty nadające się jeszcze do użytku zabrano z warsztatów i załadowano na wozy, opróżniono spichrze, wyrwano nawet głęboko osadzone w ziemi paliki namiotów. Przez kilka dni zrujnowana dzielnica celtycka straszyla pustką; teraz jednak przestała być dręczącym wspomnieniem – stała się przykładem godnym naśladowania. I to samo walenie młotów, ten sam radosny łomot, który towarzyszył budowie, niósł się teraz ponad burzonym miastem.

Spartakus chodził po obozie, z uśmiechem przyglądał się rozbiórce i zachęcał swych Traków do gorliwej pracy, sam nawet zabrał się do roboty, gdy padały wielkie jadalnie. Znowu go uwielbiano. Tak jak dawniej był ich roześmianym towarzyszem, starym kompanem, odzianym w skórę. Zniknął gdzieś twardy błysk w jego oczach, wieczorem ostro popijał ze swego rogu i znowu sypiał ze swą ciemnowłosą i smukłą kobietą, którą przez cały ten czas zaniedbywał. Zdjęto mu z barków przygniatający ciężar; nie musiał dłużej być przewodnikiem ślepców i nie musiał już wybierać krętych dróg. Zbladło nawet wspomnienie młodego Ojnomaoosa, który padł ofiarą własnego, nieśmiałego poczucia sprawiedliwości; wolne miejsce zajęła spokojna, miła pustka.

Wszyscy niecierpliwie czekali, by wreszcie wyruszyć do domu. Tam, w górach, jest

prawdziwe Państwo Słońca. Znajdzie się w nich miejsce dla wszystkich, także dla Lukanów i dla czarnych; każdy, kto zechce się przyłączyć, będzie mile widziany. Miasto, ze swymi ascetycznymi ulicami i prostym, surowym prawem, jawiło się im teraz jako blade i anemiczne. Sojusznicy nie nadeszli z pomocą, italscy bracia nie odpowiedzieli na wezwanie, nie nastął wiek Saturna. Czasy były zbyt wczesne albo już za stare, plony albo zgniły, albo nie zdążyły dojrzeć – kto to wie i kto zresztą miałby ochotę obciążać umysł tego rodzaju rozważaniami?

A ludzie naprawdę się cieszyli. Radosny, świąteczny nastrój znów zapanował w obozie w przeddzień wyjścia, taki sam, jak wtedy, gdy przyszli tu po raz pierwszy. Warsztaty, spichrze, jadalnie ginęły teraz w strzelających pod niebo, jaskrawych płomieniach: tak paliły się pożegnalne pochodnie na nadmorskiej równinie.

Wieczorem na dzień przed wymarszem człowiek o okrągłej głowie siedział w kącie swego namiotu, czytając w świetle lampki oliwnej trzymany na kolanach zwój pergaminu. Ruszał wargami, jakby się modlił, niektóre fragmenty odczytywał półgłosem, zawodząc, a może śpiewając i składając lekkie, żarliwe pokłony; kiedy indziej potrząsał głową i wznosił odwrócone dłonie w geście protestu – całe jego ciało brało udział w lekturze. Takim właśnie zobaczył go pasterz Hermios, gdy wpadł na chwilę do starca w odwiedzinie.

– Cóż ty takiego robisz? – zdumiał się.

– Spieram się z Bogiem – odpowiedział starzec.

– A czy tak wolno?

– To zależy – odparł okrągłogłowy. – Mój Bóg żąda, abyśmy się z nim spierali. Potrzebuje tego – w przeciwnym razie niepokoi się o siebie i o ludzkość. I właśnie dlatego płata ludziom wszelkie możliwe figle.

– Co za figle? – dopytywał się Hermios. W gruncie rzeczy przyszedł do starca po pociechę, bo przygnębiała go myśl o opuszczeniu Miasta Słońca. Teraz jednak zapomniał o swoim zmartwieniu i płonął z ciekawości, jakież to figle płata śmiertelnikom ów kłótlivy Bóg okrągłogłowy.

– Napisane jest – zaczął starzec – że ludzie w swej wędrówce ze wschodu dotarli do doliny między dwoma rzekami, osiedlili się tam i zapragnęli zbudować miasto.

– Gdzie była ta dolina? – zainteresował się pasterz Hermios. Rozsiadł się na podłodze i słuchał w nabożnym skupieniu.

– Kawał drogi stąd – odpowiedział starzec. – Pomiędzy wysokimi górami i morzem, ale

niech cię to nie dziwi, bo wszędzie znajdziesz jakieś doliny między górami i morzami. No i mówili do siebie: słuchajcie, zbudujmy miasto, jakiego dotąd nie było, żebyśmy nie musieli w nędzy tułać się po świecie. Ścinali więc drzewa, a woły ściągały pnie w dolinę; zamiast kamieni mieli cegły, jako zaprawy używali mułu. I tak powstało ich miasto, ale ludziom wciąż było mało. Powiedzieli więc sobie: zbudujmy wieżę, jakiej nigdy dotąd nie było, żebyśmy mogli zewsząd ją widzieć i nie musieli błąkać się po świecie.

– Wieżę? – Hermios był rozczarowany. – Nic nie wiem o żadnej wieży.

– Nie przejmuj się. Śmiertelnicy budowali wiele różnych wież, czasem z cegieł, czasem jeszcze inne. W górze siedzi jednak Bóg i patrzy na wieże sięgające jego niebieskiego królestwa. Chciałby zakazać tego ludziom, tak jak było z pewnym drzewem w pewnym ogrodzie. Ale ludzie budowali tę wieżę, by pokazać swą wyższość nad wszystkim stworzeniem, na chwałę swego stwórcy, no i także, żeby go zezłościć. Bogu, który na to patrzył, trochę to pochlebiało, ale jednocześnie był zły i zastanawiał się, jakiego figla mógłby im wypłatać. Usłyszał wówczas, że wszyscy oni mówią tym samym językiem i rozumieją się wzajemnie, co jest naturalne wśród istot mających ten sam cel i cierpiących tę samą dolę.

I zastanowił się Bóg: do czego to doprowadzi? Stanowczo zbyt dobrze śmiertelni porozumiewają się ze sobą, o wiele za wysoka jest wieża, którą budują, a jeśli to dopiero początek, czym to wszystko się skończy?

Może nawet osiągną w końcu swój cel i nauczą się żyć w pokoju, co byłoby ciężkim naruszeniem reguł gry, jaką prowadzę z ludźmi. Pora więc zabrać się do dzieła – zrobimy im psikusa i pomieszymy im języki, żeby jękali się, bełkotali i wrzeszczeli, nie mogąc dogadać się ze sobą, chociaż jako istoty mają ten sam cel i cierpią tę samą dolę. I rzeczywiście tak zrobił, a oni, nie mogąc się porozumieć, porzucili wieżę i rozpierzchli się po całym świecie.

Hermios uśmiechnął się smutno, szczerząc poźółkłe zęby.

– Okropna opowieść – powiedział.

– Wszystkie one są okropne – rzekł starzec i w zamyśleniu pokiwał głową. – Wszystkie te opowieści mają początek, ale nigdy się nie kończą. Jest opowieść o nadgryzionym jabłku, o drabinie, po której pewien człowiek wspiął się niemal na sam szczyt, ale przetrącił sobie kość biodrową i kulał do końca życia, o wieży porzuconej w połowie budowy, którą później zniszczyły deszcze i wichury.

Hermios milczał przygnębiony. Po chwili zapytał:

– I o to właśnie spierałeś się z Bogiem, kiedy przyszedłem tutaj?

– Zgadłeś – odpowiedział – bo i z kim innym mógłbym się kłócić w sprawie tej pięknej wieży? Może z deszczem? Z nocą? Z sirocco, który szarpie na wszystkie strony *velum* na maszcie?

W obozie czuło się odświętny nastrój, taki sam, jak w dniu, kiedy tu przybyli. Nad warsztatami, spichrzami i jadalniami buchały w niebo płomienie: pożegnalne pochodnie. Rada Thurium też zachowała się elegancko: na pożegnanie przysłali w prezencie dwadzieścia baryłek starego falerna. Później, w środku nocy, kilkuset ludzi wyruszyło z obozu, żeby podziękować wspaniałomyślnemu miastu. Niespecjalnie się z tym kryli; łupili, rabowali i gwałcili z umiarem. Obywatele Thurium powinni się cieszyć, że wykręcili się stosunkowo małym kosztem. Spartakus udawał, że nic nie wie. Niczego nie widział ani nie słyszał.

Rano wyruszyli.

Było ich wciąż jeszcze czterdzieści tysięcy. Trzydzieści tysięcy poszło z Kriksosem, reszta rozpierzchła się po świecie.

Za nimi dopalały się pogorzelniska Miasta Słońca.

13. Pragnienie trwania

Rankiem, po wymarszu niewolniczej armii, Hegio, obywatel miasta Thurium, znów stał na płaskim dachu swojego domu. Oślepiająca krawędź tarczy słonecznej dopiero zaczęła wynurzać się z morza, od strony wody wciąż jeszcze płynął świeży, krystaliczny aromat wodorostów i gwiazd, ale już zapowiadał się kolejny upalny dzień.

Niosło się ochryple pianie kogutów; wielka wioska pełna białych kolumn powoli budziła się z pogodnej, porannej ciszy. Krętymi uliczkami wśród kamiennych ścian domów pierwsi pasterze gnali kozy, przesywając powietrze świdrującym dźwiękiem swych piszczałek. W oddali, na polach u podnóża gór, pasły się stada białych bawołów; zdziwione zwierzęta unosiły ciężkie łby i węszyły woń spalenizny dolatującą z opustoszałego miasta niewolników. Z płaskiego dachu domu Hegia widać było cały czworokątny teren ograniczony wałem; bezludne, proste ulice, dopalające się resztki warsztatów i jadalni – to wszystko, co tak niedawno było stutysięcznym miastem. Wały rychło zaczną się rozpadać, stopniowo pokryje je gorący, suchy pył; dzieci mieszkańców Thurium najpierw z biciem serca będą zakradać się na to przeklęte miejsce, aż wreszcie zuchwale je przekroczą i na pustych ulicach zaczną się bawić w bandytów i żołnierzy. Coraz grubsza będzie warstwa pyłu na ruinach, a kiedy spadną deszcze, zmienią go w glinę; niedługo pługi ciągnięte przez woły zaczną orać grunt, tak jak dzisiaj orzą ziemię pokrywaną szczątki Sybaris. A kiedyś być może uczeni i historycy przypomną sobie legendy o dziwnym Państwie Słońca, którego fundamenty sięgają jeszcze dawniejszych legend i kopiąc w głąb przeszłości odnajdą zerwane łańcuchy, znaki armii niewolników albo glinianą miskę mego sługi Publibora.

Hegio uśmiechnął się po swojemu, trochę jak dziecko, a może jak starzec. Westchnął i raz jeszcze spojrzął na martwe miasto. Dokuczał mu głód, poza tym miał poczucie winy, bo od nocy poprzedzającej nadejście trackiego księcia nie dopełniał obowiązków małżeńskich. W końcu zdecydował się zejść po żelaznych schodach, obudzić matronę i zażądać śniadania. Nagle na tle wciąż jeszcze pograżonej w cieniu przeciwległej ściany zauważył nieruchomą sylwetkę młodzieńca. To Publibor, jego niewolnik, patrzył żałośnie w stronę domu. Hegio bardziej się ucieszył niż zdziwił, choć ze strachem pomyślał, jak zareaguje żona, gdy dowie się o powrocie młodego buntownika. Jest Rzymianką – nie ma poczucia humoru i do wszystkiego podchodzi ze

śmiertelną powagą. Chyba będzie lepiej, gdy sam porozmawia z nią o tym przy śniadaniu, w cztery oczy. Konspiracyjnie dał chłopakowi znak, żeby został na zewnątrz. Publibor nie powiedział ani słowa, lekko kiwnął głową i bez ruchu czekał dalej w cieniu pod ścianą.

Stał tam nadal, kiedy Hegio wyszedł pół godziny później i pogodnym tonem zaprosił go na zwyczajową poranną przechadzkę nad rzekę Crathis. Pies, spuszczonej z łańcucha ujadł i radośnie podskakiwał do młodzieńca, który poważnie gładził go po głowie. Wyglądało na to, że obaj podobnie cieszą się z tego spotkania. Hegio przyglądał się im z rozbawieniem. Najwyraźniej pogodził się z sytuacją, ale w jego spojrzeniu wciąż pozostał cień niechęci.

– I co – zwrócił się do niewolnika – nadal życzysz mi śmierci?

Chłopiec spojrział na niego z przejęciem i powoli pokręcił głową.

– Widzę, że niczego się nie nauczyłeś – powiedział Hegio. – Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, że chcesz; byłby jakiś efekt.

Zdawał się naprawdę poirytowany tym, że Publibor już nie czeka na jego śmierć. W milczeniu wyszli z miasta, Hegio szedł z przodu, niewolnik o krok za nim, a pies to wybiegał przed nich, to znów zostawał z tyłu.

– I jeszcze jedno – rzekł po chwili Hegio i nie zwalniając kroku odwrócił głowę do tyłu. – Matrona chce oczywiście najpierw cię wychłostać, a dopiero potem wybaczyć. Myślę, że byłby to zabieg raczej symboliczny, niż bolesny. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ma do tego prawo.

Publibor nie odpowiedział. On też nie zwalniał kroku, szedł z wzrokiem wbitym w kocie łby, ale na policzkach pojawił mu się ledwie widoczny rumieniec. Obaj milczeli.

Kiedy dotarli do rzeki Crathis i ułożyli się na trawie, Hegio znów odezwał się:

– Chyba byłem wobec ciebie niesprawiedliwy. Ja też mogłem zachować się lepiej. W momencie gdy wróciłeś rozczarowany i pozbawiony wszelkiej nadziei, należało ci po prostu oświadczyć, że jesteś wolny. Byłoby to naprawdę piękne rozwiązanie – filozoficzny gest z moralnym przesłaniem. No tak, ale tylko od innych ludzi zawsze oczekujemy, że zachowają się jak należy.

W milczeniu patrzyli na kozy pasące się przy wałach opustoszałego miasta, wsłuchani w dolatujące z daleka pobrzękiwanie ich dzwonek.

Potężne, łagodnie pofalowane góry zamykały horyzont.

– A jeśli chodzi o twój powrót, doskonale rozumiem, czemu to zrobiłeś – rzekł Hegio. – We mnie też są dwie przeciwstawne siły: pragnienie, żeby odejść, i pragnienie trwania. Można je też

nazwać pragnieniem zniszczenia i pragnieniem ocalenia. Tylko te dwie siły istnieją – czy w tobie samym, czy poza tobą – a ich zmaganie trwa wiecznie. Zwycięstwo jednej nad drugą jest zawsze pozorne i nietrwałe – tak samo jak przejście z życia w śmierć tylko wydaje się końcem, a przecież jest to błędne koło. Ten, kto odchodzi, nie może oderwać się od wspomnień, a kto pozostaje, skazuje się na dręczącą tęsknotę. I niezmiennie, od wieków, ludzie lamentują, siedząc na ruinach.

– Mówili – rzekł niewolnik, nie odrywając wzroku od wału otaczającego opustoszałe miasto – mówili mi, że czas jeszcze nie dojrzał. Że jest za wcześnie albo za późno.

– Coś w tym jest – powiedział Hegio z wzruszającym uśmiechem, w którym było jednocześnie i dzieciństwo, i starość. – Miałeś pecha, trafiając na świat, który już nie może żyć, ale nie jest w stanie umrzeć. Od dawna wszystko, co rodzi, jest albo bezsensowne, albo jałowe; lecz sił bezwładnego trwania nie da się pokonać. Możesz zapytać matronę, a dowiesz się, jak niepochlebnie ocenia moje siły i moją męskość. Ona także uważa, że jestem za stary, żeby się jeszcze do czegoś nadać, a za młody, żeby umrzeć. No i tak oto, mój biedny Publiborze, będziesz musiał jeszcze jakiś czas mnie znosić – nawet jeśli moja śmierć nie wydaje ci się już czymś aż tak bardzo upragnionym...

Ręka Hegia, którą w geście pocieszenia położył na ramieniu Publibora, zaczęła wędrować w dół jego ciała. Uśmiechał się, nie odwracając od chłopca spojrzenia, w którym była rezygnacja i odrobina gorzkości.

Zaskoczony i apatyczny Publibor nie sprzeciwiał się.

– Widzisz – mruknął po chwili Hegio – to też jest jakimś wyjściem i sposobem, żeby się cieszyć sobą nawzajem. Jeśli chcesz, potraktuj to jako symbol. Biorąc pod uwagę, czym obaj jesteście i ile naprawdę znaczymy, nie widzę dla nas żadnego lepszego rozwiązania.

Słońce wspięło się wyżej, a drzewka oliwne nie dawały już ani odrobiny cienia. Pies leżał w trawie, ciężko robiąc bokami; wywiesił język i zwrócił ku nim głowę, obserwując ich nieruchomym, szklistym wzrokiem.

Księga czwarta

SCHYLEK

Interludium

Delfiny

Pisarz Kwintus Aproniusz w doskonałym nastroju idzie podcieniem term.

Za kilka miesięcy minie dokładnie dwadzieścia lat jego pracy na stanowisku urzędnika państwowego i przewodniczący sądu handlowego, jego zwierzchnik, obiecał objąć go swoją oficjalną protekcją.

Aproniusz, któremu ostatnio zaczęły odrobinę drżeć ręce, nie będzie już musiał sporządzać protokołów; jako dostojny członek świty sędziego pozwoli sobie na przechadzki po mieście, z elegancko ułożoną togą, będzie nadzorował pracę niegdysiejszych kolegów i surowo strzegł, by wszystko toczyło się jak należy; będzie też zapraszany na rodzinne przyjęcia w domu swego patrona i protektora. Poza tym są pewne przesłanki, które wskazują, że Czyciele Diany i Antinousa mogą w tym roku wybrać na stanowisko przewodniczącego właśnie swego wieloletniego sekretarza.

Pod łukowym sklepieniem łaźni trwa zwykła krzątanina; tylko łysego prawnika Fulwiusza, agitatora i podżegacza, nie widziano tu już od pewnego czasu. Podobno przyłączył się do rozbójników, gdzie ma okazję popisać się mordowaniem, plądrowaniem świątyń i gwałceniem dziewczyc.

Zawsze uderzał Aproniusza obleśny i okrutny wyraz twarzy tego człowieka. Ha, już niedługo los wymierzy sprawiedliwość i jemu, i jego kompanom. Bo mówi się, że bandyci opuścili swoje miasto na południu i ich koniec jest już bardzo bliski.

W radosnym nastroju wchodzi Aproniusz do Sali Delfinów i natychmiast dostrzega tam dwóch swoich znajomych: przedsiębiorcę teatralnego Rufusa i dyrektora igrzysk, Lentulusa, zatopionych w pełnej zadumy konwersacji połączonej z trawieniem; obaj nieco zdawkowo i z rezerwą pozdrawiają go, gdy zajmuje swoje zwykłe miejsce. Ale Aproniusz ma zbyt dobry humor, by go to speszyło; jego funkcje fizyczne są znów w idealnym porządku i już wkrótce, och, naprawdę bardzo niedługo, nie będzie musiał u nikogo zabiegać o darmowe bilety; wprost przeciwnie, to inni będą sobie poczytywać za zaszczyt spędzenie godzin sjeisty w towarzystwie Honorowego Przewodniczącego renomowanego klubu i osobistego protegowanego

przewodniczącego sądu.

Aproniusz nawiązuje pogodną rozmowę, wygłasza kilka ogólnych uwag na temat odpłaty za winy i strasznej zemsty, która wkrótce stanie się udziałem bezczelnych buntowników i jest szczerze zdziwiony, gdy jego słowa spotykają się z dość powściągliwą reakcją. Impresario, ubrany w modną szatę kąpielową – kilka miesięcy wcześniej Aproniusz postanowił zafundować sobie identyczną – wzrusza ramionami i krzywi się.

– Z czego tak się cieszysz, Aproniuszu? – pyta. – Myślisz, że będzie ci się cokolwiek lepiej powodziło, kiedy pozabija się tych ludzi? Zaczekaj tylko, zobaczysz, że lada moment zaczną się prawdziwe kłopoty. Skarb jest pusty jak nigdy, ceny pszenicy szybują do niebotycznej wysokości, w Rzymie panuje kompletny bałagan; nie tak dawno trybun Licyniusz Macer wygłosił mowę, w której otwarcie zachęcał lud, by odmawiał służby wojskowej dla państwa. Jeżeli Senat w ogóle zdoła stłumić bunt, to tylko dlatego, że tamci ludzie są tak uprzejmi, iż w decydującej chwili kłócą się między sobą. Jest to najwyraźniej zjawisko wielce charakterystyczne dla wszystkich rewolucji, które w ten sposób same sobie podają antidotum. Nie ma jednak żadnych podstaw, by żywić złudzenia co do przyszłości.

Pisarz Aproniusz zastanawia się, co takiego stało się z impresariem i jego czarującym dowcipem; skąd nagle taka złośliwość? Nie pozwoli jednak, by ktokolwiek zmaćnił mu miły nastrój i dochodzi do wniosku, że Rufus ma pewnie kłopoty z trawieniem. Stwierdza pojednawczo, że skoro kampanię prowadzą dwaj konsulowie osobiście, to znaczy, że są jeszcze w Rzymie prawdziwi mężowie, a to powinno uspokoić nastroje.

Ale Rufus uśmiecha się tylko pogardliwie, zaś organizator igrzysk patrzy ponuro przed siebie. Jeszcze niedawno obaj liczyli na zwycięstwo sojuszników Spartakusa, emigrantów z Hiszpanii, i postawili na spadek cen pszenicy; radosny ton pocziwego pisarza, z jego trawienną filozofią działa im na nerwy bardziej niż kiedykolwiek.

– Mężowie? W Rzymie? – mówi Rufus i aby rozdrażnić mizernego urzędniczynę, dodaje zadziornie, że być może to Spartakus jest takim mężem, ale jeśli chodzi o rzymskich panów, to rządzą odziedziczonym imperium jak przysłowiowy jeździec, który na pytanie, dokąd tak pędzi, odpowiada: „Nie pytaj mnie, spytaj konia”. Ponieważ od czasu, gdy zamiast powszechnej służby wojskowej nastąpiły wojska najemne, to ich wodzowie, a nie państwo dzierżą prawdziwą władzę. Znowu zanosi się na dyktaturę wojskową, może nawet na restaurację królestwa; żywy trup republiki ze zmysłową ulgą wyda ostatnie tchnienie, kiedy żelazna dłoń porządnie schwyty go za

gardło... A wtedy co?

– Rozejrzyj się, bardzo proszę, szanowny przyjacielu – woła masywny przedsiębiorca teatralny, prorokując ze swego tronu w Sali Delfinów.

– Otwórz oczy i popatrz wokół siebie. Podstawy gospodarki i widoki na dobrobyt jednostki kurczą się i maleją z dnia na dzień; w tym kraju nie produkuje się dziś nawet dzieci. Suburra pełna jest specjalistek od poronień; kobiety z ludu zabijają płód w łonie pchnięciem druta do robótek ręcznych, a za przerwanie ciąży płaci się akuszerkom dwa razy tyle, co za przyjęcie porodu. Rasa wilczyca wymiera, przyjacielu, na jej miejsce przyjdą później szakale...

Przejęty szczerym, gorzkim żalem Rufus podnosi głos; kilka osób z pobliskich marmurowych siedzeń patrzy w ich stronę. Kwintus Aproniusz wstaje i dość szybkim krokiem odchodzi. Nie chce, by ktoś psuł mu dobry humor, poza tym w tych czasach nie należy zbyt często pokazywać się w towarzystwie ludzi, którzy otwarcie demonstrują buntownicze nastroje.

Wracając przez oskijską dzielnicę do domu, Aproniusz przypomina sobie słowa impresaria. Czyż nie wyraził wprost swoich sympatii do wrogów republiki, czy nie uznał zbiegłego gladiatora i rewolucjonistę ni mniej, ni więcej tylko za jedyne go męża, jakiego zna Rzym? Pisarz zastanawia się, czy jako patriota i przyszły przewodniczący klubu nie powinien wspomnieć o tej sprawie sędziemu. Najwyższy czas położyć tamę intrygom ludzi o niejasnym pochodzeniu, którzy podburzają uczciwych obywateli przeciw Władzy, ani razu nawet nie proponując im darmowego biletu; czas przywrócić ład i porządek.

1. Bitwa pod górą Garganus

Marek Kato miał w tym czasie dwadzieścia trzy lata. Jako chłopiec rósł zbyt szybko i teraz jego chude ciało z trudem przybierało proporcje właściwe mężczyźnie. Nigdy nie widziano go inaczej jak z księgą lub manuskrytem pod pachą, nawet gdy był sam nieustannie poruszał wargami. Wybrał się na wyprawę konsula Gelliusa jako ochotnik; żołnierze wyśmiewali się z niego i bali się suchych i nużących wykładów, do wysłuchiwania których próbował ich zmuszać. Wiedzieli, że podobnie jak król Romulus, Marek Kato nie nosi pod ubraniem bielizny, że nie spał ani z kobietą, ani z mężczyzną, i że chce naśladować surowy, ascetyczny tryb życia, jaki prowadził jego prapradziad, Kato Starszy. Kpili z niego, ale w gruncie rzeczy ten fanatyczny młodzieniec zbijał ich z tropu. Ktoś kiedyś dla żartu nazwał go z szyderczym patosem Katonem Młodszym i tak już zostało.

Caepio, starszy brat Katona, jako oficer też brał udział w kampanii.

Był prawą ręką konsula. Przystojny, męski i zepsuty przez rzymskie damy, martwił się bardzo z powodu nieudanego brata. Kato już dawno powinien był zostać dowódcą i zająć w rzymskiej armii miejsce stosowne dla potomka starej, arystokratycznej rodziny, ale chłopak uparł się, że odsłuży swoje jako szeregowiec, z pogardą unikał kontaktów z obytym w świecie Caepionem i odmówił przejścia do legionu brata.

– Robi z siebie głupca – skarżył się z rozpaczą Caepio Gelliusowi.

Konsul słuchał z uśmiechem; jego zdaniem młody skrupulant w ogóle nie zasługiwał na zainteresowanie.

– Twój brat to wybitny młody człowiek – powiedział. – Znajdzie sobie zapewne jakąś sektę stoików albo popelni zabójstwo na tle politycznym, albo zrobi coś równie absurdalnego, co, zależnie od okoliczności, zostanie uznane za uczniowski figiel albo za bohaterski czyn.

– Może jeszcze wydorosleje – odezwał się Caepio.

– Nie, zapewniam cię – odpowiedział konsul. – Znam ten typ. Nigdy w życiu nie dorośnie. Młodszy Grakchus był dokładnie taki sam. W rozwoju ludzkości są widać okresy, w których tacy wieczni młodzieńcy tworzą historię. To nie ich wina, tylko historii. I obawiam się, przyjacielu, że znów żyjemy w takich niewydarzonych, niedojrzałych czasach.

Konsul Lucjusz Gellius Publicola miał słabość do filozoficznych uwag.

Lubił cytować swego przyjaciela, Warrona, który utrzymywał, że nic nie dorówna prawdziwym sporom dawnych filozofów, i wyznawał zasadę, że spór stoików daleko przewyższa wszelkie wyczyny na arenie. Przed laty Gellius, wówczas namiestnik Grecji, stał się autorem farsy, która wstrząsnęła całym Rzymem, a najbardziej nim samym. Zebrał przedstawicieli skłóconych ze sobą ateńskich szkół filozoficznych, zamknął ich w jednej sali i zażądał, by w końcu jednomyślnie ustalili definicję prawdy; zapowiedział, że on sam będzie przewodniczył dyskusji i nikomu nie pozwoli wyjść, dopóki nie zostanie osiągnięta zgoda. Przedsięwzięcie przybrało fatalny obrót, do akcji musiała ostro wkroczyć zbrojna eskorta namiestnika, a w końcu, zanim jeszcze prawda została zdefiniowana, zmuszono Gelliusa do otwarcia drzwi, by uniknąć zbyt wielu ofiar. Tak czy inaczej, z pedagogicznego punktu widzenia Gellius odniósł zwycięstwo, gdyż ateńscy filozofowie wykazali nieznaną w dziejach jednomyślność, zwracając się ze wspólną petycją do Senatu Rzymu, żądającą dymisji namiestnika. Attikus, który wtedy przebywał w Atenach, wysłał wierny opis tych wydarzeń Cynceronowi, a Gellius zdobył sławę, która okazała się bardzo istotnym czynnikiem przy wyborze jego osoby na konsula.

W północnej Apulii, w pobliżu góry Garganus, rzymska straż przednia natknęła się na trzydzieści tysięcy Celtów i Germanów pod wodzą Kriksosa. Wrogie armie zajęły dwa przeciwległe wzgórza na północnym brzegu rzeki.

Dwaj konsulowie rozdzielili się, po części z powodów strategicznych, a po części dlatego, że nie przepadali za sobą i żaden nie chciał dzielić się zwycięstwem z drugim. Gellius poszedł naprzód, aby spotkać wroga w Apulii; jego kolega Gnejusz Lentullus miał strzec północnej Italii przed ewentualnym atakiem armii niewolników. Trudno byłoby dopatrzeć się w tych posunięciach logiki, ale Senat od dawna bał się wtrącać w sprawy wodzów, a tym razem dowodzili sami konsulowie, co w mniejszym lub większym stopniu świadczyło, że w kraju panuje stan wyjątkowy.

Pierwsza noc pod Garganusem minęła spokojnie. Rzymianie umacniali obóz, Celtowie obwarowali się na wzgórzu w klasycznej twierdzy z wozów. Rzymski zwiadowca donosił o tym z punktu obserwacyjnego Caepionowi, który z kolei o wszystkim informował konsula.

– To nie armia, to cały wędrujący lud – opowiadał ze zdumieniem. – Kobiety, dzieci, konie, wozy zaprzężone w woły, bydło i osły. Z wozów i ze wszystkich swoich rupieci budują barykadę wokół całego wzgórza, a cały ten mur z gratów wzmacniają czym się da, nawet workami

z ziarnem i żywymi zwierzętami.

– Okropność – powiedział konsul. – Ci ludzie nadają wojnie osobiste, ludzkie piętno. Czy zwyciężymy, czy przegramy, i tak będzie to upokarzające.

– Można by spróbować – wtrącił Caepio – podpalić tę ich barykadę.

Otoczyli nią cały obóz. Wewnątrz jest tylko sucha trawa. Przynajmniej połowa ludzi usmaży się żywcem.

– Podoba ci się ten pomysł? – spytał Gellius. – Tylko, na bogów, nie mów mi, że na wojnie jak na wojnie, albo coś w tym rodzaju.

Caepio wzruszył ramionami.

– Cała ta wojna nie podoba mi się bardziej niż tobie, Gelliusie. Ale nie powiedziałbym, że bardziej wyrafinowane metody obowiązywały w wojnie z Mitrydatesem. W końcu zatrzał studnie.

– Na swój sposób zatrzał i ciebie – stwierdził konsul. Wiedział, że jego całkiem nie żołnierski dowcip wprawia Caepiona w furję, ale naprawdę nie był w stanie zmusić się, by wydać rozkaz podpalenia nieprzyjacielskiego obozu. Sama myśl o odorze palących się ciał niemal przyprawiała go o mdłości.

Ułatwiono mu jednak podjęcie decyzji, ponieważ wartownik przy wejściu zameldował Rosciusza, oficera z Trzeciego Legionu, który wszedł natychmiast, z ponurą miną stanął na baczność i niesłychanie uroczystym gestem oddał honory. Ten weteran z czasów Sulli zwracając się do konsula aż nazbyt gorliwie przestrzegał zasad wojskowej etykiety, protestując w ten sposób przeciw niefrasobliwemu zamiłowaniu Gelliusa do światowego życia. Po wymuszonym uśmiechu, jaki wykrzywił potężne wąsy przybysza, konsul odgadł, że Roscusz przynosi złe wiadomości.

Oficer zameldował, że przyprowadzono mu wysłannika strony nieprzyjacielskiej, który w imieniu swojego wodza proponuje, by zgodnie ze starym obyczajem Celtów i Germanów wyznaczyć dzień i godzinę bitwy. Ponadto – w tym momencie Roscusz z trudem powstrzymał wesołość – nieprzyjacielski watażka, czyli gladiator cyrkowy Kriksos, chciałby stoczyć pojedynek z wodzem rzymskim Lucjuszem Gelliusem Publicolą, co także należy do celtycko–germańskich zwyczajów. On sam czeka teraz na instrukcje, jak ma potraktować te propozycje.

Młody Caepio spurpurowiał ze wstydu i gniewu. Roscusz wyszczerzył zęby. Konsul uśmiechnął się. Przez króciutką chwilę miał ochotę przyjąć wyzwanie, choćby po to, żeby rozzłościć starego żołnierza i tym pojedyńkiem jeszcze bardziej rozjątrzyć ranę spowodowaną

upokarzającą wojną przeciw niewolnikom i gladiatorom. A może i poczucie poniżenia samo dzięki temu zniknie? Cóż za łamigłówka dla jego przyjaciół filozofów w Atenach. Natychmiast jednak przywołał cały swój spokój i rozsądek: absolutnie nie da się przecież traktować historii jako areny.

Uśmiechnął się promiennie i życzliwie spoglądając w mrugające oczy weterana Rosciusza, rozkazał powiesić posłańca, nie przedłużając mu niepotrzebnie męki, po czym skinął głową na pożegnanie. Rosciusz elegancko zasalutował i wymaszerował z namiotu. Gellius zwrócił się do Caepiona i wydał rozkaz ataku na pozycje wroga tuż przed wschodem słońca, z pięciu stron naraz. Caepio nie odważył się wrócić do tematu podpaleń.

Kriksos przeprowadzał inspekcję obozu. Wlókł swoje potężne, okryte zbroją cielsko od jednej grupy do drugiej, mroczny i milczący. Budził jednak zaufanie. Gdziekolwiek się pojawił, witano go przyjacielskimi, soczystymi przekleństwami. Nigdy nie odpowiadał; tu i ówdzie kopnął w jakiś słabszy element barykady, poczekał, aż go zreperują, i szedł dalej.

Plan miał prosty: pozostawić atakowanie Rzymianom. Niech sobie rozbiją łyse czaszki o obozowisko; kiedy się zmęczą drugim czy trzecim bezowocnym szturmem, oblegani wyskoczą z ukrytych przejść w obwarowaniach, w sześciu miejscach naraz, i rozniosą ich na miejscu. A zaraz potem ruszą znów na północ, do domu.

Na północ, do domu. Czy taki jest właśnie cel? Kriksos nie zadawał pytań. Na północy jest rzeka Pad, a za nią Galia Przedalpejska, Liguria, kraj Lepontów. A dalej góry. Wysokie są te góry, schodzą z nich ryczące lawiny, pokrywa je tający, letni śnieg, dookoła, w zawieruchach, ścigają się bogowie i demony. Na szczytach panuje cisza. Ale za tym wszystkim, za progiem nieba, zaczyna się kraina wspomnień. Czy naprawdę wspomnień, czy tylko tęsknoty do wyśnionej legendy? Kriksos nie zadawał pytań. Orszaki bosych kapłanek i druidów w długich, białych szatach podążają w ciszy drogami Galii i Brytanii. W srebrnym rydwaniu, w otoczeniu błyszczącej świty – myśliwych z psami na smyczy i wędrownych bardów – Król Roku podróżuje po swych posiadłościach, rozrzuca złoto po drodze. W srebrnych łańcuchach na szyi, z groźnymi wąsiskami, uczują rycerze przy długich stołach; między jednym i drugim daniem walczą mieczami, na śmierć i życie, o comber, o najtłustszy kawał wieprzowiny, o nagrodę dla najdzielniejszego. A kiedy nie będzie już ani kropli wina w pucharze i ani jednej monety w sakwie, rycerz sprzeda swe życie za pięć baryłek wina, ugości przyjaciół i z ciężką głową

położy się na własnej tarczy, czekając spokojnie na śmierć z ręki wierzyciela.

Tylko czy ta ojczyzna za Padem i za pokrytym śniegami progiem niebios wciąż jeszcze naprawdę istnieje? Kriksos nie zadawał pytań. Idą na północ, w okryte mgłami królestwo przeszłości. Wracają do domu.

Daleko za nimi zostanie wszystko – Wezuwiusz, Państwo Słońca z pozbawionymi treści prawami, cała ta poroniona, zdeformowana przyszłość.

Przed nimi leży przeszłość, zwana ojczyzną, prastara mgła, która ich zrodziła. Czy można mieć jakiegokolwiek wątpliwości, co wybrać? Nie zadają pytań. Północ przyzywa ich do źródeł i tam dążą, by zamknął się mroczny cykl.

Nad ranem, na krótko przed pierwszym szturmem Rzymian, Kriksosowi znów przyśniła się Aleksandria. Zasnął na stojąco, oparty plecami o źle zbudowany odcinek barykady. Śniło mu się, że jest w łóżku z kobietą, która śpiewa. Żadna ze znanych mu dziwek tak nie śpiewała. Wsłuchiwał się, chcąc wiedzieć, czy to śpiew cichy i łagodny, czy wściekły i zdał sobie sprawę, że już kiedyś miał taki sam sen; na Wezuwiuszu, w namiocie pretora Klodiusza Glabera. Obudził się wkrótce, ale pod ciężkimi powiekami nie pozostał żaden ślad obrazów ze snu. Kopnął kiepski fragment umocnień, poczekał, aż go poprawią, i znów ruszył w obchód, opancerzony, ponury i milczący.

Rzymianie zaatakowali zaraz po wschodzie słońca. Szturm pod górę, bieg pod gradem strzał i oszczepów, w przerażającej ciszy, która panowała za barykadą, nie był rzeczą miłą. Atak przeprowadzono wzorowo; każdy z dwóch uczestniczących w nim legionów stracił połowę ludzi, odczekał na sygnał do odwrotu i popędził w dół nie łamiąc szyku.

Caepio i konsul Gellius obserwowali bitwę z sąsiedniego pagórka.

Caepio zbladł na widok legionów zsuwających się po zboczu; pomyślał o podpalaniu i przygryzł wargę. Ramię konsula zatoczyło łuk obejmujący całe pole bitwy i wszystkich, którzy na nim biegli i padali, martwych i rannych.

– Wcielenie absurdu – powiedział. – To nie do wiary, że dorośli ludzie mogą się w ten sposób zachowywać.

Caepio zbiegał z wściekłości.

– Twoja filozofia, panie, kosztowała nas do tej pory życie trzech tysięcy Rzymian.

Brwi konsula uniosły się w zdumieniu, ale jego ripostę zagłuszył sygnał do drugiego ataku,

który znów pchnął w górę masę ludzką pod grad strzał i oszczepów. Zasypały one przednie szeregi, zanim Gellius zdążył obmyślić odpowiedź; zbocze pokryły dziwnie powykręcane ciała o rękach i nogach jak powyrywane kończyny zepsutych lalek.

– Czy dobrze usłyszałem słowo „filozofia”? – zawołał konsul usiłując przekrzyknąć hałas.

Caepio tracił panowanie nad sobą. Z trudem hamowana furia spowodowała takie napięcie nerwów, ścięgien i mięśni, że drętwiały mu stopy ściśnięte rzemieniami i okryte pancerzem łydki.

– Niedobrze ci? – wrzasnął konsul.

– Pozwól mi, panie, osobiście poprowadzić atak – odkrzyknął, ale w połowie zdania sygnał ucichł i donośny głos śmiesznie zabrzmiał w niespodziewanej ciszy.

Drugi szturm został odparty. Ludzie Caepiona znów zbiegli w dół w uporządkowanym szyku. Niektórzy nawet zatrzymywali się, by podnieść rannych towarzyszy, ale z obawy, by nie zostać w tyle, rezygnowali z obarczania się ciężarem i znów przyśpieszali kroku. Ranni usiłowali łapać ich za nogi, wielu przewracali. Wiatr zmienił kierunek i z sąsiedniego wzgórza nie dochodził żaden dźwięk, żaden krzyk, wydarzenia toczyły się w ciszy, dobrze widoczne w przejrzystym powietrzu.

– Naprawdę odrażające – powiedział poblady konsul. – Ale to oczywiście wyłącznie estetyczny punkt widzenia. Człowiek skłonny jest zapominać, że wszyscy ci ludzie i tak umarliby w ciągu najbliższych dwudziestu lat, zapewne w bardziej okrutnych okolicznościach i nie zaznając przy tym wzruszeń, które te okoliczności łagodzą. Różnica polega jedynie na tym, że wojna skupia indywidualne procesy umierania na ograniczonej przestrzeni i w konkretnym, ograniczonym czasie. Czyni to z ich śmierci zjawisko masowe, a jednocześnie, w wyniku przyprawiającego o mdłości nagromadzenia, ujawnia jej całkowity bezsens. Ale nie daj się zwieść: każdy indywidualny proces umierania jest czymś ohydny i kompletnie pozbawionym sensu. To drastyczne zwielokrotnienie obnaża wcale nie absurdalność wojny, ale nedorzecznosc samej śmierci, śmierci jako takiej.

– Panie – odparł Caepio, niezdolny już zapanować nad sobą – gdybyś posłuchał mojej rady, wszyscy ci ludzie wciąż by żyli.

– Ale żeby to osiągnąć, inni by zginęli; więc cóż to za różnica? – odparł konsul i natychmiast pożałował swoich słów. Posunął się zdecydowanie za daleko, to zdanie może go zaprowadzić przed trybunał i kosztować głowę. Caepio popatrzył na niego z niedowierzaniem i przerażeniem,

odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa.

Gellius wzruszył ramionami. Dobrze mi tak, skoro daję się wciągnąć w takie szaleństwa, jak wojna, tytuły wojskowe i urząd konsula, pomyślał. Należało zostać przy filozofach. Tylko że to jeszcze więksi głupcy, a w ich szaleństwie jest jeszcze mniej godności. Konsul zmarszczył brwi, szukał odpowiedzi na pewne pytanie: co robi rozsądny człowiek, kiedy trafia w świat całkowicie wywrócony do góry nogami? Nie znalazł rozwiązania. Z zainteresowaniem spojrzął w stronę pola bitwy.

Wykorzystując chwilę przerwy w walkach, wzgórze obsiadła chmara kosów. Imponująca organizacja, pomyślał konsul, gdy jeszcze raz odezwał się sygnał do ataku; rój czarnych kropek wzbił się w powietrze, zostawiając wolne pole szturmującym. Jak precyzyjnie i pomysłowo funkcjonuje to, co nie ma sensu; gdyby jeden ptak dołączył do maszerujących albo jeden żołnierz pofrunął w górę, jakże by się wszyscy zdumiali. A jednak nie byłoby w tym ani odrobinę więcej szaleństwa, niż w ich zwykłym zachowaniu w tej chwili.

Caepio nie zdąży tam na czas, przemknęło przez głowę konsulowi, no i dobrze. Zwłoki przyjaciół i znajomych w szczególny sposób przyprawiają o mdłości i przydają związkom z nimi nieco teatralnego posmaku. Śmierć prowokuje do mało taktownych zachowań, na które normalnie nikt by sobie nie pozwolił. Dobrze wychowany człowiek nie powinien umierać. A gdzież się podziela moja szanowna świta? Zostawiają mnie tu i prowadzą sobie bitwę bez wodza.

Można przynajmniej popatrzeć w spokoju, pomyślał. W końcu zawsze to jakieś doświadczenie.

Trzeci szturm zaczął się podobnie do poprzednich. Konsul, wyciągając wnioski z dotychczasowych wydarzeń, czekał, aż w stosownym momencie spadnie grad strzał i oszczepów i uznał za rzecz naturalną, że w chwili, gdy atakujący wspięli się do jednej trzeciej wysokości wzgórza, nastąpiło to, czego się spodziewał: przednie szeregi wyrzuciły ramiona w górę, obróciły się z wdziękiem i teatralnym ruchem padły na ziemię.

Drażniła go tylko przeciągająca się cisza, w jakiej rozgrywało się to widowisko. Postanowił obserwować los jednego, konkretnego człowieka i zaczął śledzić wzrokiem młodzieńca o pięknej posturze, który piął się w górę zbocza; Gellius próbował przewidzieć, co zrobi młody człowiek, gdy zostanie trafiony. Nic go jednak nie dosięgło; konsul rozczarował się więc i stracił go z oczu w tłumie. Młodzieniec miał na imię Oktawiusz; uchylił się przed oszczepem, który omal nie

uderzył go w skroń, oszczędzając jednak ojca przyszłego cesarza Rzymu.

Tym razem na barykadzie rozgorzała wyjątkowo zacięta walka wręcz.

Wbrew wszelkim regułom prowadzenia wojny straszliwa rupieciarnia użyta przez Celtów do budowy umocnień okazała się skomplikowaną przeszkodą. Atakujący nie mogli wspiąć się na nią, bo grzęźli w dyszlach i kołach wozów, z każdej dziury wylaniały się oszczepy, topory i młoty, które kłuły, cięły i waliły, miażdżyły palce, rozrywały nogi i obcinały głowy. Konsul tego nie słyszał, ale atakujący wyli na całe gardło – czasem dla dodania sobie odwagi, bo prawie nic nie widzieli, czasem z bólu i wściekłości – natomiast obrońcy barykady działali cicho i skutecznie; ich oszczepy, topory i młoty kłuły, cięły i biły, szarpały ciała Rzymian. Dyszeli jak rzeźnicy nad wieprzową tuszą.

To się źle skończy, zdążył tylko pomyśleć konsul, kiedy w powietrzu ostro zabrzmiał sygnał. Szturmujący skwapliwie opuścili wały, konsul z trudem opanował wrażenie, że patrzy na z góry zaplanowaną, dziecięcą, ale okrutną grę. To jednak, co nastąpiło teraz, wyglądało na nieprzewidzianą improwizację.

Zaledwie atakujący wycofali się spod barykady, kiedy zamiast zwykłego deszczu kamieni i strzał, które powinny towarzyszyć ich ucieczce, z pozornie szczelnych umocnień wypadli sami obrońcy. Efekt był tak piorunujący, że konsul, mocno zaangażowany w obserwowanie widowiska, krzyknął z radości, jak wtedy, gdy w grze następuje nieoczekiwany, pomysłowy zwrot. I jak echo z sąsiedniego wzgórza doszedł go potężny ryk Celtów, który pokonał dystans i brutalnie wyrwał konsula z zadumy.

To naprawdę źle się skończy, pomyślał, i wtedy zaczęła się rzeź jego żołnierzy. Najwyraźniej potracili głowy; w kąt poszły honorowe zasady prowadzenia wojny, zniknęła broń, którą porzucali, potykając się o żywych i o martwych; padali na kolana osłaniając głowy tarczami, wykonywali przedziwne skoki i pląsy, szepieni koziółkowali w dół. Ścigający byli nad i pod nimi, w środku i naokoło jednocześnie; ich oszczepy, topory i młoty kłuły, cięły i uderzały; dyszeli z zadowolenia. Konsulowi zrobiło się niedobrze.

Odwody stojące u stóp wzgórza ogarnęła panika na widok tego wściekłego polowania, które było coraz bliżej. Najpierw tylko przyglądali się pędzącej lawinie; potem nieliczni, lecz najbardziej nerwowi rzucili się do ucieczki, a za chwilę dołączyli do nich pozostali, szczęśliwi, że kto inny podjął za nich decyzję. Nikt nie słuchał oficerów.

Konsul stojący na samotnym wzgórzu przestał wymiotować; w zdenerwowaniu bezładnie

wymachiwał rękami. Nikt na niego nie patrzył; on sam zresztą nie bardzo wiedział, co sygnalizuje. Opuścił ręce i rozejrzał się za Caepionem. Nigdzie go nie było. Pewnie się pogniewał na mnie, pomyślał i usiadł na trawie.

* * *

Ale dokładnie na wprost uciekających, z drugiego opustoszałego wzgórza kto inny też obserwował bieg wypadków. Wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć; wychudzone ciało kołysało się niepewnie, z trudem utrzymując równowagę, a wargi poruszały się bez przerwy. Kiedy pierwsi uciekinierzy dotarli do tego krańca doliny, Kato popędził z pagórka wymachując rękami; krzyczał w podnieceniu i niezdarnie próbował ich zatrzymać własnym mieczem. Widok był tak niezwykły, że kilku żołnierzy rzeczywiście stanęło; inni poszli za ich przykładem. Przebiegli już ponad milę i zostawili nieprzyjaciela daleko z tyłu; mogli więc złapać oddech.

Kato znalazł się w środku małej grupki; przemawiał do nich bez końca; wygłaszał jedno ze swoich przerażających kazań na temat obowiązków żołnierskich i cnót przodków. Coraz więcej uciekinierów dołączało do nich, chcąc zorientować się, co się dzieje; zatrzymywali się i już zostawali. Kto się znudził, siadał na ziemi. Kato wciąż mówił; doszedł teraz do niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą żarłoczność i rozwiąłość, cytował swojego prapradziada, a także Cyclerona i Homera. Koniec doliny tworzył naturalne zamknięcie, grupa zebrana wokół Katona zatrzymała napór kolejnych żołnierzy; ucieczka została zahamowana. Kiedy nieprzyjaciel płądrował obóz Rzymian, większa część armii rzymskiej zgromadziła się przy Katonie. A on wciąż mówił; nuda jaką roztaczał, okazała się silniejsza od powszechnej paniki.

Kiedy konsul i Caepio nadbiegli z przeciwnych kierunków, centurionowie zbierali już i na nowo ustawiali swoich ludzi. Ponieśli ogromne straty, ich obóz wpadł w ręce nieprzyjaciela, ale większość wojska zdołano uratować.

Konsul zwrócił się do zebranych, wywołał z szeregu młodego Katona, pochwalił go za wzorowe zachowanie i przyrzekł specjalną nagrodę i awans. Kato odpowiedział z nieznośną, irytującą skromnością, że zrzeka się awansu, gdyż ani on, ani nikt inny nie zrobił tego dnia nic, co zasługiwałoby na takie wyróżnienie. Żołnierze wyszczerzyli zęby. Konsul uśmiechnął się i uznał Katona za godnego spadkobiercę słynnego przodka. W tym momencie Caepio wybaczył konsulowi wszystkie grzechy; postanowił dać swojemu braciszкови po uszach, ale natychmiast

zdał sobie sprawę, że to na nic. Awersja do brata urosła w nim do takich rozmiarów, że zaczynała graniczyć z szacunkiem.

Kriksos zorientował się, że zaprzestanie pogoni było poważnym błędem. Widział wyraźnie, że jego władza nad ludźmi kończy się z chwilą, gdy rozkazy, jakie wydaje, są sprzeczne z ich pragnieniami. Gdy tylko opanowali obozy Rzymian i zobaczyli bogate zapasy wina i żywności, stracili wszelkie zainteresowanie wrogiem: zapowiadała się świetna zabawa, więc łysi mogli sobie biec, gdzie chcą. Kriksos próbował przemawiać im do rozsądku, ale śmieli się z niego:

– Udajesz Spartakusa, czy co? – Zamilkł, poszedł do namiotu konsula Gelliusa, kazał sobie przynieść wina i mięsa, wyciągnął się na kobiercu i upił się w ciszy i samotności.

Wystawiono strażę, ale był prawie pewien, że wartownicy też są pijani. Naprawdę należałoby ich skontrolować, zburzyć ich sen ciężkim stąpieniem, przestraszyć ponurym spojrzeniem, ukarać, mówić i działać jak Spartakus. Skłąć ich za występki, zresztą takie same, jak własne; potępić chciwość – swoją także; zabronić im pijaństwa – sobie także.

Trzeba podporządkować się zasadzie krętych dróg. Kriksos uświadomił sobie, że jeśli nie skontroluje wart, popełni zasadniczy błąd.

Beknął. Był pełny po brzegi. Miał tego wszystkiego dość. Na stole ponad głową wymacał kawałek mięsa, zjadł go i wytarł palce w kobierzec konsula. Poszukał ręką dzbana, wypił ostatni łyk, podłubał koniuszkiem języka w zębach, zamknął oczy.

Cisza wypełniła namiot, mroczna i gorąca. Ciało przeniknęło podniecenie. Przypomniawszy sobie młodą celtycką kapłankę. Widział czasem białka jej oczu, kiedy jęczała w jego objęciach. Pamiętał Kastusa, który dyszał, leżąc jak kobieta, ale pozbawiony tej szczególnej, kobiecej tajemniczości; mężczyzna nawet w chwili zapomnienia i namiętności, brat w gruncie rzeczy. Kriksos miał dość tego wszystkiego, dość kobiet i mężczyzn. Kiedyś człowiek okryty skórą zwierzęcia opowiadał o dziewczynie, która śpiewała, gdy byli razem w łóżku. Taką dziewczynę powinien był mieć. Cała reszta nie jest nic warta.

Dlaczego nie było mu dane spać z kobietą, która śpiewa? Tylko o to mu chodziło od czasów Kapui po dzień dzisiejszy. Czemu los kpił sobie z niego, rzucał mu ochłapy i nie dawał tej jednej, której pragnął, tylko cisnął ją, śpiewającą i uśmiechniętą, na kolana wodza? Ścigać jej nie było sensu; nikt jej nie dogoni. Zbyt wielu wygłodniałych i spragnionych pcha się, łapiąc się wzajemnie za nogi. Od razu na początku trzeba było odejść samemu; teraz już za późno na

Aleksandrię.

To rzeczywiście błąd, że nie skontrolował wart. Spartakus by tego nie zaniedbał. Gdyby go spytać, po co i dlaczego, zaraz znów by zaczął o swoim Państwie Słońca. Błade to słońce, zbyt wielu pragnie jego promieni; zbyt ich mało pada na pojedynczego człowieka. I chłodne; dziwnie trzeba krążyć, żeby je odnaleźć; i długo się czeka, aż ogrzeje, zbyt długo, dłużej niż trwa życie, a śmierć życia oznacza śmierć wszystkich pragnień. Tylko zarozumiali głupcy przejmują się czasem przyszłym.

Ciemność, cisza i upał wypełniły namiot. Tuż przed zaśnięciem Kriksos jeszcze raz przypomniał sobie o sprawdzeniu wart – może nawet zasypiał z tą myślą. Ale nikt nie pozwala, by sen go zaskoczył, jeśli sam tego nie chce. Kriksos spał tak mocno, że nie obudził się, gdy w środku nocy Rzymianie napadli na obóz. Wielka, ponura głowa foki leżała na obnażonym ramieniu; zamknięte powieki oddzielały ciemność namiotu od ciemności snu w rybich oczach. Chrapnął i zwinął się jak krótkonogi pies na materacu konsula Gelliusa. W takiej pozycji znalazł go pierwszy rzymski żołnierz, który wszedł do jego namiotu. Ale tak wielki, mroczny urok bił od śpiącego gladiatora, że żołnierz najpierw się cofnął i przez chwilę stał niezdecydowany, aż uderzeniem miecza oddzielił ogromną foczą głowę od ciała – i zły urok prysł.

Nocą i następnego ranka padło dwadzieścia tysięcy niewolników. Pięć tysięcy umarło na krzyżach, a pięć przebiło się z powrotem do Spartakusa. Ich żony i dzieci zatrzymano i sprzedano na publicznej licytacji albo odesłano do pracy w kopalniach. Śmierć Kriksosa została oficjalnie potwierdzona, ale jego zwłoki zniknęły z namiotu; w oficjalnym, suchym raporcie konsula Lucjusza Gelliusa Publicoli znalazły się następujące słowa:

„Noc, która wydała tego człowieka, pochłonęła jego ciało; dlatego też nie mogąc oddać honorów zabitemu nieprzyjacielowi, chyłę czoła przed siłami ciemności, które uosabiał”.

2. Droga w dół

Z KRONIKI PRAWNIKA FULWIUSZA

44. Jako że wszyscy ludzie żywią naturalny strach przed śmiercią, lubią mówić o niej w sposób, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Używają wyrażeń, w których porównują umieranie do zasypiania, co jest założeniem równie niewłaściwym jak inne, też często spotykane, w myśl którego noworodek, właśnie opuszczający zakrwawione łono matki, budzi się do życia łagodnie i delikatnie. Prawda jest taka, że natychmiastowe i gwałtowne krzyki i gesty nowo narodzonej istoty wyrażają raczej żal, nawet rozpacz, natomiast sędziwego człowieka ogarnia przed śmiercią pewność, spokój, a także zwodnicze poczucie siły. Może dlatego wielu ludzi wierzy, że Życie i Śmierć, zanim następując po sobie przejmują panowanie nad człowiekiem, muszą przede wszystkim złożyć hołd sobie nawzajem.

45. Należałoby pamiętać o tym, gdyż zachowanie niewolników pozostałych przy Spartakusie po wyjściu z miasta, które budowali pełni wspaniałych nadziei, bardzo różniło się od tego, czego można by oczekiwać. Dla każdego musiało być jasne, że zmierzają ku własnemu zniszczeniu, a jednak niepowodzenie wzniosłych planów nie zrodziło w nich rozpacz, a raczej radosną ufność. Sam Spartakus, który lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak wielkie ideały zostawiają za sobą pogrzebane na zawsze, był w tych dniach wesoły jak nigdy dotąd i sprawiał wrażenie kogoś, kto uwolnił się od ogromnego ciężaru. Inni zachowywali się podobnie.

Ale ta pozornie bezpodstawna radość miała swoje uzasadnione przyczyny: trudno jest bowiem człowiekowi dźwigać ciężar Przyszłości i godzić się z okrężnymi drogami, do których go ona zmusza. Teraz natomiast niewolnicy postanowili, że wrócą w swoje ojczyście strony, a usychając z tęsknoty za Wczoraj człowiek ma przed sobą drogę łatwiejszą, niż wyruszając w stronę Jutra, tak jak nieporównanie łatwiej, milej i w bardziej naturalny sposób schodzi się ze zbocza niż wspina, dysząc, po skałach, kamieniach i wiecznym lodzie.

46. W ten oto sposób wędrówka Armii Niewolników na północ była w rzeczywistości bardzo podobna do radosnego biegu w dół, jak najdalej od męczących wzniesień. W miarę schodzenia coraz niżej ciało znów zaczynały przenikać ożywcze, silne prądy, które opuściły je podczas wspinaczki w górę. Daleko w dole czekała śmierć, ale i tak nie omieszkała ona oddać życiu ostatniego hołdu, napełniając schodzących zdradliwymi nadziejami.

Dla szczątków Armii Niewolników nadzieją tą była ojczysta ziemia tracka; miała też stać się ona ojczyzną wszystkich, którzy chcieli się do nich przyłączyć. Zamierzali przejść przez Italię prosto na północ, nigdzie nie zbaczając i zmiatając z powierzchni ziemi każdą ewentualną przeszkodę. Zdradliwe nadzieje nabrały nawet bardziej wyrazistych barw. Wszyscy niewolnicy na szlaku tego marszu, w Samnium, Umbrii i Etrurii, powinni przecież ruszyć z nimi i razem wyjść z Italii.

Będzie to wielka wędrówka ludu, która ogołoci kraj z całej siły roboczej i pozostawi dręczycieli samych, skazanych po raz pierwszy na własne siły. Państwo rzymskie, osamotnione i puste, stanie się jak opróżniony z wina, wyschnięty bukłak, opowiadali sobie niewolnicy.

47. Choć Spartakus doskonale wiedział – zwłaszcza od chwili, gdy dotarła do niego wiadomość o zagładzie armii Kriksosa – że te nadzieje są złudne, a droga od tej pory będzie prowadzić tylko w dół, nigdy jeszcze nie dostarczył bardziej olśniewających dowodów swego talentu strategicznego, niż właśnie w tym czasie. Szybkimi marszami za dnia przeciął z resztką swych wiernych towarzyszy środkową część Italii i gwałtownie parł na północ. Na granicy Etrurii konsul Lentulus usiłował zagrozić im drogę, zajmując ze swym wojskiem góry po obu stronach Arno. Jednocześnie jego druh Gellius, który rozgromił Kriksosa, przybył na pomoc od południa, by zamknąć Spartakusowi odwrót. Niewolnicy znaleźli się między dwiema rzymskimi armiami jak w kleszczach, ale raz jeszcze okazało się, że kleszcze są z drewna, a to, co chcą uchwycić – z rozgrzanego żelaza.

W ciągu dwóch kolejnych dni Spartakus całkowicie zniszczył wojska obu konsulów. Oni sami o włos uniknęli śmierci, podobnie zresztą jak wiele wybitnych osobistości, które przebywały w ich obozach, takich jak młody Marek Kato i jego brat Caepio. Wielu z nich rozwścieczony Senat wezwał do Rzymu, a konsulów odwołano z urzędów.

Tymczasem niewolnicy wciąż, choć nieco ociągając się, maszerowali na północ.

48. Dotarli do Padu, na północną granicę Italii, dokładnie wtedy, gdy zaczynały się deszcze. Rzeka poważnie wezbrała i rozlała szeroko, poza tym nie można było znaleźć żadnej łodzi, która przewiozłaby ich przez wodę, ponieważ miejscowa ludność w przerażeniu uciekła na drugi brzeg zabierając ze sobą wszystko, co pływa. Druga strona rzeki była ledwie widoczna, a północną równinę, która za nią się rozciągała, przesłaniała szara ściana mgły.

Teraz, tak blisko już celu, Spartakus i jego towarzysze z pewnością zdołaliby pokonać tę ostatnią, naturalną przeszkodę, skoro dzięki odwadze i talentom udało im się rozprawić

z wieloma innymi po drodze. A jednak w miarę zbliżania się, cel ten nie jawił się im już w tak kuszących barwach, jak to się wydawało z daleka.

Wciąż jeszcze wahali się, stojąc nad brzegiem rzeki, gdy przybyli z Tracji posłańcy przynieśli wiadomość, która jednym ciosem zniweczyła ich wszelkie nadzieje.

W górach trackich rozegrała się wielka bitwa; Sadalas, król Odrysów, poddał się jarzmu rzymskiemu; w Uscudum i Tomoi, w Kalatis i Odessos zasiedli namiestnicy Rzymu. Nawet w ojczystym kraju nie było już dla nich słońca.

49. Na próżno zatem przemierzili całą Italię, z najdalszego południa po sam północny skraj; brama, przez którą chcieli wyjść na wolność, zamknęła się na ich oczach jak pułapka. Nie pozostało im nic innego, jak zawrócić po własnych śladach i raz jeszcze skierować się na południe, za jedyny cel mając już tylko ująć z życiem i uniknąć schwytania. Tak jak zwierzę przeznaczone na ofiarę miota się po klatce tam i z powrotem, tak Spartakus ze swymi oddziałami wędrował znów przez Italię, z północy na południe.

50. Nie mieli już żadnych nadziei ani żadnych wielkich planów. Płądrowali miasta mijane w gorączkowej wędrówce i błakali się po polach jak sfora głodnych wilków. Ale groza, jaką budzili, była większa niż kiedykolwiek, bo znów wzrosła w liczbę, do pięćdziesięciu tysięcy, a po zwycięstwie nad dwoma konsulami przyszły następne, nad pretorem Arriuszem i innymi wodzami tyleż butnymi, co niekompetentnymi.

51. Groza ta wzrosła jeszcze bardziej, kiedy Spartakus, który mimo swych zwycięstw zapewne zdawał sobie sprawę, że dni rebelii są policzone, zaryzykował posunięcie uznane przez Rzymian za największe upokorzenie, jakiego kiedykolwiek doznało ich państwo. Zanim ruszył znad Padu na południe, uczcił Kriksosa, swego towarzysza, ceremonią pogrzebową porównywalną w swym przepychu do uroczystości po śmierci rzymskich imperatorów. Z tej okazji kazał trzystu pojmanym Rzymianom walczyć jak gladiatorzy i zabijać się nawzajem przed stosem, na którym oddano na pastwę płomieni woskową figurę Kriksosa. To niezwykle widowisko miało być upamiętnieniem zemsty niewolników na ich prześladowcach, a także oznaką przyjaźni, jaką żywili do swojego dawnego przywódcy.

Ofiarą tej ceremonii padło trzystu wolnych obywateli Rzymu; znaleźli się wśród nich też młodzi arystokraci z patrycjuszowskich rodzin. Fakt, że właśnie oni zostali zmuszeni do tak szyderczej zamiany ról i zabijania się nawzajem dla rozrywki zgromadzonych niewolników, stanowił upokorzenie, które żadnemu Rzymianinowi nigdy nie wydałoby się możliwe. Trudno

było uwierzyć w wiadomość, że jednak do tego doszło.

52. Ze wszystkich klęsk zadanych Rzymianom przez pogardzanego gladiatora, żadna nie rozdarła im serc tak głęboko i boleśnie jak właśnie ta.

Konsternacja i przerażenie w stolicy przyjęły takie rozmiary, że w dniu wyboru nowych wodzów nikt nie ubiegał się o ten zaszczyt; nie dało się też znaleźć chętnego do kandydowania na urząd pretora. Nikt bowiem nie chciał zajmować tych stanowisk podczas wojny, w której zwycięstwo nie mogło przynieść chwały, a porażka oznaczała największy wstyd. Zamęt zwiększył się jeszcze, kiedy okazało się, że Senat został zmuszony do zakupienia olbrzymich ilości pszenicy, którą rozdano za darmo, by uciszyć szemrzących; zakup ten razem z wydatkami na prowadzenie wielu kampanii za granicą, wyczerpał państwową kasę. Gdyby nawet objawił się jakiś zdolny wódz, niewiele znalazłby w niej pieniędzy na opłacenie żołnierzy.

Wszystkie te doświadczenia napelniły ludzi przeraźliwym strachem. W Rzymie szerzyło się przekonanie, że okrutny wódz-gladiator, którego imieniem matki straszły nieposłuszne dzieci, stoi już u bram miasta.

53. Los tymczasem w dziwny sposób igrał z niewolnikami. Kiedy zmęczeni długą wędrówką niemal dali już za wygraną, po raz ostatni w ich sercach zrodziła się zwodnicza nadzieja. Bezbronny, niestrzeżony Rzym zdawał się leżeć u ich stóp, odsłonięty, podobny do pokornej ofiary czekającej własnego końca. Jak płomienie, które tuż przed zgaśnięciem wybuchają jeszcze raz, złudzenia rozpały się znów w sercach wyczerpanej gromady; widzieli się już władcami Rzymu i panami świata.

54. Człowiek, który w tym czasie uratował Rzym i zniszczył wszelkie nadzieje na nowy porządek w świecie, nie był wodzem, ani też nie odznaczył się nigdy czynami wojennymi.

Był to głuchawy, gruby i przysadzisty bankier Marek Krassus. Jak wszyscy głusi i półgłusi, zachowywał się nietaktownie i podejrzliwie, natomiast z racji nieprawdopodobnego bogactwa budził powszechny lęk, a niewielu go kochało.

55. Marek Krassus dobiegł wieku czterdziestu trzech lat, nie zdobywając specjalnej sławy. Teraz wreszcie uznał, że przyszedł moment, by w stosunkowo niezbyt męczący sposób osiągnąć zaszczyty i zaprezentować się w roli zbawcy Rzymu.

Wykalkulował sobie mianowicie, że niezależnie od wielkiego talentu strategicznego Spartakus zawdzięczał swe zwycięstwa nie tyle potędze swoich wojsk, co słabości i głupocie rzymskich wodzów, z którymi miał dotychczas do czynienia.

Tak więc, kiedy przerażenie w Rzymie sięgnęło szczytu, Marek Krassus udał się ze swą żoną na Pole Marsowe i ogłosił przed zgromadzonym tam ludem, że gotów jest objąć urząd pretora i z własnej kieszeni wystawić nową armię, w nadziei, że kiedyś, w przyszłości, Senat zwróci mu poniesione na ten cel wydatki.

Oświadczenie to wywołało oczywiście ogromny entuzjazm i już wkrótce Krassus stanął na czele ośmiu legionów w pełnym składzie, których doraźnym celem było jak najszybsze rozgromienie niewolników, a na dłuższą metę miały posłużyć wodzowi do realizacji jego ambitnych celów.

56. Kiedy przednie strażce armii Krassusa po pierwszej utarczce z niewolnikami uciekły, tak jak to miały w zwyczaju, naczelny wódz wydał rozkaz, w myśl którego co dziesiąty żołnierz z oddziału winnego ucieczki miał zostać skazany na śmierć przez chłostę, i to na oczach wszystkich. Legiony poczuły, że wodze trzyma teraz w dłoni ktoś całkiem inny od Waryniusza czy Klodiusza Glabera i wreszcie zaczęły zachowywać się jak należy. Doskonałe wyposażenie i przewaga uzbrojenia, które Krassus kupował hojną ręką, już wkrótce przyczyniły się do pogromu Spartakusa w Apulii.

57. Była to pierwsza klęska, jaką ponieśli niewolnicy pod wodzą Spartakusa; przygnębiła ich też niezmiernie, choć nie zachwiała ich męstwem. Sam Spartakus nie chciał podejmować otwartej walki z tak przeważającymi siłami przeciwnika i wycofał się dalej na południe.

Tak więc niewolnicy po raz drugi w swym żałosnym marszu przecięli krainę Lukanii, tę samą, do której poprzedniego roku wkraczali pełni śmiałych nadziei. Minęli ruiny swego dawnego miasta, obejrzelі szczątki spichlerzy i jadalni, pokryte kurzem i brudem. Widok ten dotknął ich do żywego, gdyż im dalej Miasto Słońca odchodziło w przeszłość, tym barwniej i wspanialej rysowało się w ich pamięci życie, jakie toczyło się kiedyś w jego murach.

58. Ale i tutaj legiony Krassusa nie zostawiły niewolników w spokoju, tak więc Spartakus ze swoją armią musiał szukać schronienia na najdalej na południe wysuniętym krańcu półwyspu. Weszli na surową ziemię Brucjum i wtedy na jej granicy Krassus niespodziewanie zatrzymał pościg.

Ten znakomity mąż, który swoją władzę wojskową sprawował w sposób niekonwencjonalny, a chłodno wykalkulowany, nie bez udziału agentów handlu pszenicą i spekulantów obracających własnością ziemską, miał inny plan. Zdawał sobie zapewne sprawę, że niewolnicy będą walczyć o swoje życie do końca; poza tym Brucjum było krainą górską

i pokrytą najgęstszymi w całej Italii lasami; okoliczności te raczej sprzyjały niewolnikom i charakterystycznej dla nich metodzie prowadzenia wojny, znosząc jednocześnie przewagę, jaką Rzymianie mieli nad nimi w uzbrojeniu.

59. Dlatego też Krassus zatrzymał marsz swojej armii i opracował plan, którego przeprowadzenie każdy zawodowy żołnierz uznałby za śmieszne lub wręcz niewykonalne.

Kiedy niewolnicy zajęci byli swymi zwykłymi grabieżami na południowym wybrzeżu, bankier kazał legionom wykopać rów w poprzek półwyspu, między zatokami Scylacius i Hipponiates. Rów liczył piętnaście stóp głębokości i tyleż szerokości i całkowicie odciął południowy kraniec Italii od reszty kraju. Ponieważ przesmyk miał w tym miejscu zaledwie dwadzieścia trzy mile szerokości od morza do morza, osiem legionów, rozstawionych przez Krassusa wzdłuż tego odcinka i pracujących jednocześnie, zdołało w kilka dni wykonać całą pracę. Teraz Krassus zbudował wzdłuż rowu wały obronne i wieże i postanowił spokojnie czekać za umocnieniami, aż przeciwnik wyczerpie wszystkie zapasy w tej surowej okolicy i będzie zmuszony poddać się albo zginąć żalosną śmiercią.

Podobno Krassus powiedział legionom, że zamienił całe Brucjum w pułapkę, żeby wygubić groźne, parszywe kundle, które od tej pory nie będą już mogły gryźć.

60. Trudy i cierpienia przedłużającej się kampanii, a także zwykłe jesienne epidemie o ponad połowę zmniejszyły liczebność sił Spartakusa. Dwadzieścia tysięcy istot doprowadzonych do ostateczności; ci, którzy przeżyli największą rewolucję, jaka kiedykolwiek wstrząsnęła imperium rzymskim, błakali się gorączkowo po górach i lasach Brucjum, na południe od wielkiej ziemnej budowli, odcinającej ich od reszty ludzkości.

3. Grobowce

Wędrowali przez góry i lasy Brucjum. Przeszłość została za nimi, przyszłości żadnej przed sobą nie mieli. Spartakus jechał, już samotnie, na czele.

Dotarli do nekropoli w Regium. Człowiek okryty skórą zwierzęcia patrzył na zalaną deszczem krainę, rzadko rozrzucone palmy i liczne grobowce. Uwagę jego przykuł napis:

DRWIĄC ZE ZŁUDZEŃ SPOCZYWAM TU WIECZNYM SNEM

Zapamiętał to zdanie. Obok zobaczył drugi kamień:

TITUS LOLLIUS LEŻY TU PRZY DRODZE BY KAŻDY PRZECHODZIENI MÓGŁ
POWIEDZIEĆ: POZDRAWIAM CIĘ, LOLLIUSIE

– Pozdrawiam cię, Lolliusie – rzekł człowiek w skórze i uśmiechnął się dobrotliwie, jak za dawnych czasów. Jak różni są ludzie nawet w obliczu śmierci: jeden wyszydza życie, które już go nie może obchodzić; drugi płacze po nim jak szczeniak bojący się samotności.

Długie warkocze deszczu uderzały w nagrobek towarzysko nastawionego Lolliusia i rozpryskiwały się na drobne koraliki, inne dużymi kroplami padały na napis.

Człowiek w skórze czuł za sobą milczącą kolumnę tych, którzy jeszcze zostali. Myślał o Hermiosie, pasterzu o końskich zębach, zabitym w Apulii oszczepem legionisty bankiera Krassusa. Spojrzał na zmoczone deszczem grobowce i spróbował ułożyć epitafium dla Hermiosa:

OTO MIEJSCE OSTATNIEGO SPOCZYNKU HERMIOSA, LUKANSKIEGO
PASTERZA; MARZYŁ, BY CHOĆ RAZ ZJEŚĆ KWICZOŁA ZE SŁONINKĄ, ALE NIE
BYŁO MU DANE. PRZECHODNIU, PAMIĘTAJ, ŻE NIKT NIE POWINIEN JEŚĆ
KWICZOŁÓW ZE SŁONINKĄ, DOPÓKI JEST NA ZIEMI CHOĆ JEDEN CZŁOWIEK,
KTÓRY NIE MOŻE ICH ZAKOSZTOWAĆ

Deszcz nie ustawał; gromada wlokła się coraz cięższym krokiem.

Jadący na czele człowiek w skórze czuł się samotny; kiedyś był zawsze u jego boku gruby Kriksos, który siedział na koniu jak na mule. Teraz ponuraka pochłonął Hades; człowiek w skórze ułożył dla niego epitafium:

TU LEŻY KRIKSOS, CELTYCKI GLADIATOR. CHCIAŁ KOCHAĆ SIĘ
Z DZIEWCZYNA, KTÓRA ŚPIEWAŁABY W ŁÓŻKU.

TY, KTÓRY TO CZYTASZ, PAMIĘTAJ, ŻE DZIEWCZĘTA NIE POWINNY ŚPIEWAĆ,

DOPÓKI CHOĆ JEDNEMU CZŁOWIEKOWI NA ZIEMI NIE JEST DANE SŁUCHAĆ ICH
PIEŚNI

Deszcz padał i padał. Człowiek w skórze pomyślał o Zosimosie, retorze, który umarł z gorączki nad Padem; już nie powiewa swoją togą.

ZOSIMOS, MÓWCA, KTÓRY MIŁOWAŁ WZNIOSŁE MOWY I DOMAGAŁ SIĘ
SPRAWIEDLIWYCH RZĄDÓW, SPOCZYWA TU, PRZY DRODZE. WĘDROWCZE,
PAMIĘTAJ, ŻE NIE MOŻE BYĆ WZNIOSŁYCH MÓW ANI SPRAWIEDLIWYCH
RZĄDÓW, JAK DŁUGO SĄ LUDZIE WYKLUCZENI SPOD PRAWA

Deszcz padał coraz większy, góry zasnuwane były ciężkimi chmurami.

Za nimi leżały urodzajne ziemie Lukanii, nabrzmiała sokami Kampania, wspaniałe i bogate miasta – wszystko odcięte rowem, który bankier Krassus wykopał przez cały kraj, od brzegu do brzegu. Zginą tu jak szczury w pułapce.

Człowiek w skórze wiedział, że prowadzi pochód nędzy i cierpienia, obdartych, zdziczałych mężczyzn, kobiety o mokrych włosach i zwiotczałych piersiach, wozy pełne chorych, nad którymi unoszą się roje leniwych much. Czuł, jak po twarzy spływa mu woda; ułożył epitafium dla nich wszystkich:

BYLI Z NASIENIA TANTALA, POZBAWIENI RADOŚCI Z TEGO, CO DOBRE NA
ŚWIECIE. PRZECHODNIU, ZATRZYMAJ SIĘ, POMYŚL O NICH I ZADRŻYJ ZE
WSTYDU

Mieli jeszcze jedną szansę: z pomocą floty piratów przedostać się na Sycylię.

Na wyspie sytuacja niewolników była dużo gorsza, niż w samej Italii; wielu ludzi przeżyło tam i wciąż pamiętało wielkie powstania wzniecone przez Syryjczyka Eunusa i Traka Atheniona. Przez trzy lata podczas pierwszej z tych rebelii i przez cztery lata w czasie drugiej z nich niewolnicy rządili niemal całą Sycylią; być może gromada Spartakusa roznieciłaby tam ogień powstań na nowo.

Nie mieli jednak łodzi, a od wyspy dzieliła ich przerażająca cieśnina, strzeżona z jednej strony przez urwiska Scylli, a z drugiej przez wiry Charybdy. Wybawienie zależało od floty piratów.

W tymczasowym obozie na wybrzeżu Regium Spartakus spotkał się z dowódcą pirackiej floty stacjonującej na Morzu Jońskim. Przyjął go w namiocie ze skóry. Poszarpane purpurowe *velum* zwisało z masztu u wejścia: dwaj ostatni ludzie Fanniusza nieśli je i strzegli w czasie całej

wędrówki po Italii.

Państwo piratów było właśnie u szczytu potęgi. Dysponowało blisko tysiącem jednostek pływających, najczęściej małych i szybkich otwartych łodzi, podzielonych na eskadry; każda z nich poruszała się pod osłoną kilku ciężkich, dwu- i trzyrzędowych galer, a na czele płynął zawsze okręt flagowy w barwach purpury i złota. Tworzyli niezależne, militarne państwo o ostrej dyscyplinie i starannie opracowanym systemie podziału łupów. Ich ojczyzną było morze i wysepki od Azji Mniejszej po Słupy Herkulesa, które strzegły przejścia między Afryką i południowym skrawkiem Hiszpanii. Sercem ich dominium stała się Kreta; lasy Cylicji dostarczały im drewna na budowę okrętów, a łupy wyładowywali w mieście Syde w Pamfilii, gdzie przywożono także jeńców wojennych. Kobiety, dzieci i skarby przetrzymywano w fortecach rozrzuconych na wyspach i wysepkach, które komunikowały się między sobą rozpalając ogniska i przekazując wiadomości specjalnymi statkami pocztowymi. Piraci zawierali sojusze polityczne z królami państw azjatyckich, ze zbuntowanymi miastami greckimi i stronnictwami opozycyjnymi w Rzymie. Największe porty rzymskie, łącznie z Ostią i Brundisium, płaciły im coroczny trybut; jeszcze nie tak dawno eskadra jońska okupowała port w Syrakuzach. W imieniu takiej to potęgi admirał Demetriusz podjął po rocznej przerwie negocjacje z niewolnikami.

Demetriusz nigdy jeszcze nie spotkał się osobiście z księciem trackim, wiedział jednak wszystko o rozmowach w Thurium i oceniał je źle.

Jego wspaniały statek kołysał się na wodach zatoki; admirał dotarł na brzeg ubrany w galowy strój i rozejrzał się za honorową eskortą. Nie było jej. Dwa obdarte zbiry o byczych karkach, w zardzewiałych hełmach na głowach, konwojowały admirała przez gąszcz namokniętych namiotów, cuchnących z daleka nędzą i chorobami, i zaprowadziły do wodza.

Nie spodobał się admirałowi od pierwszego wejrzenia: wysoki, grubo ciosany mężczyzna, lekko zgarbiony i niezgrabny; okryty tylko włochatą skórą zwierzęcą. Przyjął Demetriusza w swoim namiocie sam, kazał przynieść wino, chleb i sól, mówił niewiele, wyglądał niezdrowo i dość smętnie. Admirał spodziewał się zaproszenia na obiad; sztywny i dostojny, nieco znękany trudami żeglugi, siedział na kobiercu, z dezaprobatą wodząc jednym – zdrowym – okiem po marnie wyposażonym namiocie, podczas gdy drugie oko, zrobione z wypolerowanego, barwnego kamienia, patrzyło prosto przed siebie. I to jest ten słynny wódz bandytów, zabiegający o przymierze z państwem korsarzy? Nie ma nawet srebrnej misy do mycia, ani błazna, ani

nadwornego poety, ani żadnej miłej kobiecej obsługi. Szczerze mówiąc, pasowałby raczej na trybuna ludu rzymskiego, wzywającego do rewolucji; można się założyć, że nigdy nie słyszał o modnym poecie Fineaszu z Aten.

Admirał Demetriusz poruszył się niecierpliwie na twardym siedzeniu; pewnie pełno w nim robactwa, u tego przyjaciela ludu i zagorzałego demokrata wszystkiego można się spodziewać. Z grzeczności podjął rozmowę o pogodzie i o trackich bóstwach. Ale ten szczer ładowy osadził go w nieopisanie szorstki sposób; sucho spytał, na jakich warunkach byłby gotów przeprowadzić armię niewolników na Sycylię.

Admirał w odpowiedzi wdał się w obszerny wykład na temat sytuacji międzynarodowej, która, jak stwierdził, ogromnie się zmieniła od czasów rozmów w Thurium; trzema ocalałymi palcami prawej dłoni wskazał w dół, na Hades; tam właśnie znalazła się flota butnych hiszpańskich emigrantów, a ich los wkrótce podzielił Mitrydates, po klęsce, jaką w pobliżu Kabeiry zadał mu ten obżartuch Lukullus; dowodzi to zresztą, że skłonność do rozkoszy podniebienia i cnota gościnności absolutnie nie umniejszają militarnej wielkości wodza.

Po tej uszczypliwej uwadze, która jednak, jak się wydawało, nie zrobiła żadnego wrażenia na okrytym skórą plebejskim buntowniku, admirał pociągnął dla pokrzepienia potężny łyk, ukazując przy tym dziurę w miejscu kilku zębów, złożonych na ofiarę bogu wojny, i oznajmił, że jedną jedyną na świecie potęgą zdolną do stawienia czoła Rzymowi jest państwo piratów, ponieważ Rzym nie posiada floty godnej tej nazwy. On sam jednak, admirał Demetriusz, z żalem przyznaje, że nie jest zainteresowany przymierzem z księciem trackim i gotów jest rozważyć kwestię przewiezienia jego armii wyłącznie w kategoriach przedsięwzięcia handlowego. Koszt, jak powiedział, wyniesie pięć sesterców od jednego pasażera, innymi słowy: jeden i ćwierć denara albo dwanaście i pół asa.

Człowiek w skórze nie odpowiedział. Z trudem mnożył usłyszaną od dostojnego gościa kwotę przez dwadzieścia tysięcy. Admirał przyglądał mu się uważnie.

Mówiąc jeszcze inaczej – podjął Demetriusz – w sumie daje to sto tysięcy sesterców albo dwadzieścia pięć tysięcy denarów; a jeśli wolisz monetę grecką – cztery talenty. Połowę tej sumy należałoby, jak zwykle, zapłacić z góry; eskadra zakotwiczona jest teraz pod Syrakuzami, dlatego trzeba byłoby się liczyć z zaokrętowaniem w ciągu najbliższych pięciu dni. Chorych się naturalnie zostawi; ryzyko zarazy i tak dalej, to oczywiste.

Człowiek w skórze wiedział, że nie ma wyboru i że ten drugi wie to równie dobrze jak on.

Targował się uparcie, nie spuszczać swego ciężkiego, bolesnego spojrzenia z twarzy gościa, który zaczynał czuć się nieswojo. Stańło na sześćdziesięciu tysiącach sesterców; tyle pozostało niewolnikom z wszystkich łupów. Dwaj przyboczni strażnicy przyciągnęli do namiotu zwykłe worki z połową tej kwoty, przeliczyli ją w obecności admirała i zanieśli na jego łódź. Po czym Demetrius wyraził żal, że nie może zostać dłużej, gdyż na statku czeka go uczta; podniósł się w całej okazałości, uroczyście pozdrowił swego pana i brata księcia trackiego, w eskorcie żołnierzy w zardzewiałych hełmach udał się w stronę swej wspaniałej jednostki i wszedł na pokład.

Niewolnicy czekali pięć dni; do ich serc znów zawitała nadzieja; wpatrywali się w zasnutę deszczem morze, ale piracka flota nie nadpłynęła.

Nie mogąc się doczekać ratunku, sami próbowali skłecić tratwy z pni drzew. Sztormowe fale unosiły je i kręciły jak zabawkami, rozbijały na kawałki o skały Scylli i wciągały w przepastne wiry Charybdy. Nie pozostawało nic innego jak czekać.

Minął tydzień drugi i trzeci – pirackich statków nie było.

Kiedy przeszły cztery tygodnie, dowiedzieli się, że admirał Demetriusz ze swoją eskadrą dawno już opuścił port w Syrakuzach i pożegłował w stronę brzegów Azji Mniejszej.

Po kolejnych trzech tygodniach, gdy resztki gromady, zdziesiątkowane głodem i chorobami, zaczęły rozpraszać się po górach, Spartakus postanowił z tym skończyć. Poprosił naczelnego wodza nieprzyjacielskiej armii, Marka Licyniusza Krassusa o spotkanie.

4. Spotkanie

Marek Krassus miał czterdzieści trzy lata i majątek obliczany na sto pięćdziesiąt milionów sesterców. Był tęgi, głuchawy i chory na astmę.

Jako potomek starożytnego rodu Licyniuszów mógł wprowadzić i powinien był utworzyć sobie drogę na szczyty hierarchii politycznej, jednak przez całe lata chodził własnymi ścieżkami. Gdy jego współcześni, a także rywale walczyli o nominacje na najwyższe stanowiska w Hiszpanii i Azji Mniejszej, licząc w przyszłości na zdobycie władzy, Krassus poświęcił się niemal wyłącznie operacjom finansowym. Podwaliny swej fortuny założył w latach terroru za panowania Sulli, donosząc na członków opozycji i przywłaszczając sobie majątki uwięzionych i straconych.

Gdy pewnego dnia udowodniono, że sfałszował nazwisko na liście proskrypcyjnej, nastąpiło pewne oziębienie stosunków z dyktatorem i Krassus przerzucił się na spekulację ziemią.

Kupował niewiele warte albo zniszczone przez pożar domy i place, najpierw pojedynczo, a potem całymi ulicami i kwartałami, aż w jego rękach znalazła się znaczna część stolicy. Później tak systematycznie i konsekwentnie skupował z rynku najlepszych murarzy, cieśli i niewolników, że po kilku latach stał się w branży budowlanej monopolistą nie tylko w Rzymie, ale także w kilku miastach prowincjonalnych. Należały do niego kopalnie srebra w Grecji i kamieniołomy w Italii, zaopatrujące w budulec jego własne przedsiębiorstwo, tak więc od tej pory każdy, kto zamierzał cokolwiek budować, musiał zamawiać wszystko przez Krassusa, od działki po dach, łącznie z architektami i robotnikami. Ponieważ sam właściciel nie czuł się na siłach osobiście prowadzić tak skomplikowanego przedsiębiorstwa, pożyczył kapitał pewnej liczbie swoich wyzwolenców i klientów i wszedł z nimi w spółkę.

Po pewnym czasie jednak stało się jasne, że wahania na rynku budowlanym często powodują wzrost bezrobocia wśród niewolników zatrudnionych na budowach, natomiast ich utrzymanie pochłania dość znaczne sumy. By temu zaradzić, w firmie Krassusa utworzono nową jednostkę, która stanowiła ostatnie dotknięcie pędzla mistrza: zorganizował pierwszą w Rzymie straż pożarną.

Ponieważ większość rzymskich domów zbudowana była z drewna, pożary zdarzały się dość często, praktycznie rzecz biorąc codziennie.

Straż ogniowa Krassusa składała się z niewolników, którzy nie mieli w tym czasie zajęcia na budowach i wyposażona była w wozy i dzwony. Na wozach jechały topory i wiadra, ale mówiło się, że brygada Krassusa większy użytek robiła z toporów niż z wody. Na dodatek strażacy mieli nakaz, by walkę z ogniem rozpoczynać dopiero wtedy, gdy nieszczęsny właściciel palącego się domu zgodzi się zapłacić za akcję ratunkową; zanim wszystko do gruntu spłonęło, takie negocjacje kończyły się przeważnie zobowiązaniem, że budynek i działka zostaną sprzedane Krassusowi.

Przed laty to właśnie Krassus ukuł powiedzenie, że tylko człowiek zdolny do wystawienia armii własnym sumptem, i to z odsetków od swojego kapitału, może się uważać za bogatego. Cały Rzym uznawał go za skąpca; Krassus nie fatygował się, by wyprowadzić ich z błędu. Dokładnie wiedział, do czego dąży; dokonał bowiem pewnego odkrycia.

Zawdzięczał je wydarzeniu, które zadecydowało o całej jego przyszłości. Było nim spotkanie, jakie kilka lat wcześniej odbył ze swym rywalem Pompejuszem.

Krassus od dzieciństwa żył w cieniu Pompejusza, wszystkie swoje czyny, myśli i marzenia przymierzał do niego i zawsze okazywało się, że Pompejusz przewyższa go pod każdym względem.

Podczas wojny domowej Krassus, wówczas blisko trzydziestoletni, człowiek bez przeszłości i bez widoków na przyszłość, błąkał się po Hiszpanii z gromadą najemników, czekając na okazję, by wmieszać się do polityki. Okazja jednak się nie pojawiała, a tymczasem Pompejusz, młodszy od Krassusa o osiem lat, znakomicie wywiązał się ze swoich zadań pod rządami Sulli, i już nazywał siebie imperatorem.

W ostatnich latach wojny domowej każdy z nich – i Krassus, i Pompejusz – dowodził legionem. Obaj odnieśli w walkach pewne sukcesy:

Krassus został oskarżony o przywłaszczenie łupów z miasta Todi, Pompejuszowi zarzucano kradzież sieci na ptaki i ksiąg z Asculum. Wreszcie rewolucja została stłumiona, Sulla został dyktatorem. Krassus dostał w nagrodę miejsce w Senacie, ale Pompejusza Sulla osobiście uściskał, odkrywając głowę i nazwał Magnus, czyli „Wielki”.

Krassus miał wtedy lat trzydzieści dwa, Pompejusz dwadzieścia cztery. Krassus był już przygłuchy i cierpiał na astmę, Pompejusz stawał do rywalizacji ze swoimi żołnierzami w sporcie i zapasach. Krassus ożenił się z szacowną matroną, Pompejusz rozwiódł się po raz trzeci i został zięciem Sulli. Senator Krassus, półgłuchy, rozgoryczony i zniechęcony zastanawiał się już, czy

nie wycofać się z życia publicznego, zaszyć się w wiejskim majątku i pisać pamiętniki, kiedy w wydarzeniach nastąpił decydujący zwrot, który doprowadził do wspomnianego odkrycia: Pompejusz pożyczył od niego pieniądze.

Chodziło o dużą sumę, której Pompejusz potrzebował za wszelką cenę, żeby przekupić kilku sędziów, ponieważ znów wplątał się w jakąś podejrzaną aferę czy coś podobnego. Mamrotał i kręcił przed Krassusem, zmieszany jak uczeń. Krassus pozwolił mu podenerwować się przez chwilę, po czym pożyczył mu pieniądze – bez procentu i bez zabezpieczenia. Kiedy Pompejusz z czerwoną ze wstydu twarzą atlety opuścił jego dom, potykając się i niemal przewracając o próg, Krassus zamknął się w swoim gabinecie i wybuchnął płaczem. Miał trzydzieści trzy lata i był to pierwszy szczęśliwy dzień jego życia.

Łuski spadły mu z oczu. On i jemu podobni wiedzieli wszystko na temat obracania pieniędzmi, ale nikt z nich dotychczas nie wyciągnął z tej wiedzy oczywistego wniosku. Zrobił to teraz Krassus. A wniosek brzmiał: pieniądze nie są środkiem do osiągnięcia zysków i przyjemności, ale do zdobycia władzy.

Odkrycie było dość banalne; należało teraz tylko rozwinąć je w system. To, co wymyślił Krassus, okazało się równie proste, jak rewolucyjne: zgromadził swój kapitał, największy w Rzymie i wypożyczał go – bez procentów i bez zabezpieczenia. Lichwiarze otrzymywali zysk z procentów; Krassusowi natomiast kapitał przynosił władzę.

Kiedy Pompejusz stroił się w nowe wieńce chwały w wojnie hiszpańskiej, Krassus pożyczał pieniądze bez odsetków wpływowym osobistościom ze wszystkich stronnictw, niezależnie od ich politycznych celów. Połowa Senatu miała u niego długi; wszyscy przywódcy stronnictw siedzieli w jego kieszeni. Najgorliwsi ekstremiści woleli nie wchodzić mu w drogę; porównywano go do niebezpiecznego byka.

Krassus równie dobrze jak jego konkurenci wiedział, że republika jest przegniła do szczytu i że tylko nowa dyktatura może ocalić państwo.

Dyktatura, która bezwzględnie skończy z dotychczasową konstytucją i starymi metodami i pójdzie zupełnie nową drogą, zgodnie z duchem czasu: niewykluczone, że drogą walki z dogorywającym Senatem, wykorzystując do tego celu wojsko i wyrotowo nastawione warstwy społeczeństwa, a może drogą ustanowienia królestwa. Opartego nie na konserwatywnej arystokracji, a na masach i ludowych trybunach.

Wiedział, że większość przywódców politycznych ma podobne poglądy i zmierza do tego

samego celu; ale Lukullus był zbyt płochy i lekkomyślny, Cezar za młody, zaś Sertoriusz już nie żył. Jedynym poważnym współzawodnikiem wciąż był odwieczny rywal, Pompejusz.

Krassus znudził się już tą kampanią; prowadzenie wojny było dla niego niegodnym zajęciem. Nie poświęcał zbytnej uwagi rozkoszom podniebienia, poza kandyzowanymi daktylami i słodyczami, na które miał własne, specjalne przepisy; wydawał uczyty stosowne do pozycji patrycjusza, ale sam odżywiał się bardzo prosto. Kobiety też go nie pociągały, żaden z romansów nie przyniósł mu zadowolenia. Poza kandyzowanymi daktylami jedyną rzeczą, jaka sprawiała mu prawdziwą przyjemność, były długie rozmowy przy posiłkach, prowadzone najchętniej z młodymi fanatykami i teoretykami, z których podkpiwał sobie na swój własny i niezauważany przez nich sposób. Bo wprawdzie półgłuchy bankier prawie nigdy się nie śmiał, nie był jednak pozbawiony poczucia humoru.

Jednym z uczestników jego kampanii był Kato Młodszy, który i tym razem zaciągnął się jako prosty żołnierz, lecz wbrew jego woli Krassus narzucił mu urząd trybuna. Surowy młodzieniec nie zmienił się; wciąż krążył z rękopisami pod pachą i wygłaszał tyrady o stoikach i o cnotach przodków, co wszystkich poza Krassusem doprowadzało do szału. Gruby wódz słuchał cierpliwie, przykładając dłoń do niesłyszącego ucha i ze śmiertelną powagą od czasu do czasu kiwał głową.

Po obiedzie, w przeddzień umówionego spotkania ze Spartakusem, którego Krassus oczekiwał z pewnym zainteresowaniem, Kato Młodszy przedstawił swoje zapatrywania na kwestię niewolnictwa. Cytował swych mistrzów stoików, Antypatra z Tyru i Antiocha z Askalonu, żywo wymachiwał chudymi ramionami, a z jego ust pryskały drobne kropelki, przed którymi Krassus starał się dyskretnie uchylić.

– Prawdziwa wolność – perorował Kato – zawiera się jedynie w cnocie, która jest także najwznioślejszą mądrością; prawdziwe niewolnictwo jest rezultatem występku. Żarliwa namiętność przeczy rozumowi; a ponieważ nieśmiertelny rozum rządzi naturą, instynkty i niskie pragnienia są z nią sprzeczne. Hordy, które zmusiły nas do tej kampanii, wiedzione są najniższymi żądzami; wyraźnie więc działają przeciw rozumowi i naturze. Ale i wśród nas zło i niegodziwość znalazły podatny grunt.

Nasi przodkowie potrafili żyć prosto i zgodnie z naturą; nas jednak zewsząd otacza zniewieściałość, występki i rozwiązłość. Jeśli Rzym nie zejdzie z tej fatalnej drogi, czeka go pewna zguba.

Krassus słuchał cierpliwie, kiwnął głową i włożył do ust garść cukierków.

– Masz słuszość, republika jest skazana na zagładę – powiedział, rżąc astmatycznie. – Tonie w wadach i pijaństwie. A wiesz, gdzie tkwi przyczyna tej rozwiązłości?

– W odejściu ludzkości od naturalnych cnót – odparł młodzieniec, zamierzając gorliwie wrócić do tego tematu, ale przerwał mu gest pulchnej dłoni Krassusa.

– Wybacz – wtrącił wódcz. – Źródłem wszelkiej deprawacji moralnej jest malejąca wartość renty gruntowej i spadek eksportu.

– Nie znam się na tym – stwierdził Kato – ale w czasach mojego dziadka...

– Wybacz – powtórzył Krassus. – Czy myślisz, że Lukullus budowałby te swoje szalone stawy rybne, gdyby bardziej opłacało się uprawiać pszenicę? Sądzisz, że nasi nobiles marnowaliby swój kapitał na igrzyska cyrkowe, gdyby mogli zainwestować je z zyskiem w uprawę ziemi, tak jak to było za czasów twojego czcigodnego dziada? Tyle że od tamtej pory wartość renty gruntowej spadła i w Italii uprawa pszenicy nie przynosi już zysków. To jest przyczyna upadku naszych włościan i zalewu miast przez wiejską biedotę, to dlatego kapitał w Rzymie nie jest już produktywny, nie zapewnia pracy ludziom, zmuszając ich tym samym do żebractwa albo rozboju.

– Przyczyną jest moralna degeneracja społeczeństwa – zaperzył się Kato. – Ludzie unikają pracy, wolą żyć na zasiłku zbożowym dla bezrobotnych, biegać na uliczne wiece i słuchać demagogów. Potrzebna nam jest dyscyplina, prawo i porządek naszych ojców.

– Wybacz – jeszcze raz powiedział Krassus. – Dyscyplina, prawo i porządek, to wszystko bardzo piękne, ale nie jest to sposób na kryzys w rolnictwie, to znaczy na spadek renty gruntowej. A wiesz, z czego się ten spadek bierze?

– Nie – buntowniczym tonem odparł Kato. Młodzieńcze pryszcze na jego twarzy jeszcze mocniej poczerwieniały. – Nigdy sobie czymś takim nie zawracałem głowy.

– Tym większa szkoda. – Krassus żuł słodycze. – Poważne zaniedbanie, jak na młodego filozofa i przyszłego polityka. Wyjaśnię ci ten związek, a przekonasz się, że przyda ci się to bardziej niż twój Antypater z Tyru z całym swoim stoicyzmem. Jeśli przyjrzesz się bilansowi państwa rzymskiego, zobaczysz, że na rynku światowym reprezentują nas tylko dwa artykuły eksportowe: a) wino i b) oliwa. Z drugiej strony importujemy towary z całego świata, od zboża po siłę roboczą – niewolników – i wszelkiego rodzaju przedmioty zbytku, zalewające rynek. Czym, twoim zdaniem, płaci Rzym za tę kolosalną nadwyżkę importu?

– Pieniędzmi, jak sądzę, to znaczy srebrem.

– Błąd – odpowiedział Krassus i wypluł pestkę daktyla. – W Italii nie ma żadnych kopalni srebra. Zmyślna sztuczka państwa polega na tym, że dostaje ono towary ze swoich kolonii i za nie wcale nie płaci. To oznacza, na przykład, że wszystko, co nasi biedni azjatyccy poddani eksportują do Rzymu, jest po prostu kredytowane na rachunek przyszłych podatków. Innymi słowy dostajemy wszystko za darmo – i, co dziwne, właśnie dlatego giniemy, bo rzymskiemu obywatelowi nie opłaca się już żadna produkcja: rolnicy nie mogą konkurować z tanim zbożem z importu, a rzemieślnicy z darmową pracą niewolników. Dlatego połowa wolnych ludzi nie ma teraz pracy i dlatego w Italii jest dwa razy więcej niewolników niż obywateli. Rzym stał się dosłownie państwem pasożytniczym – „wampirem świata”, jak to określił jeden z naszych bardzo wrażliwych młodych poetów. A ponieważ praca przestała już kogokolwiek w Italii kusić, skończył się rozwój sił produkcyjnych; narzędzia rolnicze galijskich barbarzyńców są technicznie dużo lepsze od naszych, a w większości prowincji przemysł osiągnął wyższy stopień rozwoju niż tutaj; jedyne, co kiedykolwiek wynaleźliśmy, to sprzęt wojenny i hazard. Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek wstrzymania dostaw zamorskiej pszenicy, znajdziemy się na krawędzi głodu, tak jak dwa lata temu, a także u progu rewolucji.

Kiedy dostawy zboża utrzymują się na zwykłym poziomie, dusimy się od nadmiaru ziarna, a urodzaj staje się przekleństwem dla rolnika, który musi sprzedać swoją ziemię i pójść do stolicy, żeby z łaski dostać zboże, którego nie może już wyprodukować dzięki własnej pracy. Czy to nie jest chora sytuacja?

Krassus oparł się wygodnie i sięgnął pełną garścią po słodycze. Złośliwie mrużąc oczy spojrział na smukłego młodzieńca, który wił się na swoim miejscu. Twarz Katona czerwieniała coraz bardziej.

– Nigdy się tym nie interesowałem – powiedział zadziornie. – Czy naprawdę uważasz, że to takie ważne? Czy nie jest to raczej kwestia moralnego piękna i ducha państwa? W dawnych czasach...

Krassus był nieugięty.

– Wybacz – oznajmił. – Jeśli uważniej przyjrzy się tej paplaninie, musisz dojść do wniosku, że samo państwo nie wie już, z czego żyje. Ponieważ państwo, czyli kasta rzymskich urzędników, jest o wiele za głupia, by odróżnić zastaw hipoteczny od obligacji, a poza tym tradycja i arogancja właściwa tej klasie nie pozwalają im zrozumieć praw ekonomii. W rezultacie

dzierżawcy podatków, ci, którzy opanowali publiczne spółki i żeglugę handlową, handlarze niewolnikami i posiadacze licencji na kopalnie mają w gruncie rzeczy całe państwo w rękę i mogą decydować o wojnie i pokoju, dobrobycie albo ruinie całej reszty. Czytałeś zapewne wielkiego historyka Polibiusza, który sto lat temu napisał, że tego rodzaju ludzie kontrolują nasz system prawny, a także wyborczy, drogą zwykłego przekupstwa albo dzięki prawdziwym głosom drobnych akcjonariuszy, którzy często stanowią większość mieszkańców małych miast.

Chyba nie wątpisz, że rywalizacja między Rzymem i Kartaginą o handel pszenicą była bezpośrednią przyczyną wojen punickich? I że wojna przeciw Jugurcie ciągnęła się ponad sześć lat, bo Afrykańczyk znał się na rzeczy i otwarcie korumpował ważne osoby i członków Senatu?

Przyjrzyj się tylko protokołom z posiedzeń Senatu w tym czasie. Poczytaj zapisy Stałej Komisji do spraw Korupcji. A ty mi mówisz o moralności i cnotach przodków...

Kato nie znalazł na to odpowiedzi; był przerażony cynizmem dowódcy. Poprosił o pozwolenie wyjścia i odszedł, purpurowy na twarzy.

Krassus popatrzył za nim i wypluł pestki daktyli; był zadowolony z rozmowy.

Niełatwo było Spartakusowi wyruszyć w tę drogę, ale też nie było to aż tak trudne, jak wyobrażało to sobie wielu jego towarzyszy.

Wiedział, że to koniec. Jego ludzie zaczęli rozpraszać się po lasach. Jeszcze miesiąc i Rzymianie wyłapią ich jednego po drugim. Najlepsi zginęli, reszta schodziła na psy. Mieli zapadnięte oczy i naznaczone rozpaczą, wybladłe twarze. Każdego dnia ścieżkami obozu biegły kobiety niosąc w ramionach niemowlęta o rozdętych głowach i pająkowatych kończynach; krzyczały, że trzeba się poddać, żeby wszystko mogło być tak jak dawniej. Przytulały dzieci do obwisłych piersi i biegły jak szalone, ze splątanymi włosami, wołając, że nie chcą umierać.

Mężczyźni też chcieli żyć. Stali na plaży, patrzyli na nadbiegające fale, wciągali w płuca chłodny aromat wodorostów i myśleli o tym, że dobrze jest żyć, że najgorsze życie zawsze jest lepsze niż najlepsza śmierć.

Rozpacz i chęć życia odbierały ludziom rozsądek. Radzili, czyby nie rzucić broni i przejść do Rzymian; wierzyli, że zyskają przebaczenie. Przychodzili do Spartakusa i patrzyli na niego dziecięcym, pełnym ufności spojrzeniem zapadniętych oczu, jak ranne zwierzęta, wierząc, że ich ocali.

A on wiedział, że wszystko skończone, i kiedy minęły trzy tygodnie od zdrady piratów,

postanowił pójść do Krassusa. Nie przyszło mu to łatwo; pomyślał o Zosimosie, który pewnie wymachiwałby rękami, powiewał togą, wygłaszał mowy o dumie i honorze, wrzeszczał o wstydzie i niegodziwości. Ale Zosimos umarł, a inni chcieli żyć. I kiedy nocą Spartakus wsłuchiwał się w fale i czuł zapach morskiej bryzy, słowa takie jak honor i wstyd brzmiały jak ckliwy lament, który ginął w grzmocie przyboju.

Deszcze już właściwie minęły, nadchodziła wiosna, kiedy Spartakus wybrał się w drogę do Krassusa. Eskorta mogła mu towarzyszyć jedynie do wału – taki warunek postawił rzymski wódz. Rów miał przekroczyć sam.

Po drugiej stronie czekali na niego gwardziści. W chwili, gdy ich zobaczył, uświadomił sobie, że znalazł się w innym świecie, i to pierwsze wrażenie poruszyło go głęboko. Spojrzał na dziarskich, dobrze odżywionych żołnierzy, na ich błyszczące, wesołe oczy, na lśniące zbroje i nieskazitelną skórę rzemieni. Prowadzili go w milczeniu. Patrzyli wyniośle wprost przed siebie; rozsiewali wokół woń pomady i maści, a świeżo wykrochmalona bielizna chrzęściła przy każdym kroku. Spartakus szedł między nimi w kosmatej zwierzęcej skórze; był od nich wyższy, ale zarośnięty i zgarbiony; przez chwilę usiłował trzymać głowę wysoko, szybko jednak zrezygnował i pozwolił jej opaść z powrotem.

Gwardziści maszerowali w ciszy i patrzyli przed siebie.

Mijali wielu żołnierzy, pojedynczych i w kohortach. Wszyscy wyglądali schludnie, dziarsko i pogodnie, i z ciekawością przyglądali się nadchodzącym żołnierzom gwardii i wysokiemu, zarośniętemu mężczyźnie, który szedł między nimi; żaden jednak nie podszedł bliżej. Kiedy mały oddział przechodził obok, milczeli, co najwyżej trącali się łokciami. W spojrzeniach jasnych oczu nie było wrogości, tylko lekkie zdziwienie i zakłopotanie.

Droga była długa. Zbliżając się do obozu minęli trzech gawędzących oficerów. Cała trójka obróciła się na ich widok. Jeden z oficerów, o surowych, regularnych rysach, niemal dorównujący wzrostem Spartakusowi, miał na sobie elegancki strój do jazdy. Gwardziści eskortujący Spartakusa podnieśli ręce w geście pozdrowienia. Oficer nie odpowiedział; patrzył na człowieka w skórze. Uniósł brwi; chłodnym wzrokiem powiódł wolno z góry na dół, od skóry na ramionach po zniszczone buty; w rytm kroków gwardzistów uderzał się bacikiem po udzie.

Długa była droga. W końcu dotarli do pierwszych namiotów.

Kiedy weszli na główną ulicę obozu, zobaczyli naprzeciw siebie centurię w szyku marszowym. Zbrojna kolumna wybijała nogami rytm tak precyzyjnie i miarowo, że za każdym

krokiem słycać było tylko jedno krótkie, silne uderzenie w ziemię. Dowódca oddziału spostrzegł idącą z naprzeciwka grupkę z mężczyzną odzianym w skórę i skręcił w boczną ulicę. Kolumna z głośnym trzaskiem zrobiła zwrot; Spartakus zobaczył tylko ich okryte zbroją plecy; ani jeden żołnierz nie odwrócił głowy.

Gwardziści stanęli wreszcie przed namiotem wodza. Przekazali wartownikowi mężczyznę w skórze, wykonali w tył zwrot i odmaszerowali.

Nie odezwali się ani jednym słowem. Milczał też strażnik. Bez słowa wprowadził przybysza po miękkich kobiercach do dużego, przestronnego namiotu, obrócił się i z zewnątrz zamknął klapę wejścia.

Dywan był tak gruby, że tłumił dźwięk kroków. Gdy Spartakus wszedł, Krassus siedział przy stole ustawionym na środku namiotu i coś pisał.

Nie wstał ani nie podniósł wzroku. Miał na sobie lamowaną purpurą togę; oparł na stole wystające spod niej krótkie, obnażone ramiona pokryte gęsią skórą. Spartakus natychmiast zauważył podobieństwo w wyrazie twarzy rzymskiego wodza do Kriksosa. To prawda, że jego nalana twarz była gładko wygolona, podobnie zresztą jak i czaszka. Ale ciężkie, nieruchome i ponure spojrzenie spod obwisłych powiek niepokojąco przypominało nieżyjącego gladiatora.

Krassus klasnął w dłonie, pojawił się milczący adiutant, podniósł dłoń w geście pozdrowienia, odebrał dokument i wyszedł, obrzuciwszy jeszcze szybkim spojrzeniem człowieka okrytego skórą. Spartakus usiadł na łożu naprzeciw stołu i czekał.

Wreszcie wódz podniósł oczy. „Raniona bestia”, pomyślał.

– Przyszedłeś rozmawiać o warunkach kapitulacji – stwierdził. Oparł swoje krótkie, gołe ramiona na stole. – Żadnych warunków.

Nie spuszczał poirytowanego wzroku z siedzącego przed nim człowieka. Gdyby tak ubrać go porządnie, pomyślał Krassus, i zrobić coś, żeby nie patrzył jak smutne zwierzę, wyglądałby lepiej niż Pompejusz.

Czekał na odpowiedź, przyłożył dłoń do ucha.

– Mówiłeś coś? – spytał.

Spartakus podziwiał cudownie jasną, wykwintną łacinę płynącą z ust grubego wodza. Na stole stał mały, sześcienny kałamarz z ciętego szkła; miał w każdej ścianie otwór, a jednak atrament z niego nie wypływał.

Kobierce okrywające podłogę i ściany tłumiły wszystkie dźwięki z zewnątrz. W namiocie

panowała kompletna cisza, inna jednak od znanej mu nocnej ciszy w górach; ta tutaj była miękka, delikatna, jak łoże, na którym siedział. Z trudem przypominał sam sobie, że słowa, które tu padną, zadecydują o losie dwudziestu tysięcy istnień ludzkich i rewolty w Italii.

– Trochę źle słyszę na prawe ucho – powiedział Rzymianin tym samym wyraźnym, gładkim głosem. – Mów z łaski swojej wyraźnie, jeśli masz coś do powiedzenia.

Spartakus w milczeniu patrzył na stół. Chmury na Wezuwiuszu, proroctwo paplania starego masażysty, ochryple przemowy małego prawnika – wszystko to wydawało się nierealne w tym namiocie, gdzie stał cięty, polerowany kałamarz; wszystko tu było otulone miękko, łagodną ciszą.

Wystarczyło spojrzeć na pulchną dłoń rzymskiego wodza zwiniętą wokół ucha, by każde wymówione tu słowo i każda myśl zdała się absurdalnie nierzeczywista i żałosna.

– Wiesz, panie, w jakim jesteśmy położeniu – powiedział Spartakus.

– Nikomu przecież nie może zależeć, by dwadzieścia tysięcy ludzi doprowadzić do zagłady.

Krassus niedostrzegalnie wzruszył ramionami; wciąż myślał o tym, jakby na miejscu tego człowieka wyglądał i zachowywał się Pompejusz.

Pewnie jeszcze bardziej żałośnie. Ten barbarzyńca przynajmniej nie udaje; zapewne równie rozważnie, tym samym chrapliwym, gardłowym tonem z trackim akcentem wydaje komendy wojskowe z wysokości końskiego grzbietu. Krassus z łatwością potrafił wyobrazić go sobie podczas triumfalnego wjazdu, jak kroczy pod łukiem, z nieruchomą twarzą, przyjmowany hucznymi oklaskami przez rozentuzjasmowany, przepychający się tłum. Rzeczywiście, wszystko zależy od tego, kiedy taki człowiek się rodzi, pomyślał; czy czasy wyrzucą go na śmietnik, czy pozwolą mu tworzyć historię. Gdyby to ranne zwierzę urodziło się sto lat wcześniej albo później, mogłoby przewrócić świat do góry nogami, bardziej gruntownie niż Aleksander i Hannibal. – A więc poddajecie się bez żadnych warunków – oznajmił.

Pochylił się lekko do przodu i czekał.

– To zależy od tego, co stanie się z moimi ludźmi – odparł Spartakus.

– O tym zadecyduje Senat Rzymu.

Minęła krótka chwila, zanim Spartakus znów się odezwał.

– Nie mam na myśli przywódców, ale zwykłych mężczyzn i kobiety.

– Wybacz – powiedział Krassus. – Mówiliśmy o bezwarunkowej kapitulacji. O wszystkich innych sprawach będzie decydował Senat.

Spartakus milczał. Patrzył na szklany kałamarz; wciąż nie mógł uwierzyć, że wszystko wokół niego dzieje się naprawdę. Nie rozumiał, dlaczego atrament nie wylewa się, choć szklana kostka ma otwór w każdej z sześciu ścian. I wtedy zauważył, że wewnątrz sześcianiku, na dwóch zaczepach wisi maleńka miseczka; jakkolwiek by nie postawić kostki, mała miseczka zawsze zawisnie poziomo. Ucieszył się, że udało mu się rozgryźć działanie mechanizmu, przemknął mu nawet po twarzy nikły uśmiech.

Weszli dwaj służący wnosząc wino, puchary, kandyzowane daktyle i słodycze. Postawili tacę na niskim, trójnożnym stoliku i bezszelestnie zniknęli.

Krassus, który już przedtem podążał za wzrokiem Spartakusa, wziął do ręki kałamarz i przechylił go, nie zmieniając posępnego wyrazu twarzy.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał.

– Nie – odparł Spartakus. Przyjął podaną mu szklaną kostkę, nachylał ją w jedną i drugą stronę i odstawił z powrotem na stół.

– Nasze warunki są takie – powiedział. – Niewolnicy będą mogli wrócić na służbę tam gdzie byli, bez obawy, że zostaną ukarani, a reszta zostanie wcielona do waszej armii.

Krassus wzruszył ramionami.

– Raczysz żartować – stwierdził. – Nie masz, jak się zdaje, pojęcia o rzymskim prawie stanu wojennego.

Poza tym decyzja należy do Senatu. Co do mnie, to w mojej mocy jest tylko zalecenie jak najdalej idącej wyrozumiałości.

Spartakus potrząsnął głową.

– W takim razie muszę wracać – powiedział. – My gotowi jesteśmy rozpuścić armię, i niech wszystko będzie tak jak przedtem, ale musiałbyś w tym celu cofnąć swoje wojsko, żebyśmy mieli pewność, że nie zastawiasz na nas pułapki.

Krassus ponownie wzruszył ramionami, popił odrobinę wina i wrzucił do ust garść słodyczy. Od początku przewidywał, że te pertraktacje do niczego nie doprowadzą i przystał na nie z prostej ciekawości. Mógł oczywiście kazać ująć Spartakusa i powiesić go natychmiast, ale ponieważ zwycięstwo i tak miał w ręku, nie było sensu psuć go i narażać się na zarzuty ze strony trybunów opozycji. Krótką, obnażoną ręką wskazał na drugi puchar.

– Boisz się trucizny? – spytał, wciąż z ponurym wyrazem twarzy.

Spartakus pokręcił głową; chciał pić i jednym haustem opróżnił naczynie. Było w nim

ciężkie, słodkie wino, jakiego nigdy w życiu nie miał w ustach. Cisza wypełniająca namiot stała się jeszcze bardziej wyczuwalna.

– Warunki dotyczą tylko zwykłych ludzi – odezwał się po chwili. – Przywódcom niepotrzebne są żadne warunki.

– Rozumiem – odparł Krassus żując daktyle. – Wzruszająca koncepcja: przywódcy poświęcają się, by ocalić swój lud i zapewne liczą na to, że Senat ufunduje im grobowce z wzniosłymi napisami. Macie dziwną wizję czasów, w których żyjemy.

Spartakus wysączył następny puchar i ze zdziwieniem przyglądał się grubemu dygnitarzowi, który spokojnie, bez złości przemawiał do niego w pięknej łacinie, żując cały czas słodycze. Mały prawnik zdecydowanie przedstawiał go w zbyt złośliwy sposób.

Krassus siedział i obserwował mężczyznę w skórze, tak jak zwykł obserwować Katona podczas dyskusji przy posiłkach. Był ożywiony.

– A co wy w ogóle wiecie o naszych czasach? – ciągnął. – W sprawach rewolucji jesteście dyletantami. Chcecie znieść niewolnictwo i nawet nie przyjdzie wam do głowy, że musielibyście w takim wypadku pozamykać wszystkie kamieniołomy i kopalnie, pożegnać się z budową dróg, mostów i akweduktów; sparaliżować handel i żeglugę i w ogóle cofnąć świat do stanu barbarzyństwa. Ponieważ słowo „wolność” oznacza dziś dla każdego człowieka tylko jedno: wolność od pracy. Gdyby wasze intencje były poważne, powinniście byli wynaleźć nową religię, która podniosłaby pracę do rzędu wiary i przedmiotu kultu i zrównała pot z ambrozją. Trzeba było cynicznie głosić, że tylko kopanie, naprawa dróg, cięcie desek i wiosłowanie na galerach świadczą o przeznaczeniu i szlachetności człowieka, podczas gdy pogodna bezczynność i leniwe rozmyślenia prowadzą go do poziomu zwierzęcia i zasługują na pogardę. Wbrew wszelkim dotychczasowym doświadczeniom należało zapewniać świat, że bieda niesie w sobie dobrodziejstwo i świetność, natomiast bogactwo jest wyłącznie przekleństwem. Trzeba było zrzucić z Olimpu leniwych i rozpustnych bogów i wynaleźć nowych, odpowiadających waszym celom i interesom. Wszystko to zaniedbaliście. Wasze Miasto Słońca zginęło, ponieważ nie wynaleźliście sobie nowego boga ani kapłanów, którzy by mu służyli.

Spartakus pokręcił głową.

– Wszyscy kapłani i prorocy to oszuści – powiedział. – Nie potrzebowaliśmy ich, a tysiące ludzi przyszło, by do nas dołączyć. Nie tylko niewolników; byli wśród nich i rolnicy, których wielcy właściciele wyrzucili z ich ziemi. Rolnicy i drobni dzierżawcy nie potrzebują nowej

religii; potrzebują ziemi.

– Wybacz – przerwał Krassus – ale dostrzegasz zaledwie część związku między przyczyną i skutkiem. Dlaczego, twoim zdaniem, chłopci italscy pozwalają, by oligarchowie wykupywali ich i wyganiaли z ziemi? Na pewno nie dlatego, że to niewinne jagniątka, jak nam to próbujecie przedstawić, ale dlatego, że import zamorskiej pszenicy obniżył ceny zboża do takiego poziomu, że tylko wielcy właściciele ziemscy mogą się utrzymać na rynku. Gdyby więc wyciągać logiczne wnioski, powinniście zażądać, by Rzym zrezygnował ze swoich kolonii i żeby wstrzymał handel zagraniczny; należałoby skurczyć świat do dawnych rozmiarów, a cały postęp unieważnić. Wszystkie te wasze amatorskie próby reform, poczynając od Grakchów, były w rzeczywistości skrajnie reakcyjne. Dopóki ktoś nie przyjdzie i nie wynajdzie nowego boga, który oświadczy, że barbarzyńcy są nam równi, i zmusi ich do produkowania po tej samej cenie co my, dopóki czegoś się z tym nie zrobi, tak długo jedynymi prawdziwymi orędownikami postępu pozostaną, mimo wszystko, te dwa tysiące rzymskich arystokratów i próżniaków, którzy pozwalają, by reszta świata na nich pracowała i wymuszają postęp zupełnie nieświadomi tego faktu. Aż któregoś dnia nadęte brzuszysko naszego państwa rozpęknie się na kawałki i diabli wezmą nas wszystkich.

Krassus, zadowolony z siebie, odetchnął chrapliwie i podniósł dłoń do ucha, by usłyszeć ewentualne protesty. Ale Spartakus nie znajdował słów odpowiedzi i podejrzewał, że ani pobożny masażysta, ani pokątny doradca nie poradziłiby sobie lepiej na jego miejscu. Nagle uświadomił sobie, że jego warunki zostały odrzucone, że dla jego ludzi nie ma już ucieczki i poczuł jak rośnie w nim bezsilna nienawiść. Po co, na bogów, wdał się w całą tę dyskusję, w której odgrywa tak żalospną rolę, zamiast wrócić do swojej gromady natychmiast, gdy okazało się, że negocjacje nic nie dadzą?

Żal i nienawiść wezbrały w nim, pokonując skrępowanie.

– Skoro tak dobrze o tym wiesz – odezwał się szorstkim tonem, na tyle głośno, że wódz uniósł w zdziwieniu brwi – skoro tyle potrafisz powiedzieć, a nawet twierdzisz, że diabli wezmą całe to wasze państwo, jak możesz żądać od nas bezwarunkowej kapitulacji i w ten sposób jeszcze pogłębiać niesprawiedliwość?

Zamierzał powiedzieć więcej, ale Krassus przerwał mu ruchem tęgiego ramienia.

– Wybacz – odezwał się. – Czy kiedykolwiek zastanowiłeś się nad tym, że istota ludzka żyje zaledwie mniej więcej piętnaście tysięcy dni? Dużo więcej czasu minie, zanim Rzym ostatecznie zejdzie na psy. Ponieważ nie będzie mi dane poznać moich praprawnuków, nie widzę powodu,

by uwzględnić ich w moich działaniach.

Pociągnął łyk wina i posłał mu ponure spojrzenie. Gniew Spartakusa zniknął równie szybko jak się pojawił; Krassus zdawał się w tym momencie szczególnie podobny do Kriksosa. „Zjesz albo będziesz zjedzony”, mówił Kriksos, i jak się zastanowić, ten Rzymianin ze swoją elegancką wymową powiedział to samo. Tylko głupca cokolwiek obchodzi przyszłość.

Wypił trzeci puchar wina; wydał mu się jeszcze dziwniejszy i bardziej aromatyczny niż dwa poprzednie.

Krassus obserwował go cały czas. Jeśli w końcu uda mu się skłonić tych ludzi do kapitulacji, ma zapewniony konsulat, jeszcze zanim Pompejusz wróci z Hiszpanii. To prawda, od początku liczył się z fiaskiem rozmów, była jednak jeszcze jedna, ostatnia szansa, którą brał pod uwagę.

– ...Piętnaście tysięcy dni – powtórzył Krassus i ciężko oparł się na łokciach. – Zostało mi mniej więcej pięć tysięcy, których nie zwróci mi żadna potomność. W obecnej sytuacji tobie zostało dziesięć dni albo dwadzieścia. Oczywiście, różnica jest znaczna, ale i tobie potomność nie odpłaci za całą straconą resztę. Ja natomiast jeszcze mogę to zrobić. W razie kapitulacji Senat zadecyduje o losie twoich ludzi, ale jeśli chodzi o ciebie, są różne możliwości. Na przykład dokumenty na ultrazymskie nazwisko i rejs do Aleksandrii. – Przerwał i posępnie spojrzał na swego gościa.

Spartakus nie był zdziwiony; od chwili gdy wszedł do tego podejrzanie cichego namiotu, czuł, że takie słowa padną, albo raczej, że coś, co już się kiedyś zdarzyło, znów nastąpi. Gdzie już coś takiego przeżył? Kiedyś, dawno, w oberży przy Via Appia.

– Jeżeli my we dwojkę, ty i ja teraz odejdziemy – mówił wtedy Kriksos – żaden kapitan statku nie zapyta nas o papiery. – To było przed wiekami, kiedy wszystko dopiero się zaczynało, a teraz, gdy zbliża się koniec, Kriksos ustami tego łysego Rzymianina, przemawia do niego po raz ostatni. A Kriksos zawsze w końcu miał rację.

Zapewne mają słuszość oba te grubasy z posępnym spojrzeniem.

Jeść albo być zjedzonym – czy ktoś słyszał coś lepszego? Dziesięć tysięcy dni – gdzie jest bóstwo, które odda je człowiekowi? A ci wszyscy ludzie po drugiej stronie rowu – oni nie unikną swego losu, muszą zginąć, z nim czy bez niego. Na co komu jego powrót na drugą stronę?

Nigdy nie był w Aleksandrii. Ale wiedział, że są tam jasne, szerokie aleje i kobiety, i dziesięć razy po tysiąc dni... „Co będziemy jeść w Aleksandrii? Kwiczoły ze słoninką, oto co będziemy jeść w Aleksandrii. Co będziemy pić w Aleksandrii? Wino ze stoków Wezuwiusza, wino

z Karmelu, oto co będziemy pić w Aleksandrii. A jakie będą dziewczęta w Aleksandrii? Jak otwarte pomarańcze – takie właśnie będą...” Nigdy nie był w Aleksandrii. Wiedział jednak, że nocami wiatr szeleści liśćmi w alejach, i wiedział o tęsknocie nieznanymi kobiet. Nie, nie zanoszą się teraz na to, by kiedykolwiek popłynął do Aleksandrii.

Krassus siedział za stołem, patrzył na niego żując daktyle i czekał.

Spartakus potrząsnął głową. Krassus wypluł pestki, wstał i klasnął w dłonie. Kłapa namiotu odchyliła się; na zewnątrz stali gwardziści, którzy eskortowali Spartakusa od rowu.

– Raczej spodziewałem się takiego obrotu sprawy – powiedział Krassus. – Ciekaw jednak jestem, z jakich to powodów odrzuciłeś moją propozycję, zdecydowanie dla ciebie korzystną, a w niczym niezmienną losu twoich towarzyszy?

Spartakus stał na środku namiotu; teraz, kiedy obaj się podnieśli, górował niemal o głowę nad gospodarzem. Uśmiechnął się słabo i niepewnie, lekko zakłopotany; jak można to wytłumaczyć temu tęgiemu mężczyźnie w todzie? Przypomniał sobie słowa esseńczyka:

– Trzeba iść swoją drogą do końca – powiedział tonem, jakim tłumaczy się dzieciom coś, czego nie chcą zrozumieć. – Trzeba iść do końca, bo inaczej łańcuch zostanie rozerwany. Tak właśnie musi być i nie należy pytać, dlaczego.

Ale kiedy zorientował się, że grubas nadal nic nie rozumie, podniósł z niskiego stolika puchar z winem. – Nie wolno zmarnować ani kropli – stwierdził i z uśmiechem wysączył resztkę wina. – Tak żeby zostawić wszystko w porządku dla tego, kto przyjdzie następny.

Po czym podszedł do zbrojnych gwardzistów i bez słowa, tak jak poprzednio, pomaszerał z nimi w stronę rowu.

5. Bitwa nad rzeką Silarus

W tydzień po spotkaniu z przywódcą niewolników Krassus popełnił ciężki błąd, którego nigdy nie zdołał naprawić, i którego konsekwencje zaciążyły na całym jego życiu. Kiedy dowiedział się, że Spartakus wraz z resztkami swej armii wyrwał się z Brucjum i jest już po drugiej stronie rowu, po prostu stracił głowę. Wysłał wiadomość do Senatu, żądając, aby z Hiszpanii wezwano na pomoc Pompejusza.

Przerwanie blokady nastąpiło bardzo zimną nocą, podczas gęstej śnieżycy. Resztki niewolniczej armii poderwane do ostatniej desperackiej próby przez Spartakusa, zaskoczyły dowodzoną przez Katona Trzecią Kohortę, przedarły się przez linie rzymskie na zachodnim wybrzeżu, w pobliżu zatoki Euphemia i ruszyły na północ. Aby umożliwić przejazd zaprzężonym w woły wozom, na których jechali chorzy, ranni i dzieci, wykop zapełniono pniami drzew, chrustem, końską padliną i uduszonymi jeńcami z Trzeciej Kohorty. Dwudziestotysięczna gromada przeszła na drugą stronę; w ciemnościach i padającym śniegu. Zagłodzeni, parli do ostatniej bitwy z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem, wiedząc, że idą na śmierć.

Dzień później Krassus zdał już sobie sprawę, że był to tylko akt rozpacz, a przeciwnik nie jest w stanie mu zagrozić. Niestety, było już za późno. Przez lata spokojnie i ostrożnie budował drabinę, po której piął się w górę, pożyczał pieniądze, nie biorąc procentów, żuł słodycze i czekał na moment, kiedy władza sama wpadnie mu w ręce jak dojrzały owoc.

Wystarczyła jedna godzina i wszystko zostało zrujnowane. Podyktowany przez panikę rozpaczliwy apel do Senatu obnażył go na zawsze jako słabszego od Pompejusza.

W późniejszych latach sam nie mógł dojść, jak to się stało, że tamtego chłodnego ranka w tak niewytłumaczalny sposób stracił głowę. Osiem dni wcześniej ów człowiek w skórze, zakłopotany, siedział naprzeciw niego i bawił się kałamarzem; miesiąc później został zmiażdżony przez jego armię. Jakież to złośliwe moce sprawiły, że między jedną i drugą datą Krassus przestraszył się cienia Spartakusa i popełnił polityczne samobójstwo?

Przez osiemnaście lat, czyli sześć tysięcy i pięćset dni, codziennie rozmyślał nad tym pytaniem. Nękało go aż do ostatniej godziny życia, gdy w Pustyni Mezopotamskiej, pod miastem Sinnata, sztylet partyjskiego stajennego przyniósł mu niesławną i bezsensowną śmierć. Skrwawioną głowę człowieka, który rozumiał, że pieniądz jest silniejszy od miecza, a potem

zmiądzzył największą rebelię w Italii i chciał zostać władcą Rzymu, aktorzy pokazywali na dworskiej scenie małoazjatyckiego księcia. Książę nazywał się Orodes; dla uświetnienia zaślubin książęcego syna odbywało się właśnie przedstawienie *Bachantek* Eurypidesa, kiedy posłaniec z pola bitwy przyniósł świeżo odciętą głowę Krassusa. Aktor grający rolę Agawę zastąpił sztuczną głowę Penteusa prawdziwą głową Marka Krassusa i śpiewał przed rozentuzjasmowaną widownią:

„W ostępie dzikich kniej,

Bez łowczych sieci

– Patrzcie, patrzajcie me dzieci,

*Upolowałam lwa!”**

* [Przekład Jana Kasprowicza, *Bachantki*, Wyd. W. Meisels, Kraków 1931.]

Kiedy Krassus słał swój apel do Senatu, Pompejusz pomyślnie zakończywszy wojnę hiszpańską, zmierzał już ze swą armią do domu. Krassus chciał więc sfinalizować kampanię przynajmniej przed jego pojawieniem się w Italii, a i niewolnicy po trzech latach wędrówek bez nadziei i bez celu pragnęli jakiegoś końca. Doczekali się go w bitwie nad rzeką Silarus, z której tylko niewielu uszło z życiem.

W przeddzień bitwy do obozu dotarł pewien stary człowiek. Nazywał się Nikos, był kiedyś służącym organizatora igrzysk Lentulusa Batiatusa. Całą długą drogę z Kapui do Apulii przebył na własnych nogach.

Zdumieli się na jego widok najstarsi weterani, którzy znali go jeszcze z dawnych czasów; i od razu zaprowadzili do namiotu wodza. Siedział tam teraz, sędziwy i schorowany, i w przeddzień ostatniej bitwy rozmawiał ze Spartakusem.

Człowiek w skórze przyjął go uprzejmie i bez nadmiernego zaskoczenia; źródła zdziwienia i ciekawości już w nim wyschły, zaś to wszystko, co działo się w ostatnich dniach, wydawało mu się od dawna znane i spodziewane.

– Czyżbyś wreszcie wrócił do nas? – powitał starego Nikosa. – Długo na ciebie czekaliśmy; zawsze mówiłeś, że źle skończymy i oto zdążyłeś, żeby zobaczyć ten koniec na własne oczy.

Stary Nikos poważnie pokiwał głową. Katarakta zaćmiła mu wzrok, nie wszystko widział już wyraźnie, natychmiast jednak spostrzegł, jak bardzo ten dawny gladiator zmienił się od czasu, kiedy po raz ostatni spotkali się w Kapui; pozbył się dawnej wyniosłości i promieniował teraz spokojną rezygnacją. Spojrzenie miał smutne, ale szczere.

– Długo to trwało – rzekł Nikos. – Dożyłem starości i niemal oślepiłem, aż wreszcie zrozumiałem, że nie da się uciec przed przeznaczeniem. Przez czterdzieści lat byłem niewolnikiem i kiedy zostałem wyzwolony, duma mnie zaślepiła. W świątyni Diany na górze Tifata gadałem głupstwa. Teraz jednak zrozumiałem, że muszę do ciebie przyjść, bo dotarłeś do kresu swojej drogi.

Spartakus uśmiechnął się:

– Więc nie uważasz już, ojcze, że to zła droga?

– Ależ tak – odparł Nikos. – Wybrałeś drogę zła i zamętu, a jednak musiałem tu przyjść, żeby podzielić twój los. Wiem o tym więcej niż ty, bo urodziłem się w niewoli, i dlatego moje miejsce jest przy was. Ty żyłeś kiedyś w swoich ojczystych górach, ale nie na tyle długo, by poznać granice wolności. Wydaje ci się, że jesteś wolny, a jednak tkwisz w sieci splecionej z różnorodnych nici. Ogranicza cię dzień i noc, i twój sąsiad, i obcość kobiety i zwodnicze mruganie gwiazd. Wszystko to tworzy sieć, z której nie możesz się wyrwać. Żadnego uczucia nie poznasz do końca, żadnej myśli nie przemyślisz do głębi. Jest tylko jedna rzecz, którą można wypełnić bez reszty: służba.

Spartakus pokręcił głową:

– Więc po co do nas przyszedłeś?

– Nie miałem nic wspólnego z twoją drogą, jednak twój koniec jest i moim końcem – powiedział stary. – Pokój nam wszystkim. Wolności strzegą mury; jeśli będziesz tłukł w nie głową, przetrwają, za to ty dorobisz się guzów. Na tym świecie nie ma niczego doskonałego i cokolwiek zrobisz, wychodzi źle, nawet takie działanie, które wydaje ci się dobre, rzuca cię zła. Błogosławieni poddani i uciśnieni, którzy polegą w walce ze złem, albowiem to oni znajdują pokój. I właśnie dlatego przyszedłem do ciebie.

Spartakus uśmiechnął się.

– Witaj więc, ojcze, choć w twojej starej głowie lęgną się dziwne myśli. Z tych, których znałeś, pozostało przy życiu już tylko paru. Witaj, dobrze, że jesteś z nami.

Zapadł zmierzch; na sąsiednim wzgórzu widać było pochodnie Rzymian. W obu obozach trwały ostatnie przygotowania do bitwy. Krassus odbył krótki przegląd wojsk; na swym białym koniu przejechał wzdłuż długiej linii piechoty, ponurym spojrzeniem zlustrował od stóp do głów lśniące zbroje, tworzące wzdłuż zbocza coś w rodzaju żelaznego muru.

Nie wygłosił mowy do żołnierzy, którzy zauważyli, że podczas tego przeglądu ani na chwilę

nie przestał żuć słodocy.

Spartakus też zgromadził swych obdartych i bosych żołnierzy na szczycie pagórka. Tam właśnie, w miejscu dobrze widzianym przez Rzymian, kazał postawić krzyż z przybitym do niego rzymskim jeńcem. Był to już ostatni przegląd zdziesiątkowanej armii, zbiórka nieszczęsnych desperatów zgromadzonych na wzgórzu, wokół krzyża, na którym szarpał się i krwawił umierający Rzymianin. Nikt nie wiedział, jaki jest cel tego ponurego widowiska. Dopiero wódz powiedział im, że powinni głęboko zapisać ten obraz w swej pamięci, bo taki właśnie koniec spotka każdego, kto podda się albo wpadnie żywy w ręce Rzymian. Zrozumieli, co miał na myśli, a i on wiedział, że został dobrze zrozumiany.

Kazał przyprowadzić swego konia, białego wierzchowca, który należał kiedyś do pretora Waryniusza, podszedł z nim pod krzyż, czule pogładził po chrapach, a potem przeciął mu gardło.

– Martwi nie potrzebują koni – powiedział do stojącej w milczeniu gromady. – Żywi zdobędą sobie nowe.

Polecił rozdać resztę zapasów jedzenia i wina, po czym wszedł do namiotu.

Była już głęboka noc, ostatnia w dziejach gromady. Każdy z ludzi Spartakusa zdążył się najeść, napić i nasycić się którąś z ostatnich kobiet. Na sąsiednim wzgórzu widać było w ciemności jasne punkciki, niby robaczki świętojańskie – pochodnie wroga. Czasem wiatr przynosił strzępy melodii śpiewanych przez Rzymian na ich pagórku: dziarskie, wesołe i patriotyczne piosenki podsycane przez wino i pewność bliskiego zwycięstwa.

Słysząc je było w namiocie drobnego prawnika Fulwiusza. Siedział przy lampce oliwnej i pisał swą kronikę, która na zawsze miała pozostać niedokończona. Słuchając śpiewu pijących Rzymian wspominał swoje ostatnie dni w głupim mieście Kapui, gdy patrioci maszerowali po ulicach wymachując chorągwiami i włóczniami. Przypomnił mu się traktat, nad którym zaczął wtedy pracować i który także nie doczeka się zakończenia. Drobnny, łysy prawnik poczuł bolesny ucisk w okolicach serca. Przez odrzuconą klapę namiotu widział w oddali poruszające się zgubne, czerwone światelka; zdjął go żaloszny strach. Tej nocy nie chciał być sam. Zrolował zwój pergaminu, przelotnie pogłaskał go dłonią i uliczkami obozu ciemnymi jak wnętrza studni poszedł do namiotu esseńczyka.

Zastał go w trakcie zażartej dyskusji ze starym Nikosem z Kapui.

Starcy siedzieli obok siebie na kobiercu i popijając z dzbanka grzane wino z goździkami i cynamonem spierali się o porządek świata, a w tym samym czasie Rzymianie na swoim

wzgórzu potrzęsali włócznie i śpiewali krwiożercze piosenki. Ich słowa i melodie docierały aż tutaj z powiewem ciepłego wiatru, który co jakiś czas poruszał delikatnie płótnem namiotu.

– Słyszysz, jak śpiewa zło? – zapytał stary Nikos. Zanurzył wąskie, starcze wargi w gorącym winie, popijał je małymi łydkami. – Sam widzisz, jakie są skutki użycia siły. Zapał okazuje się zaraźliwy.

Esseńczyk gwałtownie potrzęsnał głową. – Żaden człowiek nie może żyć bez niego – zaprotestował. – Zmarniałby jak drzewo bez korzeni.

Tyle że są dwa rodzaje zapału: jeden jest radosny i płynie z życia; drugi zaś, ponury, ukradkiem czerpie soki ze śmierci. Nie przeczę, drugi spotyka się dużo częściej. Bogowie zawsze odbierali ludziom radość i beztroskę, uczyli ich za to przestrzegać zakazów i wyrzekać się własnych pragnień. I w końcu ów fatalny dar wyrzeczenia, który sprawia, że człowiek różni się od wszystkich istot, stał się jego drugą naturą. Używa go przeciw drugiemu człowiekowi jak broni; mniejszość na różne sposoby wykorzystuje go przeciw uciskanej większości. W ten sposób wyrzeczenie służy po prostu uciskowi w każdej jego postaci. A ponieważ konieczność wyrzeczeń została wpojona człowiekowi od niepamiętnych czasów, uważa on więc za prawdziwie szlachetny ten rodzaj zapału, który każe mu wyrzec się samego siebie i swych własnych interesów. Ale czyż nie jest tak, że wszelka negacja należy do królestwa śmierci, bo sprzeciwia się życiu i występuje przeciw niemu? Może właśnie dlatego triumfuje głupia i wroga życiu, zbiorowa mentalność i dlatego ludzie zawsze łatwiej ulegali zapałowi czerpiącemu z ciemnych jądów śmierci niż tej drugiej jego odmianie.

Prawnik przysiadł na dywaniku i nalał sobie trochę wina. Jego lęk przed czerwonymi pochodniami odrobinę się zmniejszył; ledwie wszedł do namiotu, poczuł się lepiej i przestał marznąć.

Widać było, że staremu Nikosowi nie przypadły do gustu argumenty esseńczyka. Mówił już odrobinę niewyraźnie.

– Błogosławieni pokorni, którzy służą i nie buntują się – powiedział. – Opowiadałeś o złym zapale, tak jakby istniał jakiś inny, dobry. Jakież to? Przecież każda namiętność jest zła.

– Ten drugi – odparł prawnik, gładząc się po czaszce – to taki, który nie zmierza do wyrzeczeń, ale potęguje radość życia. To prawda, dzięki wyrobionemu nawykowi przestrzegania zakazów, który z wyrzeczenia się siebie czyni w końcu cnotę, a śmierć podnosi do rangi najbardziej wzniosłej ofiary; przy takim oszołomieniu czarnymi jadami, każdy inny rodzaj zapału

wydaje się przyziemny i wulgarny. Ale czyż nie jest tak, że to głupi porządek świata zmusza nas do zaspokajania wszystkich pragnień najbardziej przyziemnymi i wulgarnymi sposobami? Sklepiarz, chcąc przetrwać, musi używać sfalszowanych odważników. Niewolnik spiskuje i okrada swego pana, bo inaczej by nie przeżył. Rolnik musi być twardy i skąpy. Czyż więc nie jest płaskie i wulgarnie wszystko, co służy życiu i interesom jednostki? Czyż nie jest tak, że wychwała się i uznaje za godne zapału tylko to, co obu tym rzeczom przeciwne, czyli wyrzeczenia, ofiarę i śmierć? Drobne udręki egzystencji sprawiły, że ludzie stali się nieczuli na pogodny i niosący radość entuzjazm; to one każą im upijać się owym czarnym jadem. Tym sposobem właśnie da się wytłumaczyć, dlaczego w pojedynkę jednostki działają na szkodę innych, zaś na własną szkodę wtedy, kiedy łączą się w grupy i tłumy.

I tak oto wrócił znów do nagłówka swego traktatu. Być może dokończyłby go, gdyby dano mu trochę czasu – teraz jednak było już za późno.

Prawnik dyskretnie odkaszlnął i potarł łysinę. O, gdybyż mógł zasiąść przy swoim stole, pod poczciwą, grubą belką. Ci głupcy po tamtej stronie śpiewają i łomoczą włóczniami po nocy, szykują się do działania na własną szkodę, i do zabicia jego samego, kronikarza Fulwiusza. Po jakie лихо wdał się w te awantury, przechodził przez mur i wystawiał się na śmiertelne niebezpieczeństwa? Mógł przecież zostać na swoim miejscu i nie opuszczać belki ani stołu.

Jednym haustem opróżnił kubek.

– Oczywiście – kontynuował – ów pogodny rodzaj zapału, służący życiu, musi czasami być gotów do poświęceń albo i na śmierć. Nie jest jednak obojętne, jak się umiera – czy śmierć ma służyć życiu, czy odwrotnie, oddajemy życie w niewolę śmierci.

Jasne, łatwiej żyć dla śmierci, jak ci żołnierze, którzy tam hałasują włóczniami, niż umrzeć dla życia i pogodnej radości, czego czasami wymaga trzymanie się krętych dróg.

Stary Nikos kiwał się drzemiąc w kącie, ale esseńczyk nie spał i nieznacznie pokręcił głową.

– No cóż – powiedział – może to nasza ostatnia noc. Miasto Słońca spłonęło do cna, ludzkość zatrąły czarne jady, a Bóg nie jest z siebie zadowolony. Bo sam zaczął to wszystko, i proszę, od początku nic nie poszło tak jak powinno. Ledwie zapełnił stworzeniem niebo, ziemię i wody, a już wszyscy bez wyjątku zaczęli się wzajemnie pożerać. Naturalnie, Bóg rozżłościł się, ale żeby ratować twarz, obwieścił, że takie są Jego prawa – wszelkie żywe stworzenie ma zjadać inne, a w gruncie rzeczy to te większe mają pożerać mniejsze. Można oczywiście i tak ułożyć porządek świata, prosta sprawa, gdyby jednak udało się inaczej, to byłoby naprawdę coś.

– Ale to chyba niemożliwe, prawda? – odezwał się stary Nikos budząc się nagle z płytkiego snu.

– Po co więc jest Bogiem? – z dezaprobatą zapytał esseńczyk. – Tak mógłby to załatwić każdy, na to nie trzeba Boga. Nie najlepiej poszło już ze zwierzętami, ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy Bóg zabrał się za ludzi, od razu w pierwszych dniach zaczął się z nimi kłócić. Mógłbym dodać, że zupełnie nie miał racji w tej sprawie z drzewem. Jeśli nie chciał, aby mężczyzna i kobieta dobrali się do jakiegoś jabłka, to po co wieszał im je tuż przed nosem? Tak się nie robi.

– Po to, żeby uczyli się wyrzeczeń – powiedział stary Nikos. – I żeby przyzwyczaili się do tego, że istnieją zakazane owoce.

– No właśnie. Ale czy potrafisz pojąć, po co stworzył świat, w którym pełno jest rzeczy zakazanych, skoro równie dobrze mógł stworzyć taki, w którym ich nie ma? Rozumiesz to? Boja nie.

– A ja tak – powiedział Nikos. – Człowiek musi znosić wyrzeczenia, służyć i cierpieć. Błogosławieni cisi i pokomi, którzy zginą z rąk zła.

– Ale tego wcale nie przewidziano w dziele stworzenia – zaoponował esseńczyk i zmarszczył swój nos fauna. – A jeśli nawet, to znaczy tylko, że samo dzieło jest złe i byłoby lepiej, gdyby On nie przykładał do niego ręki.

Pokręcił głową z dezaprobatą, a potem uklęknął i pogрузzył się w porannej modlitwie.

Dźwięki rzymskich trąbek wydawały się teraz bliższe, słychać je było coraz wyraźniej. Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności, ale już zbliżał się brzask.

Spartakus leżał na swym kobiercu. On także nie chciał spędzić samotnie tej ostatniej nocy, obok niego, głęboko oddychając, leżała drobna jak dziecko, ciemnowłosa dziewczyna. Długo zanedbywał ją w Mieście Słońca nigdy nie weszła do namiotu z purpurowym *velum*. Czasem widywano ją u Kriksosa, najczęściej jednak samotnie wędrowała całymi dniami po lasach, śpiąc pod pniami drzew albo u stóp białych wapiennych skał Lukanii. Kiedyś zaskoczył ją należący do Wspólnoty pasterz, który szukał zbłąkanego barana – leżała na wysuniętej półce skalnej, mówiła coś głośno, choć nikogo nie było w pobliżu i błyskała białkami wywróconych oczu. Ogromnie się przestraszyła, kiedy zawołał do niej, patrzyła na niego, jakby był zjawą. Potem jednak powiedziała mu, że znajdzie zgubione zwierzę za odległą górą, koło chaty w dolinie, której z tego miejsca nie było widać. I rzeczywiście, znalazł tam swego barana. Takie rzeczy zdarzały się od

czasu do czasu, co utwierdzało ludzi w przekonaniu, że dziewczyna potrafi wieszczyć i wie, co kryje przyszłość.

Podobna opinia towarzyszyła jej już wcześniej, jako że była kiedyś w Tracji kapłanką Bachusa i adeptką orficzego kultu. To ona przecież przepowiedziała Spartakusowi, kiedy był jeszcze zwyczajnym gladiatorem w cyrku, że sądzona mu jest olbrzymia władza. Spał wtedy mocno na podłodze, kobieta zaś wpatrywała się w węza, który podpełznął do jego głowy, nie czyniąc mu żadnej krzywdy; to był znak, co go czeka w przyszłości.

Spartakus długo ją zaniedbywał, a ludzie mówili, że bał się zetknięcia z ciemnymi, nieznanymi mocami, które się w niej kryły. Podobno od czasu, gdy zaczął przestawać z ambasadorami i azjatyckimi dyplomatami, a swym głównym doradcą uczynił tysego prawnika, nie chciał mieć kontaktu z mrocznymi siłami. Kiedy jednak Miasto Słońca legło w gruzach, znów przyjął dziewczynę do siebie; teraz, nocą, leżała obok niego, głęboko oddychając, drobna, dziewczęca i krucha, obca i nieprzenikniona nawet w uścisku jego ramion.

Przedtem unikał jej z powodu niezwykłego daru, który posiadała, teraz właśnie dlatego jej potrzebował. On też bowiem widział rój czerwonych pochodni i słyszał Rzymian śpiewających po nocy, upojonych pewnością zwycięstwa; zdawał sobie sprawę, że to już jego ostatnia noc i chciałby usłyszeć, co dzieje się potem, kiedy ustaje oddech, a słońce więcej nie wschodzi. Dawno zapomniał złowrogich trackich bogów, a wstydził się pytać sędziwego esseńczyka. Wydawało mu się także, że w objęciach kobiety łatwiej znaleźć odpowiedź na to pytanie, niż w towarzystwie wszystkich kapłanów i magów świata.

Znów leżała więc przy nim, dyszała ciężko i nie chciała mówić, bardziej obca niż kiedykolwiek. Spartakus milczał, czekał na jej słowa. Przedtem szukał odpowiedzi w dotyku ciała tej kobiety; a teraz w jej oczach, aż poczuła się nieswojo i odwróciła głowę. Rozczarowany, pozwolił jej odejść, wiedząc już, że niczego się nie dowie.

Podniósł się i wyszedł z namiotu. Przeszedł przez ciemny obóz, sprawdził strażę, posłuchał piania kogutów i równie ochryplego dźwięku rzymskich tręb sygnałowych. W końcu znużony i zmarznięty wrócił do swego namiotu. Kobiety już nie było, ale jej zapach unosił się jeszcze w powietrzu, a na kobiercu czuł ciepło filigranowego ciała. Położył się w miejscu, w którym leżała, po czym zamknął oczy. Wiedział teraz, że nigdzie nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytanie, i zapadł w sen.

Nie znalazł jej także nazajutrz, podczas bitwy nad rzeką Silarus, w której jego armia poniosła

klęskę, a on sam zginął.

Bitwa zaczęła się tuż przed wschodem słońca. Pierwsi zaatakowali niewolnicy. Ich afrykańskie bębny, drewniane pudła obciągnięte skórą, dudniły w szarym brzasku jak podziemny grzmot. Okolica była pagórkowata i pozbawiona roślinności. Na przedzie jechali lugańscy procarze na chudych, zagłodzonych szkapach. Powitał ich deszcz strzał. W zestawieniu z siłą i donośnością rzymskich łuków ich proce wydały się dziecięcymi zabawkami. Lugańczycy rozstąpili się i rozproszyli jak rój komarów, ze zręcznością akrobatów przemykali teraz ze swymi procami przed linią nacierającej z dzikim wrzaskiem celtyckiej piechoty. Nagle zrobiło się całkiem jasno. Rzymskie linie nawet nie drgnęły, natomiast na ich flankach ruszyła do przodu konnica.

Spartakus wiedział, że ma za mało jazdy, by zapobiec oskrzydleniu przez Rzymian, dlatego mógł podjąć tylko jedną decyzję – skierować uderzenie na środek sił nieprzyjaciela, żeby przerwać potrójną linię rzymskiej piechoty, zanim jeszcze jego armia zostanie wzięta w kleszcze.

Celtowie nacierali z wrzaskiem w swych brzęczących i klekocących blaszanych zbrojach, z drewnianymi włóczniami, toporami i sierpami; grzmiały afrykańskie bębny. Pierwsza linia Rzymian ustąpiła, a wtedy ciężkie oszczepy wyrzucane z drugiej linii zaczęły bez trudu przebijać cienkie pancerze Celtów i spychać ich do tyłu. Trzecia linia Rzymian, stalowy mur weteranów, przystąpiła do bitwy dopiero po kilku godzinach, po załamaniu się kolejnych fal natarcia niewolników.

Kiedy słońce świeciło niemal pionowo, połowa armii niewolniczej już nie istniała; reszta bosych nędzarzy walczyła przeciw ludziom w pancerzach, drewno przeciw żelazu, mięso przeciw stali. Była to bardziej masakra niż bitwa, a ofiary pod wpływem rozpacz i fascynacji śmiercią, dobrowolnie rzucały się na miecze wykonawców tej egzekucji. Gdy słońce minęło zenit, Rzymianie całkowicie okrążyli niewolników, a ich ciężkozbrojne kohorty kontratakowały ze wszystkich stron, maszerując przez pagórki i zwały trupów.

Bitwa zaczęła się tuż przed wschodem słońca; skończyła jeszcze przed zachodem. Armia niewolników została zlikwidowana. Piętnaście tysięcy trupów w cuchnących łachmanach nie wartych przeszukiwania i budzących tylko odrazę u zwycięzców, zalegało cały pagórkowaty obszar nad rzeką Silarus.

Wódz niewolników, gladiator Spartakus, poległ prawie w samo południe, tuż przed tym, gdy słońce stanęło w zenicie. Idąc na czele swych Traków, prowadził atak przeciw Piątej Kohorcie

Krassusa. Bardzo wysoki i rzucający się w oczy w swej włochatej skórze, gladiatorским mieczem wyrąbywał sobie przejście przez rzymskie linie. Dwu ostatnich służących Fanniusza, w zardzewiałych hełmach, wytrwale postępowało za nim, choć dystans dzielący ich od wodza wciąż rósł. Na małym pagórku, w odległości niecałych stu kroków, Spartakus zauważył rzymskiego oficera o surowych, regularnych rysach, w eleganckim jeździeckim stroju i z bacikiem w dłoni. Parł w jego stronę. Rozpłatał dwu centurionów, którzy blokowali mu drogę i wprawdzie trochę przerzedziło się wokół niego, jednak dwu osiłków Fanniusza zostało gdzieś w tyle. Był sam, od oficera dzieliło go już tylko trzydzieści kroków. Tamten bez wątpienia poznał go i obserwował spod nieznacznie uniesionych brwi.

Pierścień otaczający Spartakusa znów się zamknął. Pozostało mu jeszcze dwadzieścia kroków do pokonania, kiedy zniemacka dostał cios w biodro włócznią; jednocześnie poczuł nagle, potężne uderzenie w czoło. Leżąc na ziemi raz jeszcze zobaczył owego człowieka; nie drgnął nawet, przyglądał mu się z ciekawością i trącał się bacikiem w udo. Teraz był mu już obojętny; Spartakus czuł tylko gliniastą ziemię na policzkach. Zamknął oczy.

Gdzieś daleko, za zasłoną mgły i poza jego świadomością, trwała wciąż bitewna wrzawa; ludzie zabijali się i padali na ziemię. Czyjeś stopy w twardych, kanciastych butach miażdżyły mu ciało niczym uderzenia tarana; bolała go każda cząstka, zdawało mu się, że cały jest pogruchotany, ale nawet ból docierał jakby z daleka, stłumiony i przesłonięty grubym obłokiem.

– I to wszystko? – pomyślał, przewracając się na brzuch i wbijając zęby w ziemię. Drapała go w podniebienie i wargi, czuł gryzący, gorzki smak. – Wszystko? – zdążyło mu jeszcze przemknąć przez głowę. Spazmatycznie ścisnął szczęki, usta miał pełne gliny. I tak go znaleziono wieczorem. Wódz italskiej rewolucji był okryty zeszywniałą i zlepioną krwią skórą zwierzęcą; palcami wczepiony jak pazurami w glinę i rżysko.

6. Krzyże

Powstanie w Italii upadło. Piętnaście tysięcy trupów zaległo pagórkowaty teren nad rzeką Silarus; cztery tysiące kobiet, starców i chorych, którzy nie brali udziału w bitwie i nie zdołali popełnić w porę samobójstwa, wpadło w ręce legionów. Rzym odetchnął z ulgą zrzuciwszy ciężar z piersi, a w całym kraju zaczęło się polowanie na ludzi, na nieznaną w dziejach Italii skalę.

Pasterze z gór Lukanii, drobni rolnicy i dzierżawcy z Apulii stali się dla żołnierzy Krassusa zwierzyną łowną. O rewolucyjne sympatie podejrzewano każdego, kto posiadał mniej niż dwa jugery ziemi albo mniej niż dwie krowy; uboższych zabijano lub uprowadzano. Zginęła jedna czwarta wszystkich niewolników w Italii. Buntownicy zalali krwią cały kraj, za to zwycięzcy zamienili Italię w rzeźnię. Niewielkie oddziały, z patriotyczną pieśnią na ustach, szły od wsi do wsi, stawiając krzyże na placach targowych, gwałcąc kobiety i wybijając bydło; nocami chłopskie chaty i niewolnicze szopy płonęły jak olbrzymie pochodnie zwycięstwa.

Czarny jady upoiły Italię do nieprzytomności; wysławiano pod niebiosa wodza, który pomógł rozprawić się z siłami ciemności – Pompejusza.

Pompejusz wraz ze swą armią wrócił z Hiszpanii w samą porę – zdążył jeszcze zmierzyć się z niewielką grupą zbiegów pod Apeninami.

Zlikwidował buntowników i pozwolił swym legionom uczestniczyć w polowaniu na ludzi w ich ojczystym kraju, wynagradzając im w ten sposób trudy hiszpańskiej kampanii, po czym doniósł Senatowi, że wprawdzie Krassus zadał niewolnikom klęskę, ale to on, Pompejusz, ostatecznie wyrwał korzenie rewolucji.

Przyznano mu prawo triumfalnego wejścia do Rzymu. Wjechał do miasta na rydwanie zaprzężonym w cztery białe rumaki. W prawicy trzymał laur zwycięzcy, lewa ręka dzierżyła hebanową laskę, a bezmyślną twarz powlekał rumieniec. Ludzie dookoła wiwatowali, zaś radosną satysfakcję Pompejusza zakłócał jedynie nieprzyjemny drobiazg – wyznaczony przez miasto niewolnik, który stał za nim i trzymał mu nad głową złotą koronę Jowisza, odrobinę za często powtarzał obowiązkową, tradycyjną formułę: „Pamiętaj, że jesteś człowiekiem”.

Krassusowi przyznano tylko prawo do małego triumfu; wolno mu było wejść do miasta piechotą w asyście niewielu żołnierzy. Jedynym szczególnym wyróżnieniem było zezwolenie,

aby nałożyć wieniec laurowy zamiast zwykłego, z mirtu. A jednak powrót bankiera Krassusa stał się widowiskiem, które zaszokowało cały świat – czegoś takiego nie oglądano nigdy wcześniej. Parada Pompejusza zaczęła się na Polu Marsowym, a skończyła dwie mile dalej, pod Kapitołem. Wracający do Rzymu Krassus kazał ustawić dwa rzędy drewnianych krzyży wzdłuż liczącej dwieście mil Via Appia. Na całej trasie od Kapui do Rzymu, po obu jej stronach, w regularnych odstępach pięćdziesięciu metrów, na krzyżach przybito za ręce i nogi sześć tysięcy schwytych niewolników.

Krassus zbliżał się do Rzymu wolno i często odpoczywał. Przodem posuwały się oddziały inżynieryjne, które przygotowywały krzyże; jeńców, powiązanych długimi linami w grupki, prowadził sam wódz. Przed armią Krassusa ciągnęła się w nieskończoność droga obstawiona po obu stronach pustymi krzyżami; po jej przejściu na każdym krzyżu wisiał człowiek. Krassus nie śpieszył się. Zmierzał do stolicy powoli, robiąc w marszu trzy przerwy dziennie, kiedy to ciągnięto losy, którego z jeńców czeka ukrzyżowanie przed następnym postojem. Armia posuwała się w tempie piętnastu mil na dzień, każdego wieczora zostawiając za sobą, niczym żywe kamienie milowe, pięciuset ukrzyżowanych.

Pochód wywołał w stolicy sensację. Cała arystokratyczna młodzież, zresztą każdy, kto tylko mógł sobie na to pozwolić, takim czy innym sposobem wyruszał na spotkanie armii Krassusa, aby obejrzeć wszystko na własne oczy. Na południe płynęła więc po Via Appia niekończąca się rzeka turystów, w okazałych państwowych pojazdach i wynajętych wózkach, na końskich grzbietach i w lektykach. Najznakomitszych gości Krassus przyjmował podczas postojów w swym namiocie; żując słodkie daktyle, patrzył na nich chmurnie i wypytywał, czy tak samo podobał im się triumfalny wjazd Pompejusza. I dopiero wtedy do gości zaczął docierać sens pomysłu Krassusa, bardziej wyrafinowanego niż wymyślona przez niego spółka przedsiębiorstw budowlanych i straży pożarna. Rzym odmówił mu prawa do triumfalnego wjazdu, więc Krassus zmusił Rzym do wyjścia mu naprzeciw i złożenia hołdu w drodze.

Miało się ku wiośnie. Słońce dawało już odrobinę ciepła, nie tyle jednak, by obdarzyć łaską szybkiej śmierci ludzi przybitych do krzyży, które zostawiała odchodząca armia Krassusa. Mało komu udało się przekupić żołnierzy tylnych straży, by któryś z nich wrócił nocą i go dobił. Krassus stanowczo bowiem zabronił tego rodzaju samowolnych działań, i to nie dlatego, by odznaczał się szczególną skłonnością do okrucieństwa; lubił po prostu, by jego pomysły były wykonywane z drobiazgową starannością, bez niepotrzebnych zmian, psujących oczekiwany

efekt. Jako człowiek, któremu z pewnością nie da się odmówić ludzkich uczuć, zamiast zwyczajowo stosowanego przywiązywania naciągniętych kończyn wybrał metodę przybijania skazańców, co miało przyspieszyć ich śmierć.

Marsz armii z Kapui do Rzymu zajął dwanaście dni; codziennie, w precyzyjnie odmierzonych odstępach, pozostawiała za sobą pięciuset ukrzyżowanych. Słabsi żyli tylko po kilka godzin, bardziej wytrzymali nawet parę dni. Jeśli jakimś szczęśliwcowi gwoździe uszkodził arterię, szybko wykrwawiał się na śmierć, zazwyczaj jednak gwoździe wbijano w kości.

Skazańcy najpierw mdleli, po ustawieniu krzyża wracali jednak do przytomności i zaczęli przeklinać bogów, którzy obdarzyli ich życiem. Wielu szarpało się po przybiciu, jedni po to, by się urwać, inni, żeby się prędzej wykrwawić; szybko jednak zdawali sobie sprawę, że tej karni nie da się pokonać nawet najsilniejszą wolą. Niejeden próbował rozbić czaszkę waląc głową w słup krzyża; przekonywali się jednak, że ze wszystkich żywych istot najtrudniej zabić samego siebie.

Zbliżała się wiosna. Po dniu nastawała noc, po nocy dzień, a oni wciąż żyli, unieruchomieni przez gwoździe i ból. W rany wdawała się gangrena, ciała zaczynały gnić, wywieszali spuchnięte języki; zwierzęta i ptaki, warcząc, prychając i łopocząc skrzydłami, podchodziły coraz bliżej. Dnie ustępowały miejsca nocom, noce przechodziły w dzień, lecz ziemia wciąż nie chciała ich pochłonąć, a i słońce nie ustawało w swej wędrówce po niebie. To, co im wyrządzono, przekraczało wszelką miarę i winę. I nie działo się to w gorączkowych majaczeniach chorych, ale w rzeczywistości, z której nie można się zbudzić, i udręka nie płynęła ze wspomnień ani przeczuć – cierpieli właśnie teraz, właśnie tutaj.

Przypadek sprawił, że kronikarz Fulwiusz i człowiek o okrągłej głowie wciąż żyli i dotarli wraz z armią Krassusa aż do rzeki Liris. Byli ostatnimi z pierwotnej gromady; pasterz Hermios poległ w Apulii od oszczepu, dwaj Wibiusze, ojciec i syn, zginęli nad rzeką Silarus; szczupła, ciemna kobieta Spartakusa utopiła się podczas bitwy, kiedy nikt jeszcze nie wiedział o jego śmierci. Pozostało więc tylko ich dwu, a prócz nich stary Nikos, bełkocący coś nieskładnie, niemal całkiem ślepy; posuwał się naprzód tylko dzięki linie, którą wszyscy byli związani.

Odpooczywali teraz, już po raz ostatni, nad wodą. Siedzieli rzędem wzdłuż brzegu, wraz z wszystkimi, których wylosowano tego dnia. Ręce mieli związane liną; strzegli ich uzbrojeni strażnicy. Liris mocno wezbrała. Niosła gałęzie i zgniłe warzywa, martwe koty i świnie, w jej

mulistym nurcie nieustannie tworzyły się wiry. Czasami płynęły nią ciała pomordowanych; odbyły długą drogę i niezbyt przypominały już ludzi.

Zza najbliższego zakrętu w górnym biegu rzeki, od strony obozu rozbitego przez oddział idący w awangardzie dolatywał łomot drewnianych młotów. Słupy na najbliższy postój nie były jeszcze gotowe i stu pięćdziesięciu jeńców wyznaczonych przez los musiało czekać. Związani razem liną siedzieli nad wodą w długim szeregu, nie wiedząc, kiedy doprowadzą ich na miejsce; oni też nie byli już podobni do ludzi. Wpatrywali się w żółte wody rzeki Liris. Jedni kiwali się z jękiem w przód i w tył, drudzy śpiewali, jeszcze inni kładli się twarzą ku ziemi. Byli i tacy, co rozbierali się do naga, aby pozbawić własne ciało wszelkiego komfortu, a tym samym osłabić jego siły witalne.

Nikos wyrzucał z siebie nieskładne, oderwane zdania. Tylko jego los nie został jeszcze przesądzony. Ponieważ prawie nic nie widział, żołnierze trzymali go z dwoma jeńcami, którzy cały czas go prowadzili.

– Błogosławieni ci, którzy godzą się na wyrzeczenia i giną z rąk zła – stękał niewyraźnie.

Siedzący obok esseńczyk uśmiechnął się i pokiwał głową:

– Błogosławieni ci, którzy chwytają za miecz, chcąc położyć kres panowaniu Bestii, ci, którzy wznoszą wieżę z kamienia, aby sięgnęła chmur i ci, którzy wspinają się po drabinie, żeby stoczyć walkę z aniołem, albowiem to oni są prawdziwymi Synami Człowieczymi.

Młoty w górze rzeki były coraz rzadziej, praca dobiegała końca. Obok kronikarza Fulwiusza siedział kalabryjski chłop – budzący współczucie, drobny człowieczek ze zmierzwioną brodą i łagodnymi, odrobinę wylupiastymi oczyma. Nazywał się Nikolaos. Gryzł główkę zerwanej gdzieś po drodze sałaty i pośpiesznie opowiadał Fulwiuszowi jakąś niezborną historię o swojej krowie Juno, która właśnie miała się cielić, kiedy przyszli żołnierze i rzucili się na jego żonę i podpalili dach nowej stodoły. Przerwał na chwilę swą opowieść. Poczęstował prawnika paroma listkami sałaty i zapytał, czy sądzi, że żołnierze dadzą im przedtem coś zjeść.

Fulwiusz odchrząknął.

– Chyba lepiej nie mieć niczego w brzuchu – powiedział ochryple.

Myślał o niedokończonym traktacie i o zwojach pergaminu, które wyrwał mu młody oficer, kiedy brał go do niewoli. Śmierć traktował niemal obojętnie, przerażało go natomiast to wszystko, co miało ją poprzedzić; poza tym chciałby wiedzieć, jaki los spotkał jego księgę.

Walenie młotów całkiem ucichło; żołnierze w zbrojach przyszli teraz po pierwszą dziesiątkę.

Chwilę później znów w regularnych odstępach rozległo się stukanie, teraz słabsze i głuche, ale tym razem towarzyszyły mu dziwne, nieludzkie wrzaski. Stu czterdziestu ludzi połączonych liną milcząc wsłuchiwało się w te dźwięki.

– Błogosławieni, którzy giną z ręki zła – wymamrotał stary Nikos. – Wieże wzniesione przez człowieka runą, a anioł ukarze zuchwalca, który wspiął się po drabinie i przetrąci mu biodro. Błogosławieni ci, którzy służą i nie stawiają oporu.

Nikt nie odpowiedział. Po chwili znów pojawili się żołnierze w zbrojach; zabrali następnych dziesięciu. Prawnik Fulwiusz, esseńczyk i drobny wieśniak z wyłupiastymi oczyma siedzieli blisko końca rzędu, w dziesiątce, na którą miała przypaść kolej za chwilę. Esseńczyk pokiwał głową:

– Niełatwo temu, komu powierzono Słowo – rzekł. – Musi podjąć je, nieść dalej i służyć mu na różne sposoby, dobre czy złe, póki nie przekaze go innym.

Niski kalabryjski chłop w pośpiechu opowiadał o swojej krowie, Juno, lękając się, że nie zdąży dokończyć opowieści. Przerwał jednak w połowie.

– Nie boisz się? – zapytał prawnika, nie przestając żuć sałaty.

– Każdy człowiek boi się umierania – odpowiedział Fulwiusz – choć każdy na swój sposób. A jednak, kiedy nadchodzi pora, człowiek o nim zapomina. Bo najpierw czuje ból, co znaczy, że myśli tylko o sobie, a nie o śmierci. Zapomina o sobie później, kiedy już kona. Nie da się bowiem przeżywać obu tych rzeczy jednocześnie: umierania i myślenia o sobie samym.

Brodaty wieśniak potakiwał skwapliwie; wprawdzie nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział Fulwiusz, ale chciał mu wierzyć, szukając w tym pociechy. Fulwiusza absorbowano jednak co innego – z jednej strony nie mógł przestać myśleć o tym, co z nim zrobią, z drugiej myślał o swych utraconych zwojach pergaminu. Stulecie niedonoszonych rewolucji już się skończyło, stronnictwo sprawiedliwości przegrało, jego siły się wyczerpały. Nic już nie mogło powstrzymać żądzy władzy, nic nie mogło stanąć na drodze despotyzmu i nie było żadnej zapory, która chroniłaby lud. Ten, kto sięgnie po najbrutalniejsze metody, może teraz wspiąć się na niewyobrażalne wyżyny – stać się dyktatorem, imperatorem, bogiem. Kto pierwszy sięgnie po laur zwycięzcy? Żołnierz Pompejusz, trybun Cezar, intrygant Cethegus, bankier Krassus, asceta Kato? Fulwiusz znał ich wszystkich z czasów swej dawnej kariery i dobrze wiedział, jak ci bohaterowie kupują urzędy i stanowiska, jak oskarżają się wzajemnie przed komisją do spraw korupcji. Widział ich, jak zaciągali długi na igrzyska mające dać im popularność i jak stawiali

przed Senatem – ubrani na białe, oficjalnie i sztywno – pomniki własnej chwały. Ponad nim świeci słońce, w dole płynie rzeka, bolą skrępowane ręce, niepozorny chłop po prawej stronie wciąż gorączkowo gada o swej krowie Juno, a następny w szeregu, Murzyn, bezwstydnie się obnażył. I wiadomo już, że słońce nie stanie w biegu, niebiosa nie ześlą żadnej drabiny i nie ma co liczyć na ucieczkę od Tutaj i Teraz. Ale okrągłogłowy uśmiecha się i kiwa głową:

– Napisano w Piśmie: wiatr przychodzi i znika, i nie pozostawia żadnego śladu. Ludzie przychodzą i przemijają, nie wiedząc niczego o losie swych ojców ani o przyszłości swego potomstwa. Deszcz napęlnia rzeki, rzeki płyną do morza, ale morze wcale się nie powiększa. Wszystko jest marnością.

Murzyn wywrócił źrenice i błysnął białkami oczu. Okrył się i z jękiem padł na ziemię, by modlić się do ponurych bogów swej ojczyzny.

– Nie ma ukojenia – powiedział kronikarz Fulwiusz ochrypłym ze strachu głosem, bo zobaczył żołnierzy w zbrojach, którzy już się do nich zbliżali.

Epilog

Delfiny

Jest wciąż ciemno.

Nie zapiał jeszcze żaden kogut.

Ale Kwintus Aproniusz, pierwszy pisarz sądu handlowego, dawno już nauczył się godzić z faktem, że urzędnicy powinni budzić się wcześniej od kur. Postępując, wodzi stopami po brudnej podłodze z desek, aż wreszcie odnajduje sandały. Znowu stoją nie tak jak trzeba, obrócone nosami w stronę łóżka; przez dwadzieścia lat służby Pomponia nie nauczyła się, jak mają stawać.

Szurając nogami, człapie w stronę okna i spogląda w dół, w głąb pięciopiętrowej studni podwórza. A otóż i sama Pomponia wchodzi po stromych, tylnych schodach, stara, koścista i niechlujna. Woda, którą niesie, jest letnia, a śniadanie po prostu obrzydliwe – to już drugi powód do irytacji tego rana. Ciekawe, ile razy i na jak długo będzie jeszcze dzisiaj wytrącany z równowagi?

Przelatuje mu przez głowę myśl o Delfinach, niegdyś wspaniałym ukoronowaniu dnia, ale od czasu, gdy legły w gruzach nadzieje, że zostanie oficjalnym klientem sędziego, i tę przyjemność mu popsuto. Za każdym razem, gdy przekracza próg marmurowego przedsionka, Aproniusz cierpi, czując na sobie szydercze i złośliwe spojrzenia.

Schodzi tylnymi schodami na podwórko, a kolana z lekka mu drżą.

Unosi ostrożnie szatę, bo wie, że Pomponia z miotłą w dłoni obserwuje go z okna, czy skrajem togi nie dotknie brudnych szczebli. Ciasną uliczkę rozjaśnia już wątle i blade światło świtu; po kamieniach dudni niekończący się sznur wózków z mlekiem i warzywami, a nad nimi unosi się rój przekleństw.

Tam gdzie stragany z wonnościami i maściami graniczą z targowiskiem rybnym, Aproniusz spotyka prowadzonych do pracy niewolników budowlanych. Znów są skuci, jak za Sulli; mają ponure, kamienne twarze i nienawiść w spojrzeniu. Aproniusz rozpląszcza się przy ścianie; drżąc, zbiera ciasno szatę, by ich nie dotknąć. Mijają go wreszcie i może iść dalej.

Wzrok pisarza pada na drewnianą tablicę; przed paroma dniami pojawiło się na niej nowe

ogłoszenie. U góry widnieje purpurowe słońce, a niżej organizator igrzysk, Lentulus Batiatus zawiadamia, że ma zaszczyt zaprosić łaskawą kapuańską publiczność na nadzwyczajny występ ekipy gladiatorów. Po czym następuje lista wykonawców – główną atrakcją ma stanowić pojedynek między galijskim gladiatorem Nestosem i trackim mistrzem Orestesem. W czasie przerw widownia będzie skrapiana wonnościami; miejsca można zamawiać w piekarni Tytusa, a także u wyznaczonych sprzedawców biletów.

Aproniusz zna już ten plakat na pamięć; kręcąc głową i mamrocząc coś z pogardą przechodzi więc dalej – już dawno przestał marzyć o bezpłatnych biletach. Wkrótce dociera do celu, przedsionka świątyni Minerwy, w którym ma siedzibę municypalny sąd handlowy. Czeką go tu kolejna przykrość: widok młodszego kolegi, który całe lata się wzbraniał, nim przystąpił do Czcieli Diany i Antinousa, a mimo to został wybrany honorowym przewodniczącym – chyba wyłącznie z racji swej nowomodnej fryzury. Nadęty i ważny jak kogut kręci się po sali, przekłada dokumenty, wydaje polecenia woźnym i rzuca się, by podsunąć krzesło wchodzącemu ze swą swiłą sędziemu, który kwituje to łaskawym skinieniem głowy.

Trwa postępowanie sądowe; strony nabierają ferworu, obrońcy wymachują rękami, wciąż rośnie sterta dokumentów. Kwintus Aproniusz siedzi za swym stołem i pracowicie protokołuje, choć ręce z lekka mu drżą. Jego pisma nie wyróżniają się już tak wykwinnym pięknem jak kiedyś. Minęły czasy artystycznych ozdobników, które przepełniały jego serce dumą i satysfakcją.

Kiedy słońce osiąga wreszcie południe, woźni ogłaszają odroczenie rozprawy, Aproniusz zaś zbiera swe zapiski; wymawiając się ważnymi zajęciami, pośpiesznie opuszcza swych kolegów. Dostojnym krokiem, przyciskając szatę do bioder, podąża do tawerny Pod Bliźniętami Wilczycy. Z powagą sprawdza, czyjego czarka do napojów jest czysta i wygłasza ironiczne uwagi na temat jakości jedzenia, co właściciel przyjmuje z obłudnym zaniepokojeniem. Po krótkim wahaniu i wielu gniewnych pomrukach i chrząknięciach pozwala sobie wmówić drugi dzbanek wina; to jego niedawny zwyczaj, który bardzo mu się podoba. Z lekko zaróżowionymi policzkami dźwiga się z ławy, strzepuje okruchy z szaty i odchodzi z gospody Pod Bliźniętami Wilczycy w kierunku term.

W podcieniu roi się jak zwykle od grupek wymieniających plotki, informacje i komplementy; pomiędzy kolumnami perorują publiczni mówcy i ambitni poeci. Najwięcej słuchaczy zgromadziło się wokół dwóch dyskutantów, którzy zawzięcie kłócą się na temat przymiotów dwu

tegorocznych konsulów; niski, korpulentny mężczyzna wychwala wielkoduszność Marka Krassusa, drugi – artretyczny weteran – sławi militarne talenty Wielkiego Pompejusza. Wydaje się, że lada moment przejdą do rękoczynów, bo każdy z nich zarzuca drugiemu, że za swe zaangażowanie dostaje piętnaście sztuk srebra od organizatorów kampanii wyborczej przy świątyni Herkulesa. Niski grubas twierdzi, że Pompejusz chce rozpętać kolejną wojnę domową i ogłosić się nowym dyktatorem; właśnie dlatego wciąż trzyma swoje wojsko pod samymi bramami Rzymu.

Weteran przypomina natychmiast, że i Krassus nie rozpuścił swojej armii pod pozorem obrony republiki przed Pompejuszem, choć każdy widzi, że sam marzy o dyktaturze.

Aproniusz wzrusza ramionami; życie nauczyło go już, że wszelka polityka jest złowrogim spiskiem niewidzialnych sił, które sprzysięgły się przeciwko szarym obywatelom, aby ich ograbić i doprowadzić do nędzy.

Powoli przechodzi przez salę, odbiera od szatniarza klucz do swej szafki i z ciężkim sercem nakłada szatę kąpielową.

Szatę, niegdyś bardzo elegancką, zdobią czerwone i zielone pasy;

Aproniusz kazał ją uszyć dokładnie na wzór szaty impresaria Rufusa, w czasach gdy przyszłość rysowała się jeszcze pogodnie. Ileż wyrzeczeń kosztowała go ta rozrzutność, ile godzin spędzonych nocą przy pisaniu i ograniczeń przy obiadach w gospodzie Pod Bliźniętami Wilczycy!

A teraz materiał sfatygował się i wytarł, zwłaszcza na kolanach i łokciach, zupełnie jakby sparszywiał. Przetrwały tylko jaskrawe kolory, czerwony i zielony; kiedy Aproniusz kroczy przez korytarze unosząc szatę na wysokość swych chudych kolan, nieodmiennie towarzyszą mu spojrzenia wszystkich obecnych.

Wreszcie wkracza do Sali Delfinów i zauważa z ulgą, że nie ma w niej ani Rufusa, ani organizatora igrzysk. Impresario sprawił sobie bowiem ostatnio przepiękny strój kąpielowy, tym razem w żółto-fioletową kratę.

Pisarz, patrząc na to, czuje za każdym razem szaloną chęć, by stać się rewolucjonistą i pójść w ślady nieżyjącego już Spartakusa.

Rozsiada się na jednym z ozdobionych delfinami tronów. Obok ma dwóch nieznanym, z wyglądu prowincjuszy, których jeszcze nigdy tu nie spotkał. Oni też rozmawiają o byłym przywódcy gladiatorów i wodzu niewolników. Zdumiony Aproniusz przysłuchuje się ich

rozmowie, bo choć minął już prawie rok od śmierci Traka, młodszy z nieznanym utrzymuje, że całkiem niedawno widziano go w wielkim majątku na północy, w Umbrii, gdzie pracujący w polu niewolnicy zamordowali swego właściciela.

Starszy z powagą potakuje. Przyjechał z południa, z Lukanii, gdzie rozchodzą się podobne opowieści: wielu myśliwych i pasterzy spotyka tego człowieka na odludnych górskich ścieżkach, on zaś rozmawia z nimi uprzejmie, a potem nagle znika. Poznają go od razu po kudłatym futrze, którym jak za dawnych czasów okrywa ciało. Wieści te rozchodzą się po całej Apulii i Brucjum, zaś bogaci ludzie w miastach straszą Spartakusem niegrzeczne dzieci – że przyjdzie i je zabierze.

Zaskoczony pisarz potrząsa głową; w końcu wszystkim wiadomo, że przywódca bandytów został zabity nad rzeką Silarus, a następnego ranka jego zwłoki spalono wraz z innymi poległymi.

Młodszy z obcych patrzy na niego z dezaprobatą; omiata wzrokiem pasiastą szatę, a potem rozjaśnia twarz w przelotnym uśmiechu.

– Skąd masz, panie, pewność, że zginął? – pyta.

– No cóż, znaleziono jego zwłoki – odpowiada Aproniusz. – Podobno wyglądały odrażająco; w ustach miał pełno gliny. No i następnego dnia ciało spalono.

– Skąd to wiesz? – nalega dalej obcy, nie spuszczać z niego poważnego spojrzenia. – Inni mówią, że został przeszyty włóczniami, ale kiedy go później szukano, ciało zniknęło. Wielu już było takich, których pochowano, a jednak wstali i dalej chodzą po ziemi.

Potrząsając głową pisarz Kwintus Aproniusz powstaje z marmurowego siedziska; nawet po kąpieli, w drodze do domu nie przestaje myśleć o zadziwiającej rozmowie tych dwu obcych mężczyzn.

Zmrok przesłania już ciasne uliczki dzielnicy oskijskiej, gdy Aproniusz po schodach od podwórka wspina się do mieszkania. Zdejmuje szaty ze swego strudzonego, starego ciała, starannie składa je na rozchwierutanym trójnogu i gasi światło. Z ulicy dochodzi odgłos rytmicznie dudniących kroków – to niewolnicy budowlani wracają z pracy. Wyobraża sobie ich ponure, pozbawione radości twarze i kajdany na przegubach; w środku, groźnie i pogardliwie patrząc przed siebie, idzie człowiek w skórze, z mieczem w dłoni.

Pisarz Kwintus Aproniusz z walącym sercem patrzy w ciemność swej sypialni. Na próżno czeka na sen, a jednocześnie się go boi. Wie o tym, niestety, że to, co mu się przyśni, będzie smutne i złe.

Postscriptum

(do edycji w Wydawnictwie Danube)

Powieści powinny tłumaczyć się same; pomiędzy dziełem i czytelnikiem nie ma miejsca na komentarze autora, przynajmniej do zakończenia lektury, i dlatego właśnie wybrałem postscriptum, a nie przedmowę.

Gladiatorzy są pierwszą częścią trylogii (dwie pozostałe to *Ciemność w południe i Krucjata bez krzyża*), a jej głównym tematem jest fundamentalna kwestia rewolucyjnej etyki, a może raczej w ogóle etyki w polityce, mianowicie: czy i do jakiego punktu cel może usprawiedliwiać środki. Ten odwieczny problem nurtował mnie zwłaszcza na decydującym etapie mego życia. Myślę tu o siedmiu latach, kiedy byłem członkiem partii komunistycznej, a także o okresie, który nastąpił bezpośrednio potem.

Wstąpiłem do partii komunistycznej w 1931 r. Miałem wtedy 26 lat i pracowałem w redakcji liberalnej gazety w Berlinie. Partię komunistyczną wybrałem jako alternatywę wobec zagrożenia ze strony nazizmu, a po części także i dlatego, że podobnie jak Audena, Brechta, Malraux, Dos Passosa i innych pisarzy mojego pokolenia, pociągała mnie sowiecka utopia. Gdzie indziej opisałem już szczegółowo atmosferę tamtych dni, myślę więc, że nie ma tu potrzeby rozwodzić się na ten temat.

Kiedy Hitler doszedł do władzy, byłem w Związku Sowieckim i pisałem książkę o pierwszej pięciolatce; stamtąd wyjechałem do Paryża, gdzie mieszkałem aż do upadku Francji. Moje narastające rozczarowanie partią komunistyczną osiągnęło stan krytyczny w 1935 r. – był to rok zabójstwa Kirowa, pierwszych czystek i pierwszej fali Wielkiego Terroru, który pochłonął większość moich towarzyszy. Właśnie podczas tego kryzysu zacząłem pisać *Gladiatorów* – historię innej nieudanej rewolucji. Zajęło mi to cztery lata; raz po raz musiałem przerywać pisanie, co upodobiło moją pracę do biegu z przeszkodami. W rok po tym, jak rozpocząłem książkę, wybuchła hiszpańska wojna domowa, podczas której wpadłem w ręce żołnierzy generała Franco i spędziłem cztery miesiące w więzieniu; potem pisałem o wydarzeniach w Hiszpanii*, w tym też czasie skończyły mi się pieniądze i chwytalem się różnych chałtur, żeby przeżyć.

* [*Spanish Testament.*]

Gladiatorów skończyłem wreszcie latem 1938 r. – parę miesięcy po wystąpieniu z partii komunistycznej.

Po każdej takiej przerwie powrót do pierwszego wieku przed narodzinami Chrystusa sprawiał mi ulgę i przywracał równowagę ducha. Była to nie tyle ucieczka od rzeczywistości, co swego rodzaju terapia zajęciowa, która pomagała mi wykrystalizować własne poglądy; istniały przecież rzucające się w oczy analogie pomiędzy pierwszym stuleciem przed Chrystusem i współczesnością. Był to wiek pełen napięć społecznych, rewolucji i masowych buntów. Ich przyczyny wydawały się dziwnie znajome: załamanie tradycyjnych wartości, gwałtowna transformacja systemu ekonomicznego, bezrobocie, korupcja i dekadencja rządzącej klasy.

Jedynie w tym kontekście da się zrozumieć, w jaki sposób gromada siedemdziesięciu cyrkowych gladiatorów mogła w ciągu paru miesięcy rozrosnąć się do rozmiarów armii i przez dwa lata trzymać w szachu połowę Italii.

Czemu w takim razie rewolucja tak żałośnie upadła? Powodów było oczywiście wiele, ale na plan pierwszy wysuwał się wyraźnie jeden czynnik: Spartakus padł ofiarą zasady dążenia do celu krętymi drogami, a żąda ona od zmierzającego do Utopii przywódcy, aby był bezlitosny. A jednak Spartakus cofa się przed ostatnim krokiem – czystką, czyli ukrzyżowaniem odmawiających posłuszeństwa Celtów i ustanowieniem bezwzględnej tyranii, i tym samym skazuje rewolucję na klęskę. W *Ciemności w południe* bolszewicki komisarz Rubaszow podejmuje przeciwną decyzję i konsekwentnie stosuje się do zasady krętych dróg, aby wreszcie stwierdzić, że „sam rozum jest zawodnym kompasem, bo dyktuje tak pokrętny i zawiły kurs, że w końcu cel gubi się gdzieś we mgle”.

W ten sposób obie książki wzajemnie się dopełniają – obie te drogi kończą się tragicznie w ślepej uliczce.

Czytelnik powieści historycznej ma prawo zapytać, w jakim stopniu opiera się ona na faktach i ile jest w niej fikcji. Materiał źródłowy na temat niewolniczej rebelii ogranicza się do paru fragmentów zaczerpniętych z Liwiusza, Plutarcha, Appiana i Florusa; wszystkie razem ledwo sięgają czterech tysięcy słów. Rzymscy historycy najwyraźniej uznali ów epizod za tak upokarzający, że najchętniej całkiem by go przemilczeli.

Wyjątkiem był chyba tylko Sallustiusz, ale z jego *Historii* przetrwały jedynie fragmenty.

Z ubóstwem źródeł na temat samej rebelii kontrastuje obfitość materiału ukazującego tło – ówczesne warunki społeczne i polityczne intrygi.

I choć prawie niczego nie wiadomo o osobach przywódców niewolników i o ich poglądach, sporo jest informacji o ich przeciwnikach: Pompejuszu, Krassusie, Warynusz, o konsulach i senatorach lat 73-71 p.n.e., o ich przyjaciółach i współczesnych im postaciach. Sytuacja ta stwarza z jednej strony dodatkowe wyzwanie dla wyobraźni, która musi wykreować nie tylko charaktery Spartakusa i jego współtowarzyszy, ale również szczegóły ich kampanii i organizacji niewolniczej społeczności. Z drugiej natomiast strony obfitość informacji o tej epoce tworzy swego rodzaju ramy czy tło, które pozwalają sporo wydedukować; uzupełnienie brakujących detali wymagało jednak swoistej geometrycznej intuicji potrzebnej do rekonstrukcji układanki, z której zachowała się tylko połowa elementów.

Źródła nie dostarczają informacji na temat programu czy jakiejś wspólnej idei, która spajała niewolniczą armię; istnieją jednak wzmianki, z których da się wyciągnąć wniosek, że musiał to być jakiś rodzaj „socjalizmu”, który uznawał, że wszyscy ludzie urodzili się wolni i odrzucał pogląd, że podział na ludzi wolnych i niewolników wynika z naturalnego porządku rzeczy. Natomiast na podstawie innych przesłanek można przypuszczać, że w pewnym momencie Spartakus próbował założyć gdzieś w Kalabrii utopijną wspólnotę, która miała się opierać na wspólnej własności. Tego rodzaju pomysły były rzymskiemu proletariatu całkowicie obce przed pojawieniem się pierwszych chrześcijan. Prowadzi to do śmiałego, ale przecież zasługującego na poważne potraktowanie wniosku, że zwolennicy Spartakusa korzystali z tego samego źródła inspiracji, do którego w sto lat później sięgnęli nazarejczycy – był nim mesjanizm hebrajskich proroków. W wielojęzycznym, pstrym tłumie zbiegłych niewolników musiała być pewna liczba ludzi syryjskiego pochodzenia; niektórzy z nich mogli zapoznać Spartakusa z prorocztwami o nadejściu „Syna Człowieczego”, zesłanego na ziemię, „aby pocieszać niewolników, otwierać oczy ślepym, wyzwalać uciemiężonych”. Każdy spontanicznie powstały ruch w drodze swoistej selekcji naturalnej podejmuje w końcu ideologię lub mistykę, która najlepiej odpowiada jego celom. Składając moją układankę przyjąłem więc, że spośród wielu maniaków, reformatorów i sekciarzy, których zapewne przyciągali buntownicy, Spartakus wybrał na swego mentora i przewodnika przedstawiciela judaistycznej sekty esseńczyków – jedynej liczniejszej cywilizowanej zbiorowości, która praktykowała podówczas prymitywny komunizm, nauczając: „co należy do mnie, jest twoje, a to, co twoje, jest moje”. Tym, czego Spartakus po swych początkowych zwycięstwach najbardziej potrzebował, był program i czytelne przesłanie, które mogłyby scalić zgromadzone wokół niego tłumy. Wydawało mi się, że największe szanse

dotarcia do najbiedniejszych miała ta sama filozofia, która w sto lat później znalazła swój wznioślejszy wyraz w Kazaniu na Górze i do której nie udało się nawiązać mesjaszowi niewolników – Spartakusowi.

W przeciwieństwie do spekulacji związanych z nieznanymi bohaterami tej opowieści, czułem potrzebę naszkicowania znanego historycznego tła ze ścisłą, pedantyczną dokładnością. Doprowadziło mnie to do studiów nad tak intrygującymi tematami, jak na przykład rodzaj i fason bielizny noszonej przez Rzymian czy skomplikowane sposoby podtrzymywania i zapinania odzieży kłamrami, paskami i szarfami. I choć w końcu nic z tej nie wiedzy nie znalazło odbicia w powieści, a sama odzież doczekała się w tekście ledwie paru wzmianek, nie mogłem jednak opisać żadnej sceny bez wyobrażenia sobie, jak ubrane były postacie i jak podtrzymywały swoje szaty. Również całe miesiące poświęcone studiom nad rzymskim eksportem, importem, podatkami i tym podobnymi zagadnieniami znalazły odbicie na ledwie trzech stronach, tam gdzie Krassus objaśnia Katonowi Młodszemu rzymską politykę gospodarczą, otwarcie odwołując się do marksistowskich pojęć.

Urodzony w Budapeszcie i wykształcony w Wiedniu, pisałem początkowo po węgiersku, potem po niemiecku, a od 1940 r., gdy zamieszkałem w Wielkiej Brytanii, po angielsku. *Gladiatorzy* zamykają niemiecki okres mego pisarstwa. Przełożyła tę powieść Edith Simon, wówczas młoda studentka sztuk pięknych, która ujawniła później niezwykle talent w dziedzinie powieściopisarstwa historycznego.

A.K.

Londyn, wiosna 1965 r.